



ARTUR KUBIENIEC

TO już było...

Artur Kubiñec

To juŹ było

Czego my, ludzie XXI wieku, nauczyliśmy się od naszych przodków? Jak wykorzystujemy wiedzę, której dostarcza nam badanie Średniowiecza? Jakie przestrogi pozostawiły po sobie upadłe cywilizacje Starożytności?

A co pozostawimy przyszłym pokoleniom? Jak zapiszemy się w dziejach ludzkości? Czy kolejna cywilizacja, jeżeli jeszcze przyjdzie komuś budować kolejną cywilizację, będzie umiała budować społeczeństwo, którego fundamentem jest Człowiek?

Długie jasne włosy spadały na oparcie wózka inwalidzkiego, kiedy młoda kobieta o ogromnych, błękitnych oczach, których głębię podkreślały odbijające się w źrenicach barwy nieba i oceanu, z odchyłoną do tyłu głową łapała ostatnie promienie zachodzącego słońca, oddychając głęboko. Promienie stygły na jej twarzy, chłodzone lekką morską bryzą, a ona uśmiechała się pełnymi, malinowymi ustami, których widok sprawia, że mężczyzna zapomina o całym świecie i staje się cały pragnieniem pocałunku, dającego ukojenie i spełnienie, niosącego nadzieję niezmaconej prymitywnym pożądaniem nirwany.

- Jak myślisz...? - powiedziała do smukłego mężczyzny w swoim wieku, może nieco starszego, z długimi, czarnymi lokami, który siedział obok, na spróchniałym pniu wyrzuconym przez fale.

- Mhm? - Podniósł głowę, zdziwiony.

- Jak myślisz, ile już widzieliśmy takich zachodów słońca?

Spojrzał na nią z podziwem, zawsze uważał ją za piękną kobietę, i na jego twarzy pojawił się grymas smutku, który zaraz starał się przekształcić w uśmiech. Takiego ani jednego, pomyślał, a głośno powiedział, znajdując w głębi serca resztki romantyzmu:

- Pewnie tyle, ile ziaren piasku jest na tej plaży.

Były to pierwsze słowa, jakie padły między nimi tego dnia. Dziewczyna powoli odwróciła głowę w stronę mężczyzny i z miną, z jaką matka przygląda się dziecku podczas zabaw w piasku, odrzekła:

- Nie, kochany. Może najwyżej tyle co liści na tym starym dębie na wydmie; gdyby było tak, jak mówisz, to wiesz...

- Co? - zapytał, choć domyślał się odpowiedzi.

- Pewnie dawno pozjadalibyśmy się nawzajem - powiedziała pewnym głosem i odwracając twarz z powrotem do słońca, które już w połowie zanurzyło się w oceanie, dodała: - Albo samych siebie po kawałku.

Nie skomentował tego. To była prawda, uważał tak samo i miał wrażenie, że ona czyta mu w myślach. Jakby na potwierdzenie tego przeczucia popatrzyła mu zimno w oczy, już bez uśmiechu, i szorstko wyszeptła:

- Do zobaczenia w piekle, kochany.

Mówiąc to, otworzyła dłoń, ściskając dotąd niebieską wstążeczkę przytrzymującą mały balonik z taką siłą, że paznokcie połamały się i poraniły skórę do krwi. Nie zdążył wykonać żadnego ruchu, aby ją powstrzymać. Nie zdążył nawet krzyknąć: „Przecież słońce jeszcze nie zaszło!” Wszystko działo się zbyt szybko.

Czerwony balonik nie zdążył unieść się wyżej niż o kilka centymetrów, gdy mężczyzna kątem oka zauważył stado ptaków wzbijających się w popłochu z gałęzi potężnego dębu. Już wiedział, co teraz nastąpi. I że nastąpi to zbyt szybko, by zdołał temu zapobiec.

Balonik był kolejne kilka centymetrów wyżej. Mężczyzna widział jego ruch ku niebu jak w zwolnionym tempie, za to jego myśli biegły szybciej niż wydarzenia. Podczas chwili potrzebnej na mrugnięcie okiem zdołał przypomnieć sobie najważniejsze momenty z ich wspólnego życia, przemyśleć swój plan jeszcze raz i poszukać innych rozwiązań. A potem znów rozpatrzyć wszystkie za i przeciw i podjąć decyzję. Nie miał tylko czasu na to, aby powstrzymać bieg wydarzeń.

Trzepot skrzydeł towarzyszył chwili, w której głowa jego ukochanej odskoczyła do przodu w wyniku mocnego uderzenia. Jego oczy zachlapała krew i resztki mózgu. Gdy uszu dobiegł odgłos strzału, upadł bezradnie na piasek.

- Kurwa, przecież słońce jeszcze nie zaszło... - wyszeptał głosem wyrażającym na raz smutek i gniew, a potem zaczął wycierać twarz w białą sukienkę kobiety.

Gdy krwawa miazga zniknęła z jego oczu, spojrzał na połowę twarzy ukochanej, ostała się w nienaruszonym stanie, i ujrzał ten sam ciepłosmutny uśmiech, który oglądał od lat. Pomyślał, że tym uśmiechem będzie mógł oczyszczać sumienie przez resztę swojego życia i chronić się przed myśleniem o sobie jako o paranoiku.

Okrzyk mężczyzny wyłaniającego się z za starego dębu przerwał jego rozmyślenia o przyszłości.

- Hej! - wołał tamten, schodząc powoli w dół wydmy Machał po przyjacielsku, jakby się znali od lat.

Jego poraną przez czas, nieogoloną twarz zasłaniał kapelusz z komicznie wielkim rondem, w takim samym brudnozielonym odcieniu moro, jaki miały jego spodnie. Z daleka uwagę zwracały przymocowany do pasa długi na jakieś pół metra, szeroki nóż oraz lornetka odbijająca się w rytm kroków od klatki piersiowej. Zza pleców wystawał fragment karabinu z ogromną lunetą. Co chwila do ust przykładął sobie srebrną piersiówkę, a wtedy jego twarz wykrzywiała się w grymasie obrzydzenia.

Podszedł do zrozpaczonego mężczyzny i jego martwej ukochanej i z triumfalnym uśmiechem łowcy, który jednym strzałem powalił okazałego rogacza, usiadł na spróchniałym pniu.

- Czego tak klęczysz? - zapytał po prostu, jakby nie widział, co się stało. - Wstań. Pobrudzisz się - dodał dobrodusznie.

- Z czego się, kurwa, cieszysz? - wykrzyknął z furią zapytany. Miał ochotę dać starcowi w pysk. - Jeszcze nie było tego pierdolonego zachodu słońca - nie przestawał się wydzierać.

- To nie ja decyduję, kiedy... Ten balonik...? - Mężczyzna z piersiówką wstrzymaną przy ustach spojrzał pytająco na wrzeszczącego.

- Co, kurwa, balonik?

Wszystko było zaplanowane dawno temu, ale w innym rytmie; wydarzenia tymczasem przybrały taki obrót, że nie miał tych kilku minut przed zachodem słońca, podczas których zamierzał przygotować się do tego, co ma nastąpić. Widok rozszarpanego ciała ukochanej był przez to niespodziewany, zadziałał na jego umysł jak narkotyk i spowodował, że rzeczywistość docierała do niego z pewnym opóźnieniem.

Zaskoczyła go. Nie radził sobie z myślą, że ta, którą kochał, odkąd pamiętał, nie umiała dla niego wytrzymać jeszcze trochę.

- No balonik, ten czerwony. To był twój pomysł czy jej? - dopytywał tymczasem myśliwy.

Młody mężczyzna powoli dochodził do siebie. Wreszcie zrozumiał, co się stało. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz podniecenia i strachu zarazem, ale szybko się opanował. Nie lubił poddawać się emocjom, zdarzało mu się to jednak dosyć często. Częściej, niżby tego sobie życzył.

Stary zapalił papierosa. To nie była jego pierwsza robota i nie ostatnia zapewne. Był spokojny i opanowany, przygotowany na każdą reakcję klienta. Po tylu latach nie reagował już na przekleństwa, obelgi, płacz, a nawet prośby o pozbawienie życia. Pozwalał po prostu, aby te zdradliwe związki chemiczne, które wytwarza ludzki organizm podczas takich sytuacji, zneutralizowały się. Tak to nazywał. Palił więc spokojnie, popijał co raz z piersiówki, i czekał, aż klient się uspokoi.

- O co ci chodzi z tym balonikiem? - zapytał, już zupełnie opanowany, takim głosem, jakby go ktoś właśnie oderwał od czytania gazety.

- To był twój pomysł czy jej? - powtórzył pytanie stary.

- Jej - odpowiedział krótko. - Ale po chuj ci to wiedzieć? - Był zdziwiony dociekliwością tego człowieka, który już przecież zrobił swoje.

Nie zamierzał się powstrzymywać od wulgarnego słownictwa, w ogóle zresztą o tym nie myślał. Był to dla niego tak naturalny sposób mówienia, że ani on, ani jego bliscy tego nie zauważali, a obcy przyzwyczajali się po kilku zdaniach.

- Zwykła ciekawość - drążył myśliwy. - Ona nie żyje, a ja nie mam nic do roboty, więc sobie tak dumam. Dlaczego balonik? Dlaczego czerwony? Jak się ciemno robi, to człowieka nachodzą różne takie myśli, które spać nie dają, to już lepiej nagnać własne...

- No tak. - Młody popatrzył na starego jak mechanik na zdezelowanego grata, którego usiłuje doprowadzić do jako takiej używalności. - Ktoś taki jak ty nie może być normalny - powiedział ni to do siebie, ni to do niego.

- Przecież ty jesteś taki sam jak ja.

- Nie. Ja nie zabijam ludzi.

- Nie zabijałeś. Do dzisiaj - stwierdził krótko myśliwy, rzucając peta w stronę wózka.

- Filozof, kurwa, się znalazł. Po coś tu przylazł?

- Co z nią zrobisz? Rafineria czy rzeźnik?

- Coś ty taki, kurwa, ciekawy? Gadaj, o co ci chodzi, albo wypierdalaj.

- Jeszcze pięćset i palce - odparł stary.

- Ochujaleś? Po pierwsze, umowa nie mówiła o żadnych dodatkowych kosztach, a po drugie, to nie jestem pierwszy lepszy frajer, żeby mnie przy trupie sumienie ruszało. Za te rozjebane pół głowy mam ci dopłacić i jeszcze palce oddać? Większego kalibru już chyba, kurwa, nie miałaś. Przecież to nie jakiś pierdolony jeleń, tylko pięćdziesięciokilogramowa kobieta, kutasie. Nie zapłacę. I co, zajebiesz mnie teraz? - Był pewny siebie, wiedział, że stary nie zabija za darmo.

- Nie zamierzam cię zabijać.

Myśliwy położył karabin na udach tak, że lufa skierowana była wprawę kolano jego klienta. Świeżo upieczony wdowiec zorientował się od razu, że to nie są negocjacje. Wyjął portfel i rzucił kilka banknotów na karabin. Potem odszedł kilka kroków i pozwolił myśliwemu zrobić to, co zamierzał.

Starzec wstał powoli i podszedł do wózka. Stał przed martwą kobietą i przez chwilę przyglądał się jej z uśmiechem, z jakim mija się nieznajomych na ulicy. Następnie ujął jej dłonie jedną ręką, delikatnie, jakby miał je zamiar ucałować. Obcinał palce gilotyną do cygar, powoli, nie spiesząc się. Nie chciał zbyt uszkodzić stawów ani zmarnować choćby kawałka cennej tkanki. Obcięte palce owinął w bawełnianą szmatkę i schował do brezentowej

torby przewieszanej przez ramię. Gdy skończył, usiadł z powrotem na pniu. Krzyknął coś do chłopaka w nieznanym języku, a potem już normalnie zapytał, czy się z nim napije. To był znak, że zadanie uważa za wykonane.

Jego klient podszedł i usiadł obok.

- Nie znaczysz sobie karabinu po każdej robocie? - zagadnął, chcąc rozładować atmosferę.

Starszy człowiek zaśmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

- Naczytałeś się kryminałów, co? Gdybym tak robił, musiałbym wymieniać karabin co miesiąc. Zużyłbym ich już pewnie z kilkaset. - Nie przestając się śmiać, zapalił następnego papierosa i łyknął ze srebrnego pojemnika.

Młody mężczyzna też się zaśmiał z własnego pomysłu.

- Ech, wy młodzi... - powiedział myśliwy trochę bez związku.

Nieoczekiwanie te słowa sprawiły, że obaj spowaźnieli, a w ich oczach pojawił się cień wzajemnego zrozumienia i szacunku. Trwało to tylko chwilę, po której, jakby zawstydzeni, równocześnie odwrócili głowy w bok i wstali. Strzelec ruszył bez słowa tą samą trasą, którą przyszedł, młody natomiast wyjął z ukrytego za pniem plecaka ogromny czarny worek i nałożył go niedbale na zwłoki kobiety. Zaczął pchać wózek w stronę zaparkowanego kilkaset metrów dalej samochodu, ale po kilkudziesięciu metrach poczuł, że robi się coraz cięższy, mimo iż znajdował się na nim właściwie sam tułów - nogi zostały dawno amputowane, wysoko, kobieta nie miała nawet kikutów wystających z bioder. Ten nagły brak sił zdziwił mężczyznę, ale i przypomniał, że musi zdobyć ampułkę jak najszybciej, choć spodziewał się, że jeszcze przez parę lat będzie w stanie utrzymać się w dobrej kondycji.

Deoxycarbogenomutol. Na tej nazwie można było połamać język, a jednak wszyscy potrafili ją powtórzyć. Cała ludzkość już od wielu, wielu pokoleń powtarzała sobie to słowo niemal z czcią. Oznaczało ono doskonały antyutleniacz, zwany też potocznie deotolem. Ale po prawdzie ten środek nie był doskonały, co więcej - nie był nawet antyutleniaczem.

Dotarcie do pojazdu zajęło mu niemal kwadrans, a wysiłek był tak wielki, że kilka razy musiał robić sobie przerwę. Pakując zwłoki do bagażnika i składając wózek, który miał zamiar zmieścić obok nich, nie zauważał ludzi krążących po plaży. Spacerowicze, zapatrzona w siebie para, starcy i dzieci, kalecy na wózkach - a wśród tych wszystkich ludzi wiele było galaretowatych, otyłych cielsk - też nie wydawali się zbytnio zainteresowani tym, co robi. Spieszył się, bo księżyc spoglądał już na ziemię jednym okiem, a miał przecież długą drogę do pokonania. Uporawszy się z załadunkiem, spojrzął raz jeszcze w stronę wielkiego starego dębu, uśmiechnął się, jakby na pożegnanie, po czym szybko usiadł za kierownicą i odjechał.

Wiekowe drzewo pożegnało go szumem liści, poruszanych wiatrem, który baraszkował pomiędzy jego rozłożystymi konarami. Korona samotnego króla była tak wielka, że kilkanaście rodzin mogłoby sobie urządzić piknik w jej cieniu, a pień tak gruby, że trzeba było całej minuty, aby go obejść. Nikt nie wiedział, ile ma lat. Kroniki sprzed paru dobrych wieków, najstarsze znalezione księgi dotyczące historii, opowiadały od razu o jego potędze, przypominając wcześniejsze o kolejnych kilkaset lat podania i legendy, które też nie wspominały o pochodzeniu drzewa, lecz tylko o chwale. Niektórzy twierdzili, że może mieć nawet kilka tysięcy lat i szeptali, że tylko on zna tajemnicę Bękarta.

Już świtało, gdy przekręcał klucz w drzwiach.

Starął się zachowywać jak najciszej, by nikogo nie obudzić. Przez mały, ciemny przedpokój, z dużym lustrem, kilkoma wieszakami oraz półką na buty, przeszedł prawie bezgłośnie. Minął drzwi prowadzące do łazienki i wszedł do salonu.

I wtedy okazało się, że jeden z domowników nie śpi. Przygarbiony starzec siedział przy stole z kubkiem gorącego wywaru. Siwa broda opadała mu na kolana, pierwsze promienie słońca grzały jego twarz, która przypominała dawno wyschnięte koryto rzeki. W miejscu, w którym powinno być lewe ramię, wisiał zawiązany na supeł rękaw koszuli.

Zaskoczony obecnością starca, mężczyzna próbował niezdarnie schować za siebie tekturowe pudełeczko wielkości opakowania na buty. Wiedział, że teść wciąż ma na tyle dobry wzrok, że zdoła je zauważyć. Zanim zdążył wymyślić jakieś kłamstwo, ten rzucił mu spojrzenie tak jednoznaczne, że nie wymagało słowa dopowiedzenia. Dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy, wiedząc nawzajem, o co każdy chce zapytać drugiego i jaka będzie odpowiedź.

Nagle drzwi jednego z pokoi po lewej stronie salonu otworzyły się i poranna cisza została przerwana przez trójkę monstrualnie otyłych dziesięciolatków. Napięcie jednak utrzymywało się nadal, mężczyźni wciąż bez ruchu patrzyli na siebie w skupieniu.

- Nie było was chyba całą noc. Dopiero wróciliście? - zapytał jeden z dzieciaków, rudy.

Ale nie otrzymał odpowiedzi.

- A gdzie matka? - dodał drugi, blondyn o jednym oku niebieskim a drugim zielonym.

Starzec odwrócił wreszcie głowę w stronę okna i uronił łzę, jedną jedyną, pierwszą od czasu, gdy stracił rękę.

- Gdzie matka? - powtórzył swoje pytanie dzieciak.

Ale kiedy spostrzegł pudełko w dłoniach ojca, a potem wyraz jego twarzy, już wiedział, że matka nie wróci.

Mężczyzna nie zważał na pytania dzieci.

- Idę wziąć prysznic - powiedział, jak umiał najobojętniej, i ruszył do teraz już tylko jego sypialni, wyjmując po drodze spod koszuli zawieszony na rzemyku kluczyk. Tam schował pudełko w ogromnym stalowym sejfie. Kiedy zamknął go z powrotem, złapał za słuchawkę telefonu stojącego na biurku i wykręcił numer. Po chwili ktoś odebrał.

- Dzień dobry, chciałbym wziąć urlop na dzisiaj... - powiedział zmęczonym głosem. Nie przedstawiał się, wiedząc, że osoba odbierająca telefon pozna go. - Nie mogę przyjść dzisiaj do pracy, moja żona zmarła w nocy - kontynuował. Nie odpowiadał na wyrazy współczucia, starał się być konkretny. - No, potrzebuję dziś załatwić te wszystkie sprawy, sam wiesz. Dzięki wielkie. Zajmiesz się tym? Dzięki raz jeszcze. Do zobaczenia w poniedziałek. Na razie.

Odłożył słuchawkę i wyszedł z sypialni.

Marzył o prysznicu, ale w drodze do łazienki znów musiał przejść przez salon, w którym wciąż stała trójka dzieciaków i wpatrywała się w niego nienawistnym wzrokiem.

- Ty podły skurwielu - krzyknął jeden z nich. - Ty wielki, samolubny skurwielu.

Mężczyzna, nie panując nad sobą, doskoczył do chłopca i uderzył go w twarz z taką siłą, że ten upadł. Z równie wielką wściekłością odgarnął długie włosy z twarzy i krzyknął:

- Ja jestem samolubny? A może wolałbyś, żeby to był twój brat lub siostra? A może sam wolałbyś być na jej miejscu? Nie zapominaj, że jest was troje, a ty nie jesteś najstarszy.

Patrzył przez chwilę, jak tłuste cielsko gramoli się z trudem z podłogi, potem powiódł wzrokiem po wszystkich trzech grubasach i już bez słowa udał się do łazienki. Gdy zamykał drzwi, usłyszał, jak starzec mówi do niego prawie szeptem:

- Gonisz za garnkiem złota na końcu tęczy...

Zignorował go. Odkręcił ciepłą wodę i zaczął się rozbierać. Gdy próbując pozbyć się złości, napinał prężne mięśnie, ktoś obserwujący go z boku, mógłby odnieść wrażenie, że zaraz rozerwą skórę, która tylko niepotrzebnie je ogranicza. Miał perfekcyjnie wyrzeźbioną klatkę piersiową, jego ciało nie było jednak doskonałe. Plecy i brzuch zdobiło kilka delikatnych, równych i jednakowych blizn, ale nie tym się przejmował, a małą fałdką tłuszczu, która pojawiła się na brzuchu. Jeżeli utyję, nie będę mógł pracować, pomyślał, ale zaraz przypomniał sobie o zawartości tekturowego pudełka. Teraz powinno być wszystko dobrze, uspokajał się, wchodząc pod prysznic.

Był bardzo zmęczony. Oparł się o ścianę i pozwalał wodzie zmywać z ciała ślady wszystkich wydarzeń minionego popołudnia i wieczoru. Po jakimś czasie popadł w stan odrętwienia, czuł się, jakby był gdzieś daleko od samego siebie. Nie zauważył nawet, że woda stała się całkiem zimna i że pod jej wpływem skóra robi mu się powoli sina. Z odrętwienia

wyrwały go gwałtowne drgawki. Westchnął głęboko i wreszcie odczuwszy zimno, wyszedł z brodzika i pospiesznie wytarł się ręcznikiem. Po powrocie do sypialni od razu położył się do łóżka, zimna woda orzeźwiła go jednak i mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Sen przyszedł w końcu, tak niespodziewanie jak strzał z karabinu na wydmię.

Ale nie chciał odejść równie nagle, powoli schodził z powiek. Skóra głowy bolała od ciężaru wciąż mokrych długich włosów, których nie wysuszył po wyjściu spod prysznica. Niemrawo spojrzął na zegarek: była trzecia piętnaście. Wstał i podszedł do dużego lustra wiszącego na drzwiach szafy, włożył dwa palce do ust i złapał nitkę przywiązaną do dolnej ósemki; powoli zaczął wyciągać ją z gardła. Grdyka skakała w górę i w dół, wydobywany sznureczek powodował na przemian odruchy połykania i wymiotny, łaskotał w gardło i sprawiał ból jednocześnie. Wreszcie mężczyzna wziął głęboki wdech, rozluźnił mięśnie przełyku i jednym płynnym ruchem wyjął całą nić, wraz z małym kluczykiem przywiązanym na końcu.

Dzisiaj piątek, ustalił w głowie datę i zastanawiał się, ile ma czasu w związku z tym, że właśnie zaczął się weekend.

- Czynne do czwartej. Leniwe skurwysyny! - Te słowa wypowiedział już na głos. Trzask włosów wrywanych aluminiowych grzebieniem zagłuszył jednak te i następne narzekania: - W głowach się chujom przewracało. Jak to się będzie dalej szło w tym kierunku, to ciekawe, kto im będzie w końcu usługiwał. Zabije ich własna głupota.

Kiedy skończył się czesać, spojrzął raz jeszcze na zegarek. Było dwadzieścia po trzeciej.

- Dobra, kurwa, pospiesz się, bo ci kijem grzbiet wygarbują i znowu będziesz jęczał - poganiał sam siebie przy wkładaniu ubrania. Dopinając jeszcze koszulę, wszedł do salonu, gdzie natknął się na starca wciąż siedzącego przy stole i gapiącego się w okno. Uspokoił się natychmiast. - Czemu mnie, kurwa, nie obudziłeś? - zapytał. - Potrzebne nam tu te chuje ze straży? Wiem, wiem. Jesteś stary i masz wszystko w dupie. Niedługo i tak umrzesz, więc ci nie zależy - głądził, zakładając buty.

Broda starca zadrżała. Oparł rękę na stole i z trudem, ale pewnie wstał i obrócił się w stronę zięcia. Spojrzął na niego, potem na trójkę dzieci siedzących na kanapie i odpowiedział:

- Oddałem ci swoją rękę i jedyną córkę. Poświęciłem życie tobie i twoim dzieciom. Zależy mi bardziej niż tobie. Co ty zrobiłeś oprócz opowieści i brania od najbliższych tego, co najcenniejsze? - Opadł z powrotem na krzesło. Ta przemowa wiele go kosztowała. - Idź już, bo z gadania ci nic nie przyjdzie - dodał słabym głosem.

- Idę, idę. To także dzieci twojej córki, więc mi ich nie wypominaj. I pamiętaj, że zgodziłeś się na wszystko. Traktuj je tak, jakby były Pierwszymi.

Zabrał ze stołu kluczyki do samochodu oraz papierową teczkę i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami. Zbiegł szybko po schodach i wpadł prosto między gromadkę brzdąców biegających po podwórku. Przyglądał się im przez chwilę, nie rozumiejąc niczego z wykrzykiwanych przez zaaferowane zabawą maluchy zdań. Rozejrzał się na boki, w poszukiwaniu opiekunek dzieciarni - zawsze dwie lub trzy kobiety doglądały maluchów w trakcie zabaw i czuwały nad ich bezpieczeństwem. Jego dzieci nie brały udziału w takich spędach. Były zbyt ograniczone ruchowo ze względu na ich otyłość, prawdziwą przyczyną było jednak to, iż osiedle zamieszkiwali sami Pierwsi, a on i jego rodzina należeli do tych nielicznych żyjących tu Leniwców - i nie bardzo ich akceptowano. Nie przejmował się tym w najmniejszym stopniu, żal mu jednak było trochę dzieci, które z powodu jego genów miały w życiu przechlapane. Na to jednak nie mógł nic poradzić, a skoro tak, to wołał o tym nie myśleć. Miał poważniejsze rzeczy na głowie niż zamartwianie się losem trójki bachorów, nawet jeżeli były owocem jego lędźwi.

Opiekunki obdarzyły go nieprzyjaznym spojrzeniem, kiedy wsiadał do samochodu, ale on tylko machnął w ich stronę lekceważąco ręką i ruszył natychmiast po odpaleniu silnika.

Droga do centrum miasta zajęła mu około dziesięciu minut. Jadąc, rozglądał się na obie strony, ale nie wczytywał się w tu i ówdzie wiszące plakaty i olbrzymie billboardy namawiające ludzi do oddawania wszystkiego, co znajdą na plaży albo w jaskiniach.

Jeśli znajdziesz rzecz, której pochodzenia nie jesteś pewien, przynieś ją niezwłocznie do jednego z biur Agencji. Pamiętaj, że mogą być niebezpieczne.

NIE RYZYKUJ zdrowia swojego i swoich bliskich!

Za każdy przedmiot otrzymasz kupon biorący udział w losowaniu zestawu do kuracji dla Ciebie lub kogoś z Twojej rodziny. Docień, że dbamy o Twoje bezpieczeństwo.

Mężczyzna doskonale wiedział, przed czym ostrzega Agencja. Te przedmioty mogły pochodzić z Drugiej Wyspy, mogły być napromieniowane, ale też któryś z nich mógł być pułapką wyrzuconą do oceanu przez tamtych barbarzyńców, liczących na to, że dostanie się na drugi brzeg. Zdarzało się, że wybuchały albo rozpylały jakieś szkodliwe środki chemiczne lub nieznanne bakterie. Dlatego za posiadanie takich rzeczy wsadzano do więzienia na długie, długie lata. Posiedzisz sobie z typkami - rozmyślał mściwie - co nie widzieli kobiety od wieków, dupsko ci wyłomocą i odechce ci się posiadania czegokolwiek, nie tylko rzeczy znalezionych na plaży.

Ludzie snuli się po ulicach wolno, jakby brakowało im celu. Starcy, matki z dziećmi, kalecy - a wśród nich oczywiście małe grupki tych, którym nadwaga nie pozwalała na pośpiech, nawet gdyby zaszła taka konieczność - nie spieszyli się nigdzie, co i raz przystając na moment, by pogawędzić ze znajomymi. Pogoda im sprzyjała. Nie wszyscy ze wszystkimi jednak, dało się zauważyć pewną prawidłowość. Nie było to prawo nakazane, ale niepisany zwyczaj wyznaczał trasy po obu stronach ulicy. Pierwsi, którzy zapoczątkowali ten porządek, nie mieli po prostu ochoty na spotkanie Leniwców przy każdej nadarzającej się okazji proszących ich o pomoc. Tym drugim trudno się było jednak dziwić, skoro natura obdarzyła większość z nich tak parszywą fizjonomią i fizjologią, że nie mogli normalnie funkcjonować.

Co by to było, gdyby każdy mógł mieć prywatny samochód, mężczyzna za kierownicą zaczął nagle myśleć o czymś przyjemniejszym. Przejechanie z jednego końca miasta na drugi zajmowałoby pewnie z godzinę, a może i dłużej. A tak mogę sobie spokojnie popierdalać ulicą i w kilka minut dotrzeć na miejsce.

Na Wyspie znajdowało się pięć miast, to, w którym on mieszkał, nazwano Miastem Wschodnim. Trzy kolejne także zawdzięczały swe nazwy stronom świata, piąte z kolei, nieleżące jak pozostałe na krańcach Wyspy, nazwano Miastem Centralnym, nawet nie ze względu na położenie, lecz funkcję administracyjną. Każde z miast spełniało inną rolę. Miasto Północne i Miasto Zachodnie miały charakter górniczy - to tam znajdowały się złoża węgla, ropy i gazu. Miasto Południowe było kurortem wypoczynkowym, słynącym z morskiego klimatu, gdzie pod czujnym okiem ogromnej liczby mundurowych dozwolone było prawie wszystko. Można tam było pić alkohol do woli, korzystać z usług prostytutek i jeść nieograniczone ilości mięsa, warzyw i owoców. Potrzebne było jednak zezwolenie na podobne rozrywki, a na działalność handlową lub usługową w tych miastach także licencja. Miasto Północne także było po części kurortem, tam jednak zakres rozrywek był mocno ograniczony, ze względu na górników. Dostęp do alkoholu i innych używek mógł spowodować spore komplikacje w pracy brygad wydobywczych. Panowały tu jednak doskonale warunki narciarskie, zima trwała tam przez okrągły rok, a śnieg nie znikał nigdy z gór, które dominowały dumnie nad okolicą, więc utrzymywano kurorty mimo tego zagrożenia.

Miasto Wschodnie, w którym mieszkał mężczyzna jadący właśnie samochodem, było miejscowością rolniczorybacką. Tutaj uprawiało się rośliny oraz hodowało zwierzęta stanowiące podstawę diety całej ludności wyspy, a że to nie wystarczało, nie brakowało tu też myśliwych i rybaków.

Pod jednym względem Miasto Wschodnie nie różniło się od pozostałych: na jego peryferiach powstawały małe osady, w których żyli ci, których społeczna pozycja była mocno upośledzona. Ich mieszkańcy byli zwykle otyli i niesprawni fizycznie, nie pozwalało im to pracować i zarabiać. Wegetowali w brudzie i smrodzie własnych odchodów, przymierając głodem, czego trudno było się domyślić, widząc ich kilkusetkilogramowe cielska. Zamieszkiwali przeważnie byle jak sklecone drewniane baraki lub szałas, z rzadka jedynie wielorodzinne domy, które budowały dla nich jakieś organizacje pomocowe. Częściej ich motywacją było trzymanie tych wyrzutków społecznych z dala od miasta niż chęć niesienia pomocy.

Samochód, który pędził ulicami Miasta Wschodniego, nie był ani wygodny, ani bezawaryjny, lepszego jednak dostać nie mógł. Pojazd był wykonany niemal w całości z drewna i plastiku - deficyt metali na wyspie sprawiał, że tylko części, których nie dało się zastąpić odpowiednikami z innego, gorszego, tworzywa, były w nim metalowe. Tak więc karoseria, całe wyposażenie i wszystkie podzespoły były wytwarzane z surowców łatwo dostępnych. Nie wpływało to dobrze na trwałość takich wehikułów, ale i tak posiadanie jednego z nich było luksusem i przywilejem, na który trzeba było ciężko zapracować. Lub też mieć odpowiednie pochodzenie. Dotyczyło to nie tylko samochodów oczywiście, ale wszystkich urządzeń i przyrządów potrzebnych człowiekowi w codziennym życiu. Rzadko spotykało się na Wyspie metalowe sztuce, naczynia, klamki, uchwyty czy sanitarium. Urzędnicy Agencji reglamentowali je ostrożnie. Pozwolić sobie na nie mogli tylko nieliczni.

Petent udający się do urzędu nigdy nie wiedział, na co może liczyć. Dlatego też długowłosa mężczyzna był nieco zdenerwowany. Zaparkował kilkaset metrów od ceglanego budynku, w którym znajdowała się miejscowa siedziba Agencji, i nerwowym ruchem zamknął samochód, a potem takim samym krokiem udał się w stronę biura. Ze względów bezpieczeństwa wjazd na obszar zajmowany przez administrację był zabroniony. Droga musiała być przejezdna, na wypadek gdyby doszło do jakiejś katastrofy i urzędnicy oraz Rada Miasta musieli szybko opuścić budynek.

Podczas tej krótkiej przechadzki mężczyzna mijał jedynie ludzi młodych, zdrowych, o sylwetkach wysportowanych albo i adetycznych. Zaledwie kilkoro z nich miało nieco nadwagi, nie więcej niż trzydzieści kilogramów jednak. Tak jak tych dwóch, którzy stali przed bramą na teren biura. Skąd biorą się tacy jak oni, myślał, wiążąc czarne loki w kucyk. Jeden z nich, z długimi do ramion, siwymi włosami i z taką samą długą brodą, grał na wielkiej gitarze o czterech strunach rytmiczną powolną melodię, składającą się zaledwie z

paru bardzo niskich dźwięków. Drugi, także długowłosy, ale młodszy i szczuplejszy, śpiewał. Wyglądali jak ojciec i syn, ale trudno było stwierdzić na pewno, czy łączy ich pokrewieństwo.

Podchodząc pod bramę, mężczyzna uchwycił kilka słów ich rzewnej piosenki:

A ja nadal mocno w to wierzę, Że wszyscy ludzie spotkają się w niebie.

I mam nadzieję, mój przyjacielu, Że nie zabraknie tam także ciebie...

Miał ochotę przystanąć i posłuchać, ale spojrzął na zegarek i natychmiast przyspieszył kroku. Była już piętnasta czterdzieści cztery. Wszedł w wielką bramę, wpasowaną w wysoki i gruby ceglany mur, okazawszy najpierw dokumenty dwóm wartownikom. Rażnym krokiem przeszedł przez duży plac, następnie przeskoczył kilka schodków prowadzących do drzwi budynku, w których minął znużonego strażnika, i podszedł do sekretariatu znajdującego się naprzeciw wejścia. Bez słowa powitania podał swoje dokumenty młodziutkiej dziewczynie, która popatrzyła na niego pytającym wzrokiem, mówiącym raczej „Czego tu?” niż „W czym mogę pomóc?”.

- Podatek od dzieci i śmierć żony - oznajmił, odpowiadając na niezadane pytanie.

- Przykro mi, to smutne - rozklekotała się sekretarka. Próbowwała jakoś zatrzeć pierwsze niemiłe wrażenie, gdy okazało się, że ma do czynienia ze zrozpaczonym wdowcem.

- Proszę udać się do pokoju numer cztery, tam znajdzie pan urzędnika zajmującego się sprawami cywilnymi.

Nie podziękował. Odebrał tylko dokumenty i odszedł korytarzem wolnym krokiem. Przed drzwiami pokoju numer cztery poprawił jeszcze raz włosy i wszedł do środka. Przywitały go zdziwione oczy urzędnika, który właśnie zakładał płaszcz. Najwidoczniej stwierdził, że już nikt o tej porze do niego nie zawita.

- Wcześniej się nie dało? - zapytał, rozczarowany faktem, że jeszcze będzie musiał wypełniać jakieś papiery. - Z czym pan tu do mnie przychodzi w piątek, dziesięć minut przed zamknięciem?

- Chcę zapłacić podatek od nadustawowej liczby potomstwa - odpowiedział mężczyzna obojętnym tonem.

- Ile?

- Dwójka.

- No to będzie sto pięćdziesiąt... - Urzędnik sięgnął po odpowiedni formularz i zaczął wypełniać.

- Nie, nie - powstrzymał go petent. - Dwójka nadliczbowych, razem troje.

- Aaaa, no to w takim razie czterysta.

Urzędnik zabrał banknoty i schował w maleńkim sejfie z zamkiem mechanicznym, podał petentowi po drugiej stronie biurka formularz do podpisania i zadowolony, że już po wszystkim, zaczął ponownie przygotowywać się do wyjścia. Zobaczył jednak, że tamten wciąż stoi, więc zapytał niezbyt grzecznie:

- Coś jeszcze?

- Chciałem także zgłosić śmierć żony.

Urzędnik odsapnął ciężko.

- Wie pan, że z taką sprawą powinien przyjść pan wcześniej? To zajmie dłuższą chwilę. Jest już piętnasta pięćdziesiąt osiem, a w piątki pracujemy do szesnastej.

- Wiem - odpowiedział wdowiec, rozpuszczając machinalnie włosy i wbijając wzrok w podłogę. - Ale to się stało w nocy. Zawiozłem ją do szpitala, próbowali ją ratować, ale zmarła. - Uronił kilka łez i teatralnie pociągnął nosem.

- Rozumiem. - Urzędnik poczuł się nieswojo. Wiedział, że takiego zgłoszenia nie może odłożyć do poniedziałku, nawet gdyby petent zaczepił go już w drzwiach. - Przykro mi z powodu pańskiej straty.

- Zjeżdżała wózkiem po podjeździe i hamulce się zerwały. Zawsze wyjeżdżała mi naprzeciw, gdy wracałem do domu. Wózek się przewrócił i nieszczęśliwie uderzyła głową o krawężnik. Lekarz powiedział, że nie cierpiała.

Urzędnik pokiwał głową i rzucił jakiś frazes o bólu po nagłej utracie bliskich, a potem usiadł za biurkiem i rozpoczął procedurę.

- Dobrze - westchnął - poproszę pańskie dokumenty, dokumenty pańskiej zmarłej żony oraz akt zgonu i zaświadczenie o stanie ciała denatki.

Mała teczuszka powędrowała w ręce urzędnika, na którego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Jest pan przygotowany - powiedział przyjaźniej.

- No, przygotowałem się rano, ale po tak ciężkiej nocy po prostu zasnąłem i obudziłem się zbyt późno.

- Dobrze, to zajmie kilkanaście minut. Niech pan usiądzie. - Wskazał mężczyźnie krzesło obok drzwi.

Urzędnik przeglądał dokumenty i wprowadzał dane do komputera, szepcząc sam do siebie:

- Taaaaak, to się zgadza, tu zmiana statusu... Wdowiec, tak. Wiek... mhhmm. Dzieci... mhhh. Tak, zmarła dnia... Akt zgonu wystawił... Dooobra. Stan ciała zgodnie z

badaniami... Taaak, nogi amputowane na rzecz... Taaak. Pozostałe członki oraz narządy jak następuje... Dobra, dobra... Sekcja zwłok potwierdziła wersję męża. Mhhmmm, taaaa...

Kiedy skończył, wydrukował dokumenty i podając je petentowi, zadał pytanie, które zawsze zadawał w takiej sytuacji:

- Co zamierza pan zrobić z ciałem żony?

- Życzyła sobie, aby przeznaczyć ciało do destylacji. Wie pan, jestem Iglą...

- Mieszkańcem - poprawił go urzędnik

- Tak, mieszkańcem - przytaknął mężczyzna - dlatego chciałbym jak najszybciej rozpocząć kurację.

Urzędnik przyglądał się mu przez chwilę, po czym rozparł się w fotelu i powiedział:

- Papiery się zgadzają, ale opłata jest bardzo wysoka, wie pan o tym? A Agencja potrzebuje teraz więcej dawców.

Nie odmówił, ale mnożył trudności. Młody wdowiec, na powrót wiążąc swoje włosy w kucyk, zastanawiał się, a przynajmniej takie chciał sprawiać wrażenie. W końcu oznajmił:

- Wie pan, mam trójkę dzieci i muszę pracować, żeby zarobić na kurację dla nich, bo jeśli nie, to staną się Leniwcami. A to się uda pod warunkiem, że sam będę zdrowy. Dorabiam jako opiekun domu, w którym mieszkam, i dzięki temu mogę opłacić własną kurację.

Urzędnik przyglądał się mu jeszcze chwilę, po czym podjął decyzję.

- No dobrze, dostanie pan pozwolenie na kurację. Opłatę może pan wnieść jednorazowo w ciągu tygodnia tutaj, w biurze, lub wnioskować o rozłożenie na raty. Proszę, oto papiery, które będą potrzebne panu w Rafinerii. - Urzędnik wstał, podał petentowi rękę, co było znakiem, że wszystkie formalności zostały dopełnione i wdowiec może spokojnie wracać do domu.

Ten podziękował cicho i powoli opuścił gabinet urzędnika. Whallu uśmiechnął się do recepcjonistki, która musiała zostać po godzinach ze względu na niego. Odwzajemniła uśmiech i rzuciła krótko:

- Niech się pan trzyma.

Odpowiedział skinieniem głowy i ruszył w stronę bramy. Wszystko poszło tak, jak zaplanował. Przyszedł późno i zastał za biurkiem znudzonego urzędnika, który myślami był już w domu. Zmęczony i zajęty planami weekendowych imprez, zakrapianych bimbrem, zrobił tyle, ile musiał, a nie tyle, ile mógł, byle tylko zakończyć sprawę i iść do domu. Procedura odbyła się zgodnie z zaleceniami, a jeżeli nawet nie był wystarczająco sumienny w przepytывaniu petenta, to w razie zarzutów o uchybienia może się wytłumaczyć dziwną porą. A papier jest papier.

Uliczni grajkowie już zniknęli spod bramy. Cóż, oni też zasłużyli na weekend, pomyślał uprzejmie. Skąd się biorą tacy jak oni, wrócił do pytania sprzed kilkunastu minut. Dlaczego poświęcają się czemuś, co przynosi marne zyski i skazuje na nędzne życie w jakiejś podłej norze? Łazą po ulicach raz smutni, raz uśmiechnięci, śpiewają, mówią wierszem i zawsze patrzą ludziom prosto w oczy. Nie mógł się temu nadziwić. Wróciło do niego te kilka słów piosenki, które zdołał zapamiętać. Żałował, że nie miał czasu posłuchać dłużej, usłyszeć innych utworów albo chociaż tego jednego w całości.

Nie, nie rozumiał poezji. Przenośnie, porównania, alegorie, te wszystkie literackie zagadki i niedomówienia sprawiały, że czuł się zagubiony i zmieszany. Ale lubił wiersze ze względu na rytm i rymy. To, co dawało poczucie porządku, ładu. Czasami wybierał z wiersza dwa słowa i bawił się tym, że mimo rymujących się końcówek po wyrwaniu z kontekstu nie miały ze sobą wiele wspólnego. Tlen i dren, przypomniał sobie jakiś dawno usłyszany kawałek wiersza z tymi dwoma wyrazami. Cóż może mieć wspólnego gaz, którego pełno wokół Ziemi, z kawałkiem rury zakopanej gdzieś pod jej powierzchnią?

Ale najbardziej w poezji fascynowało go to, co trzymało się określonego schematu, jak równa liczba sylab w wersach; coś, co mógł opisać jakimś wzorem matematycznym. Szczególnie jeśli te miarowe wersy wypowiadała jego zmarła żona...

Może zatem to nie poezję lubił, a ciepły, aksamitny głos kobiety, którą kochał? A może ona dobierała wiersze o takim rytmie i składni, które najbardziej oddziaływały na jego system nerwowy? Przecież znała go doskonale i wiedziała, co go uspokaja, a co przyspiesza bicie jego serca...

A co ty w niej widziałaś, zapytał w myślach zmarłą żonę. Dlaczego czasem zamyślałaś się przy czytaniu poezji, czasem płakałaś a innym znowu razem byłaś jak z mgły i oplatałaś wszystko najpiękniejszym uśmiechem na świecie?

Próbując przywołać obraz ukochanej, nawet nie zauważył, kiedy zaparkował samochód na podjeździe przed domem. Wspomnienie wspólnie spędzonych chwil, tych pierwszych, najbardziej romantycznych i namiętnych sprawiło, że znalazł się na moment w lepszym świecie.

Początek był nieśmiały i podniecający. Pierwszy dotyk dłoni, pierwsze spojrzenia. Sam nie wiedział, co sprawiało mu większą przyjemność: oczekiwanie czy sam pocałunek. Nie żeby usta ukochanej nie były najcudowniejszą rzeczą na świecie, ale niepewność ich smaku była równie cudowna. Moment, kiedy wiesz, że to powinno już nastąpić, ale nie jesteś pewien, czy nastąpi właśnie teraz czy za pięć minut, a może dopiero jutro. A właściwie nie wiesz, czy w ogóle się wydarzy, choć bardzo na to liczysz. I gdy już dostaniesz to, czego

pragnąłeś całym sobą, zaczynasz żałować, że już więcej nie odczujesz niepewności, która zaczyna się w drżących kolanach, a kończy w zjezonych włosach na czubku głowy.

Żałujesz chyba dlatego, że utraciłeś część siebie, część uczucia, które kierowało twoimi poczynaniami, choć prawdopodobnie nie do końca byłeś tego świadom. A skoro już wiesz, jak to smakuje, nie jest już tak podniecające. Ale za to staje się święte.

Byłem szczęściarzem, pomyślał nagle mężczyzna, opierając głowę o kierownicę. Ona potrafiła się przede mną odkryć i jednocześnie nadal skrywać tajemnicę. Przez całe życie, przez tyle lat wzbudzała we mnie chęć odkrywania jej na nowo.

A potem to... Nie zawahała się ani chwili. Po prostu pojechała do szpitala i obcięła sobie nogi. Ale zabrakło. Stary obciął sobie rękę. Zrobił to tylko dla niej, bo wiedział, że będzie szczęśliwa tylko ze mną, pomyślał smutno. Zrobiłby znacznie więcej, by ją uszczęśliwić, więc choć żywił niechęć do zięcia, zdecydował się na ten krok.

Dość tych wspomnień, postanowił stanowczo, otwierając drzwi samochodu. Przetarł twarz dłońmi, wysiadł i powoli ruszył w stronę kilkupiętrowego ceglanego budynku o dużych oknach i płaskim dachu, ciągnącego się długo w głąb ulicy. Pokonał kilkanaście stopni prowadzących na pierwsze piętro i sięgnął do kieszeni po klucze do mieszkania. Ale ich tam nie znalazł. Zrezygnowany, podniósł rękę, aby zastukać, ale jego dłoń zatrzymała się w pół drogi do drzwi. Nie dlatego, że nie lubił, kiedy otwierał mu teść, zawsze z pretensjami. Powstrzymała go mała drewniana tabliczka, na której wypalono litery składające się na słowa: Państwo...

- Kurwa, nie! - wysyczał przez zęby i ze złością i wrócił do samochodu. Gdy otworzył schowek po stronie pasażera, obok kluczy znalazł mały śrubokręt.

- No, będziesz mi teraz potrzebny - powiedział głośno.

Zamknął ponownie auto i wrócił pod drzwi mieszkania, ale jakby wolniej niż wcześniej. Przytknął narzędzie do pierwszej śrubki i zaczął ją odkręcać. Łatwo puściła. Tabliczka zaczęła się kołysać rytmicznie, wolniej i wolniej, aż zastygła w bezruchu.

Jedno, czego nie chcę, to byś kołysał mnie do snu, Bo gdy się obudzę, nie będę pamiętać smaku twych ust.

Całuj mnie, aż zasnę, i włosy moje gładź, A gdy się już nie obudzę, ty obok będziesz spać.

Krótki wierszyk na dobranoc, który szeptała mu do ucha żona, dopiero teraz odsłonił przed nim swoje znaczenie. Jedno, czego w tej chwili zapragnął, to właśnie zasnąć i śnić tylko o niej.

Robisz się miękki jak paluszki twoich dzieci, wyrzucał sobie, odkręcając kolejną śrubkę. Kiedy tabliczka znalazła się już w jego ręce, razem z teczką na dokumenty, drugą otworzył drzwi. Wszedł do środka, rzucił teczkę na małą szafkę stojącą przy drzwiach i ruszył na prawo, do kuchni. Drewnianą tabliczkę wyrzucił bez wahania do kosza na śmieci, a potem sięgnął do lodówki po butelkę bimbrow. Z szafki wiszącej nad podwójnym, wypolerowanym zlewem wyciągnął szeroką, niską szklanę i napełnił ją po same brzegi. Wypił duszkiem, aż nim wstrząsnęło. Odstawił szkło na stół i chcąc się czymś zająć, postanowił zapalić w piecu, na którym ręcznie malowane ptaki szybowały nad płonącym lasem. Otworzył duże drewniane drzwiczki przy samej podłodze, ale wtedy okazało się, że nie ma drewna. Wyszedł czym prędzej i skierowawszy się do tylnego wyjścia, znalazł się w wielkim ogrodzie, równie długim jak budynek, a szerokim na kilkadziesiąt metrów.

Zapach świeżo skoszonej trawy przyjemnie drażnił nozdrza. Przyszedł tu w konkretnym celu, ale wspomnienia kazały mu się zatrzymać i przyglądać stojącej na środku drewnianej altanie, mogącej pomieścić kilkanaście osób. To było miejsce spotkań mieszkańców domu, zarówno towarzyskich, jak i związanych ze sprawami administracyjnymi. Rzadko brał w nich udział. W końcu nie decydował o niczym, więc nie widział powodu, by tracić czas na wysłuchiwanie cudzych racji. Wystarczyło, że podpisał oświadczenie o akceptacji ustaleń podjętych przez sąsiadów i zobowiązał się do przestrzegania wszystkich punktów zmienianego od czasu do czasu regulaminu. Spotkania towarzyskie też zbyt go nie interesowały, choć czasem bywał na nich ze względu na żonę, która organizowała coś w rodzaju wieczorków poetyckich.

Oprócz altany przestrzeń ogrodu zajmowały jabłonie, krzewy różane oraz wysoka rozłożysta wierzba o konarach snujących się po ziemi zgodnie z kierunkiem wiatru. Mężczyzna nie zwrócił jednak na nie uwagi, już kierował kroki w stronę dużej szopy zbudowanej z grubych bali. Otworzył wysokie, dwuskrzydłowe wrota i wszedł prędko do środka, jakby w ten sposób chciał odseparować się od natrętnych wspomnień. Szopę wypełniały wysoko poukładane stosy okrągłych kłoców, ustawione równo wzdłuż ścian, na środku zaś stał duży, gruby pień, w który wbita była metalowa siekiera z długim trzonkiem. Tego właśnie potrzebował. Zdjął cienki sweter i zabrał się do pracy. Ustawił gruby kloc na twardym pniu i zamachnął się z całej siły; połówki kłoca odskoczyły w dwie przeciwne strony, a wtedy zebrał je i rozrąbał na mniejsze części. Ułożył ćwiartki pod ścianą i wziął się za następny klocek. A potem kolejny. Pracował zapamiętałe kilkadziesiąt minut, wcale się nie męcząc. Kiedy nowy stos drewna miał już kilka metrów wysokości, przestał i z zadowoleniem popatrzył na swoje dzieło.

- Wystarczy - odsapnął głośno i wbił siekierę w pień.

Włożył sweter, ułożył sobie na ramieniu taką ilość drewna, jaką zdołał unieść, i wrócił do mieszkania. Tam wrzucił opał do komory pod paleniskiem i zszedł po jeszcze jedno narzędzie drewn. Więcej się nie mieściło, kiedy więc wrócił z drugą porcją, mógł zająć się rozpalaniem. Dłuższą chwilę zajęło mu jeszcze dzielenie kawałka drewna na cienkie łatwopalne patyczki, które poukładał misternie w palenisku na pomietym wcześniej kawałku papieru. Wreszcie mógł podpalić. Począł, aż małe kawałki zajmą się ogniem, i dołożył kilka grubszych. Gdy upewnił się, że ogień zaczął już żyć własnym życiem, dobył ze schowka obok pieca wypchany lniany wór i położył go na stole, a obok ustawił wyciągnięty z szafy aluminiowy gar, który następnie nappełnił do połowy zimną wodą. Liście znajdujące się w worku dosypywał do wody powoli, aż do momentu, gdy mieszanina sięgnęła niemal brzegów garnka - wtedy przestawił go na piec. Teraz musiał tylko spokojnie czekać. Postanowił w tym czasie zająć się swoimi notatkami.

Gruby notes, następny z kilkunastu od lat skrupulatnie zapisywanych, trzymał we własnym pokoju, w sejfie zamkniętym na kluczyk, który zawsze miał przy sobie. Wyciągnął notatnik ostrożnie, usiadł na krześle rzeźbionym z czarnego drewna, ze skórzanym siedziskiem i oparciem, swoim ulubionym, i znalazł miejsce, w którym skończył pisać. Długopisy trzymał w glinianym kubku na skraju biurka, wziął jeden z nich i zaczął notować:

Dzień kolejny: Zgłosiłem śmierć żony w biurze Agencji. Zapłaciłem podatek od trójki dzieci. Wolne do poniedziałku.

Zastanowił się przez chwilę, a potem dodał jeszcze:

Za tydzień od dziś dwa tygodnie urlopu. Potem rozpocznę kurację.

Dziękuję, Kochana.

Był to pierwszy zapis na tych wszystkich tysiącach stron, który mówił o przyszłości. Pierwszy niebędący stwierdzeniem faktu już w momencie pisania należącego do niepodlegającej zmianie historii jego życia. Ale i jak na razie ostatni. Odłożył ogromny pamiętnik do sejfu, zamknął go i zawiesił kluczyk na szyi. Jak zwykle. Potem poszedł do salonu, doskonale wiedząc, co go tam czeka.

Łysy starzec wciąż siedział wpatrzony w widok za oknem. Nawet nie spojrzął na wchodzącego, który zresztą też nie zamierzał się nim przejmować, ani tym bardziej z nim rozmawiać. Jego zięć podszedł do komody i włączył małe urządzonek, które wypełniło pomieszczenie spokojną muzyką. Właśnie tego potrzebował. Usiadł wygodnie w wielkim skórzanym fotelu i zaczął popijać ze szklanki, którą wcześniej przyniósł sobie z kuchni. Od

czasu do czasu wstawał i dokładał drewno do pieca, ale jedynie to przeszkadzało mu w relaksowaniu się.

Po około godzinie wszystko było gotowe. Zestawił garnek, rozlał zawartość do trzech glinianych mis, a potem wychylił głowę z kuchni i krzyknął:

- Żarciee!

Po kilkunastu sekundach trójka grubych dzieci zaczęła wtaczać się do pomieszczenia i sadzić swoje wielkie ciała na prostych drewnianych krzesłach, których wokół stołu stało dokładnie sześć. Drewniane łyżki miarowo uderzały o miski, gdy dzieciaki zajadały powoli rozgotowaną zieloną papkę. Potem bez większego entuzjazmu wypłyły też wywar, który pozostał im na dnie naczyń i bez słowa wróciły do swojego pokoju.

Mężczyzna w tym czasie oddawał się smakowaniu swojego brązowawożółtego płynu. Bimber wyjątkowo mu smakował, wypił aż dwie szklanki, które następnie umył razem z naczyniami zostawionymi na stole przez dzieci. Zrobił to szybko, miał bowiem jeszcze sporo pracy tego wieczoru. W łazience czekały na niego brudne ubrania, które należało jak najszybciej uprać. W wannie wylądowały wnet zielona koszula, następnie zielone spodnie i taki sam fartuch. Napuścił trochę gorącej wody, następnie dolał zimnej, sprawdzając, kiedy będzie miała taką temperaturę, żeby go nie oparzyć. Wreszcie sięgnął po kostkę mydła i zaczął nią pocierać ubrania. Tarł każdy element garderoby powoli i dokładnie, centymetr po centymetrze, aż brud się rozpuścił. Wypłukał jeszcze ciuchy pod bieżącą letnią wodą, mocno wykręcił i strzepnął energicznie, by rozprostować pomięty materiał, a następnie zabrał je do kuchni i rozwiesił na sznurze nad piecem. Dołożył parę szczap do paleniska i mógł wreszcie wrócić do salonu i na powrót rozkoszować się muzyką oraz alkoholem w swoim wygodnym fotelu.

Bimber podziałał bardzo szybko. Głowa mężczyzny stawała się coraz cięższa; przez dłuższą chwilę próbował uparcie utrzymać ją w pionie, w końcu przestał jednak walczyć i pozwolił jej opaść na oparcie fotela. Zaraz też ręka poddała się sile grawitacji, a szklanka upadła bez hałasu na miękki dywan.

Gdy się obudził, było już po północy. Podniósł się z fotela z uczuciem suchości w ustach i poczłapał do kuchni. Ogień już wygasł, ale kiedy odkręcił wodę, okazała się jeszcze dosyć gorąca. Sięgnął do drugiego kurka i do brudnej szklanki po bimbrze nalał zimnej i popijał powoli, neutralizując działanie alkoholu. Kiedy już się orzeźwił, znów odwiedził łazienkę. Tym razem wziął szybki prysznic, po którym niezwłocznie położył się spać w wielkim łóżku małżeńskim. Gdy tylko przyłożył głowę do poduszki, pojawił się obraz, który w ciągu ostatnich miesięcy odwiedzał go w snach coraz częściej.

Najpierw widział wszystko jak z lotu ptaka. Wielka zielona kraina rozpościerała się pod nim jak okiem sięgnąć, lasy, łąki, rzeki i jeziora kontrastowały z błękitem nieba i żółcią słońca. Nie było mu ani za gorąco, ani duszno, po prostu ciepło i przyjemnie. W tych snach czuł radość, prostą, pozbawioną niuansów bez troskę.

Leciał tak przed siebie, aż spośród zieleni wyłoniła się nagle mała wioska składająca się z kilkunastu drewnianych domków. Wtedy zniżył lot i w końcu przysiadł za wielkim głazem stojącym na skraju lasu, tuż przy drodze prowadzącej do osady. Z tego miejsca mógł obserwować całą okolicę, samemu pozostając niezauważonym.

Nagle przed jednym z domów ujrzał samego siebie. Rozebrany do pasa, w płóciennych spodniach i skórzanych butach, oparł jakieś zwierzę, sarnę lub małego jelenia. Zdobycz miała rozpostarte kończyny, przymocowane grubym sznurem do czterech rogów drewnianej ramy, a on powoli, wielkim ostrym nożem robił nacięcie od krtani aż po podbrzusze. Następnie wyjął wnętrzności i włożył je do wielkiej, metalowej miski. W podobnej umieścił kolejno nerki, wątrobę, a w końcu i serce oraz to wszystko, co bez przetworzenia nie nadawało się do spożycia. Kiedy skończył z wnętrznościami, odwiązał zwierzę i zabrał się do oddzielania skóry od mięsa. W tym czasie z domu wybiegły dzieciaki w różnym wieku, od trzech do piętnastu lat, wśród których obserwujący zza kamienia mężczyzna naliczył ośmiu chłopców i sześć dziewczynek. Dzieciaki porwały miski i ze śmiechem pobiegły w stronę studni z wielkim kołowrotem, gdzie zaczęły czyścić ich zawartość w wodzie wydobywanej za pomocą blaszanego wiadra spuszczanego w dół na długiej linie. Starsze z wprawą i natężoną uwagą oddawały się powierzonym im zadaniom, a młodsze bez troski bawiły się nieopodal, biegając i rozchlapując wodę z krzykiem, który obudziłby zmarłego.

Zwierzę było już w połowie odarte ze skóry, gdy z kamiennego komina na szczycie spadzistego dachu zaczęła wydobywać się delikatna smużka dymu. Po kilku minutach w progu domu ukazała się młoda kobieta z kilkumiesięcznym dzieckiem na ręku, podeszła do zmęczonego mężczyzny i ucałowała go w czoło. Ten przerwał na moment pracę. Jego twarz rozpromieniła się, a oczy zaszklily, gdy maluch obdarzył go rozbrajającym uśmiechem.

Przed innymi chatami życie toczyło się równie sielsko. Gromadki wesółych dzieciaków biegały i krzyczały, ktoś rąbał drwa, ktoś inny robił pranie w metalowej balii. Ludzie krzatali się po podwórkach, ale ten pośpiech nie miał w sobie nic z nerwowości. Na ich twarzach malował się spokój, troska o przyszłość była im najwyraźniej obca.

I nagle ten arkadyjski obrazek rozerwał na kawałki trzepot wielu skrzydeł. To ptaki zasiadające na okolicznych drzewach poderwały się do lotu, zaniepokojone czymś

niezauważonym przez ludzi. Po kilkunastu sekundach do łopotu dołączył nieznaną dźwięk; z każdą chwilą narastał, aż w końcu przeobraził się w ryk tak potężny, iż ziemia zaczęła drżeć, a drewniane bele, z których zbudowane były wiejskie domy, zaczęły pękać z impetem. Wkrótce można było zobaczyć, co spowodowało ten tumult: z lasu powoli wyłaniały się metalowe pojazdy różnej wielkości, które ziały ogniem, zarażając śmiercią wszystko wokół. Było ich tak wiele, że nie dało się przed nimi uciec. Kiedy pojazdy zbliżyły się do wioski, wyskoczyli z nich ludzie w dziwnych, grubych ubraniach, z karabinami w rękach i w hełmach na głowach. Każdego, kto nie zdążył się gdzieś skryć, łapali i ładowali na platformy wielkich ciężarówek, przez żelazne kraty podobne do klatek. Tych, którzy próbowali uciec w gęstwinę lasu, czekał jeszcze gorszy los - doganiały ich kule karabinów.

Wszystko to trwało zaledwie kilka minut, podczas których wystraszony obserwator nie mógł ruszyć się z miejsca. Poderwał się znów do lotu, kiedy najeźdźcy odjechali. Z góry oglądał ogień i śmierć wszystkiego, co stało na drodze niespodziewanym przybyszom. Wtem zaślepił go na chwilę niespodziewany ból i towarzyszące mu szarpnięcie. Zdezorientowany, spojrzał na swe lewe ramię i zobaczył - tak jak się spodziewał - że jest roztrzaskane i broczy krwią. Nie mógł nic poradzić, zaczął spadać bezwładnie, wprost na płonący las. Jedyna sensowna myśl, jaka przyszła mu do głowy, to spróbować się skierować w stronę wody, jeziora, rzeki, jak najdalej od ognia i najeźdźców. Ostatkiem sił wzbił się w niebo i zaczął szukać wzrokiem błękitu oceanu. Gdy go dostrzegł, ruszył lotem koszącym w tamtym kierunku i kilka minut później uderzył z impetem w taflę wody.

Nagle przebudzenie przerwało tę przerażającą fabułę. Mężczyzna poderwał się na łóżku, nie umiejąc pojąć, że wokół nie ma nic prócz ciemności i ciszy. Wtedy poczuł mocne uderzenie w twarz. Oczy powoli przyzwyczyły się do ciemności i ujrzał nad sobą postać, która zdawała się nie być człowiekiem. A właściwie być kimś więcej niż człowiekiem. Pochylała się nad nim kobieta urody tak cudnej, że natychmiast zapomniał o bólu i o tym, co się przed chwilą wydarzyło we śnie. Mówiła coś do niego, lecz nie rozumiał ani słowa.

Jeszcze jedno uderzenie w twarz sprawiło, że obudził się naprawdę. Spojrzał na zegarek: była czwarta. Usiadł na łóżku i opierając łokcie na kolanach, schował twarz w dłoniach. Siedział tak przez kilkanaście minut, zastanawiając się, czy nadal może wierzyć, że te sny to fragment jego przeszłości i poprzedniego życia, czy też powinien uznać je jedynie za figle wyobraźni. Czy całe jego życie to tylko ten dom, to miasteczko, ta rodzina, ta praca...?

- Nie pierdol, stary... Nie straciłeś jeszcze przecież wszystkiego - powiedział sam do siebie, po czym wstał, założył wełniany szlafrok i poszedł do kuchni.

W szafce nad zlewem znalazł kolejną flaszkę bimbrową, ale tym razem nie facygował się nalewaniem napoju do szklanki; pociągnął kilka głębszych łyków wprost z butelki. Odłożył alkohol z powrotem na miejsce i skierował kroki do sypialni. Gdy przechodził przez salon, spostrzegł starca siedzącego wciąż przy oknie i wpatrującego się w ciemność. Przyglądał się mu przez kilka sekund, jakby chciał rozwiązać jakąś bardzo trudną zagadkę z nim związaną, lecz ostatecznie machnął ręką w jego stronę i ruszył do siebie. Gdy zamykał drzwi sypialni, dosłyszał szept teścia:

- W nocy budzi się to, co śpi za dnia.

Nie zamierzał się zastanawiać nad tymi słowami, a tym bardziej odpowiadać na starcze mądrości. Domknął drzwi, zapalił światło i zasunął ciężkie, grube zasłony. Pewny, że nikt go nie widzi, otworzył swój stalowy sejf i zaczął powoli wyjmować grube pamiętniki i układać je na podłodze, jeden na drugim. Najnowszy znalazł się tam jako pierwszy, a na nim kolejne; były numerowane, nie miał problemu z chronologią. 29, 28, 27... aż dostał się do tego z numerem 1. Położył go na biurku i przyglądał mu się, jakby nie miał odwagi do niego zajrzeć. Uciekając na chwilę wzrokiem, spojrzął na zegar na ścianie. Była czwarta trzydzieści. Pomyślał, że to zadziwiające, jak czas szybko biegnie, gdy go właśnie dużo potrzeba.

Pamiętnik pozostał zamknięty, a on ponownie wyszedł do kuchni, znów mijając starca, który chyba nigdy nie spał. Zabrał butelkę alkoholu i szklankę i wycofał się do sypialni, rzucając tym razem krótkie:

- Dobranoc.

Teść kiwnął głową w odpowiedzi.

Drzwi sypialni postanowił teraz zamknąć na klucz. Gdy to zrobił, nalał sobie pełną szklankę bimbrową i trzymając ją w dłoni, usiadł wygodnie w fotelu. Otworzył wreszcie grubą księgę na pierwszej stronie i popijając od czasu do czasu swój trunek, zaczął czytać:

Dzień pierwszy: Jestem tu już od roku. Zaczynam odzyskiwać siły i pamięć.

Co pamiętam do dzisiaj:

1. Płynąłem wpław przez ocean, słabłem, straciłem przytomność.
2. Byłem na plaży, ratowała mnie kobieta, straciłem przytomność.
3. Obudziłem się w mieszkaniu tej kobiety (nie wiem, ile dni minęło). Mieszka z matką i ojcem. Straciłem przytomność.
4. Znowu się obudziłem. Z pomieszczenia obok usłyszałem rozmowę. Wstałem. Byłem nagi. Otworzyłem drzwi i rozmowa ustała. Matka kobiety powiedziała: „To on, spójrzcie na te blizny” i spojrzała na mężczyznę. Powiedziała jeszcze: „Trzeba zawiadomić

strażników” i podeszła do telefonu. Ojciec kobiety powstrzymał ją. Zaczęli się szarpać. Straciłem przytomność.

5. Obudziłem się na podłodze. Matka kobiety leżała na dywanie z rozlupaną głową. Nad nią stał ojciec kobiety z zakrwawioną słuchawką telefonu. Kobieta klęczała przy matce i krzyczała coś histerycznie. Straciłem przytomność.

6. Obudziłem się w łóżku. Słyszałem rozmowę kobiety z ojcem, ale tylko głośniejsze wypowiedane wyrazy. Ojciec: „To był wypadek, spadła ze schodów”. Ona: „Mogłeś ją powstrzymać, choćby związać”. On: „Nie mogę pozwolić, żeby zaczęli tu węszyć, już dość zła spowodowałem na świecie... Od dzisiaj pozostawiam wszystko tobie i losowi”. Znowu straciłem przytomność.

7. Obudziłem się w łóżku. Ona siedziała obok. Spytała, czy wiem, gdzie jestem i kim jestem i co się wydarzyło.

Jeszcze pamiętam wystarczająco dobrze wszystko, co było przed ucieczką przez ocean, pomyślał, odrywając wzrok od pamiętnika i opierając głowę na oparciu fotela. Ale może jednak trzeba to będzie spisać? Chociaż po kuracji nie powinienem przecież całkowicie stracić pamięci, a przynajmniej nie o tym, kim jestem, skąd się wziąłem i co mam do zrobienia. A gdyby ktoś znalazł te zapiski, byłoby po mnie i po nich. Tych tutaj i tych tam.

Wreszcie postanowił, że zapisze tylko krótką notkę - jedynie najważniejsze dane - którą będzie mógł bez kłopotu ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu. Tak na wszelki wypadek, gdyby pamięć zaczęła mu zbyt szwankować.

Z takim postanowieniem zamknął pamiętnik i odłożył go na jego miejsce, a potem do sejfów włożył też pozostałe. Kiedy podnosił z podłogi ostatni, ten opatrzony numerem 30, wyrwał z niego ostatnią stronę. Potem popijał przez kilka minut ze szklanki, patrząc na zasłony w oknie, zanim siadł w fotelu i zaczął zapisywać to, co jeszcze pamiętał z poprzedniego życia, blednące wspomnienia wydarzeń, które miały miejsce, zanim na plaży znalazła go jego przyszła żona. Życie, o którym opowiedział jej tyle, ile zdołał. Wiedzieli też o nim jej ojciec i matka. Nie miał na razie pomysłu, co zrobić z półtorastronicową notatką, wiedział jedynie, że nie może jej zostawić w domu. Tymczasem włożył kartkę do tekturowego pudełka przyniesionego poprzednia rano do domu i schował je do sejfów.

Zmęczenie spowodowane brakiem snu nie pozwalało mu jasno myśleć. Ale to nie tylko to. Nie spodziewał się takiej reakcji swojego umysłu na wydarzenia planowane od lat. Jeszcze dwa dni temu był w stu procentach pewien, że jest na wszystko gotowy. Sądził, że przejdzie przez ten etap, tak jak przechodzi się od niedzieli do poniedziałku albo z urlopu na powrót do pracy. Choć musiał przyznać, że jednak w głębi siebie trochę bał się właśnie

takiego stanu, w jaki popadł. Wciąż zachodziły w nim jakieś zmiany, których nie umiał powstrzymać i które mogły zniweczyć wszystkie jego plany. Ten dziwny stan po śmierci żony również mógł mu przeszkodzić.

Prawdę mówiąc, był wściekły na siebie, wyrzucał sobie, że jest słaby. W myślach wszak przygotował się na nieobecność ukochanej w domu. Na przebudzenia bez niej przy boku, na dni bez porannych spacerów i wieczorów wypełnionych jej opowieściami o pięknie przyrody. Zdawał sobie sprawę, że będzie czekało na niego zimne łóżko, gdy będzie się kładł spać i że nie usłyszy już powszedniego: „Wstawaj już, bo się spóźnisz”. Przygotował się na jej fizyczną nieobecność, lecz to właśnie psychicznie sobie z tym nie radził. Już kiedyś doświadczył utraty bliskich, ale wtedy jego wszystkie myśli wypełniał gniew i chęć zemsty. Zastąpiło je uczucie, którego długo sobie nie uświadamiał lub może nie dopuszczał do siebie, że może je odwzajemnić.

Teraz, dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że tu znowu zaczął być szczęśliwy i zniszczył wszystko, by podjąć próbę odzyskania tego, co prawdopodobnie już nie istniało.

Zaczynało już świtać, kiedy próbując odpędzić wszystkie zjawy zasiedlające jego umysł, zabełkotał:

- Dosyć, kurwa!

To go trochę otrzeźwiło. Spojrzał na zegarek: była szósta trzydzieści. Wychylił prędko resztkę alkoholu ze szklanki i podniósł się z trudem z fotela. Rozsunął grube zasłony i wpuścił do sypialni promienie słońca wynurzającego się leniwie zza szczytu porośniętej sosnami góry. Patrzył przez chwilę w stronę ognistej kuli, jakby chciał się zmierzyć z jej siłą.

- Kto pierwszy? Ja zamknę oczy czy ty zgaśniesz? - wyszeptał.

Szybko dał jednak za wygraną i odwrócił się w stronę pokoju.

Jego wzrok natknął się na nieład w łóżku, ale nie zamierzał sprzątać. Usiadł na kołdrze i przypominał sobie, co się na tym łóżku działo. Zwłaszcza wtedy, kiedy jego żona jeszcze miała nogi...

Ale oprócz tamtych scen przypomniał sobie też słowa starca sprzed kilku godzin: „Nocą budzi się to, co śpi za dnia”. A może noc tylko wizualizuje nasz lęk, pomyślał, rozważając, co mogą znaczyć.

Nie zdejmując szlafroka, przewrócił się na bok i zasnął głębokim snem.

Obudził go krzyk trójki dzieciaków.

- Chcemy jeść! Chcemy jeść! Chcemy jeść - wykrzykiwało otyłe trio, trzęsąc swoimi galaretowatymi podbródkami.

Sam nie wiedział, czy bardziej go drażni ich krzyk czy ból głowy i suchość w gardle.

- Zamknąć ryje - wrzasnął, lecz zaraz tego pożałował, bo jego własny głos przyprawił go o drżenie czaszki.

Próbował sobie przypomnieć wydarzenia i przemyślenia minionej nocy, porzucił to jednak, słysząc kolejny raz:

- Chcemy jeść!

Brzmiało to niemal jak okrzyk setek tysięcy niewolników skandujących hasła o wolności.

Z trudem podniósł się z łóżka i podszedł do drzwi, nie próbując nawet opanować grymasu bólu na twarzy. Otworzył je powoli i spojrzał na swe potomstwo siedzące na podłodze w salonie. Na jego widok rudy chłopak i dziewczynka z czarnymi lokami umilkli, blondyn o niebieskich oczach zakrzyknął zaś:

- Dawaj żreć, ty podła Świnio!

Na takie słowa reagował zwykle agresywnie, lecz tym razem spojrzał krzykaczowi prosto w oczy i zapytał zupełnie spokojnie:

- A co, jeśli mi się nie chce?

- Zadzwoń do strażników - odpowiedział zuchwale blondyn.

-1 co im powiesz? - zapytał niezrażony mężczyzna, widząc, że grubasek przeczesuje loki, coraz bardziej zmieszany.

- Że zabiłeś naszą matkę - odparł dzieciak, udając pewność siebie najlepiej, jak umiał.

- To zróbmy próbę. Ja będę strażnikiem, a ty do mnie dzwonisz. OK? - Proponując tę zabawę, zbliżał się w stronę dzieciaka i patrzył mu coraz głębiej w oczy.

- Dobra, dobra - odparło dziecko. - Wiem, że masz zaświadczenia od lekarza, a ja nie mam żadnych dowodów. Daj nam tylko żreć i damy ci spokój. Tym dwóm półgłówkom możesz nawet wmówić, że jesteś przybyszem z innej planety, ale ja niestety mam mózg pracujący w trybie turbo - zaśmiał się jakoś tak niespokojnie. - Wiem więcej, niżbyś chciał mi powiedzieć, ale prawdę mówiąc, mam to głęboko w dupie. Dopóki będziesz nas żywił, ja będę siedział cicho. Wiem, że dla ciebie zabić to jak splunąć, ale wiem też, że teraz jest to trudniejsze niż kiedyś. Patrzysz na nas teraz troszeczkę inaczej, czyż nie?

Pytanie zawisło groźnie w powietrzu, ale mężczyzna pozbył się zagrożenia jednym lekceważącym machnięciem ręki. Dał w ten sposób do zrozumienia i chłopcu, i pozostałym dzieciakom, że malec plecie bzdury, lecz sam poczuł znów ten niepokój, który nie dał mu spać w nocy. Nie mając ochoty na dalszą pyskówkę, poczłapał niemrawo do kuchni, gdzie z pomocą dużego porcelanowego kubka zaczął walkę z kacem. Z każdym łykiem woda robiła

się coraz chłodniejsza, a po piątym lub szóstym kubku była już tak zimna, że zaczęły go od niej boleć zęby. Nalał więc jeszcze jeden kubek, ale odstawił go na stół.

Wskazówki zegara nad piecem czołgały się powoli w stronę godziny drugiej. Zasapał z wściekłości i krzyknął:

- Ożeż kurwa jego jebana mać! Czemu ten czas tak nagle zaczął zapierdalać?

Zegar na ścianie nie zamierzał mu odpowiedzieć.

Wyszedł z kuchni, stanął naprzeciw gromadki głodnych tłuszciochów i oznajmił:

- Przykro mi bardzo, ale będziecie musieli poczekać ze dwie godzinki. Muszę pojechać do miasta i przywieźć trochę żarełka.

Nie czekając na ich reakcję, poszedł do łazienki. Odkręcił kran i czekał, aż popłynie ciepła woda, lecz na nic zdało się jego oczekiwanie. Woda w zbiorniku całkowicie wystygła, więc zmuszony był wziąć zimny prysznic. Może to i dobrze - pomyślał - przynajmniej troszeczkę przetrzeźwieję i pozbędę się tych popieprzonych myśli.

Zdecydowany, zrzucił szlafrok na podłogę i puścił zimny strumień. Kiedy zebrało się trochę wody w brodziku, włożył stopę, chcąc sprawdzić, czy będzie w stanie poddać się tak ekstremalnemu zabiegowi. Stwierdził, że woda jest jednak zbyt zimna, by tak po prostu się w niej zanurzyć, i zaczął ochlapywać swe ciało, by przyzwycząić je do niskiej temperatury. Dopiero po takim wstępie odważył się wejść do brodzika. Szybko namydlił całe ciało i sapiąc i rżąc z zimna, czekał cierpliwie, aż woda splucze wszystkie mydliny. Alkohol wciąż dodawał mu animuszu, podskakiwał więc, próbując wydobyć jak najwięcej ciepła ze swojego organizmu, w końcu jednak wyskoczył na posadzkę i zaczął energicznie trzeć całe ciało. Dopiero to go trochę ogrzało. Owinął się szczelnie ręcznikiem i nie zważając na narzekania dzieciaków, przeszedł przez salon wprost do swojego pokoju. Podchodząc do dwudrzwiowej szafy, rzucił ręcznik niedbale na łóżko. Gdybyś tu była, pewnie bym się na to nie odważył, uśmiechnął się do siebie.

Wyjął parę bawełnianych spodni i flanelową koszulę, powiesił ten zestaw na oparciu fotela, rozglądając się jednocześnie za skórzanym paskiem. Znalazł go w końcu rzuconego niedbale na szafę. Wkładając ubranie, zastanawiał się, czy ma jakiegokolwiek znaczenie to, jakie skarpety dobrać do koszuli. Zawsze żona kompletowała mu garderobę, wpajając zasady estetyki, z których on niewiele rozumiał. Dla niego ubranie miało być wygodne i ewentualnie czyste, i koniecznie dopasowane do zajęć w ciągu dnia. Teraz próbował powtórzyć jej manewry i sam dobrać całość kolorystycznie.

- To będzie podziękowanie za to, co dla mnie zrobiłaś, inaczej chyba nie umiem - wyszeptał, zakładając brązowe skórzane buty.

Pozostało mu jeszcze tylko rozczesać włosy aluminiowym grzebieniem i związać je w kucyk; dobrze wiedział, że gdy wyschną, będą splątane i pokręcone, ale nie miał teraz czasu na suszenie i gruntowne czesanie.

Jakoś szybko czas leci, odkąd ciebie tu nie ma, pomyślał jeszcze, przechodząc do salonu.

- Będę za jakieś dwie godziny. Jak będziecie w stanie, to napalcie w piecu - powiedział głośno. Spojrzał na starca, który wciąż siedział przy stole i gapił się w okno, i dodał: - Gdzie twoje karteczki, staruszk?

Ten obrócił się w stronę zięcia, patrzył mu przez chwilę w oczy, po czym kiwnął głową w stronę małej komody ustawionej pomiędzy drzwiami do kuchni i do pokoju dzieciaków. Mężczyzna podszedł do mebla, wysunął pierwszą od góry szufladę i wyjął papierową teczkę. Znalazioną z niej niewielką książeczkę schował do tylnej kieszeni. Wychodząc z mieszkania, zabrał jeszcze płaszcz oraz małe, skórzane etui z dokumentami, leżące na półce nad wieszakiem w przedpokoju. Na schodach zawahał się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza po portfel, ale okazało się, że ma wystarczającą ilość gotówki. Zdeterminowany wybiegł z budynku i prawie w podskokach dotarł do samochodu. Ruszył w stronę centrum, wygwizdując jakąś wesołą melodyjkę.

- A cóż to tak nagle się panu wesoło zrobiło, co? - zapytał swego odbicia w lusterku.

- A chuj ci do tego, stara pierdoło - odpowiedział, udając konwersację pomiędzy sobą a tym po drugiej stronie.

- No w sumie to nic. Jak masz się z czego cieszyć, to się ciesz.

- No pewnie, że mam, i to ho, ho. A teraz się, kurwa, zamknij i wypierdalaj z samochodu, bo mam zamiar mieć dziś dobry humor.

Po tych słowach odwrócił lusterko tak, by nie widzieć swego odbicia. Dodał gazu nie przestając gwizdać i nie zwracając uwagi na nic i nikogo.

Po kilkunastu minutach dojechał do dzielnicy, w której mieściły się sklepy i punkty usługowe. Zabudowa nie była tu skomplikowana. Po obu stronach szerokiej ulicy biegły dwupiętrowe budynki, stare i wysłużone, ledwie trzymające pion, a między nimi wiły się wąskie uliczki. Szyldy na budynkach, drewnianych lub ceglanych, nie krzyczały jakimiś wyszukаныmi nazwami czy rzucającymi się w oczy reklamami, lecz mówiły prosto: „Mięso” lub „Szewc” czy też „Szycie i naprawa ubrań”.

Przyglądając się im bez większego zainteresowania, mężczyzna nie zauważył nawet, że minął mu kac i nabrał już sił. Kiedy zaparkował samochód przed budynkiem opatrzonym szyldem z napisem „Mięso”, był już całkiem rześki. Bez pośpiechu wszedł do środka, gdzie

przywitał go półmrok i chłód. Niewielkie, kwadratowe pomieszczenie o powierzchni nieprzekraczającej dwadzieścia pięć metrów kwadratowych było w połowie przedzielone długą ladą.

- Dzień dobry! - zakrzyknął od progu, uśmiechając się do łysego, monstrialnie wysokiego i umięśnionego mężczyzny w średnim wieku, który stał za kontuarem.

- No, prześwietny - odparł rzeźnik sarkastycznie niskim basem, wycierając ręce w biały fartuch, świeżo poplamiony krwią.

- E tam - machnął ręką wchodzący - pan to zawsze z czegoś niezadowolony. A to, że pada, a to, że znajomi bez pana gdzieś tam sobie pojechali, a to, że żona pana opierdzieliła za złopanie jakiegoś świństwa z kolesiami po nocy. A tymczasem w każdej sytuacji trzeba umieć doszukać się czegoś dobrego. Wszystko może się obrócić o sto osiemdziesiąt stopni i przynieść inne rezultaty, niżby się mogło początkowo wydawać - monologował.

- Taaaaak - przeciągał głoski łysy oprawca zwierząt. - Jakby pies odgryzł ci nogi przy samej dupie, to byś się cieszył, że cię będą wszędzie nosić, co? I to najlepiej na lektyce jak tych... faronów czy jak im tam było. Albo że nie będziesz musiał wydawać kasy na buty. Tak? To o to ci chodzi? - Rzeźnikowi poprawił się trochę humor. Nie co dzień słyszał, żeby ktoś twierdził, że nieszczęścia czy choćby nawet małe niepowodzenia mogą obrócić się w jakieś ogromne szczęście. - To skoro ty jesteś taki radosny, to znaczy że co? Że dom ci się rozleciał, ale to dobrze, bo jest sobota i akurat dzisiaj była twoja kolej sprzątnięcia? - naigrywał się.

- Nie. Moja żona zginęła w wypadku dwa dni temu - odparł młody człowiek, nie przestając uśmiechać się do sprzedawcy.

Ten popatrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami i nie wiedział, czy ma współczuć czy dzwonić po strażników.

- No i co niby ma być w tym dobrego? - powiedział wolno. - Chyba że jej nie kochałeś i miałeś dość tego małżeństwa...

- Nie, psze pana - odpowiedział wdowiec przekornie, udając zuchwałego podrostka. - Nie ma w tym nic dobrego, bo bardzo ją kochałem, ale wierzę, że wkrótce jej śmierć przyniesie jakieś pozytywne skutki.

- No, na pewno. Jak ją trzymasz w domu na kanapie, to co najwyżej muchy. - Rzeźnik odzyskał swój sarkastyczny ton. Przyglądał się coraz uważniej mężczyźnie po drugiej stronie lady. - Jak dla mnie to po prostu ci kompletnie odjechało - orzekł, po czym machnął ręką i powrócił do oddzielania mięsa od kości jakiegoś zwierzęcia trudnego do określenia gatunku.

- Co więc pan radzi, panie doktorze? - zapytał młody z uśmiechem na twarzy.

- Radzę ci załatwić szybko sprawy na mieście, a potem niezwłocznie jechać do domu, zabrać ze schowka największy młotek, jaki posiadasz, i mocno pierdolnąć się w głowę. Nie żałuj sobie. Nawalaj, aż ci czaszka pęknie. W ten sposób rozwiążesz swoje wszystkie problemy i znajdziesz odpowiedzi na wszystkie pytania. - To powiedziawszy, zamachnął się i odrąbał nogę nieszczęsnego ssaka, leżącego na ogromnym, drewnianym bloku.

- Dobrze. Spróbuję tego, ale może później. Teraz potrzebne mi jest tylko mięso. - Mężczyzna wyjął druczki, położył je na ladzie i stanąwszy z rękami w kieszeni, czekał na realizację zamówienia.

Gigant wziął papiery, przejrzał je pobieżnie i wyszedł na zaplecze. Wrócił po paru minutach z kilkoma papierowymi paczkami mrożonego mięsa.

- Siedem kilo dla ciebie. - Rzucił jedną z paczek na wielką wagę stojącą na ladzie. - Dwadzieścia jeden kilo dla dziadunia. - Odważył kolejną porcję, po czym rzucił na wagę jeszcze trzy małe paczuszki, mówiąc: -1 po kilusiu dla twoich dzidziusiów. Dla żonci nie ma nic, bo jak już wspomniałeś, przestała oddychać biedaczka, tak?

- Ano tak, proszę pana - odparł klient.

- No to skoro się zgadza, to zabieraj to, zanim się rozmrozi, i do zobaczenia za tydzień. - Rzeźnik wrócił do ćwiartowania mięsa i nie zwracał już uwagi na mężczyznę po drugiej stronie lady.

Ten podniósł najcięższą paczkę i powoli ruszył z ładunkiem w stronę samochodu. Położył mięso w tylnej części pojazdu i wrócił po resztę. Wychodząc, krzyknął gromko:

- Dzięki.

Gdy wszystko było już załadowane, wsiadł do samochodu i bez pośpiechu odjechał.

Zabytkowe budynki po obu stronach ulicy skończyły się po kilku minutach, a zaraz potem skończyła się też autostrada ułożona z płaskich kamieni zalanych w betonie. Prowadzenie samochodu stało się wyzwaniem na nieutwardzonej drodze. Trakt wydeptany i wyjeżdżony przez nieliczne auta lub konne wozy, prowadził na północ, w stronę lasu odległego o parę mil od miasta.

Do granicy drzew dotarł po kolejnych kilku minutach. Droga leśna okazała się jeszcze trudniejsza. Wilgoć zatrzymana w glebie czyniła ją błotnistą, kamienie i wystające korzenie utrudniały manewrowanie, a wysokie i gęsto rosnące drzewa ograniczały dostęp promieniom słonecznym.

Pierwszymi oznakami cywilizacji był wysprzątnięty pas przeciwpożarowy, szerokości około pięćdziesięciu metrów, ale dopiero kilka mil dalej kierujący autem ujrzał prześwit między drzewami zwiastujący podległą wioskę. Jak się wnet okazało, składała się na nią

kilkadziesiąt długich, drewnianych budynków, ułożonych na planie kręgu wokół ogromnego wiatraka produkującego prąd elektryczny dla wszystkich mieszkańców. W odległości około dwudziestu metrów na prawo od wiatraka ułożono stosy długich pni, suchych gałęzi oraz drewna pociętego i przygotowanego na opał. Jedynym murowanym budynkiem w tej osadzie, z cegły, był wodociąg - znajdowały się w nim pompy i inne urządzenia wydobywające wodę z głębokości ponad stu metrów, a potem doprowadzające ją do każdego budynku ceramicznymi rurami biegnącymi pod ziemią.

Mieszkańcy tej wioski byli do siebie bardzo podobni. Wielu z nich leżało na werandach, eksponując swe monstrualne cielska. Nie ulegało wątpliwości, że większość życia spędzają dokładnie w ten sposób.

Mężczyzna zaparkował samochód pod wiatrakiem. Sięgnął po portfel leżący na siedzeniu pasażera i wysiadł, trzaskając drzwiami. Jego celem był budynek położony po drugiej stronie osady, niezwłocznie ruszył w tamtych kierunku. Nagle drogę zastąpił mu jakiś autochton w średnim wieku, który wyszedł z trudem z jednego z domów.

- Ty pewnie do Małego? - krzyknął do przybysza.

- Ano do Małego - odpowiedział tamten, rozpuszczając znowu włosy.

- Wczoraj byli tu strażnicy Pewnie wszystko zabrali - powiadomił go mieszkaniec wioski obojętnym głosem, po czym odwrócił się powoli i schował w cieniu werandy

Stał tak jeszcze przez chwilę, ale wreszcie machnął ręką z obojętnością i usiadł na drewnianej ławce. Śledził jednak wzrokiem interesanta.

Młody mężczyzna tylko wzruszył ramionami, usłyszawszy tę informację, i poszedł dalej. Po chwili wchodził już po schodkach na werandę wielkiego drewnianego domu. Gdy znalazł się w środku, musiał chwilę odczekać, by oczy przyzwyczyły się do półmroku panującego w korytarzu. Po chwili widział już całkiem wyraźnie otyłe monstra zalegające to długie, rozwidlające się pomieszczenie. Po obu jego stronach znajdowały się drzwi prowadzące do mieszkań zajmowanych przez różne rodziny. Podszedł do jednych z nich i zastukał. Po chwili kłapka w drzwiach odsunęła się i w okienku ukazała się pyzata dziecięca twarz. Ujrzawszy gościa, dziecko zasunęło zasuwę, a ze środka dał się słyszeć hałas świadczący o tym, że ktoś zeskakiwał, a potem przesuwiał mebel po deskach. Po ponad pięciu minutach młody mężczyzna wreszcie usłyszał dźwięk przesuwanych zamków. Drzwi otworzyły się, lecz nadal były zabezpieczone dwoma grubymi łańcuchami. Przez szparę nerwowo wyglądał człowieczek, około metra wzrostu, jakby się bał, że zaraz ktoś lub coś go zaatakuje.

- Sam jesteś? - zapytał piskliwie.

- Tak. Zawsze przychodzę sam - odparł przybyły i sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel.

- Ile? - Mały wystraszony człowiek, nie spuszczał bystrych oczu z długowłosego mężczyzny.

- Z pięć. - Wdowiec podał przez szparę kilka banknotów.

- Jeszcze dwadzieścia. Wczoraj miałem nalot, ryzyko rośnie, koszty się zwiększają. Najpierw przyłóżą i sami kupują, a potem robią problemy...

- Dobra, dobra. Masz i zapierdalaj po bimber. Tylko nie jakieś barachło wczoraj nastawione. Masz jeszcze pięćdziesiąt, tylko dobrego gówna tam nalej. - Zniecierpliwiony klient podał kolejne kilka banknotów.

Mały człowieczek zamknął drzwi, przez które docierał odgłos jego człapiących kroków. Zjawił się w nich po kilku minutach z pięcioma butelkami bimbru, podał je mężczyźnie i bez słowa zniknął. Wdowiec odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do samochodu. Przechodząc przez wioskę, czuł na sobie spojrzenia kilku par oczu, ale mimo to nie krył się zbyt ze swym nielegalnym bagażem. Gdy dotarł do samochodu, otworzył tylną klapę i wyjął deskę z podłogi bagażnika; pod nią znajdowało się koło zapasowe i skrzynka z narzędziami. Butelki owinął w gruby filcowy koc i wsadził do skrzynki, a potem ułożył deskę na swoim miejscu i spokojnie odjechał. Do domu musiał wracać tą samą drogą, którą przybył, przez centrum miasta, a to oznaczało, że mógł się spotkać z jakimś strażnikiem przeprowadzającym rutynowe kontrole. Nie miał zamiaru spędzić dnia w biurze Agencji na wyjaśnieniach, po co, od kogo i za co ma ten alkohol, dlatego postanowił sobie, że będzie jechał wyjątkowo ostrożnie. Na szczęście strażnicy byli leniwi i przeważnie sprawdzali samochody pobieżnie, przeglądali dokumenty i na tym się kończyło, nie należało mimo tego bagatelizować takich kontroli.

Tym razem obyło się jednak bez żadnych przygód i po około godzinie był już w domu, gdzie czekała na niego grupka głodnych dzieciaków. A właściwie nie tyle na niego, co na zawartość papierowych pakunków. Wtaszczył je po kolei do kuchni, gdzie poporcjował od razu na siedem części każde, z czego sześć włożył do zamrażalnika. Pozostałe umieścił w aluminiowym garnku, zalał wodą i postawił na piecu, zdjawszy wcześniej wczorajsze pranie. Zaraz też zabrał się za rozpalenie ognia i znoszenie kolejnych naręczy dREW z szopy. Gdy mięso się gotowało w najlepsze, zszedł do samochodu i przyniósł swój kontrabandowy rarytas. Niosąc butelki, rozglądał się czujnie na boki. Sąsiedzi nie byli co prawda wścibscy, ale nie byli też obojętni. Zanim schował butelki w szafce nad zlewem, nalał sobie słuszną porcję alkoholu do szklanki i sprawdził, co tym razem mu wepchnął ten mały łobuz. Po

pierwszym łyku stwierdził, że płyn jest zdalny do użytku, zabrał więc naczynie i usiadł w swoim wygodnym fotelu. Delektując się trunkiem, spojrzął na starca gapiącego się w okno i zapytał, czy też ma ochotę na coś mocniejszego. Tamten tylko pokręcił nieznacznie głową i westchnął cicho.

Dwie godziny i pięć szklanek bimbrow później mężczyzna wrócił do kuchni z zamiarem dokończenia posiłku. Widelcem sprawdził stan mięsa i stwierdziwszy, że jest już wystarczająco miękkie, wyjął je z garnka i poukładał na talerzach. Wywar porozlewał do pięciu kubków. Gdy wszystko było gotowe, krzyknął:

- Żarcie.

To wystarczyło. Po kilku minutach trójka pulchnych dzieciaków wytoczyła się ze swojego pokoju i bez słowa zasiadła na kuchennych krzesłach. Jedli bardzo powoli, przeżuując każdy kęs mięsa kilkadziesiąt razy. Ich ojciec w tym czasie jedną porcję, na znacznie mniejszym talerzu, zaniósł starcowi do salonu. Ten nie zareagował nawet na tę uprzejmość, nawet nie drgnął. Jego zięć wcale tego nie oczekiwał, po prostu wrócił do kuchni i sam zabrał się za jedzenie, które popijał na przemian wywarem i bimbrem. Po skończonym posiłku dzieciaki udały się niezwłocznie na odpoczynek do swojego pokoju, jak zwykle zresztą, zostawiając wszelkie kuchenne obowiązki ojcu. Mężczyzna szybko uporał się ze zmywaniem i innymi pracami porządkowymi i mógł wreszcie rozpocząć weekend.

W całości spędził go z towarzystwie kolejnych szklanek bimbrow. Co chwila zasypiał, a to w fotelu, a to w łóżku, a to znów na podłodze, i budził się tylko po to, by uzupełnić poziom alkoholu, który dostarczał mu marzeń sennych. Przerwał upijanie się tylko na parę godzin w niedzielę, gdy musiał przygotować kolejny posiłek dla siebie i domowników.

Ostatnią szklankę wychylił po północy z niedzieli na poniedziałek.

- Kurwa, to będzie piękny początek tygodnia. Jak ty to przeżyjesz, stary? - W pijackim widzie zaczął ze sobą rozmawiać. - Nawaliłeś się jak Świnia, a jutro trza zapierdalać i jeszcze, kurwa, słuchać pierdoł tego nierozgamiętego, pocącego się półgłówka. No, koniec picia! Idziesz się ładnie wykapać, a potem lulu. Tylko, kurwa, bez pierdolenia. Zbieraj dupsko z tego wyra.

Posłuszny samemu sobie zwłókł się z łóżka na podłogę, klęknął i pomagając sobie rękami, stanął wreszcie na nogach. Zataczając się, szukał drzwi, ale w ciemności trudno było je znaleźć. Uderzył z impetem o ścianę całym ciałem i przyłgnął do niej na chwilę. Resztkami sił przesuwał się wzdłuż niej, aż wymacał ręką klamkę. Otworzył drzwi, a wtedy do sypialni wpłynęło światło z salonu i zupełnie go poraziło. Na wpół oślepiony, ruszył chwiejnym krokiem przez mieszkanie, starając się jak najszybciej dotrzeć do łazienki. Chciał sobie tym

wyczynem udowodnić, że nie jest aż tak pijany, jak wskazywałby na to jego wygląd. Pokonał wreszcie cały dystans i dotarł do łazienki, gdzie próbował spojrzeć w lustro, ale oczy zamykały się, porażone światłem. Zrezygnował z oglądania swojej twarzy i zabrał się za zdejmowanie koszuli. Złośliwe guziki nie chciały jednak opuścić dziurek. Zdenerwowany rozerwał koszulę, omal nie upadając podczas improwizowanego manewru. Z trudem zdjął ją z siebie, miotając się po całym pomieszczeniu i przeklinając wynalazek zwany rękawami. Ze spodniami poszło mu jeszcze trudniej. Rozpiął je i chcąc zdjąć jedną nogawkę, podniósł prawą nogę, a wtedy stracił równowagę. Wpadł do kabiny prysznicowej, wyłamując plastikowe, przezroczyste drzwiczki.

- Ja pierdolę, mój łeb - zajęczał.

Trzymał się za głowę, miał nadzieję, że w ten sposób ochroni ją przed kolejnymi obrażeniami, gdyż zdawało mu się, że właśnie miało miejsce trzęsienie ziemi i zaraz cały budynek zawali się na niego. Kiedy już ustalił, co się naprawdę wydarzyło, spróbował się podnieść. Bez skutku. Zrezygnował w końcu i stwierdził, że równie dobrze może spać w zdemolowanym brodziku. Nie minęła minuta, a chrapał już donośnie. Z tego pijackiego snu nie wyrwałby go żaden kataklizm.

Obudził się następnego ranka, w poniedziałek, z potwornym bólem głowy. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i nie pamiętał, jak się tam znalazł. Świadomość jednak zaczęła zwracać mu skrawki wczorajszych zdarzeń, które próbował składać w całość. Słońce zdawało się już być wysoko, nie zawracał sobie jednak na razie głowy czasem. Z trudem podniósł się i pozbierał roztrzaskane kawałki drzwiczek od kabiny. Dokończył zdejmowanie spodni i wszedł z powrotem do brodzika, tym razem już na stojąco. Woda przyniosła mu oczekiwaną ulgę. Kilkanaście minut później, zmarznięty, ale bez upiornego bólu głowy, z którym się obudził, wyszedł z łazienki i mógł zająć się codziennymi obowiązkami. Przechodząc przez salon, zapytał starca siedzącego w swojej zwykłej pozycji:

- Ty nigdy nie śpisz czy tylko wtedy, kiedy ja nie widzę?

- Ja już swoje wyspałem - odrzekł dziadunio spokojnie.

Młody mężczyzna tylko wzruszył ramionami i poszedł do sypialni. Teraz już musiał spojrzeć na zegar. Była siódma dziesiąta.

- O, jak dobrze. Już myślałem, że znowu będę musiał zapierdalać - westchnął i położył się na łóżku.

W poniedziałki pracę zaczynał o dwunastej, miał więc czas, by doleźć się z weekendowych przygód z alkoholem. Nastawił budzik na jedenastą i zaraz zasnął.

Tym razem spał spokojnym, krzepiącym snem i obudził się rześki i pełen sił. Bez pośpiechu poszedł do kuchni i założył ubranie robocze wiszące na oparciu krzesła. Z lodówki wyjął kilka różnych warzyw, które zjadł przy stole, po czym wyszedł z domu.

Miał do pokonania tę samą trasę co trzy dni temu, i tę samą, co każdego innego dnia, tym razem jednak nie był jedynym podróżnym. Ulicami jechało sporo samochodów, a chodniki pełne były pieszych. Zaczął się kolejny tydzień.

Za okazaniem legitymacji pozwolono mu wjechać na teren biura Agencji. Wjechał przez bramę, przy której znowu stali dwaj bardowie. Kolejny raz nie miał czasu ani możliwości, by ich posłuchać. Parking dla pracowników znajdował się na tyłach długiego budynku. Bez trudu znalazł wolne miejsce, wysiadł i wszedł do środka, kierując swe kroki do recepcji.

- Dzień dobry - przywitał wysoką dziewczynę z czarnymi włosami, siedzącą za kontuarem.

- Dzień dobry - odpowiedziała uprzejmie. - Jak się z tym wszystkim czujesz? Dajesz radę? - zapytała z życzliwym uśmiechem, kładąc na ladzie grubą książkę, w której odnotował swoje przybycie do pracy co ona z kolei potwierdziła podpisem.

- Jeszcze chyba to do mnie nie dotarło. Ale poradzę sobie, dzięki.

- Spokojnego dnia - powiedziała jeszcze sekretarka, już w momencie, gdy mężczyzna zmierzał do drzwi opatrzonych napisem „Garaze”. - Pański partner już na pana czeka - przypomniała sobie.

- Huraaa - rzucił z sarkastycznym westchnieniem i nie odwracając się, pomachał jej ręką na pożegnanie.

Duże pomieszczenie, do którego wszedł, zajmowały ogromne sześciokołowe ciężarówki z nisko umiejscowionymi skrzyniami załadunkowymi, teraz otwartymi, i kabinami dla dwóch osób. Na ławce pod ścianą siedział rudy mężczyzna w średnim wieku. Na widok wchodzącego rozpromienił się, jak wnuk, którego odwiedził dawno niewidziany ukochany dziadek, i wstał.

- Cześć - zakrzyknął radośnie.

- No cześć - odpowiedział mężczyzna, zdejmując kluczyki do samochodu z wieszaka na ścianie.

- Jak ci minął weekend? Bo mnie nawet całkiem, całkiem. Pozwoliłem sobie troszeczkę w piątek, hi, hi...

I rudy zaczął swoje opowieści, nie dopuszczając kolegi do głosu.

Był wielkim gadułą. Niezbyt rozzgadany, o wesołkowatym usposobieniu, działał czasem na nerwy, ale jeśli ktoś przyzwyczaił się do niego i wyłączył słuch, gdy tylko zaczynał swój monolog, mógł wytrzymać. Długowłose szatyn pracował z nim już dość długo i umiał się z nim obchodzić. Odzywał się tylko wtedy, gdy rudy gaduła pytał o coś konkretnego.

Teraz też, nie czekając, aż tamten skończy opowieść, wsiadł do pojazdu i uruchomił silnik. Jego partner, widząc to, przesunął wielką bramę garażu, po czym również wskoczył do ciężarówki.

Wyjechali na miasto jedyną bramą w wielkim murze, a potem skręcili w pierwszą drogę prowadzącą na wschód. Po mniej więcej pięciu milach twarda droga skończyła się, a jej miejsce zajęła piaszczysta plaża. Kierowca skręcił w prawo i pojechał wzdłuż linii wody. Ich praca nie była skomplikowana, choć czasami ciężka. Polegała na przemierzaniu brzegu z prędkością około trzydziestu mil na godzinę, szukaniu tego, co morze wyrzucało na brzeg, i ładowaniu znalezisk na pakę. Po trzech godzinach lub stu milach wracali do bazy na regulaminową przerwę. Na plaży wypatrywali przede wszystkim rzeczy metalowych, gdyż wyspa - bogata w ropę i węgiel, a także gaz - cierpiała na niedostatek metali. Zdarzało im się wracać do garażu na pusto, ale zdarzało się też, że ciężarówka załadowana była po brzegi. Bywało też, że pomagali znudzonym życiem lub szukającym rozrywki topielcom. Oprócz nich tę samą pracę wykonywała jeszcze jedna ekipa, tyle że jeździła lewą stroną plaży. W ten sposób około dwustu mil piasku było codziennie przeczesywanych w poszukiwaniu metalowych skarbów. W pozostałych miastach też prowadzono codziennie takie poszukiwania.

Ten dzień zaczął się spokojnie, nie licząc oczywiście historii opowiadanych po raz setny przez rudego i jego niezliczonych dowcipów o strażnikach czy pracownikach Agencji. Jechali już ponad godzinę, gdy kierowca zauważył, że zza linii dzielącej niebo od oceanu zaczynają wyłaniać się czarne, kłębiaste chmury. Wyglądały złowrogo i niechybnie zwiastowały burzę. Na wybrzeżu zaległa nagła cisza naładowana przeczuciem czegoś straszego, powietrze stało się ciężkie i całkowicie nieruchome. Już po piętnastu minutach chmury przysłoniły niebo i wzmógł się silny wiatr. Deszcz zaczął padać gęsto, prawie poziomo, wielkimi ciężkimi kroplami.

- Ten dzień nie skończy się kolorowo - westchnął cicho mężczyzna i oznajmił rozgadane mu koledze, że ujadą jeszcze z dziesięć mil i - jeżeli sztorm nie przejdzie - schowają się w głąb lądu i zrobią sobie przerwę.

Właśnie kończył wypowiadać ostatnie słowo, gdy rudy umilkł nagle i pochylił się do przodu, mrużąc oczy.

- Patrz - krzyknął przejęty, wyciągając palec wskazujący.

- Co? - zapytał kierowca, który wciąż skupiał się na prowadzeniu pojazdu.

- No tam, patrz. To chyba człowiek. Topi się - krzyczał podniecony rudzielec. - Jedź, jedź szybciej, może jeszcze żyje. Trzeba go wyciągnąć z wody. - Był coraz bardziej przerażony.

Mężczyzna dostrzegł wreszcie, jakieś kilkaset metrów przed maską, jak ogromne fale to zabierają, to znów wyrzucają na brzeg ciemną bryłę. Gdy podjechał bliżej, stwierdził, że to rzeczywiście człowiek. Musiał przyznać, że j ego partner miał sokoli wzrok i nieprzypadkowo został przydzielony do tej pracy. Zatrzymał samochód kilkanaście metrów od ofiary niefortunnej kąpieli i w pośpiechu wysiedli z samochodu. W ciężkiej, stalowej ciężarówce nie było to odczuwalne, lecz zaraz po otwarciu drzwi pojazdu przekonali się o sile wiatru: uderzył w nich z wielką mocą, prawie zwalając z nóg i utrudniając oddychanie.

Topielcem okazał się mężczyzna o znacznej tuszy, już z daleka ocenili, że nie zdołają go podnieść. Był to jeden z tych biedaków, którzy nie mogą dłużej znieść bycia niewolnikiem własnej otyłości, postanowił doczołgać się do plaży i zakończyć nędzny żywot w oceanie.

- Weź łopatę i ładuj piasek na skrzynię - krzyknął wdowiec do kolegi, który próbował ocenić stan nieprzytomnego mężczyzny.

Rudy spojrział na niego ze zdziwieniem, lecz po chwili zaczął robić to, co mu polecono.

Nie mieli ani warunków, ani czasu żeby sprawdzać, czy próba samobójcza grubasa zakończyła się sukcesem. Długowłosey mężczyzna wrócił szybko do ciężarówki, ustawił ją tyłem do morza, jeszcze szybciej wysiadł, wskoczył na skrzynię ładunkową i rozwijał linę wciągarki umocowanej na stalowej ramie, tuż za kabiną. W końcu mu się udało, wyskoczył za burtę i zaczął przywiązywać grubą linę do nóg nieszczęśnika. Wiatr nie ułatwiał mu zadania, zasypywał oczy piachem, a fale mogły w każdej chwili porwać wielkie cielsko, tym razem na zawsze. Mężczyzna zdołał jednak w końcu zacisnąć węzeł na bezwładnych kończynach topielca. Z ulgą podbiegł do ciężarówki i otworzył tylną klapę skrzyni, która - opierając się o podłoże - utworzyła rampę pozwalającą wciągnąć ciało na pakę. Odczepił drugą łopatę przymocowaną do uchwyty z tyłu kabiny i pomógł koledze sypać piach na skrzynię. Gdy warstwa piasku osiągnęła grubość około piętnastu centymetrów, krzyknął:

- Dobra, dosyć, odsuń się.

Rudzielec i tym razem posłuchał bez szemrania, umocował łopaty na swoich miejscach i wsiadł do kabiny. Jego partner uczynił to samo i od razu uruchomił wciągarkę. Wielkie zwały tłuszczu bardzo powoli były wciągane na pokład pojazdu, zostawiając szeroki i

głęboki ślad w piasku. Długowłosa mężczyzna wysiadł jeszcze raz i pobiegł do tyłu, by zamknąć klapę, co było tym trudniejsze, że widoczność ograniczały mu włosy rozwiewane przez wiatr i wszędobyłski piach. Współpracownik obserwował tę sytuację przez tylną szybę. To, co zobaczył, przeraziło go tak, że po raz pierwszy w życiu stracił głos i nie zdążył wporę ostrzec młodszego kompana.

W momencie, gdy mężczyzna schylał się, by unieść klapę, potężna fala wyrzuciła z impetem potężny pień drzewa, który uderzył go w plecy z wielką siłą i rzucił na pakę ciężarówki. Na szczęście kłoda była dość długa i oparła się na burtach skrzyni, dzięki czemu nie przygniotła kierowcy ciężarówki. Ale nieźle go połamała i pozbawiła przytomności.

Rudy bez namysłu wskoczył na platformę, zepchnął kawał drewna i wtaszczył nieprzytomnego kolegę do szoferki, na miejsce pasażera. Potem pobiegł zamknąć nieszczęsną klapę od skrzyni załadunkowej, a kiedy mu się to udało, usiadł za kierownicą i mimo braku uprawnień do prowadzenia pojazdów uruchomił ciężarówkę. To właśnie nieprzytomny kompan nauczył go prowadzenia, gdy męczony kacem nie mógł sam tego robić. Silnik pracował w naturalnym dla siebie rytmie, mężczyzna chwycił więc jedną ręką kierownicę, drugą położył na lewarku zmiany biegów. Żeby dodać sobie animuszu, powiedział do siebie:

- Dobra, gaduło, teraz się zamknij i zrób coś pożytecznego. Wrzucił pierwszy bieg, zwolnił powoli pedał sprzęgła i ruszył w drogę do miasta. Przyspieszał, oglądając się do tyłu i sprawdzając, czy wyłowiony nieszczęśnik zbytnio nie podskakuje. Przecież wiół dwóch nieprzytomnych pasażerów, nie zapominał o tym. Pięćdziesiąt mil na godzinę - to maksymalna prędkość, na jaką sobie pozwalał. W tej sytuacji pół godziny zajęło mu dotarcie do utwardzonej drogi. Wtedy rozpędził się do siedemdziesięciu mil na godzinę.

Nie udał się jednak do bazy. Jakaś milę wcześniej skręcił w prawo i po kilkuset metrach zatrzymał pojazd przed niewielkim, białym budynkiem zbudowanym na planie kwadratu, na którego fasadzie widniał napis: „Punkt Medyczny”. Wbiegł do środka. Zaraz po otwarciu drzwi odzyskał głos.

- Pomocy, pomocy, ratunku, halo! Jest tu kto? - krzyczał najgłośniejszym głosem, jak potrafił.

Stał w małym, pustym pomieszczeniu, w którym znajdowały się tylko cztery obszerne kanapy, i gapił się bezradnie na dwoje drzwi przed sobą. Jedne prowadziły do gabinetu lekarskiego, na drugich natomiast wisiała tabliczka z napisem: „Gabinet Zabiegowy - Nie Wchodzić”

Wreszcie, zaalarmowany jego krzykiem, wyszedł ze swojego gabinetu znudzony siwy lekarz w okularach, a za nim wyłoniła się młoda, pulchna kobieta o blond włosach tak bujnych, iż tworzyły nad jej głową ogromny kokon. Oboje mieli na sobie białe fartuchy.

Lekarz niewiele miał tu do roboty, najczęściej zajmował się stłuczeniami, złamaniami albo innymi lekkimi urazami. Tym bardziej był ciekaw, co się takiego stało, że ktoś wzywa nagłej pomocy.

- O! Chyba mamy ciekawy przypadek neurologiczny - powiedział do ospałej pielęgniarki, tonem wskazującym na to, że próbuje dowcipkować.

- Chodźcie. Mam dwóch nieprzytomnych - krzyknął rudy tak głośno, że niemal szyby w oknach zadrżały, i wybiegł na zewnątrz.

Lekarz i pielęgniarka poszli za nim bez przekonania i dopiero gdy zobaczyli na ciężarówce ogromnego bezwładnego mężczyznę i drugiego, też nieprzytomnego, w kabinie, pojęli, że sprawa jest poważna. Lekarz wskoczył na skrzynię załadunkową, przytknął ucho do olbrzymiej klatki piersiowej topielca i oznajmił:

- Tym zajmiemy się później, jest jeszcze ciepły, to pewnie żyje. Przy jego przemianie materii może mieć jeden oddech na minutę. Pomożesz mi z tym drugim - powiedział do rudego, który już trochę się uspokoił.

Nakazał pielęgniarkę jak najszybciej przygotować stół zabiegowy, a sam złapał nieprzytomnego mężczyznę pod ręce, pokazując ruchem głowy rudemu, żeby wziął go za nogi. Wnieśli go do sali zabiegowej i ułożyli na stole wyłożonym gąbką i przykrytym białym prześcieradłem.

- Niech pani przyniesie ostre nożyczki, dużo ciepłej wody, spirytus, opakowanie... nie, dwa opakowania gazy i pojemnik na odpady organiczne - polecił pielęgniarkę lekarz, po czym podszedł do ściany, która składała się praktycznie z samych przesuwanych drzwi, i odsunął jedno z nich.

Zdjął z wieszaka butlę z tlenem i maskę tlenową i przytasczył to do stołu. Uruchomił urządzenia monitorujące pracę serca, lecz z badaniem czekał, aż przyjdzie dziewczyna z nożyczkami, bo musiał rozebrać ofiarę i podpiąć wszystkie niezbędne przyssawki i klipsy. Pielęgniarka pojawiła się szybko, a wtedy doktor zabrał się niezwłocznie za rozcinanie ubrania; robił to dość niezdarnie, gdyż nigdy wcześniej nie miał do czynienia z tak poważnym przypadkiem i był podenerwowany. W końcu jednak udało mu się zdjąć z mężczyzny i zielony uniform, i bieliznę. Ciało pacjenta było jednak mocno pokrwawione, więc wprawdzie musiał się zająć przemyciem ran. Jego uwagę przykuły małe i równe blizny na klatce piersiowej i brzuchu mężczyzny.

- Niech mi pani pomoże odwrócić pacjenta na brzuch - poprosił roztrzęsioną pielęgniarkę. - Muszę zobaczyć jego plecy.

Okazało się, że na plecach również znajdują się blizny, dokładnie dwie na wysokości nerek. Lekarz spojrział na rudego i gestem poprosił go, by wyszedł z nim za zewnątrz.

- Niech pan wraca do zakładu pracy i zgłosi ten wypadek. Tylko wcześniej pomogę panu z tym wielkim na pace, dobrze?

Wielkie cielsko zsunęli z ciężarówki wprost na ziemię, niewiele więcej mogli sami zrobić. Lekarz zresztą nie zaprzętał sobie teraz głowy grubasem, interesowały go jedynie blizny człowieka leżącego na stole. Kiedy samochód odjechał, wrócił do razu do sali zabiegowej i nakazał pielęgniarce dokładnie umyć nieprzytomnego pacjenta, podłączyć wszystkie aparaty zgodnie z instrukcją i nie spuszczać z niego oka. Sam natomiast poszedł do drugiego pomieszczenia, gdzie znajdował się telefon, i szybkimi ruchami wykręcił numer.

Gdy usłyszał głos w słuchawce, powiedział:

- Dzwonię z punktu medycznego. Mamy tu bardzo ciekawy przypadek... Lepiej będzie, jak przyjedziecie.

11

Kilkadziesiąt mil na północ od punktu medycznego, w pewnym ciemnym pokoju miłośnik militariów właśnie wstawał z łóżka, spoglądając niemrawo na pierwsze promienie słońca przedzierające się z trudem przez szparę w zasłonie. Stał wreszcie i podszedł, powłócząc stopami po drewnianej podłodze, do umywalki znajdującej się po drugiej stronie pokoju. Zapuchnięte oczy zabolowały, gdy dzienne światło zaczęło się wdzierać pomiędzy zalepione jeszcze ropą powieki. Przemysł twarz zimną wodą i spojrział w małe lustro zawieszony na gwoździu wbitym w ścianę nad pordzewiałym zlewem.

Pęknie czy nie pęknie, rozmyślał. Ja, gdybym miał być lustrem, wołałbym pęknąć, niż oglądać taki ryj co rano. A może to nie kwestia twarzy, tylko tego czegoś w środku? Dusza? Serce? Sumienie? Jak zwał, tak zwał, ale to dlatego twoja gęba jest taka odrażająca. Widać to w twoich oczach, podły, stary draniu, ciągnął w myślach wywód, wykładając sobie temat jak profesor etyki na katedrze. Gdybyś duszę miał czystą, to pewnie byś się zakochał w tej karykaturze ludzkiego tworu. Ale w sumie sumienie chyba masz w porządku, skoro zadajesz sobie takie pytania. Tylko serce należałoby roztopić, bo zimne jak lód.

Nie przerywając wewnętrznego monologu, w którym oceniał samego siebie, rozejrzał się po pomieszczeniu. Mieszkanie, a właściwie pokój, będący jednocześnie też kuchnią z małą łazienką, nie porażały luksusem, ale wystarczały na jego potrzeby. Kulawy stół i dwa krzesła, piec, w którym ogień już wygasł - to były najważniejsze sprzęty. Mógł sobie pozwolić na własny dom, nawet na taki z basenem i wielkim ogrodem, ale - po pierwsze - nie

lubił rzucać się w oczy, a po drugie nie był przyzwyczajony do życia w luksusach. Tu miał wszystko, czego potrzebował samotny facet w podeszłym wieku.

Teraz najważniejsze było to, co znajdowało się na stole: przezroczysta butelka z brunatnym płynem stojąca obok małego glinianego gamczka przykrytego aluminiową pokrywką. Widok butelki sprawił, że głośno przełknął ślinę. Podeszedł do stołu, przytknął poszczerbioną szyjkę do ust i wziął spory łyk, po czym odstawił flaszkę i zaczął się jej przyglądać, tak intensywnie, jakby chciał naraz znaleźć odpowiedzi na dręczące go od wielu lat pytania. Głodził się przy tym po nieogolonej twarzy. Wreszcie odwrócił głowę i spojrzał na parapet, na którym leżała rozpieczętowana paczka żyletek. Powinien się ogolić, ale nie wiedział jeszcze, czy mu się chce. Zresztą oprócz leczenia kaca nie miał tego dnia nic do roboty.

Te praktyczne rozmyślenia przerwała mu pojawiająca się nie wiadomo skąd melancholia i nagle zaczął się zastanawiać, czy ludzie są tak naprawdę potrzebni sobie nawzajem. Przecież do przetrwania gatunku wystarczy tylko, żeby zapłodnić kobietę, a potem podkarmiać bachora do momentu, w którym nauczy się samodzielnie zdobywać pożywienie, i to chyba wszystko, pomyślał, a więc skąd w ludziach bierze się ta potrzeba kontaktu z innymi? Przecież nie wszyscy ją mają. Dlaczego jedni potrafią żyć samotnie i jest im z tym dobrze, podczas gdy inni w samotności popadają w paranoje, depresje i inne psychozy? Choć w sumie to musi być raczej niewygodne cały czas dostosowywać swoje życie do wymagań drugiego człowieka. Bo chyba na tym polega związek, nie? Jak mógłbym być sobą, gdybym teraz musiał się ogolić, bo moja towarzyszka, dajmy na to, nie lubi zarostu? Albo gdybym wczoraj nie mógł się napić, bo miałaby ochotę na spacer o północy albo jakieś inne bzdury? Wolę tak, jak jest. Jakbędę chciał towarzystwa, to wyjdę na ulicę i zagadam do sąsiada albo nawet do kogoś obcego, nagadam się i każdy z nas pójdzie w swoją stronę. To samo z seksem. Nie trzeba się od razu wiązać z kimś, by mieć kogoś do gadania i zapewniony seks... Bo to jest naprawdę uwiązanie. Aj jeśli przyjdzie mi ochota pobyć samemu, to co wtedy? Albo będę chciał pomilczeć, nie będę miał ochoty wychodzić z domu albo do niego wracać?

Doszedł wreszcie do wniosku, że ludzie są egoistami, ale nikt się nie przyzna, że wchodzi w związek tylko dla zaspokojenia własnych potrzeb. I to dotyczy wszystkich związków, damskomęskich, przyjacielskich, tych opartych tylko na seksie czy biznesowych układach, kółek zainteresowań czy innych organizacji. Wszystkie one służą zdobyciu czegoś. Niekoniecznie pieniędzy czy jakichś innych korzyści materialnych. Może chodzić o uznanie w oczach znajomych, prestiż, władzę. A czasami rzeczywiście o to, by zdobyć pieniądze, ale

po, by osiągnąć pewien rodzaj wolności, dzięki któremu nie trzeba już wchodzić w żadne związki.

Pociągnął kolejny łyk z butelki.

A ten wczoraj, przypomniał sobie nagle ostatniego klienta. Zapłacił za zabicie własnej żony. Z litości może? Nie. Zrobił to, bo chciał w ten sposób zaspokoić jakieś własne potrzeby.

Rozmyślenia przerwało mu mocne pukanie.

- O! Całkiem szybko się zjawili - powiedział głośno do siebie i podszedł wolno do drzwi.

Odciągnął mosiężny skobel i rzucił przez szparę:

- Zakłóacie mi realizację potrzeby przebywania w samotności i kontemplacji sensu istnienia samego siebie i całej tej hałastry zwanej ludzkością, która grasuje po planecie i zakłóca naturalny bieg zdarzeń.

Kończył zdanie, otwierając drzwi na oścież i spoglądając pewnie w twarze dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn w granatowych uniformach. Obaj wyciągnęli przed siebie jakieś papiery z ich podobiznami na pierwszych stronach, które miały być dowodem na to, że są funkcjonariuszami Straży.

- Dobra, dobra. - Machnął ręką i burknął: - Wy zawsze tacy oficjalni.

Aby dostać się do mieszkania mężczyzny, strażnicy musieli w jakiś sposób minąć kilku grubasów koczujących w korytarzu. Niektórzy byli tak otyli, że nie ruszali się już samodzielnie i wszelkie potrzeby fizjologiczne załatwiali pod siebie. Trochę trwało ich przesunięcie, ale wreszcie dwaj funkcjonariusze weszli do środka, a gospodarz szybko zamknął drzwi i otworzył okno, aby przegnać smród fekaliów, potu i brudu, który dostał się przez tę chwilę do mieszkania.

- Pokaż mi swój karabin - zażądał wyższy funkcjonariusz.

Gospodarz bez słowa wyjął broń spod łóżka i podał go strażnikowi.

Ten usiadł przy stole i zaczął go rozkładać. Widać było, że ma wprawę. Gdy skończył, wyjął z kieszeni białą bawełnianą chusteczkę i zabrał się za przecieranie zamka, tłoka i rury gazowej. Na lufę nawet nie spojrział. Wiedział doskonale, że jest najłatwiejsza do wyczyszczenia. Po skończonej pracy zademonstrował kilka szarych plamek na chusteczce, które mogły być drobinami kurzu zgromadzonymi w karabinie nieużywanym od lat, ale też dowodem na coś odwrotnego.

- Strzelałeś wczoraj - stwierdził.

- Tak. Polowałem na królika - odpowiedział właściciel zdemontowanej broni, uśmiechając się półgębkiem.

- Na królika? Na plaży? - Strażnik podniósł wzrok.

- Ano szedłem sobie, patrzę, a królik wychodzi z zarośli i kica w stronę morza. Taki odkryty, łatwy strzał - opowiadał swobodnie stary.

- I co zrobiłeś z tym królikiem?

- Zjadłem. Długo nie miałem nic w ustach, a to było świeże, dobre mięso. Idealnie komponuje się z odrobiną nielegalnego bimbrowa i dobrym papierosem...

- Dobra - przerwał mu strażnik - gdzie kości w takim razie, smakoszu?

Myśliwy podniósł aluminiową pokrywkę, przechylił gliniany garnek w stronę strażnika i palcem pokazał mu kilka małych kosteczek na dnie.

- A futerko? Pewnie spaliłeś? - zapytał z filuternym uśmiechem funkcjonariusz.

- Tak właśnie było, panie oficerze - odparł gospodarz, niezmiernie.

Przenikliwy wzrok przesłuchującego nie robił na nim wrażenia.

Odgrywali tę scenkę już tyle razy, że odpowiadanie na pytania już mu się znudziło.

- Pouczam pana, że polowanie na króliki jest niezgodne z ustawą o ochronie fauny... - Strażnik wyrecytował dość długą formułkę. - I w związku z tym nakładam karę, którą musi pan uiścić w ciągu siedmiu dni. Podpisz. - Podał myśliwemu świstek, który miał poświadczать, że rozumie pouczenie i zgadza się zapłacić karę.

Podpisany dokument strażnik złożył powoli, przyglądając się mu uważnie, i oddał swojemu towarzyszowi. Ten schował je do małej teczuski, na powrót wyprostował się i stał tak jak dotąd, bez słowa, patrząc w okno.

Prowadzący przesłuchanie wstał tymczasem od stołu i przyjął służbową pozę.

- To wszystko - powiedział i zaczął iść w stronę drzwi. Zanim jednak dotknął klamki, odwrócił się jeszcze, jakby o coś zapomniał, powodując, że jego mniejszy kolega zatrzymał się gwałtownie, spojrzał na myśliwego i powiedział coś, co starego troszkę zdziwiło: - Albo ty się kiedyś rozleniwisz, albo ja się wezmę do roboty i to będzie koniec któregoś z nas.

Po czym wyszedł, macając w kieszeni kilka świeżych, zmiętych banknotów.

To chyba właśnie jest paradoks, pomyślał stary, drapiąc się po wciąż nieogolonym policzku. Zdziwiło go to, chociaż się tego spodziewał, prędzej czy później coś takiego musiało się wydarzyć. I zdziwiło go też własne zdziwienie, bo przecież nie powinienem się temu dziwić, skoro się tego spodziewałem, więc będąc zdziwiony własnym zdziwieniem, jestem usprawiedliwiony. Ale to dziwne być zdziwiony własną reakcją.

Czuł się trochę jak w pułapce własnych myśli. Miał wrażenie, że udało mu się samego siebie zapędzić w kozi róg.

Chyba dziwaczej, pomyślał zrezygnowany. A może po prostu za dużo wypięm? A może za mało? Tak czy inaczej zaczyna mi się mieszać w głowie. No tak, to jedyne wytłumaczenie. Po tylu latach nie powinno mnie już nic zaskoczyć. Po ilu właściwie? Nie pamiętam. Nic nie pamiętam. Co było wcześniej? Przecież nie urodziłem się od razu taki ani nie zostałem wyhodowany w laboratorium.

Myśli zaczęły skakać w takim tempie, że przestał za nimi nadążać. Wypił resztę płynu z butelki na jednym wdechu i postanowił się od nich odłączyć. Postanowił się czymś zająć.

Schował karabin pod łóżko i pomacał ręką drewniany stelaż mebla od spodu. Pchnął jedną z desek ku górze i wsunął rękę w wąską przestrzeń między dwoma warstwami drewna. Jest, pomyślał z satysfakcją i wyjął małą książeczkę. Mit o Dedalu i Ika - widniało na nadpalonej okładce. Znał tę opowieść na pamięć, ale wciąż lubił ją czytać.

Ten zlepek papierów, już nie bardzo przypominający książkę, znaleziony pewnego dnia na plaży, odmienił jego życie. Wywołał tak wiele pytań, których nigdy wcześniej nie umiał sobie zadać. Nikomu nie mówił o swoim znalezisku, nie zgłosił tego w Agencji, choć dostałby nagrodę. A w razie wpadki czekała go kara. Posiadanie jednak czegoś tak tajemniczego i wspianalego - książeczki, jak było napisane na pierwszej stronie, z 1967 roku - czyniło go lepszym: dzięki niej chciwość i strach, czyli to, co nim zawsze kierowało, jakoś traciły swoją władzę, a ich miejsce zajmowały uczucia, których wstydział się przed samym sobą: smutek i nostalgia. Dzięki dawno zapomnianej historii polubił zastanawianie się nad tym, kim jest lub raczej był w czasie, którego nie pamiętał. Czy Dedalem, który doleciał do swojej Itaki, czy może Ikarem uratowanym po upadku do oceanu? Choć przecież Ikar nie przeżył...

To ta jedna mała książeczka sprawiła, że jego umysł stał się skomplikowanym mechanizmem, porównywał go teraz do labiryntu króla Minosa. Lubiał skradać się po jego zakamarkach, ale bał się trochę, że gdzieś na końcu tych zawiłych korytarzy spotka straszego Minotaura.

Poraziła go nagle świadomość swojej niewiedzy. A może ja wciąż żyję na Krecie, sformułował swoje rozterki metaforycznie. Był samotnym facetem, twardzielem, który nie znał własnej przeszłości i nikogo nie mógł o nią zapytać, więc właściwie czemu nie mógł być Kreteńczykiem?

Bawiąc się tą myślą, podszedł do drewnianego kufra stojącego pod oknem i wyjął z niego kolejną butelkę bimbru, woreczek suchych liści i kartkę bardzo cienkiego papieru. Dobył z kieszeni ostry scyzoryk i z pomocą płaskiego, równego kawałka drewna pociął arkusz, tworząc maleńkie prostokąci. Zgrabnym ruchem pokruszył suche liście, a to, co

otrzymał, pozawijał w małe kawałki papieru, podzieliwszy najpierw na niewielkie porcje. Papierosy układał w stosik na talerzu, a kiedy stwierdził, że ma już wystarczający zapas, schował resztę liści i pozostały papier do kufra. Mógł się teraz zająć czymś przyjemniejszym. Pełny talerz i butelkę - taki specyficzny posiłek - zabrał ze sobą do łóżka, ułożył się wygodnie i zaczął czytać. Wnet jednak powieki zaczęły mu ciążyć, z każdym zdaniem coraz bardziej. Po przeczytaniu kilku stron przestał walczyć z sennością i opuścił głowę na poduszkę.

Już po chwili sam uczestniczył w niesamowitych przygodach w jakiejś nieznannej krainie. Śnił, że leci jak Ikar ponad taflą oceanu, a im jest wyżej, tym bardziej bez troski się czuje. I tak aż do stanu, w którym nie istniało już nic, a leciał nigdzie. Bawił się przestrzenią i był po prostu bezgranicznie szczęśliwy w miejscu, w którym nie liczyły się przeszłość ani przyszłość, pełne przykrych wspomnień i przeczuć. Nie istniały tu też potrzeby. Wszystko było nim i on był wszystkim.

Wtem jego skrzydła zaczęły się rozpadać.

- O nie! - wykrzyknął we śnie. - Lecę zbyt wysoko. Popełniłem ten sam błąd co Ikar.

Próbował powoli opuszczać się na ziemię, lecz powietrze stawało się coraz gorętsze i utrudniało manewrowanie. Gdy wreszcie przeszył puchate, białe obłoki, jego oczom ukazał się ocean. Zaczął krzyczeć, zdał sobie bowiem sprawę, że nie uniknie śmierci.

Ocean płonął i z wysoka wyglądał jak stół, na który ktoś wylał benzynę i rzucił zapalniczkę. Płomienie były już tak wysokie, że ich najbardziej beczelne łapy parzyły skórę i paliły pióra na skrzydłach. W amoku próbował odnaleźć ląd, lecz było już za późno - ocean znajdował się tuż pod nim. Ląd zresztą, ledwie widoczny w oddali, był jednym wielkim pogorzeliem.

Spotkanie z taflą przyniosło chwilową ulgę jego rozgnionemu ciału. Kiedy uderzył w nią z impetem, podziękował losowi, że to jednak woda, a i za to, że obdarzył go tak pojemnymi płucami. Nie mógł jednak pozostać w głębinach na zawsze. Decyzji o wypłynięciu nie podjął sam. Ktoś go gdzieś poniósł, ktoś coś krzyczał, ktoś mu coś wpychał w usta, kiedy - zdezorientowany - znów patrzył na niebo i słońce. Trzęsło, bardzo trzęsło, a do tego te wysokie dźwięki, przypominające wycie, wwiercały mu się w uszy broniące się niemrawo przed kakofonią. Potem już tylko ciemność i cisza. Cisza, która tworzy własną melodię. Szumy, piski, chrobotanie. Ciemność, która dostarcza oczom więcej światła, niż są w stanie przyjąć.

Nagle poczuł się zmęczony tym nadmiarem, położył się na czymś twardym i zimnym i zwinął w kłębek. Zasnął we własnym śnie.

Obudził go huk dobiegający nie wiadomo skąd. Książka o Dedalu i Ikarze leżała na podłodze, papierosy turlały się w bezładzie, popychane delikatnym drganiem powietrza dostającego się do mieszkania przez wąską szparę między drzwiami a podłogą. Przeciągnął się i ziewnął głośno, dając tym samym światu do zrozumienia, że jeszcze żyje. Usiadł na łóżku i zaczął porządkować swój dziwny sen.

- Chyba najwyższy czas poleżeć gdzieś w południowej części wyspy - powiedział sam do siebie, jak to miał w zwyczaju. - Taaaak... Ze dwa, trzy tygodnie pobyczyć się na plaży. Wygrzać się w słońcu, popijając odchody bakterii wyhodowanych w szklanych baniakach. Tam akurat są one legalne.

Lubił nazywać rzeczy po imieniu. I nie tylko rzeczy. Ciało człowieka zwykł określać jako zbiór minerałów, które należało uzupełniać co jakiś czas, aby się ta kolekcja trzymała kupy. Ludzkie uczucia to były po prostu reakcje chemiczne. Dobro, zło, współczucie, agresja - pojawiały się w człowieku i znikaly, w zależności od aktualnego układu pierwiastków. Na tym jego zdaniem polegała równowaga w przyrodzie.

- Dobra, koniec tych filozofii - burknął pod nosem i machnął ręką. - Dziwaczejesz. A poza tym zasłużyłeś na odpoczynek. Pojedziemy sobie, staruszku, na południe, poleżymy, poopalamy się, może jeszcze jakąś smukłą sarenkę wyrwiemy. No, ale by było! Zabawimy się i pożyjemy jak ludzie, chociaż przez parę dni.

Mówiąc to, zaczął przygotowywać się do wyjścia. Najpierw wyjrzał przez okno i stwierdził, że płaszcz się jednak przyda. Buty, które zakładał bez pośpiechu, wyglądały tak, jakby nosił je jeszcze jego dziadek. Gotowy, z parapetu zabrał swoje dokumenty i zapalając papierosa, wyszedł. Drzwi zamknął bardzo skrupulatnie na dwa zamki i kłódkę. Nie chciał, aby ktoś pod jego nieobecność zaopiekował się jego karabinem. To mogłoby mu przysporzyć kłopotów na długie, długie lata. Idąc korytarzem, omijał koczujących tam grubasów, jak omija się zwalone pnie drzew w gęstym lesie.

Wreszcie znalazł się na zewnątrz. Dom stał pośrodku osiedla, składającego się z kilkudziesięciu kilkupiętrowych drewnianych budynków mieszczących kilkanaście osobnych mieszkań. Każdy podobny do tego obok. Starzec powiódł wzrokiem po nudnej zabudowie i skierował kroki w stronę pojazdu stojącego pośrodku porośniętego dziko rosnącą trawą placu. Jak większość samochodów na wyspie miał drewnianą karoserię, kierownicę i podłogę i niewiele elementów wykonanych ze stali. Ważne jednak, że jeździł i teraz starszy mężczyzna mógł nim dotrzeć do miasta położonego dwadzieścia mil na południe. Piętnaście mil trasy wiodło przez gęsty las, dziki i zarośnięty niczym dżungla. Kilkudziesięciometrowe drzewa nie przepuszczały wiele światła do jego dolnych partii, a mimo to rośliny zdołały utworzyć

gąszcz nie do przebycia bez użycia maczety. Jedyne wąski pas drogi był utrzymany w jako takim porządku.

Las kończył się nagle, przechodząc w sawannowy krajobraz, tworzony przez wysoką na metr i więcej trawę. Mężczyzna z ulgą powitał otwartą przestrzeń, z rzadka urozmaiconą drewnianym domkiem z zaniedbaną elewacją i ugiętym pod ciężarem starości dachem.

Cywilizacja zaczynała się jeszcze kilka mil dalej, wraz z drogą ułożoną z kamieni - pierwszą oznaką rachitycznego miasta, na które składało się kilka budynków, z czerwonej cegły lub drewnianych. Na niektórych wisiały szyldy - „Mięso”, „Narzędzia”, „Warzywa” - wszystkie tak samo rzeczowe, bez żadnych promocyjnych haseł, prosto oznajmiające, co można dostać w środku. Konkurencja tu zresztą nie istniała - nie było dwóch sklepów z takim samym asortymentem.

Mężczyzna nie zamierzał robić tu zakupów. Przejechał przez senne osiedle i skierował się do centrum miasta, gdzie mieściło się biuro Agencji. Nie podjechał jednak pod sam budynek, zaparkował kilkaset metrów od celu i poszedł pieszo. Już z daleka dostrzegł sylwetki dwóch osób stojących przy bramie. Muzycy zajęci byli śpiewaniem swojego standardowego repertuaru. Wychodziło im nawet niezłe, ale myśliwy minął ich bez zwracania uwagi na walory artystyczne i podążył do budynku. Przed wejściem natknął się na młodego strażnika, któremu skinął głową niezbyt zresztą uprzejmie, i wszedł do środka.

Przywitała go krótkim uśmiechem i ziewnięciem młoda dziewczyna drzemiąca za kontuarem.

- Przepraszam - powiedziała cicho i zachichotała zawstydzona.

- Trochę dziś nudno, co? Jeszcze z pół godzinki i będzie pani mogła się zmyć - odpowiedział na to osobliwe powitanie. - Wielce szanowny pan kierownik do spraw środowiska urzęduje czy może zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach? - zadał pokrętne pytanie, chcąc rozbawić dziewczynę.

- Jest u siebie. Niech pan głośno zapuka, bo pewnie śpi. - Sekretarka uśmiechnęła się z dowcipu i przetarła twarz dłońmi.

- Już ja go obudzę. - Mrugnął okiem do dziewczyny i ruszył lewym korytarzem.

Drzwi do szukanego gabinetu, z numerem 1, znajdowały się dwa kroki od recepcji, podszedł do nich, teatralnym gestem podrapał się w głowę i gwałtownie szarpnął klamkę. Potem pchnął mocno drzwi i z okrzykiem: „Dzień dobry, szefuńciu” wparował z impetem do środka. Żałował, że nie widzi miny recepcjonistki.

Mężczyzna w gabinecie, oparty od dłuższej chwili wygodnie o parapet i gapiący się w okno, aż podskoczył z przerażenia i złapał się za serce.

- Ty popaprany idioto... - wykrzyknął drżącym głosem. - Czego chcesz? Nie mogłeś zadzwonić? Miałbym spokojniejszy dzień.

Myśliwy prawie dusił się ze śmiechu.

- Mam dla ciebie dobre wieści - powiedział po dłuższej chwili, tłumiąc rechot. - Podaruję ci trzy tygodnie spokoju. Chcę wziąć urlop. Pojadę w cholerę, a ty odpoczniesz, zgoda? - Rzucił na biurko dokumenty i rozsiadł się na krześle.

„Sze fuńcio” spojrział na niego z zaciekawieniem, po czym bezzwłocznie wyjął z biurka teczkę, a z niej odpowiedni formularz. Zagarnął dokumenty starego do siebie i szybko zaczął wypełniać kolejne rubryki.

- Wiesz co, weź sobie cztery tygodnie - zaproponował - Damy sobie radę bez ciebie, no i będziemy mieć mniej kłopotów. Nie będzie historii o królikach opalających się na plaży, nie będzie zawałów serca... A jak coś zbroisz, to się tym będą martwić gdzie indziej. Proszę, oto twoja przepustka. Możesz jechać, dokąd tylko zechcesz, taki mam dzisiaj gest. Jeśli znajdziesz jakąś dobrą łódź, to nawet na Drugą Wyspę możesz sobie popłynąć i tam zostać. Niech cię tam zjedzą albo... nie wiem. Do widzenia, żegnam pana. - Urzędnik oddał dokumenty i pozwolenie na swobodne poruszanie się po całej wyspie.

- Jakież to miłe z twojej strony. Odejdę teraz w nieznaną w poszukiwaniu swojego szczęścia i kogokolwiek spotkam, będę mu opowiadał o twej wielkoduszności i wspaniałomyślności, o życzliwy - odparł myśliwy i nie przestając się uśmiechać, opuścił gabinet.

Podszedł do kontuaru, gdzie młoda kobieta już prawie zasypiała na niewygodnym krześle.

- Jadę na cztery tygodnie na samo południe. Może się pani ze mną wybierze? - zapytał, mrugając do niej.

- Nie, dziękuję. Wolę północ, śnieg i mróz. I kogoś w moim wieku - odparła, patrząc prosto w oczy adoratora z lekkim rozbawieniem.

- Cóż, szkoda. Zatem będę musiał sobie znaleźć inną narzeczoną. - Myśliwy spuścił głowę z udawanym smutkiem. - Do widzenia - rzekł jeszcze i wyszedł z budynku.

Szedł wolno, rozglądając się na boki i tuż za bramą natknął się wzrokiem na znajomą sylwetkę. Szczupły, wysoki mężczyzna z długimi czarnymi włosami znajdował się jakieś dwieście metrów przed nim i zmierzał w stronę biura.

- Hmm... Nasz świeży wdowiec - powiedział do siebie półgłosem i odwrócił się na pięcie.

Nie miał ochoty spotykać się ze swoim klientem. Wiedział, że prędzej czy później gdzieś na siebie wpadną, wolał jednak, żeby to było później.

Czym prędzej wsiadł do swojego samochodu i odjechał. Gdy tylko ruszył, zapomniał o chłopaku i zaczął się cieszyć na planowany urlop. Wyobrażał sobie siebie leżącego na plaży i niemal czuł gorące promienie słońca na swej twarzy. Przypominał sobie, jak pachnie tamto miejsce i jak smakuje tamtejszy alkohol. Wspominał, jak to przyjemnie jest być obsługiwanym i nie musieć nic robić. Bo tam wszystko za niego zrobią ci, którzy chcą zapracować na kurację, ci gorsi, niewolnicy własnej fizjologii.

- Taaaaak. A najfajniejsze są niewolnice - rozmarzył się na głos i bezwiednie uśmiechnął.

Dawno nie czuł ciepła kobiety, jej zapachu i smaku. Zatęsknił za tym nagle, choć nie mocniej niż za innymi atrakcjami. Przeliczał w głowie, ile ma zaoszczędzone i ile będzie mógł wydać na zabawę. Z zadowoleniem stwierdził, że będzie to całkiem udany urlop.

W domu od razu zajął się pakowaniem. Najpierw włożył trochę ubrań w płócienny worek i zaniósł pakunek do samochodu, a następnie udał się do małej drewnianej szopy i otworzywszy kłódkę zawieszoną na drzwiach, zabrał z niej cztery dwudziestopięciolitrowe baniaki z ropą. Umieścił je w bagażniku i przywiązał mocnym sznurem do ramy samochodu. Nie zapomniał też o najważniejszym. Wrócił do mieszkania i spod łóżka wy dobył karabin. Wychodząc, zamknął drzwi na cztery spusty. Był gotowy na wczasy. Czekala go teraz trzydniowa podróż na południe.

- Trzymajcie się, leniwe tłściochy - krzyknął, mijając ostatnie zabudowania, i pomachał niewidocznym mieszkańcom wioski na pożegnanie.

Podróż mijala mu spokojnie. Specjalnie nie zabrał ze sobą żadnego alkoholu, gdyż wiedział, że nie oprze się pokusie i czas podróży niepotrzebnie się wydłuży. Nie chciał też zasnąć podczas jazdy, a po alkoholu to przecież normalne. Nie żeby się bał śmierci, raczej tego, że się połamie i zmarnuje sobie urlop.

Miał przed sobą wiele godzin za kółkiem, ale nie gnał na złamanie karku. Równym tempem przejeżdżał przez lasy, pustynie i sawanny, mijal tereny rolnicze i gęsto zaludnione wioski i miasta. Kilkakrotnie robił dłuższy postój, polował na jakiegoś ptaka czy zająca, odpoczywał i przesypiał kilka godzin. W miasteczkach uzupełniał zapasy paliwa i wody i bez zawierania jakichkolwiek znajomości ruszał dalej. Podniecało go planowanie każdego dnia urlopu, stwierdził nawet, że jest to równie przyjemne jak samo leniuchowanie, więc nawet jeżeli podróż potrwałaby dzień dłużej, nie zamierzał się przejmować. Tym bardziej, że dzięki swemu wybrykowi w biurze dostał tydzień wolnego ekstra.

Czwartego dnia krajobraz za oknem w niczym nie przypominał już jego stron. Teren stawał się z każdym kilometrem coraz bardziej płaski, a trawa coraz gęstsza. Powietrze w odczuwalny sposób wilgotniało i stawało się gorętsze. Koło południa poczuł wreszcie aromat, który tak dobrze pamiętał; zatrzymał zaraz samochód i wysiadł. Zapachy gnane w jego stronę delikatnymi podmuchami chłodzącego wiatru pobudziły jego wyobraźnię. Zamknął oczy i zaczął wdychać woń bujnej roślinności, słonej wody i czegoś jeszcze, dużo mniej określonego. Kilka minut takiej „kuracji” sprawiło, że przeciągnął się jak młodzieniaszek i rozprostowawszy zmęczone plecy, żwawo wskoczył do samochodu. Nie czuł już zmęczenia, a tylko niepojętą radość i lekkość, której nie potrafił opanować.

Po dwóch godzinach dotarł do miasteczka, którego ulice zapchane były tłumami wczasowiczów. Wzrok nie mógł nadążyć za kaskadą kolorowych straganów z owocami morza, wysokich, murowanych budynków hoteli i milionami barwnych kwiatów i drzew rosnących wzdłuż piaszczystej drogi miasta. Przejeżdżał między tym całym luksusem powoli, przypominając sobie, jak to miejsce wyglądało przed laty. Z pewnością skromniej - przez ten czas, kiedy tu nie przyjeżdżał, powiększyło się co najmniej kilkukrotnie, było weselsze i bardziej kolorowe.

Hotel Agencyjny, w którym miał się zatrzymać, mieścił się w ceglany budynku po drugiej stronie miasta. Nie było to jedno z tych miejsc wszelkiego zbytku, jakich nie brakowało w kurorcie, ale miał jedną zaletę: był darmowy. Jako pracownikowi Agencji starcowi przysługiwał pokój z wyżywieniem przez cały okres pobytu. Resztę atrakcji musiał sobie zapewnić sam.

Wchodząc do środka, nie zapomniał o karabinie. Rozglądał się na boki, chowając go głębiej i oswajając się z chłodem i półmrokiem, jakie pamiętał sprzed lat. Na recepcji stał młody, otyły chłopak o rudych włosach. Dwóch strażników siedziało wygodnie na krzesłach pod ścianą. Podeszedł do kontuaru i podając chłopakowi dokumenty, przywitał się z całą trójką skinieniem głowy. Recepcjonista przejrzał papiery, zezwolenie na czterotygodniowy urlop ledwie musnął wzrokiem, i wpisał dane mężczyzny do książki gości. Dopełniwszy formalności, wyjął z biurka klucz i zapisał numer pokoju znajdujący się na breloczku obok danych urlopowicza.

- Pokój numer 21. Drugie piętro, pierwszy po lewej - powiedział, przerywając na krótką chwilę grobową ciszę.

Mężczyzna wzruszył ramionami, wziął klucz i ruszył w stronę schodów, które chłopak zza kontuaru wskazywał mu ręką, odprowadzany wzrokiem przez znużonych ochroniarzy. Wspiął się na drugie piętro i znalazł swój pokój. Kiedy wszedł do środka, mógł się przekonać,

że pokoje akurat nic się nie zmieniły przez te wszystkie lata. Jego wyglądał tak samo jak ten, który zajmował wiele, wiele lat temu, gdy był w tym hotelu ostatni raz, jeszcze ze swoją żoną. Gołe ściany w zielonym kolorze, jedno duże łóżko, dwudrzwiowa szafa i po prawej drzwi do łazienki - to wszystko. Skromnie, ale koniec końców pomieszczenie miało mu służyć tylko do spania, leczenia kaca i ewentualnych igraszek z płatnymi panienkami, więc właściwie wystarczyłoby i samo łóżko.

Urlopowicz wnet poczuł się swojsko w tym wnętrzu. Karabin w skórzanym futerale zawinął w koc zdjęty i położył na szafie, tak aby nie był zbyt widoczny, i udał się do samochodu po worek z ubraniami. Kiedy miał już w pokoju wszystko, czego potrzebował, wziął długą, ciepłą kąpiel w towarzystwie butelki dobrego, legalnego alkoholu. Mokry i nagi, walnął się potem na łóżko i uraczył kilkugodzinną drzemką.

Gdy się obudził, było już ciemno, ale wciąż ciepło. Z ulicy dochodziły go różne dźwięki: głosy ludzi, czasem też krzyki i śmiechy, muzyka, brzęk tłuczonego szkła. Ludzie bawili się tu dzień i noc, więc postanowił, że on zacznie już w pierwszy wieczór. Nie było na co czekać. Ubrał się czym prędzej i zabrawszy kilka banknotów zwiniętych w rulon, wyszedł. Mimo tego, że wiele się zmieniło od jego ostatniej wizyty, wciąż umiał znaleźć drogę na plażę. Zanim tam ruszył, zapalił papierosa, postąpił chwilę przed drzwiami hotelu, przyglądając się ludziom na ulicy i oswajając z kurortem.

Na brzeg dotarł po dziesięciu minutach przyjemnego spaceru. Już z daleka słyszał melodie wygrywane przez muzyków na niewielkiej zadaszonej scenie. Wzdłuż plaży ciągnęły się niezliczone bary, wciąż jeszcze wszystkie otwarte, stoiska ze słodyczami, papierosami i wszelkiej maści pamiątkami. Od razu skierował swe kroki do baru, gdzie postanowił zostać, dopóki mu nie braknie sił lub pieniędzy. Co chwila zaczepiały go kobiety oferujące swe ciała za kilka papierowych zwitków; młode i piękne, stare i brzydkie, zdrowe i kalekie, a każda próbująca zarobić na kurację dla siebie albo dla kogoś bliskiego. Dzisiaj jednak nie miał ochoty na żadną z nich. Mógł jedynie na nie popatrzeć, kiedy tak siedział i delektował się spokojem. Chciał na chwilę zapomnieć o tym, że jest niewolnikiem, który musi co noc wychodzić z karabinem w las i odstraszać lub zabijać drapieżniki podkradające się do wioski, by zjeść któregoś z tych nieszczęsnych tłuszczochów. Chciał przestać myśleć o zastawianiu sideł i walce z dzikimi bestiami.

Tego wieczora upił się tak, że nie pamiętał, jak znalazł się z powrotem w hotelu. Nie to było jednak ważne, jedynym jego zmartwieniem po przebudzeniu był kac. Rozciągał się na łóżku, okno było otwarte i wlewał się przez nie piekielnie duszny żar, a w głowie dudniło mu jak na jakimś dancingu.

- EEEhhh... To na pewno przez zmianę klimatu - wymruczał do siebie.

Leżał tak jeszcze długo w ubraniu, starając się sobie przypomnieć, o której opuścił bar i jaką drogą szedł do hotelu, a tym samym usiłując przezwyciężyć ból głowy.

Wreszcie się poddał i stwierdził, że musi się napić. To będzie najlepsze lekarstwo, usprawiedliwiał się przed sobą. Nie zdążył jednak. Gdy próbował doprowadzić do tego, by jego nogi zetknęły się z podłogą, drzwi wleciały nagle z hukiem do środka pokoju, razem z futryną i kawałkami tynku, a przez dziurę w ścianie wskoczyło kilku strażników. Trzech od razu rzuciło się na niego i przewróciło. Leżał na brzuchu ze związanymi z tyłu rękami, a czterech mężczyzn niezajętych przyciskaniem go do podłogi, przeszukiwało pokój. Szybko znaleźli karabin, a wtedy wspólnie już podnieśli go i posadzili na krześle.

- W czwartek zabiłeś kobietę na plaży - nie pytał, a oznajmiał najstarszy rangą. - Teraz wracasz do domu. No, nie do końca do domu. Zostaniesz odwieziony do swojego miasteczka, tam cię osądzą i pewnie przerobią na kilka fiolek brązowej mazi.

- To pomyłka, to nie mój karabin. - Nic lepszego nie był w stanie na ten moment wymyślić jego odwodniony i pozbawiony cukru mózg.

- To już nie nasz problem. My mamy cię tylko dostarczyć. Jedziemy, wozy są już przygotowane. Przeszukać go - rozkazał oficer jednemu ze strażników.

Ten przegrzebał pobieżnie kieszenie myśliwego i zabrał kluczyki od jego samochodu. Pieniędzy nie ruszył.

- Samochód pewnie przyda się komuś innemu. A teraz wstawaj. Czekają nas długa droga. - Strażnik machnął znacząco ręką w stronę wyrwy w ścianie.

Aresztowany posłusznie wstał i ruszył do wyjścia. Przed hotelem dostrzegł trzy potężne półciężarówki, całe z metalu. Dwóch strażników wpełchnęło go na tylne siedzenie tej stojącej w środku i wsiadło razem z nim. Kierowca dał klaksonem sygnał, że jest gotowy i wszystkie trzy auta ruszyły w kilkudniową podróż na północ.

Myśliwy bardziej niż zły był zdezorientowany. Nikt mu nie mógł widzieć za tym drzewem, kombinował. Ten facet też nie poszedł przecież do Agencji i nie powiedział, że zaplanował zabójstwo żony i skorzystał z mojej pomocy. A może? Nagle stracił pewność co do jego lojalności i pocztytalności. Przestał jednak się nad tym zastanawiać i postanowił się zdrzemnąć. Teraz już i tak nic nie wymyślę, próbował się uspokoić, a potem się zobaczy, co z tego będzie. Albo mnie uniewinnią, albo ucieknę. Oni wszyscy tak się nadają na strażników i śledczych jak ja na baletnicę. Dumie, urlop mi tylko zepsuli. Nie zdążyłem nawet dotknąć którejś z tych przymilnych dziwek.

Sen nadszedł tak samo nagle jak niespodziewany atak strażników w pokoju hotelowym i przerwał rozmyślenia nad nieciekawie przerwany urlopem.

Wyspa miała koncentryczny układ i to na samym jej środku, w dużym, ponadtrzymilionowym mieście rozłożonym na obszarze pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, tętniło jej serce. Było to zarówno centrum przemysłowe, jak i kulturalne. Huty stali sąsiadowały tu z amfiteatrami, a wytwórnia plastików z operą. Z wodnego parku rozrywki można było w pół minuty przejść do betoniami, biblioteka dzieliła podwórko z tartakiem, kino mieściło się pod bokiem rafinerii. Pomiedzy wielkie budynki powciskane były małe sklepiki z odzieżą lub restauracyjki mogące pomieścić najwyżej tuzin osób.

Miasto na pozór było bardzo chaotyczne, tak naprawdę jednak miało dobrze przemyślany układ spiralny. W ten sposób mogło się rozrastać bez końca. Każdy kolejny budynek - czy to blok mieszkalny, czy wodociąg połączony ze studnią głębinową, czy też kolejna fabryka - powstawał po prostu na wolnym miejscu, w przypadkowym sąsiedztwie. Miasto rozpoczęło swą ekspansję od ogromnego okrągłego pałacu, który usadowił się w samym środku wyspy. W pierwotnej wersji ceglany, potem remontowany i przebudowywany, pałac stał się wreszcie potężną, marmurową twierdzą, schowaną pomiędzy połaciami lasów i ogrodów, których granicą były stalowobetonowe mury, grube i wysokie na kilka metrów. Nazywano go potocznie Centralą, jako że gmach był siedzibą Rady Starszych.

Rada Starszych składała się z trzystu członków, którzy decydowali o wszystkim, co działo się na wyspie. Oni stanowili prawo i oni je egzekwowali. Czuwali nad pracą każdego urzędu i wszystkich służb, w tym oczywiście wojska, kontrolowali z pełną stanowczością życie całego społeczeństwa i każdego obywatela z osobna. Rządzili w sposób przywodzący na myśl metody władzy absolutnej, choć byli wybierani demokratycznie. No, prawie demokratycznie. W każdym z czterech miast rozrzuconych na krańcach wyspy wybierano pięćdziesięciu spośród trzystu najstarszych mieszkańców, którzy na czas sprawowania urzędu przeprowadzali się z rodzinami do Miasta Głównego w centrum wyspy. Co trzy miesiące jeden z nich, odbywało się losowanie, wracał na tydzień do rodzinnej osady, aby przeprowadzić małą kontrolę, zasięgnąć języka o potrzebach społeczeństwa i przekonać się naocznie o stanie miasta. W Radzie Starszych zasiadali też przedstawiciele Miasta Głównego, z racji jego ważności w liczbie stu, stąd w sumie liczyła sobie właśnie trzystu członków. Jej przewodniczącym zostawał zawsze najstarszy mieszkaniec wyspy, o ile zgodził się przyjąć na siebie taką odpowiedzialność. Jeżeli nie, urząd proponowano następnemu w kolejności najstarszemu mężczyźnie. Funkcja Przewodniczącego była bardzo prestiżowa, a polegała przede wszystkim na pilnowaniu porządku podczas obrad. Nikt nie miał prawa zabrać głosu

lub w jakikolwiek inny sposób demonstrować swego stanowiska bez jego pozwolenia. To on decydował o temacie obrad oraz o tym, które z wniosków zostaną rozpatrzone, a które odrzucone. Przewodniczący Rady Starszych stawał się jedynowładcą, i to zgodnie z obowiązującym prawem. Oczywiście, musiał przyzwolić na podjęcie uchwały, za którą zagłosowała większość niezależnie od własnych zapatrywań, w praktyce jednak nikt nie kwapił się do walki z Przewodniczącym, czyli forsowania odmiennych poglądów, gdyż kończyło się to zwykle przeszukaniem domu oponenta i odkryciem kontrabandowego alkoholu lub jakichś niezarejestrowanych przedmiotów.

Przewodniczący miał do dyspozycji armię złożoną ze stu doskonale wyszkolonych żołnierzy, których jedynym zadaniem było dbanie o jego bezpieczeństwo. Zamieszkiwał w gmachu Centrali, gdzie na niego i jego rodzinę czekało przestronne i luksusowe mieszkanie.

Aktualnie funkcję tę pełnił potężny mężczyzna, mierzył prawie siedem stóp i ważył sto czterdzieści kilogramów, i już samym wyglądem mógł wzbudzać strach. Długie, białe jak śnieg włosy i taka sama broda nadawały mu jednak powagi i nobliwości i raczej roztaczał wokół siebie aurę spokoju niż grozy. Był oczywiście najstarszym człowiekiem na wyspie, ale nawet o połowę młodszy od niego zazdrościli mu witalności.

Dawno już zapadła noc i Przewodniczący wreszcie udał się na zasłużony wypoczynek. Spał spokojnie, nieświadomy zdarzeń, które następowały szybko, jedno po drugim, układając się w reakcję łańcuchową. Gdy się kładł, jego myśli zaprzętało przede wszystkim piątkowe zebranie Rady. To przez nie długo nie mógł zasnąć, wyobrażając sobie, jak będzie przekazywał wszystkim wieści. A były naprawdę dobre: wreszcie mógł się pochwalić pojmaniem Barbarzyńcy, zbiegłego wiele lat temu. Właśnie był transportowany do Miasta Głównego.

Było już dosyć jasno, gdy zadzwonił telefon stojący na komodzie obok łóżka. W meandry spokojnego snu Przewodniczącego dźwięk wdzierał się tak natarczywie, że nawet jeszcze nie do końca rozbudzony starzec wiedział, że stało się coś naprawdę niedobrego. Przez całą jego kadencję, która trwała dłużej niż żywot niejednego nieszczęśnika na tej wyspie, jeszcze nigdy nie został obudzony przed siódmą rano. W końcu otworzył oczy i podniósł słuchawkę. To, co usłyszał, przyprawiło go o palpacje serca.

Jego adiutant meldował mu pospiesznie, że przed minutą dzwoniło z Miasta Wschodniego z informacją, że więźniowie uciekli. Przewodniczący nie dopuszczał do siebie najgorszego i trzy razy pytał, czy wśród zbiegów na pewno był poszukiwany od wielu lat Barbarzyńca. Adiutant posłusznie trzy razy zapewniał go, że informacje są pewne i że cała trójka zdołała opuścić areszt. Starzec pogodził się w końcu z tą wieścią, wydał szybko

rozkazy i odłożył słuchawkę. Rozgoryczony, usiadł na łóżku i gapił się w ścianę. Siedział tak przez pół godziny, pozwalając najczarniejszym myślom swobodnie biegać po jego głowie. Po raz drugi uciekł im człowiek, którego życiowym celem było prawdopodobnie pomszczenie śmierci bliskich. Ta wiadomość była tak trudna do zniesienia, że przez chwilę nawet wmawiał sam sobie, że jeszcze śpi i że to tylko koszmar odbijający jego wieczorne podniecenie. Przecież od kilku dni myślał tylko o tym, że wreszcie mają tego zbiega.

Nie, to nie sen. Słońce już wstaje i wszelkie sny już dawno odpłynęły, skarcił się wreszcie za dziecinne mrzonki. Nie miał więcej czasu na rozczulanie się nad sobą. Wstał powoli, podszedł do masywnego biurka stojącego naprzeciw łóżka i wyjął z szuflady plik kartek. Zamykając ją i odsuwając krzesło, starał się zachowywać jak najciszej, by nie zbudzić czarnowłosej piękności, która prawdopodobnie nie umiała jeszcze mówić, kiedy on obejmował swój urząd. Usiadł i zaczął się zastanawiać, jak napisać ten czarny scenariusz, by zakończenie było korzystne dla niego. Aby tak się stało, musiał wszystko zaczernić jeszcze bardziej. Każde wypowiedziane w tej sprawie słowo musiało zawierać w sobie gorycz i jad.

Zgroza, zgroza, po trzykroć zgroza nam, bracia!

Pierwsze zdanie na białej kartce napisał pewną ręką. Na twarz wrócił uśmiech dumnego przywódcy. Kolejne akapity nie stanowiły już problemu. Zagrożenie w pełnej krasie rozlało się po papierze.

Gdy skończył, spojrzał zadowolony na gruby plik kartek. Pomyślał, że ucieczka tego zbira może przysporzyć mu nawet wiele korzyści. Przecież i tak go kiedyś złapią, to tylko kwestia czasu, a do tego momentu jego władza umocni się jeszcze i będzie mógł

Z tą pocieszającą myślą spojrzał na zegar na ścianie. Była już za dziesięć siódma, zaczynał się kolejny dzień. Wstał od biurka i zadzwonił do adiutanta, by przekazać mu, że tym razem nie potrzebuje budzenia, po czym wrócił do łóżka i w pozycji półleżącej, podparty na łokciu, gładził długie i niebywale gęste włosy swojej młodej żony. Kobieta wyczuła jego dłoń na swoim ciele i zaczynała się rozbudzać, rozciągając zastygłe mięśnie i pojękując przy tym cichutko. Starzec tylko na to czekał. Jej ponętne ciało zdradzało swoje sekrety pod delikatnym, jedwabnym nakryciem, a on chciał znowu ich posmakować. Powoli i delikatnie zsuwał chłodny materiał, ciesząc oczy kształtami, które odkrywał za każdym razem na nowo. Teraz mógł delikatnie gładzić krągłe i jędrne pośladki dziewczyny wierzchem dłoni, podczas gdy druga odgarniała włosy z szyi, a usta muskały najpierw płatki uszu, a później kark, na którym włoski zjeżyły się, jakby temperatura spadła nagle do zera. Po chwili jej ciało zareagowało na pieszczoty, biodra zaczęły falować rytmicznie, w górę i w dół, a oddech i tętno przyspieszały z każdym ciepłym pocałunkiem mężczyzny. Nie przestawał jej pieścić,

posuwając się coraz niżej i niżej, aż dotarł do ud. Wtedy zdecydowanym ruchem obrócił żonę na plecy i znalazł ustami jej ciepły brzuch. Zlizywał słone resztki snu z jej jedwabistej skóry, podczas gdy nozdrza chwytały skrawki zapachu. Aż wreszcie, zatracając się do końca, spijał soki, którymi obdarzyła go obficie, jak najśłodsze wino z kryształowego pucharu. Dłonie kobiety kurczowo trzymały się jego włosów opadających swobodnie na jej uda, które zaczęły się coraz częściej i mocniej zaciskać, szukając wspólnego rytmu z falującymi biodrami. Aż wreszcie całe jej ciało uniosło się w spazmie, tak że rozogniony kochanek nie mógł dosięgnąć już ustami źródła rozkoszy. Uniósł się więc i on i przygniótł ją swym ciężarem. Wszedł w nią mocno. Kochali się nerwowo i namiętnie, jak skłębione, czarne niebo ze wzburzonym oceanem w czasie sztormu. I tak jak potężna burza wybucha nagle i nagle traci całą swą moc, rozegrał się ten miłosny akt.

Jej ciało stygło powoli. Zmęczona, naciągnęła na siebie skrawek jedwabnej pościeli, by jeszcze przez chwilę zatrzymać pod nią zapach namiętności. On ucałował ją delikatnie w czoło, patrzył na nią ciepło jeszcze chwilę i bez słowa poszedł do łazienki.

Spędził tam więcej czasu niż zwykle, znajdując przyjemność w uderzeniach kropeł gorącej wody. Gdy wrócił do sypialni, dziewczyna pogrążona była w głębokim śnie. Patrząc na nią, dziwił się, że w jego wieku stać go jeszcze na miłość. Po tych wszystkich kobietach, które miał na własność, potrafił wciąż znaleźć w sobie odrobinę prawdziwego uczucia i obdarzyć nim tę młodą kobietę. Dlaczego akurat ją? Przecież nie tylko z powodu urody i temperamentu łączącego elementy kobiecości i dziewczęcości.

Była nieprzeciętnie inteligentna, miała intuicję i potrafiła wyczuć jego nastrój i stać się jego częścią. Uwielbiał to w niej, choć czasami nie wiedział już, czy ona robi to z miłości czy z wyrachowania. Dlaczego jestem przy niej tak szczęśliwy? A może od niej zależny pomyślał nagle z lekkim niepokojem.

Nie był to jednak najlepszy moment na takie rozważania. Spojrzał na plik kartek leżących na biurku i jego twarz stała się na powrót kamienna. Miał przed sobą bardzo ważny dzień i musiał starannie przeprowadzić wszystkie elementy planu, który obmyślił. Z ogromnej, dębowej szafy pełnej ubrań wyjął białą płócienną tunikę i sprawnym ruchem nasunął ją na mokre ciało. Był gotów. Zabrał swoje notatki z biurka i starał się wyjść jak najciszej. Udał się na śniadanie. Poranny seks i długa kąpiel wzmogły jego apetyt, zwykle i tak nieposkromiony. Jadł długo i powoli, przeżuując każdy kęs, jakby to miał być ostatni posiłek w jego życiu. Nie wiedział jednak ani co serwował kucharz, ani jaki jest smak potraw, pochłonięty rozmyślaniami o młodym człowieku z czarnymi jak smoła, kręconymi włosami, który swoją ucieczką z więzienia kilka godzin temu odmienił bieg wydarzeń na całej wyspie.

Z tą samą myślą wstał od stołu i przeszedł do biblioteki, wielkiego i ciemnego pomieszczenia, gdzie zasiadłszy w głębokim, skórzanym fotelu, starał się zrelaksować przed porannymi obradami starszyzny. A cholera z tym wszystkim, pomyślał nagle, zniecierpliwiony, i spojrzął na zegarek. Było już wpół do dziewiątej. Trochę się spóźnię, nic wielkiego, spekulował. Niech sobie podeliberują z piętnaście minut o przyczynach mojej nieobecności. Ciekawe, ilu z nich pomyśli, że pewnie już mnie nie ma wśród żywych.

Zasypiał i było mu dobrze. Został obudzony zbyt wcześnie, potem wyczerpały go miłosne uniesienia i postanowił - jak nigdy - uciąć sobie małą drzemkę przed obradami.

Zakończył ją adiutant, wchodząc do biblioteki o dziewiątej piętnaście i oznajmiając Przewodniczącemu, że jest już o kwadrans spóźniony. Starzec przetarł zaspane oczy i spojrzął na kartki porozrzucane po podłodze. Nim zdążył się schylić, jego podwładny pozbierał je, a potem wyciągnął rękę, aby pomóc wstać mężczyźnie z miękkiego fotela.

- Cóż! Trzeba iść i przekazać im złe wieści - powiedział do żołnierza i uśmiechnął się półgębkiem.

Nie spieszył się do sali obrad. Duży hall wyłożony grubym dywanem przeszedł powoli, a potem, równie wolno, pokonywał szerokie schody. Zszedł nimi dwa piętra i przeszurał skórzanymi sandałami przez wąski korytarz. Na jego końcu znajdowały się małe, lecz masywne dwuskrzydłowe drzwi. Żołnierz, dotąd trzymający się kilka kroków za swoim przełożonym, minął go i otworzył oba skrzydła, po czym stanął w drzwiach i oznajmił:

- Przewodniczący wchodzi na salę.

W półokrągłym pomieszczeniu zapanowało lekkie poruszenie, kiedy trzystu starców wstało jednocześnie ze swych miejsc. Siwe głowy i brody przez chwilę tworzyły spektakl przedstawiający mgły unoszące się nad połaciami zeschniętej trawy.

Przewodniczący zajął miejsce na ambonie pośrodku półokręgu i gestem nakazał członkom Rady, aby usiedli. Mgły opadły i nastąpiła cisza, tak przejmująca, że każdy ze zgromadzonych mógł słyszeć bicie serca swego sąsiada. A serca starców były tego dnia wyjątkowo mocno. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, aby przewodniczący spóźnił się na obrady, byli przekonani, że wydarzyło się coś naprawdę niezwykłego. Wszyscy z niecierpliwością czekali na pierwsze słowa Przewodniczącego, ale ten - wyczuwając ich niepokój - specjalnie przeciągał rozpoczęcie przemówienia. Siedział w fotelu z twarzą skrytą w dłoniach i wydawał się nieobecny. Minęło kilka dobrych minut, nim wreszcie wstał, ręką zatoczył krąg ponad głowami zgromadzonych i zrozpaczonym głosem rozpoczął:

- Zgroza, zgroza, po trzykroć zgroza nam, bracia!

Spuścił głowę i przerwał na kilkanaście sekund, a by nadać swojej mowie jeszcze większego dramatyzmu, podniósł ręce i zaczął rwać włosy z głowy. Zdziwienie i przestrach kazały zgromadzonym starcom przerwać zwyczajową ciszę.

Gdy przewodniczący uznał, że napięcie na sali sięgnęło zenitu, wrócił do przemówienia.

- Jak wszystkim wiadomo, kilka dni temu złapano największego złoczyńcę... Barbarzyńcę! Ten, który miał szansę zostać jednym z nas, ten, któremu podarowaliśmy lepsze życie, ten, który mógł żyć tak, jak my żyjemy, i w którego ucywilizowanie włożyliśmy ogromny wysiłek... Ale też ten, który niemalże obrócił nasze miasto w kupę gruzu... Ten, który niemalże zniszczył naszą cywilizację i cały nasz kulturalny oraz intelektualny dorobek! Każdy z was pamięta tę czarną noc, noc ognia i śmierci. Jeden człowiek, jedna istota tego potrafiła dokonać...

Znów zamilkł i znów spuścił głowę, potrząsając nią w udawanym geście rozpacz. Gdy spojrział ponownie na zebranych, z jego oczu sączyły się łzy. Kontynuował, nie ocierając ich.

- Ten człowiek wzniecił pożar, który mógł ogarnąć cały świat. Jakaż on jest niebezpieczną istotą! Poszukiwany przez dziesięciolecia, wreszcie uznany za zmarłego, odnalazł się w poniedziałek. Okazało się, że żył wśród nas przez cały ten czas! Że oszukał nas perfidnie. Jakimże trzeba być potworem, aby dokonać tego, czego on dokonał? Nie wiemy, co planował przez te wszystkie lata, kiedy chcieliśmy myśleć, że spoczywa gdzieś na dnie oceanu. Może wymyślał kolejny sposób zniszczenia naszej wyspy. Gdyby chciał odpłynąć, z pewnością zrobiłby to dawno temu, w końcu nauczył się od nas wystarczająco dużo, by tego dokonać. Dlaczego więc nie odpłynął? Odpowiedź jest tylko jedna: po raz kolejny chciał dać upust swojej żądzy krwi i nieokiełznanej chęci zabijania i mśczenia. Okazuje się, że żadne metody naturalizacji, żadne techniki psychologiczne, nauczanie, dowody przyjaźni i braterstwa nie wytrzebiły pierwiastka barbarzyństwa, który stanowi podstawę jego jestestwa. Jest taki sam jak wtedy, kiedy przypłynął tu z nami z naszej ekspedycji. Z wyprawy opartej na rozlewie krwi i przemocy... Z rzezi, jaką nam urządzili, kiedy to okazaliśmy chęć współpracy z tamtą nacją. Popłynęliśmy tam w dobrej wierze, jako przyjaciele, a zostaliśmy przywitani ogniem i stalą. I tym samym częstuje nas ten Barbarzyńca, odkąd tutaj przybył. Bracia, nie mam dla was dobrych wieści. Ten potwór grasuje znów na wolności. Uciekł dzisiejszej nocy.

Szum na sali wzmógł się i przeszedł niemal w zawodzenie. Członkowie Rady, tak ci, którzy byli poplecznikami Przewodniczącego, jak i popierający go tylko ze strachu,

wymyślali najprzeróżniejsze okropieństwa, jakie mogą się dziać na wyspie, gdy Barbarzyńca po raz kolejny zapragnie zabijać. Z tego całego rwetesu starzec wyłapywał strzępki zdań:

- Szykować wielką armię... nie pozwolić mu się ukryć... musi wreszcie umrzeć... biada nam... niech cała nacja powstanie przeciw niemu... nie damy się kolejny raz wyrzynać...

Nie wszyscy jednak przyłączyli się do tej hysterii. Oponenci Przewodniczącego, nieliczna grupa starców, którzy bardziej niż własne życie cenili sprawiedliwość i dobro ogółu, przyglądali się temu wszystkiemu z niesmakiem i czekali na główną część przemowy. Domyślali się bowiem całej prawdy.

Przewodniczący pozwalał tłumowi wyładować swoje frustracje i przyglądał się starcom ze źle ukrywaną pobłażliwością. W końcu spojrzał wymownym gestem na swego adiutanta, który przez cały czas stał obok niego, obserwując bacznie salę, jakby się spodziewał, że ktoś pod togą ukrywa co najmniej armatę i zaraz będzie chciał z niej wystrzelić w stronę mównicy i zabić jego pana i władcę, którego szanował bardziej niż własnego ojca. Żołnierz zrozumiał nieme polecenie, zrobił krok do przodu i zakrzyknął gromkim głosem:

- Proszę o spokój, Przewodniczący przemawia!

Ten odczekał jeszcze chwilę, a kiedy tumult zmienił się w pełną napięcia ciszę, wrócił do swej tyrady.

- Dzisiaj w nocy, między pierwszą a drugą, nasz prześladowca uciekł z więzienia w Mieście Wschodnim. Działał jak zwierzę, instynktownie i bezlitośnie, i gołymi rękami uśmiercił dwóch strażników. Szybko i zwinnie, jak każdy drapieżca. Ale pamiętajcie o tym, że nie jest już tak prymitywny jak kiedyś, że przeszedł przemianę. Zwerbował dwóch naszych braci, ojca swojej żony oraz pracownika Agencji, jednego z myśliwych. Tak, wiódł tutaj normalne życie. Jest na tyle przebiegły, że przez ten cały czas żył w naszym społeczeństwie i do tego pracował jako czyściciel plaż. Miał normalny dom i rodzinę. Zastanawiacie się pewnie, jak zdobył pozwolenie na pracę. Jak udało mu się zmienić wygląd na tyle, że nie został rozpoznany przez tak długie lata? Prawdopodobnie nacja, z której się wywodzi, ma zdolność szybkiej mutacji i może dowolnie zmieniać wygląd...

Starcy słuchali go z coraz większą uwagą. Nikt nie odezwał się słowem, nikt nawet nie ruszył ręką, nie odetchnął głośno.

- Strzeżcie się, bracia. - Przewodniczący wiedział, co należy podkreślić. - Jeżeli raz udało mu się wodzić nas za nos, i to tak długo, to może mu się udać ponownie. Bądźcie czujni, jesteśmy pewni, że ma sprzymierzeńców wśród naszych braci i siostr. Sam przecież nie był w stanie przejść wszystkich administracyjnych procedur umożliwiających

zamieszkanie na Wyspie i podjęcie pracy! Wysłałem już specjalną jednostkę zajmującą się poszukiwaniem zbiegów, lecz ostrzegam was, bracia... Jeżeli nie złapiemy Barbarzyńcy, możemy się niechybnie spodziewać, że spróbuje znowu ukryć się wśród nas. Znowu zechce nas oszukać. Pojawi się jako cudem ocalony samobójca lub jako przybysz z innego miasta. Ostrzegam was, bądźcie czujni... Obserwujcie swych znajomych, obserwujcie swego sąsiada, przyglądajcie się podejrzliwie swemu bratu. Barbarzyńca może się stać, kim zechce... Bracia! Daję wam pełne przyzwolenie, aby obserwować nawet mnie...

Kolejna przerwa w przemowie znów wyzwoliła wśród zebranych negatywne emocje. Ci, którzy domyślali się prawdy i dążyli do jej powszechnego ujawnienia, w tym całym rozgardiaszu stanowili zdecydowaną mniejszość. Nie zdołaliby przeforsować swoich racji, nawet gdyby adiutant Przewodniczącego znów nie przerwał sporów, wołając ponownie:

- Proszę o spokój. Przewodniczący przemawia!

- Bracia - zakrzyknął drżącym głosem Przewodniczący - nie możemy ufać nikomu. Nie możemy po raz drugi pozwolić, aby to, co budowaliśmy przez długie dziesięciolecia, obróciło się wniwecz z powodu chorych i prymitywnych żądy człowieka, którym kieruje tylko chęć oglądania aktów zniszczenia powodowanych jego własną ręką.

Tyle miał w tej sprawie do powiedzenia. Przerwał i zastanawiał się nad dalszym przebiegiem obrad, ale nie znalazł żadnego tematu odpowiedniego do przedyskutowania w tej niecodziennej sytuacji. Póki co pozwalał obecnym na sali na wymianę zdań i poglądów oraz wrażeń, ale nie trwało to długo. Tłum tym razem ucichł bez interwencji adiutanta. Szybciej, niż się spodziewał Przewodniczący, który nagle doznał chwilowego zaćmienia umysłu i nie mógł skoncentrować na roli, jaką nakazał sobie grać. Jego myśli pobiegły do ukochanej i zaczął marzyć o tym, aby utonąć w jej zielonych oczach i zapomnieć o wszystkim w jej objęciach. Chciał znowu być jak dziecko, mające poczucie bezbrzeżnego bezpieczeństwa, gdy tylko obejmą je bezpieczne ramiona matki. Zaczął zastanawiać się, czy to oznacza, że już dziecinnieje, czy może po prostu znalazł wreszcie idealną kobietę, która mogła stać się dla niego całym światem, taką, dla której gotów byłby poświęcić swe życie. Wiedział, że to nie byłoby dobre, nie byłoby bezpieczne... ani nawet normalne.

Stwierdził w końcu, że w tak trudnych dniach nie zdoła pokonać pragnienia bycia z nią, a przecież wymagano od niego pełnego skupienia. Skoro nie umiał się na to zdobyć, miał tylko jedno wyjście.

- W zaistniałej sytuacji ogłaszam przerwę w obradach do poniedziałku, do godziny dziewiątej - powiadomił zgromadzonych. - Oczywiście jak zwykle czekam na wasze sugestie, ale tym razem będą rozpatrywane tylko wnioski zawierające plan ujęcia zbiegów. Ogłaszam

zakończenie obrad - skończył prędko i nie czekając na oficjalną formułę zakończenia, odwrócił się na pięcie i podążył w stronę drzwi.

Dopiero wtedy jego adiutant zrobił regulaminowy krok do przodu i zakrzyknął:

- Proszę wstać. Przewodniczący opuszcza salę obrad!

Nie zdążył jednak, i sala powstała już w momencie, gdy starzec zniknął w wąskim korytarzu. Popędzał go nieznany dotąd strach przed niewiadomym, przed przyszłością, której nie znał i nie umiał przewidzieć.

Dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu siwych starców opadło na fotele, zwiewnymi szatami wywołując szelest przypominający szum wysokich traw. Po tym muzycznym spektaklu zapadła cisza, w której każdy z nich słyszał oddech sąsiada. Niektórzy zaczęli się nerwowo rozglądać po sali, nie wiedząc, jak się zachować w tej nieprzewidzianej protokołem sytuacji. Żaden ze zgromadzonych mężczyzn nie chciał wyjść jako pierwszy i żaden nie chciał przerywać ciszy. Ale to nie mogło przecież trwać w nieskończoność. Wreszcie jeden starzec wstał, rozejrzał się po sali, chcąc wy badać nastroje zebranych i sprawdzić, czy pozwolą mu przemawiać. Było to wbrew regulaminowi, gdyż Przewodniczący zakończył obrady, a w dodatku nie było go na sali. Regulamin jednak w takiej chwili nie wydawał się ważny, podobna okazja mogła się prędko nie powtórzyć. Spór o sposób rządzenia Wyspą trwał od czasu założenia Agencji i żaden moment nie wydawał się odpowiedniejszy, by wyrazić swój sprzeciw wobec metod Przewodniczącego. Dzielny starzec, który odważył się zabrać głos, był zdecydowanym przeciwnikiem totalitaryzmu, jednym z tych nielicznych opozycjonistów, którzy nazwali siebie Grupą Jedności. W dwudziestu dążyli do wprowadzenia systemu, który traktowałby wszystkich jednakowo i pozwalał na sprawowanie opieki socjalnej nad wszystkimi mieszkańcami Wyspy, bez względu na stan społeczny czy pochodzenie. Cóż jednak mogli zdziałać taką garstką? Ci, którzy byli u władzy, tolerowali ich pośród siebie, ale ignorowali każdą ich inicjatywę czy nawet wystąpienie. Byli im potrzebni dla zachowania pozorów demokracji, dla legitymizacji swej władzy przed ludem, który coraz głośniej szemrał o dyktaturze i mówił o demokracji. Grupa Jedności w Radzie Starszych dawała złudzenie, że Przewodniczącemu i jego klice zależy na przedstawicielstwie każdej orientacji politycznej i że liczy się dla nich każdy głos, każda opinia i sugestia.

Mężczyzna oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że służy jako przykrywka dla dyktatorskich zapędów, lecz mimo wszystko nie występował z Rady, wierząc, że tam właśnie powinien walczyć o swoje przekonania. Na taki moment czekał długo, czuł, że nadszedł jego czas. Nie zaczął dramatycznie ani krzykliwe, jak Przewodniczący, przyjął inną taktykę.

- Jeżeli „szlachta” - to słowo wypowiedział z nieukrywanym sarkazmem - może mieć uczucia, to i ci na dole mogą je mieć. Oni też są ludźmi. Co w tym dziwnego, że ten człowiek uciekł? Przecież wiedział, że wróci do laboratorium, gdzie czekają go tylko ból i samotność. Nie można tak traktować ludzi...

- To nie jest człowiek - przerwał mu ostro jeden z najbardziej zajadliwych popleczników Przewodniczącego. - To, po pierwsze, Barbarzyńca, a po drugie, maszyna, której możliwości nie znamy. I to maszyna do zabijania. Nie zdołaliśmy zbadać jego psychiki, nie wiemy, do czego jest zdolny. Może już zapomniałeś o milionie ludzi ginących w płomieniach? Powtarzam, to nie jest człowiek.

Debata rozgorzała na dobre i po niedawnej ciszy nie zostało nawet wspomnienie. Z każdej strony ktoś rzucał jakieś zdanie, hasło, każdy przed drugim próbował udowodnić słuszność swoich racji.

- Miasto Wschodnie powinno być dawno objęte nadzwyczajną kontrolą wojskową. To tam rodzi się najwięcej rebeliantów, a bezprawie, jawne bezprawie trwa w najlepsze, pod nosem lokalnych władz. A kto wie, czy nie za ich przyzwoleniem. Może tam już powstaje całkiem odrębna nacja, która będzie dążyć do suwerenności? Wyobrażacie sobie coś takiego? Przecież to zamach stanu w najczystszej postaci. - Przedstawiciele Rady z innych miast rzucali w twarz przybyłym z Miasta Wschodniego coraz to nowe oskarżenia. - Tak! To miasto to osada bezprawia. Tam pędzi się w ciągu roku tyle bimbru, że można by nim upijać dziesięć naszych armii przez dziesięć lat. Tam w rafineriach wytwarza się tyle deotolu, że niedługo wszyscy będą poddawani kuracji bez zezwolenia. Tam króluje wolny handel i kołesiostwo. Administracja jest całkowicie sparaliżowana, kolejne kontrole dowodzą ich prób oszukania władzy centralnej. Tam zebrała się największa hołota z całej wyspy i na pewno jest to zasługą tego Barbarzyńcy.

- Słyszeliście wszyscy, jak Przewodniczący powiedział, że to bardzo inteligentny i niebezpieczny bandyta. - Niektórzy woleli debatować o samym sprawcy zamieszania niż o mieście, któremu często w tej sali się obrywało. - A skoro tak, z pewnością potrafi dobrać sobie sprzymierzeńców i omamić ludzi, a potem przeciągnąć ich na swoją stronę. Musi być mistrzem manipulacji...

- Nie zapominaj, kto stworzył tego potwora, jak go nazywacie. To wy, kierowani waszą manią wielkości! - próbował przekrzyknąć wszystkich mężczyzna, który rozpoczął debatę po wyjściu Przewodniczącego. Choć już wiedział, że jego plan forsowania swojego stanowiska wobec władzy i zdobycia zwolenników spalił na panewce. - Wy - krzyczał - banda tchórzy i nieczułych arogantów. Wy, którzy zamiast rozmawiać z innymi, wolicie zabijać. Wy

go stworzyliście, bo potrzebowaliście maszyny do walki. To wy jesteście winni temu, że w Mieście Wschodnim dzieje się tak, jak się dzieje. Działacie na swoją niekorzyść. Pomyślcie... Nie możecie gnębić ludzi w nieskończoność, a jednocześnie nie widzieć kamienia wycelowanego w wasze głowy. Nie możecie odebrać ludziom swobody i wolności i liczyć na ich poparcie. Jeżeli chcecie być władzą absolutną, której lud nie utopi, musicie mu zapewnić absolutnie wszystko. Im większa władza, tym większa odpowiedzialność. Łatwo jest rządzić tłumem niewolników, którzy jedyne, czego pragną, to przeżyć kolejny dzień. Bo oni nie mają wyboru. Ale mieszkańcy tej wyspy mają wybór. A jeżeli mogą wybierać, to prędzej czy później dokonają wyboru i zrobią to, czego pragną od lat. Wtedy już nie będzie odwrotu. Jak to się może skończyć? Ja widzę trzy scenariusze.

Mężczyzna zawiesił głos, bo zorientował się, że sala słucha go z większą uwagą, niż się spodziewał. W jego sercu pojawiła się nowa nadzieja. Wrócił do przemowy z jeszcze większym zaangażowaniem.

- Są więc trzy możliwości. Albo wszyscy zginą, a wtedy nie będziecie mieć niewolników, którzy mogliby na was pracować. Albo lud zwycięży i zrobi z was niewolników. Albo zwycięży i zabije was wszystkich, jak tu siedzicie.

Chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu gwałtownie inny starzec, który aż trząśniętym głosem powiedział:

- Bredzisz, człowieku - zaczął głośniejszym głosem niż jego poprzednik. - Pomyśl tylko: jak ta hałastra tępych, bezrozumnych istot, w dodatku tak otyłych, że muszą załatwiać swoje potrzeby w miejscu, gdzie akurat leżą, mogłaby nam zagrozić? W jaki sposób niby mieliby pokonać naszą armię? Mamy na wyspie dziesięć tysięcy prawdziwego wojska. Dziesięć tysięcy najsilniejszych i najlepiej wyszkolonych mężczyzn z całej planety. Żołnierzy gotowych utopić się na rozkaz przełożonych.

- To tylko bezmózgie kupy mięcha. Tyle samo w nich inteligencji, co i w tamtych grubasach - mówił szybko starzec, któremu przerwano wcześniej.

- Tak, masz rację, to kupy mięcha, a nie tłuszczu...

- Cisza! - wrzasnął nagle na całe gardło jeden z mężczyzn, dotychczas nie biorący udziału w dyskusji.

Krzyczał tak donośnie, że aż musiał usiąść i odpocząć, zanim mógł mówić dalej. Zebrani spojrzeli w jego stronę skonsternowani, zastanawiając się, czy aby przypadkiem nie wyzionął ducha. Po chwili jednak zebrał siły i wstał. Pomachał rękoma w powietrzu, jakby chciał odegnać chmurę much i zaczął mówić.

- Cisza, bracia. O czym wy w ogóle mówicie? - Rozejrzał się w koło, łapiąc na twarzach starców niepewność i zdziwienie, które szybko zastąpiły wcześniejszy bojowy zapal. - No, o czym? Chcecie dyskutować o tym, kto jest silniejszy: władza czy lud? Opowiadacie o potędze naszej armii co najmniej tak, jakbyśmy się szykowali na wojnę z równym przeciwnikiem. A przecież nie do tego ona służy. Stworzyliśmy tak doskonałą armię, aby kontrolować społeczeństwo, nie zapominajcie o tym. Ale mają rację ci z was, którzy krzyczą, że nie wszystko jest w porządku, skoro potrzebujemy takiego silnego i licznego wojska, by sprawować rządy. Nie tak miało to wszystko wyglądać, inaczej to sobie zaplanowaliśmy.

- Nie wracajmy do tego, co było setki lat temu... - przerwał nieśmiało któryś z siedzących obok mężczyzn.

- Zamilcz!...

Starzec, jedyny stojący w tym momencie na sali, nie pozwolił sobie odebrać głosu. Starzał się, jak mógł, opanować własne zdenerwowanie oraz podniecenie zgromadzonych. Nigdy wcześniej nie zdarzyło im się prowadzić tak ożywionej dysputy i to w dodatku bez nadzoru Przewodniczącego. Spory toczyły się jak na razie pomiędzy pięcioma czy sześcioma najbardziej odważnymi, którzy zdecydowali się zabrać głos podczas nieobecności najstarszego z Rady, ale i tak było gorąco, bo reszta wyraźnie opowiadała się za którymś z przemawiających. Starzec mówił ciszej niż pozostali, jedynie zaczął od gromkiego krzyku, chcąc doprowadzić do porządku. Zależało mu, aby ta dyskusja nie zeszała na złe tory. I siła jego spokoju udzielała się powoli innym. Pozostali pojęli wreszcie, że przekrzykiwanie się nie przyniesie nic poza bezowocną kłótnią i pozwolili kontynuować swojemu koledze.

- Posłuchajcie mnie, panowie. - Teraz przemawiał już jak prawdziwy mąż stanu. - Wszyscy jesteśmy niewolnikami. Zgodziliśmy się dochować tajemnic dotyczących postępu techniki i nauki. To był warunek zasiadania w Radzie Starszych i wszyscyśmy go przyjęli. Nie zapominajcie, co grozi za zdradzenie tych sekretów... Śmierć wasza i waszych bliskich. - Choć wszyscy o tym wiedzieli, to słowo i tak wywołało wśród zgromadzonych przerażenie. - Synowie, córki, ich mężowie i żony, ich dzieci i dzieci ich dzieci. Na szafot pójda nasi kuzyni i ich kuzyni.

- Do czego zmierzasz? Przecież my to wszyscy doskonale wiemy i zdajemy sobie z tego sprawę - zakrzyknął któryś mężczyzna, nie wiedząc, po co ich straszy ten samozwańczy przewodniczący.

Starzec pojął, że zaczął swoją przemowę od ogólników, dochodził do sedna okrężną drogą, więc tym razem spróbował ująć wszystko w prosto i zwięźle.

- Bracia, musicie pamiętać, że jesteśmy uprzywilejowani z racji tego, że cieszymy się dobrym zdrowiem i mamy wszystko, czego nam do życia potrzeba. Zgodziliśmy się zostać niewolnikami, aby to, co wiemy, wykorzystać jak najlepiej dla dobra mieszkańców Wyspy, którzy na nas liczą. Tymczasem wprowadzamy ludzi w błąd, podajemy do publicznej wiadomości fałszywe informacje o postępach w pracy naszych naukowców. Robimy niewolników z tych, którzy zdecydowali się na kurację. Dostają szansę na normalne życie, ale w zamian muszą pracować dla nas do końca swoich dni. Zamiast pogłębiać ich człowieczeństwo, czynimy z nich zwierzęta, woły robocze czy psy stróżujące, które błagają o byle ochłap z naszego stołu. Kiedy wy wreszcie zrozumiecie, że to są tacy sami ludzie jak my? - powiedział głośniejszym głosem niż wcześniej i przyciągnął uwagę nawet tych, którzy dotychczas słuchali go nieuważnie. - To, że nie mają szans na normalne życie, nie znaczy, że możemy się nimi bawić jak dziećmi mrówkami. Jeden z was powiedział już przed chwilą, jak to się skończy: oni kiedyś powstaną przeciw nam. I dobrze o tym wiecie, w przeciwnym wypadku nie budowałibyście tak wielkiej i potężnej armii.

Starzec usiadł, dając do zrozumienia, że skończył swoją przemowę, i na sali zapanowała cisza. Nie trwała jednak dłużej niż kilkanaście sekund, gdyż przerwał ją mężczyzna, który już wcześniej przemawiał.

- Po pierwsze - mówił stanowczo, jakby przygotowywał się do tego od dawna - to są słowa, które słyszeliśmy już co najmniej tysiąc razy w ciągu ostatnich kilkunastu lat, a i wcześniej powtarzano je bezustannie. Po drugie - zwrócił twarz do starca, który w skupieniu słuchał, jak zbija jego argumenty - sam zgodziłeś się na to wszystko, kiedy przyjmowałeś stanowisko w Radzie. Po trzecie... Nie, to nie będzie po trzecie, od tego należało zacząć. Muszę ci to jakoś sensownie wyłożyć, żebyś wreszcie zrozumiał, dlaczego rządymy Wyspą w taki, a nie inny sposób - przerwał i zastanawiał się chwilę.

Na sali panował względny spokój. Ci, którzy chcieli zabrać głos, czekali aż zakończy swoją wypowiedź aktualny mówca. Zaciekawili ich. Mężczyzna tymczasem pogładził swoją długą, siwą brodę i pochylił głowę w skupieniu, chcąc zebrać myśli. Po niedługim czasie rozpoczął:

- Wszyscy wiemy, jak wyglądał świat przed potopem. Nie działo się wtedy nic dobrego. Teraz tworzymy nową cywilizację i wszyscy zgodziliśmy się, że nie może ona w najmniejszym stopniu przypominać tej, która zniknęła w kataklizmie. Na świecie żyło wtedy ponad piętnaście miliardów ludzi, nie było na nim jednak bodaj jednego człowieka. No, może kilka wyjątków wśród miliardów nierozumnych istot dążących do zagłady. Nie chcemy dopuścić do podobnego zdziczenia. A teraz przyjmijmy, że wasze postulaty zostaną

spełnione. Zaczniemy od tego, że udostępniamy kurację wszystkim na wyspie. Po kilku latach mamy społeczeństwo, w którym każdy jest na tyle zdrowy, silny i rozumny, że może być panem własnego losu. To są ludzie tacy sami jak my, to prawda, co powiedzieliście. I tak jak my nie są pozbawieni wad. Jaka jest największa wada człowieka? Chęć bycia wolnym. Wolnym jednak nikt nigdy nie będzie do końca. Dlaczego? Otóż jest kilka powodów. Jeden z nich to ograniczenia fizjologiczne. Człowiek musi jeść. Aby jeść, musi zdobywać pożywienie. I tu pojawia się pierwszy problem. Jak i gdzie to pożywienie zdobyć? Można polować na zwierzęta lub je hodować. Można zbierać rośliny lub je hodować. Do tego jednak potrzeba terenu, gruntu, ziemi. Aby zapewnić sobie spokojną przyszłość i nie martwić się o jedzenie, należałoby mieć do dyspozycji spory teren do polowań lub hodowli i produkcji jedzenia, prawda? Powiedzcie mi teraz, co się stanie, gdy zacznie brakować miejsca dla wszystkich? Być może zaczną współpracować i produkować żywność i inne dobra wspólnie. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że zaczną o teren walczyć. Po co nam tu małe wojny? To już było! Ale może będą współpracować, przyjmijmy optymistyczniejszy wariant. Co wtedy? Powstaną gromady które będą dbały o własne interesy i pojawi się kolejny problem. Jak słusznie zauważyłeś, my nie musimy pracować, bo mamy niewolników. Nikt nie chce skalać się ciężką pracą. Oni też nie będą chcieli. Jak rozwiążą ten problem? Ktoś będzie musiał zostać niewolnikiem, lub pracować za jakąś opłatą. Czym jednak będzie mu można zapłacić? Będą rzemieślnicy płacący swoją pracą. Ktoś zrobi stół i krzesła w zamian za worek zboża. Ktoś wybuduje dom w zamian za półroczny zapas mięsa. Ktoś ulepi garnki w zamian za przytaszczenie z lasu drewna na opał. Do pewnego momentu może się udawać, ale powiedzcie, co poczną ci, którzy nie będą mieli ziemi, na której można polować bądź prowadzić uprawy? Pewnie zajmą się produkowaniem różnych przydatnych rzeczy, tyle że one nie zużywają się tak szybko jak zapasy jedzenia. I dlatego wnet zaczną głodować. Od czasu do czasu sklecają jakiś koślawy fotel w zamian za kawałek zbożowego placka, lecz to nie wystarczy na długo. Co byście zrobili na miejscu człowieka, który ma w domu dzieci przymierające głodem? Zapewne wszystko, by zdobyć pożywienie. Nie ma już ziemi, na której można by posiać zboże, bo każdy skrawek do kogoś należy. Trzeba prosić ludzi o pomoc, ale nie jest łatwo, bo kto odda jedzenie i sam siebie skaze na śmierć głodową? A więc się nie udaje. Co wtedy czyni desperat przymierający głodem? Kradnie, najpierw odrobinę, bo się wstydzi. Lecz to starcza tylko na chwilę, musi wymyślić coś innego. Co zatem robi potem? Po prostu odbiera komuś ziemię siłą. Krzywdzi kogoś, by zaspokoić swoje potrzeby. Może przepędzić właściciela ziemi, lecz wtedy istnieje ryzyko, że tamten wróci po swoje. Decyduje się więc zabić i przez chwilę czuje się syty i bezpieczny. Ale tylko przez chwilę. Bo

nagle uświadamia sobie, że inny głodujący może postąpić z nim w ten sam sposób, co on z prawowitym właścicielem. Ze strachu zaopatruje się w jakąś dobrą broń, ale to przecież nie wystarczy. Musi czuwać dzień i noc, pilnując swego domu przed napastnikami. To ponad jego siły. Co więc robi? Proponuje jednemu z tych głodujących, których wszędzie pełno, posadę stróża w zamian za mamy posiłek i dach nad głową w deszczowe dni. Kimże staje się ów stróż? Niczym więcej jak niewolnikiem skazanym na łaskę i niełaskę swojego pana.

Mężczyzna przerwał na moment i rozejrzał się po sali. Spostrzegł, że jego słowa wywarły pożądaný efekt. Każdy z dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu słuchających zastanawiał się nad jego tyradą. Wielu zgodziło się z nim bez wahania i dało temu od razu wyraz. Nawet kilku najzagorzalszych jego przeciwników przyznało mu w duchu rację, choć ci akurat nie chcieli tego okazać. Widząc, że zyskuje przewagę, mężczyzna postanowił kuć żelazo póki gorące.

- Bracia - krzyknął, uciszając nieśmiałe głosy poparcia i krytyki - wolność jednego rodzi niewolę drugiego. Tak było, odkąd tylko człowiek stał się człowiekiem. Nie było w dziejach świata cywilizacji, w której ludzie byłiby sobie równi. Jest tak tylko i wyłącznie z jednego powodu. Na świecie nie ma wystarczająco dużo przestrzeni, aby każdy mógł być samowystarczalny. Zastanówcie się teraz mocno, nad tym, co powiem. Nasz sposób rządzenia nie jest dobry. Nie jest dobry, ponieważ nie traktuje równo ludzi żyjących na tej wyspie. Jest jednak na tę chwilę najlepszy. Bo zawsze ktoś musi być niewolnikiem.

Kolejna przerwa w mowie miała służyć pozbieraniu myśli. Mężczyzna chciał jak najskuteczniej bronić układu politycznego i społecznego. Mógł się skupić, bo nikt nie odważył się powiedzieć choćby słowa. Nie wiedział czy to z powodu jego słów, czy też dlatego, że starcy zmęczeni się już nieprowadzącą do żadnego konsensu kłótnią i teraz odpoczywali. Sam już prawie opadał z sił, więc kolejną swoją myśl wyłożył krótko i zwięźle.

- Co do armii, o którą tak bardzo dbamy i którą tak wspomagamy: dobrze wiecie, że nie jest ona powołana do terroryzowania ludności. Ma inne zadania, które wiążą się z naszą niekoniecznie chlubną przeszłością. Wyprawa na sąsiednią wyspę nie była ani przemyślana, ani dobrze zorganizowana. Popłynęliśmy tam z zamiarem odebrania siłą tego, co nam było potrzebne. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nie walczyliśmy z barbarzyńcami. Wiemy, że różnią się od nas tylko pod względem rozwoju technicznego. Nie wiemy jednak, co zamierzają zrobić, gdy wreszcie znajdą sposób, by pływać po oceanie. Musimy być przygotowani na to, że zechcą się zemścić za nasz najazd, który miał miejsce setki lat temu. Musimy mieć liczną i dobrze wyszkoloną armię oraz potężny i niezawodny sprzęt, bo tylko

wtedy będziemy mogli czuć się bezpiecznie. Sprawiliśmy, że stali się naszymi wrogami i teraz stale musimy mieć się na baczności.

- W twojej historii jest jednak jeden szczegół, który przykuł moją uwagę. - Kolejny rewolucjonista, któremu leżał na sercu los najbardziej bezradnych mieszkańców Wyspy, nie chciał czekać dłużej z polemiką. Nie zamierzał jednak odwoływać się do historii i roztrząsać domniemanych zagrożeń. - Wspomniałeś, że ludzie, którym darujemy wolność, zaczną kraść lub nawet zabijać się nawzajem, by zapewnić sobie lepszą przyszłość. Ale przecież ktoś, kto by się na to poważył, musiałby być równie silny jak ten, któremu chce coś zabrać. A przecież teraz jest podobnie, nierówności są równie wielkie. I co? Jakie szanse mają ci, którzy nie mogą nawet podnieść własnego ciała, by się przekonać o własnej sile?

- Ale przecież to jest demagogia - rozległ się jakiś głos dochodzący z tyłu sali. Trudno było stwierdzić, który ze starców przemawia, bo żaden nie wstał. - Przecież zrozumieliśmy już wszyscy, że równość to coś niemożliwego, coś, co istnieje tylko w umysłach ludzi. Dobrze o tym wiesz, bo gdybyś wierzył w pełną równość i wolność, nie przyjąłbyś posady w Radzie Starszych. Odrzuciłbyś te przywileje, o jakich większość obywateli może sobie tylko pomarzyć.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że jestem tutaj tylko po to, żeby dożyć spokojnie swoich dni? - oburzył się mężczyzna, który zaczął przemawiać. - Nie zapominaj, że jestem jednym z Leniwców. I jeśli zgodziłem się być członkiem Rady, to właśnie po to, żeby pomóc moim braciom...

- Właśnie podważyłeś pojęcie równości, które głosisz z taką emfazą. - Kolejny głos dołączył do dysputy, tak donośny, że rozszedł się po sali jak dudnienie kroków. - Chcesz pomóc swoim braciom, tak? Jeżeli oni są twoimi braćmi, kim my dla ciebie jesteśmy? Sam widzisz, równości nigdy nie było, nie ma i nie będzie.

- Nie będzie, dopóki nie zacniemy myśleć o sobie nawzajem jak o ludziach równych - odkrzyknął zaatakowany.

Debata znowu przerodziła się w niekontrolowaną kłótnię, choć przecież wydawało się, że powoli dochodzi do punktu, w którym da się uzgodnić dalszą politykę Rady Starszych. Zbyt wielu jednak było zwolenników radykalnych rozwiązań, zarówno po jednej jak i po drugiej stronie, by mogło to nastąpić.

- Przywróćmy wreszcie światu naturalne prawa - krzyczał jakiś ideowiec.

- Przecież nasz świat nigdy się na nich nie opierał - odkrzykiwał zwolennik obecnego systemu. - Stworzyła je miniona cywilizacja, też mało mająca wspólnego z naturalnym

porządkiem, nosimy jej brzemień. Z naturą mamy tyle wspólnego, że składamy się z wody i białek.

- To, że jesteśmy kolejną sztuczną cywilizacją, nie znaczy, że nie możemy wrócić do naturalnych praw - bronił swych racji zapaleniec.

- Dopóki człowiek posługuje się rozumem, nic nie będzie naturalne - prychnął sceptyk.

- Dopiero jak zaczniemy zabijać się nawzajem gołymi rękami i wygrają najsilniejsi, czyli ci, którzy mają największe szanse na przetrwanie w naturalnym środowisku, wrócimy do natury.

- Mylisz się. Nie po to posiadamy rozum, aby rozwiązywać problemy siłą. Jestem pewien, że działając logicznie, będziemy w stanie znaleźć najlepsze rozwiązanie naszych problemów.

- Dajcie spokój - włączył się jeszcze jeden starzec. - To zgromadzenie zbiera się nie od wczoraj i było już tak wiele pomysłów i propozycji rządów, że moglibyście nareszcie zrozumieć, że obecny sposób kontrolowania społeczeństwa to jedyny możliwy. Że daje on każdemu maksymalnie dużo wolności, a strat w ludziach jest stosunkowo najmniej.

- Nie musimy rządzić siłą - upierał się ktoś inny. - Zrezygnujmy z tego, a strat w ludziach nie będzie wcale.

- Społeczeństwo istnieje, dopóki przestrzegane są prawa. - Legalista, który już wcześniej zabierał głos, był nieprzejednany. - Jakiś porządek, któremu muszą się poddać wszyscy, istnieć musi. Jeżeli komuś się takie prawo nie podoba, to musi znaleźć własny sposób na zapewnienie sobie bezpieczeństwa, ale poza społeczeństwem.

- Właśnie, bezpieczeństwo. To wszystko, czego potrzeba człowiekowi, by móc normalnie funkcjonować. Wasz system zapewnia jednak jedynie strach przed jutrem, a nie żadne bezpieczeństwo. Nie dosyć, że ci obrońcy tłuszczem biedacy nie wiedzą, co się stanie z nimi jutro, to w dodatku czują się nikomu do niczego niepotrzebni. Gdyby mieli możliwość walki o swoje prawa, z pewnością by z niej skorzystali. I to właśnie byłoby najlepsze rozwiązanie, zgodne z naturą. Człowiek powinien walczyć o swoje prawa, na tym między innymi opiera się człowieczeństwo.

Spór przybrał na sile i nie wszystkim wystarczyło witalności, by brać w nim udział. Większość starców siedziała oniemiała w swoich wygodnych fotelach z powodu najzwyczajniejszego zmęczenia. Kilku jedynie miało jeszcze zapas sił i ciągnęło wojnę słowną, chcąc przekonać oponentów do swoich racji. Rozgorączkowani, gestykulowali i krzyczeli na siebie.

- Jeżeli tak bardzo wam zależy, by światem rządzili najsilniejsi, to nie zapominajcie o tym, że jesteśmy istotami rozumnymi, jak to podkreślaliście. Weźcie więc pod uwagę, że

teraz władzę sprawują nie najsilniejsi fizycznie, lecz najinteligentniejsi ludzie na tej planecie, czyli najsilniejsi rozumem...

- Najinteligentniejsi? Chyba najbardziej leniwi i zadufani w sobie. Elita pyszałków, którzy pragną tylko wygodnego życia kosztem innych ludzi, mających wszak takie same pragnienia i uczucia jak wy...

- Nie są jednak tego w stanie osiągnąć ani siłą, ani rozumem. Nie są silniejsi od najsłabszych dzieci, które rodzą nasze najsłabsze kobiety...

- Nie śmiesz powiedzieć mi chyba, że jestem od ciebie mniej inteligentny i słabszy, ty... ty sztuczny twórce wyhodowany na paszy produkowanej przez moich pradziadów. Ty poczwaro uwłaczająca rodzajowi ludzkiemu...

Kłótnia właśnie stawała się początkiem szarpaniny. Stojący po obu stronach barykady obrzucali się nawzajem najwymyślniejszymi obelgami i pluli jadem. Po niedawnym marazmie nie zostało śladu. Co żwawszy starcy poczęli szarpać rękawy przeciwników, chcąc ich w ten sposób sprowokować.

Krzyki nie uszły uwadze strażników krążących pod oknami pomieszczenia oraz wartującym przed drzwiami. Nie mieli wstępu do sali obrad w czasie trwania posiedzenia, tak stanowił regulamin, w tej sytuacji musieli jednak bezzwłocznie interweniować. Najważniejszym ich zadaniem było chronić zdrowie i życie Przewodniczącego Rady Starszych, a że nie zostali poinformowani o przerwaniu obrad, sądzili, że ten jest w wielkim niebezpieczeństwie. Pusta ambona, na której najstarszy członek Rady powinien był przemawiać, utwierdziła strażników w tym przekonaniu. W ciągu minuty od ogłoszenia alarmu do sali wparowało ponad trzystu żołnierzy, kilkunastu gotowych było za wszelką cenę wyprowadzić Przewodniczącego z sali. Poczęli gorączkowo szukać starca pomiędzy fotelami i pod ogromnym stołem, na którym spoczywał majestatycznie kodeks i dziennik obrad. Poszukiwania nie przynosiły oczywiście żadnego rezultatu i wreszcie jeden z poruczników, który zachował zimną krew, pobiegł do recepcji, by zadzwonić do mieszkania Przewodniczącego i sprawdzić, czy ten aby nie wrócił do siebie. Z ulgą przyjął uspokajające potwierdzenie adiutanta Przewodniczącego i poinformował go zaraz o nadzwyczajnej sytuacji w sali obrad. Wojsko zrobiło już jednak, co do niego należało. Każdy starzec siedział w swoim fotelu, pilnowany przez jednego żołnierza. Większość obradujących wykazywała skrajne zmęczenie, nie zdawali sobie nawet sprawy, że ich kłótnie ciągnęły się przez godzinę.

Kiedy tam trwała zażarta bitwa na głosy i racje, Przewodniczącego prześladowały smutne przeczucia i przypuszczenia.

Powróciwszy do swojego wygodnego i bezpiecznego apartamentu, udał się od razu do sypialni, gdzie jego młoda żona wciąż spała, regenerując siły po pełnym napiętości poranku. Usiadł na brzegu łóżka i schował głowę w ramionach, nie umiejąc odciąć się od trosk związanych ze sprawowanym urzędem. Ale wystarczyło kilka minut, by miejsce smutku zajęło pożądanie i delikatnym dotykiem próbował zbudzić obiekt swych najgorętszych pragnień. Czułe głaskanie lśniących włosów i policzków sprawiło, że dziewczyna otworzyła wreszcie oczy i spojrzała na męża wzrokiem, który przyprawił go o drżenie rąk i rumieńce na twarzy.

Człowieku, masz już dwieście siedemdziesiąt trzy lata, powinieneś się opanować, mitygował się w myślach starzec, nie przestając głaskać swej młodej towarzyszkę. Toż to tylko młode dziewczę, a ty jesteś panem Świata, tłumaczył sobie. Nic jednak nie mógł poradzić na to, że gdy ona spojrzała na niego w ten jedyny i niepowtarzalny sposób lub gdy wyprężyła swoje ciało, jego serce zaczynało bić szybciej, a myśli uciekały z głowy gdzie pieprz rośnie. Stawał się na powrót niedoświadczonym młodzieńcem gotowym pełzać u stóp swej wybranki i błagać ją o możliwość ucałowania choćby małego palca. A przecież tak bardzo pragnął zachowywać się przy niej jak potężny władca.

- Słońce już wisi bardzo wysoko, kochana - powiedział przymilnie. Wiedział, że lubi, gdy jest romantyczny. - Dobrze spałaś?

- Wiesz, że długi sen mi służy - odpowiedziała, przeciągając się kuszaco. Przyjrzała się mężowi dokładniej i skomentowała: - Nie masz wesołej miny. I nie wiem, co tu robisz, bo przecież powinieneś być na sali obrad, mój siwy młodzieńcze.

Dziewczyna powiedziała to w taki sposób, że starzec był gotów zakończyć swoje życie w zamian za kilku chwil spędzonych bez troski przy jej boku. Opanował się jednak i zaczął tłumaczyć powody swojej obecności.

- Bardzo niedobre rzeczy dzieją się na naszej wyspie. Barbarzyńca uciekł tej nocy i to nie sam, a w towarzystwie dwóch ludzi, z których jeden był pracownikiem biura Agencji w Mieście Wschodnim. To bardzo niepokojące, że nawiązał takie kontakty. Dowiedzieliśmy się też, że kilka tygodni temu z magazynów zginęło kilkaset sztuk broni i pokaźna ilość amunicji. Podejrzewamy, że dokonało tego to pseudoartystyczne stowarzyszenie działające w tym nieszczęsnym mieście. Miasto Wschodnie od dawna przysparza nam trosk.

Przewodniczący przecesał dłońmi swe długie, siwe włosy i westchnął głęboko. Dziewczyna objęła go i ucałowała w szyję. Jak zwykle w chwilach kryzysu próbowała go pocieszyć.

- Kochany, jesteś już dużym chłopcem i na pewno wiesz, co należy zrobić w takiej sytuacji. W końcu to nie pierwsze takie kłopoty. Zawsze znajdujesz dobre rozwiązanie i zaprowadzasz porządek. Opowiedz mi dokładnie, kochanie, co cię trapi. Wiem, że uważasz mnie za niemądrą trzpiotkę, ale nie raz już cię zainspirowałam. Jeżeli nawet nie pomogę, to przynajmniej zrzucisz z serca ciężar i łatwiej ci będzie myśleć o tym wszystkim.

- Chyba masz rację. - Starzec powoli kiwał głową. - Ale i nie masz, bo wcale nie uważam cię za trzpiotkę. Jak na swój wiek i pochodzenie dysponujesz ogromną mądrością. Gdybym nie był świadkiem twoich narodzin, nigdy bym nie wierzył, że wywodzisz się z Leniwców.

Zapadła cisza, bo mężczyzna zorientował się, że powiedział coś, czego nie powinien. Przejął się tą gafą, a zaraz zdziwił własnym zawstydzeniem. Przecież, koniec końców, była to jego tylko i wyłącznie niewolnica. Nie kobieta równa jego pochodzeniu, nie wybranka serca, nie obiekt jego najskrytszych marzeń z lat młodości, lecz kobieta, która jeszcze niedawno była jego podnóżkiem, obiektem zaspokajającym wszelkie starcze żądze o każdej porze dnia i nocy, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. A teraz to on był niewolnikiem jej zielonych, przepelnionych bezinteresowną miłością oczu i nieskalanej egoizmem duszy.

Dziewczyna wyczytała w jego twarzy zakłopotanie własnymi słowami i postanowiła zatrzeć złe wrażenie.

- Kochany - powiedziała słodko - jesteś jedynym człowiekiem, który zasługuje na wszystko, o czym tylko pomyśli. Nie troszcz się o sprawy małe, o te codzienne drobiazgi. Tu i teraz przemija, kiedy wypowiadamy te słowa. Powiedz mi lepiej, jak mogę sprawić, żebyś znów przesypiał spokojnie całą noc.

Słowa te sprawiły, że nie potrafił już dłużej panować nad emocjami. Wypowiadane dobitnie zdania padały z jego ust, a w każdym z nich skarżył się na swój los. Opowiadał o problemach z Miastem Wschodnim, o tym, że rośnie liczba przeciwników jego rządów. Skarżył się, że coraz więcej Leniwców dostaje pozwolenie na kurację i że pewnie niedługo będzie wystarczająco dużo zdrowych, którzy zorganizują się i pójdą uzbrojeni na siedzibę Rady. Z każdą minutą wyjawiał coraz więcej tajemnic państwowych, których nie miało prawa usłyszeć ucho żadnego mieszkańca Wyspy. Ale rzeczy, o których miała wiedzieć tylko Rada, ta młoda kobieta słyszała prawie każdego dnia. Była powierniczką jego trosk, lęków i obaw, a co za tym idzie, także tajemnic strzeżonych niejednokrotnie karabinem przez najlepiej wyszkolonych żołnierzy.

Całą godzinę starzec wylewał swe troski i dzielił się tajemnicami Rady Starszych. Robiłby to jeszcze dłużej, gdyby tych błogich zwierzeń nie przerwało natarczywe pukanie do

drzwi. Przewodniczący był zdziwiony, gdyż jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by jego adiutant zjawiał się w jego prywatnych pomieszczeniach poza regulaminowymi porami budzeń, posiłków i przerw w obradach. W pierwszej chwili pomyślał, że Barbarzyńca został ujęty i wojsko nie chce czekać z tą wiadomością, lecz jakiś wewnętrzny głos podpowiedział mu, iż to jednak nie będą dobre wieści. Przeczucie i tym razem go nie zawiodło. Gdy tylko otworzył drzwi, młody oficer poinformował go służbowym tonem o tym, co się działo w sali obrad. Starzec nie wysłuchał nawet do końca, zamknął drzwi przed nosem wystraszonego adiutanta i wrócił do sypialni.

- Widzisz, jakie ciężkie dni nas teraz czekają, kochana. Co rusz jakieś nowe problemy - mówił, zgnębiony.

Dziewczyna spojrzała na niego smutnym wzrokiem i powiedziała coś, czego pożałowała, zanim jeszcze skończyła wypowiadać ostatnie słowo:

- Chyba byłoby lepiej, gdyby to miasto nie istniało...

- W rzeczy samej, moja droga. A to znaczy, że miałaś rację. Wspólnie znajdziemy wyjście z każdej sytuacji. - Przewodniczący pogłaskał dłoń żony i podszedł do biurka.

- Co masz zamiar zrobić?

- To miasto nigdy nie powinno istnieć, więc nie będzie.

- Ale nie to miałam na myśli. Nie chcesz chyba zniszczyć całego miasta? - zapytała drżącym głosem.

- Owszem, to właśnie chcę zrobić. Mam już tego dosyć. Chcieliśmy tym bezrozumnym istotom dać odrobinę wolności, ale nasze przedsięwzięcie okazało się niewypałem. Bo oni jak zwykle chcieli dostać wszystko od razu bez najmniejszego wysiłku. Uważają, głupcy, że wszystko im się należy tylko dlatego, że się urodzili. To miasto nie ma prawa istnieć. Już dawno powinienem to zrobić. Nie wiem, dlaczego tak długo litowałem się nad tymi nędznikami - mówił w uniesieniu Przewodniczący, wyjmując jednocześnie z biurka grubą księgą zatytułowaną Plan likwidacji Miasta Wschodniego.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, co zrobiła, i łzy pojawiły się w jej oczach. Starła się wymyślić jakiś podstęp, by odwieść Przewodniczącego od tego, co zamierzał, lecz jedyne, co przyszło jej do głowy, to paść mu do stóp i błagać, by pomyślał nad innym rozwiązaniem.

- Nie rób tego - zaczęła, wciąż siedząc na łóżku. - To tysiące ludzi, tysiące istnień. Nie możesz ot tak ich zabić, skazać miasta na nieistnienie. Nie możesz go tak po prostu zmieść z powierzchni ziemi jak jakieś mrowisko. Błagam cię...

Natarczywość dziewczyny i jej nagła troska - nigdy u niej niespotykana - o losy ludzi zamieszkujących tak odległe tereny tylko rozjuszyły starca i utwierdziły go w słuszności podjętych decyzjach. Przypomniawszy sobie też dobitnie, kim była jego młoda żona.

- Won, mała dziwko! - kopnął ją z całej siły i nie oglądając się za siebie, wyszedł z apartamentu, trzymając mocno grubą księgę. - Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy - rzucił jeszcze przez ramię.

Po drodze do sali obrad adiutant opisał mu przebieg kłótni, który zdołał ustalić po rozmowie ze starszyzną. Żaden z nich nie śmiał kłamać, wiedzieli bowiem, że raport zostanie przedłożony Przewodniczącemu.

Po wejściu na salę najstarszy mieszkaniec Wyspy najpierw przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych. Zobaczył na nich wstyd i zażenowanie. Podszedł do ambony i rzucił na duży stół Plan likwidacji Miasta Wschodniego. Poczekał, aż wszyscy starcy odczytają tytuł, a potem wypowiedział jedno krótkie pytanie:

- Kto za?

Po krótkiej chwili konsternacji, gdy już wszyscy zrozumieli, o co zostali zapytani, dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć rąk uniosło się w górę. I żadna nie opadła, dopóki Przewodniczący nie opuścił sali obrad.

IV

Młody chłopak przygnieciony przez drzewo w szpitalu odzyskiwał siły niezwykle szybko. Już zaledwie dwie doby po zdarzeniu jego kości zrosły się, jak trzeba, i był w stanie chodzić. Wydawało się, że wypadek na plaży wcale się nie wydarzył. Ale strażnicy mieli w tej sprawie inne zdanie.

Jego dom został niezwłocznie przeszukany. Stalowy sejf stał dla funkcjonariuszy straży Agencji otworem, znaleźli wszak przy uszkodzonym kluczyku. Przy okazji go przesłuchali, ale cała ta procedura polegała właściwie na zadawaniu pytań, na które nie oczekiwano odpowiedzi. Badanie krwi wystarczyło, by potwierdzić jego tożsamość. On zresztą od początku wiedział, że nie chodzi tu o sprawę śmierci jego żony, a o to, kim jest. Odczuwał nawet pewną satysfakcję w ich obecności: był zbiegiem, który ukrywał się przez tyle lat wśród nich, mieli go na wyciągnięcie ręki, ale nie umieli znaleźć. Gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek, wciąż byłby wolny.

A teraz, w czwartkowy wieczór, siedział skuty w ciasnym pomieszczeniu i rozmyślał, jak uciec. Nie było to łatwe, tym bardziej, że nie był sam. Jego teść, człowiek stary i niezbyt już sprawny, który na dodatek znał wszystkie jego sekrety i - jak sądził zięć - podzieliłby się nimi, gdyby strażnicy zastosowali mniej wyrafinowane środki perswazji, wpadł razem z nim.

Siedzieli naprzeciw siebie na swych kojach bez słowa. Wiedzieli, że kraty w oknach są osadzone w zmurszałych murach i że z łatwością mogą je wyrwać i uciec; obaj myśleli o tym samym, ale nie mogli dzielić się swoimi spostrzeżeniami. Tym razem nie dlatego, że za sobą nie przepadali, ale dlatego, że nie było to im potrzebne, w końcu w ich sytuacji musieli myśleć o tym samym. Choć już powody ucieczki ich różniły, ale to akurat nie było w tej sytuacji istotne. Póki co musieli jakoś zabijać leniwie płynący czas. Młodszy mężczyzna porzucił myśli o uwolnieniu i zaczął się zastanawiać, kto zajmie trzecią koję, posłaną i gotową na przyjęcie jeszcze jednego nieszczęśnika.

Dopiero koło północy jego ciekawość została zaspokojona. Najpierw usłyszeli potężny ryk silnika, potem kroki kilku mężczyzn na korytarzu, a wreszcie drzwi celi otworzyły się i do środka został wprowadzony mężczyzna. Młodszy więzień bez trudu rozpoznał w nim myśliwego, który zaledwie kilka dni temu na plaży strzelał do jego żony; było to tym łatwiejsze, że starszy człowiek miał na sobie ten sam strój moro co wtedy. Teraz, tak jak wcześniej dwóch pozostałych, strażnicy przykuli go kajdankami do łóżka w taki sposób, aby mógł się położyć, a także usiąść.

Ojciec zabitej kilka dni wcześniej przez myśliwego kobiety patrzył na nowego więźnia jak na zjawę, która wydostała się z jakiegoś koszmaru. Podbródek drżał mu jak u dziecka, które za chwilę się rozplacze, nie mógł opanować dygotania kolan i jedynej ręki. Nie chcąc okazać przybyłemu, że wzbudza w nim tak ogromne emocje, położył się na pryczy twarzą do ściany i wrócił do obmyślenia planu ucieczki. Ale niesforne myśli wracały do przeszłości.

Z kolei młodego mężczyznę z czarnymi kręconymi włosami, obecność myśliwego nie zdziwiła zbytnio. Nie zastanawiał się nad jego losem. Wiedział, że sprawa i tak już została przesądzona. On zostanie odesłany tam, skąd uciekł, myśliwy ukarany śmiercią za zabicie jego żony, a stary za to, że o wszystkim wiedział i milczał, skazą na ciężkie roboty, a w najgorszym razie podzieli los myśliwego i dostanie zastrzyk usypiający. Bo stary nie tylko to miał na sumieniu. Z notatek młodego mężczyzny, które strażnicy znaleźli w sejfie, jasno wynikało, że jego teść zabił własną żonę. I teraz Agencja o tym wiedziała.

Każdego z tej trójki czekał podły koniec i trzeba było jak najszybciej się dogadać i coś wymyślić. Wszystkim trzem zależało przecież na ocaleniu życia, a ponadto dwójka z nich czuła się odpowiedzialna za losy świata i przywrócenie porządku, który pamiętali sprzed wielu lat...

Strażnicy odeszli, zamykając drzwi na kłódkę, a potem odjechali w swoją stronę, pozostawiając więźniów pod opieką dwóch znudzonych funkcjonariuszy, którzy - aby nie

zasnąć - grali w jakieś dziecinne zgadywanki. W celi panowała cisza i zanosilo się na spokojną służbę.

Myśliwy nie potrafił jednak milczeć.

- Ty, słuchaj - powiedział cicho, przeciągając sylaby. Patrzył na młodego mężczyznę przenikliwie. - Tak się zastanawiałem, dlaczego mnie zabrali z tego przybytku rozkoszy i teraz już wiem, że tobie to zawdzięczam. Co, wygadałeś się? Obiecali ci coś czy jak?

Myśliwy doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego zleceniodawca nie jest winny aresztowania, był pewny, że nie zeznał przeciw niemu, po prostu chciał wyładować swoją frustrację.

- No tak - mruzczał, wciąż obrażony na cały świat - ten parszywiec wreszcie dopiął swego. Albo on wziął się do roboty, albo ja się rozleniwiłem. Widać byłem za mało ostrożny - deliberował.

Czarnowłosy więzień spojrzał na niego, głową wskazał drzwi i podniósł palec do ust, chcąc dać myśliwemu do zrozumienia, żeby nie mówił niczego, co by ich mogło jeszcze bardziej pograć.

- No co ty? - Facet w moro zareagował śmiechem. - Tych dwóch debili posadzili tam tylko dla zasady. A ten to kto? - zwrócił się do młodego, wskazując wzrokiem starca.

- Mój teść - odparł krótko zapytany.

Myśliwy popatrzył wnikliwiej na skuloną na pryczy postać i trochę się speszył. Ale nie trwało to długo.

- Hej! - zawołał do starca. - Pewnie się domyślasz, kim jestem, co?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Starzec nawet go nie usłyszał. Myślał tylko o tym, jak całą trójką mogą się wydostać z celi.

- To ja zabiłem twoją córkę - ciągnął człowiek w moro, coraz bardziej zniecierpliwiony milczeniem starca. - Czy on jest głuchy? - zapytał w końcu młodego.

- Nie. On po prostu jest biernym obserwatorem zdarzeń - wyjaśnił chłopak sarkastycznym tonem.

- Znaczy, że co? Jak go podpalę, to będzie obserwował, co się wydarzy, tak? Nie będzie próbował się ratować? - Myśliwy też uderzył w kpiarski ton.

- Nie. Chodzi o to, że po śmierci żony coś mu odjebało. - Tym razem najmłodszy więzień nie był już ani trochę rozbawiony. - Stwierdził, że nie będzie podejmował żadnych decyzji dotyczących własnego życia ani wtrącał się w cudze sprawy. Nie będzie przycinał trawy, nie będzie pracował ani zebrał, nie będzie dyskutował z nikim na żadne tematy, bo to może wpłynąć na czyjeś decyzje. Po prostu nie chce mieć wpływu na nic. Jeśli ty podejmiesz

jakąś decyzję za niego, to musisz to zrobić tak, żeby nie musiał nic robić, żeby to zrobić - tłumaczył coraz mętniej.

Myśliwy nie mógł tego pojąć.

- Jeżeli teraz wyłamie kraty i będzie możliwość ucieczki, to on zostanie? - zastanawiał się głośniej, niż przystało na ich sytuację.

- Tak - potwierdził zięć obgadywanego.

- Ale jeżeli wezmę go na ramię i wyniosę to nie będzie protestował?

- No właśnie, bo to będzie twoja decyzja a nie jego.

- No dobra. Więc nie muszę się obawiać żadnej zemsty z twojej strony, co, staruszku? Tak lub nie, na pytania chyba możesz odpowiadać? - Myśliwy znów próbował zagadać do starego, ale i tym razem nie przyniosło to żadnego skutku.

Ten był tak pochłonięty planowaniem ucieczki, że jego umysł wyłączył się chwilowo i nie rejestrował niczego, co działo się dookoła.

W końcu myśliwy zrezygnował z zaczepek i w celi zapanowała cisza. Minuty mijały bezdźwięcznie, lecz tak wolno, że wydawało się, że czas nie płynie. Od czasu do czasu dało się tylko słyszeć szuranie butów lub krzesel w korytarzu, gdy któryś ze strażników zmieniał pozycję we śnie. Po półgodzinie cisza stała się nie do zniesienia.

- Jakoś trzeba stąd nawiać. - Myśliwemu najbardziej dokuczało milczenie.

Powiedział to jednak zbyt głośno i zbudzeni strażnicy po chwili zjawili się w celi. Sprawdzili kajdanki wszystkim trzem więźniom, a potem dokładnie przeszukali metalowe łóżka. Słowa myśliwego tak ich zmobilizowały, że postanowili nie zostawiać więźniów ani na chwilę bez nadzoru i trzymać wartę na zmianę po dwie godziny. Starszy strażnik udał się więc na spoczynek, podczas gdy jego młodszy towarzysz wyciągnął się wygodnie na krześle, położył nogi na drugim i zaczął czytać książkę.

Myśliwy zorientował się, że to jego słowa były przyczyną kontroli i po ich wyjściu mówił już tylko szeptem.

- Trzeba stąd nawiać - perorował. - Kraty to nie problem, są zardzewiałe, a mur całkowicie zmurszały. Gorzej z tymi kajdanami. Mocne cholerstwo i łańcuch też gruby. Nie rozerwiemy ich tak po prostu. Można by zdemontować łóżka, ale narobimy przy tym za dużo hałasu, a mając w sumie dwie ręce wolne nie poradzimy sobie ze strażnikami.

- To co, chcesz uciec z łóżkiem? - zapytał czarnowłosy mężczyzna, zrezygnowany.

- Nie żartuj sobie - ofuknął go myśliwy. - Kiedy mnie tu wieźli, podsłuchałem, o czym mówili. Jutro rano mamy być stąd zabrani do Miasta Głównego. Do samej Agencji mają nas

wywieźć. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to uciec z transportu. Tylko trzeba to zrobić tak, żeby przy okazji zwałować im samochód, bo pieszo daleko nie uciekniemy.

Myśliwy przerwał i nasłuchiwał, czy strażnicy w korytarzu nie są zbyt ruchliwi. Nie usłyszał jednak żadnych niepokojących dźwięków, więc wykladał młodemu swój plan coraz śmielej.

- Miasto Główne jest jakieś dwa dni drogi stąd, sporo czasu. Jak już znajdziemy się w transporterze, będziemy musieli troszkę odczekać, najlepiej z trzycztery godziny. Musimy odjechać na tyle daleko, żeby nie mogli szybko zorganizować pościgu ani z miasta, ani z tego miasteczka za jeziorem. Zrobimy tak. Zaczniemy się bić, że niby jestem na ciebie wściekły o to, że mnie wydałeś albo coś, nieważne. Chodzi o to, żeby musieli się zatrzymać. Żebyśmy nie sprawiali kłopotów, rozsadzają nas do różnych samochodów, ale żeby to zrobić, będą musieli rozkuć jednego z nas. Wtedy ten rozkuty powali strażnika, który będzie stał najbliżej, i zabierze mu broń. To będzie tak zaskakujące, że musi się udać. Potem wystarczy już tylko wsiąść do samochodu i odjechać. A, no i zapomniałem dodać, że trzeba będzie wziąć zakładnika, żeby do nas nie strzelali.

Myśliwy skończył i patrzył na chłopaka pytającym wzrokiem. Młody nie odzywał się dobrą chwilę, po czym westchnął i powiedział:

- Ja się naczytałem kryminałów, ale ty to chyba kilka napisałeś. Przecież to nie będzie dwóch czy trzech strażników tylko pewnie z pół armii. To po pierwsze. Po drugie, oni będą do nas strzelać, nawet jak będziemy mieć jednego z nich. Może nie tak, żeby zabić, ale zranią nas na pewno. To nie będą takie ciury jak tych dwóch tutaj, ale dobrze wyszkoleni strażnicy z samej Agencji. I uwierz mi: przyjadą, zabiorą nas, a my będziemy robić dokładnie to, co nam każą.

Młody mężczyzna mimo swoich słów też jednak marzył o ucieczce i starał się, jak mógł, znaleźć rozwiązanie. Ale żaden z jego pomysłów nie przystawał do sytuacji. Myśliwemu też wyczerpały się scenariusze i z wściekłością patrzyli po sobie, nie mogąc nic zrobić. Nagle ich uwagę zwrócił starzec, który usiadł na łóżku, powiódł powoli wzrokiem po ścianach celi, a następnie popatrzył swoim współtowarzyszom w oczy, jakby chciał wy badać ich stan umysłu. W końcu krzyknął najgłośniejszym głosem, jak tylko potrafił:

- Strażnik!

Myśliwy i młody więzień popatrzyli po sobie i zdziwieni wlepili wzrok w starca. Ten zaś siedział i spokojnie patrzył, jak chłopak w mundurze otwiera celę i wchodzi do środka. Nieco rozspanym wzrokiem przyjrzał się więźniom i rutynowo zapytał:

- Któryś potrzebuje do toalety?

- Nie, młodzieńcze - zaprzeczył starszy mężczyzn. - Chciałem za to zauważyć, że od wczoraj nie dostaliśmy nic do jedzenia. Jesteś strażnikiem i powinieneś wiedzieć, że zgodnie z punktem trzydziestym czwartym regulaminu więziennego przysługuje nam dziennie jeden posiłek, składający się z dwustu gram gotowanego mięsa oraz trzystu gram warzyw i pół litra warzywnego wywaru. Porcje są jednakowe dla wszystkich, niezależnie od statusu społecznego i rodzaju zarzutów. Złamanie jakiegokolwiek punktu regulaminu może się dla ciebie wiązać z poważnymi konsekwencjami, więc jeśli jeszcze nie zabraliście do domów albo nie zjedliście naszych racji żywnościowych, to bardzo proszę o dostarczenie ich do celi. Niezwłocznie. W przeciwnym wypadku będę musiał złożyć do Agencji doniesienie o nieodpowiednim traktowaniu. A taką możliwość będę miał osobiście już za kilka dni, prawda?

Więzień zakończył monolog, ale wciąż wzrok miał utkwiony w młodym strażniku. Ten stał przez chwilę, zmieszany i zdziwiony wiedzą starca na temat regulaminu. Strażnicy nie mieli pojęcia, kim są osadzeni ani jakie ciążą na nich zarzuty. Wiedzieli tylko, że mają zostać zabrani rano i że w razie próby ucieczki mogą strzelać tak, by zabić.

- Zaraz sprawdzę - odparł wreszcie funkcjonariusz i wyszedł.

Myśliwy przyglądał się starcowi, mrużąc oczy Młody zaczął rozczesywać palcami splątane loki, ale wnet z tego zrezygnował, położył się na łóżku i gapił się w sufit.

- Skąd znasz regulamin? - zapytał teścia.

Tamten swoim zwyczajem nie odpowiedział. Siedział na łóżku, a jego wzrok skierowany na ścianę zdawał się ją przenikać. Znowu wyglądał, jakby się wyłączył. To nadal fascynowało myśliwego, który oparł się plecami o ścianę i obserwował starca uważnie.

- On tak czasem ma - zaczął tłumaczyć młody. - Nie odzywa się miesiącami, aż tu nagle jakąś mądrość pierdolnie, tak, że nie wiesz, czy słuchać dalej czy zapomnieć. Teraz się mu, kurwa, jeść zachciało. No nic. W takim wieku można mieć wszystko w dupie. Jemu to już jeden chuj, swoje przeżył, nikogo na tym świecie nie ma poza mną i wnukami, a nie jesteśmy zbyt kochającą się rodziną, więc stwierdził, że lepiej zdychać z pełnym brzuchem.

Młody utyskiwał na dziwactwa starego, dając w ten sposób upust własnemu gniewowi. Do starca jakby też nie dotarły. Oddychał miarowo i spokojnie, ale czuł jakiś wewnętrzny niepokój. Młody od czasu do czasu rzucił jeszcze jakieś przekleństwo albo obelgę do teścia, ale ten nie reagował.

Myśliwy też się wyłączył. Nie wiedzieć kiedy przestał słyszeć i widzieć to, co się działo wokół niego, interesował go jedynie ekscentryczny starzec. Znowu nastała w celi cisza,

w której można było usłyszeć bicie własnego serca. Przerwał ją po jakimś kwadransie strażnik Wrócił z dużym garnkiem, który położył na niewielkim stole w rogu celi, a zaraz potem przyniósł jeszcze jeden. W końcu przyniósł też tacę, na której znajdowały się trzy talerze, trzy aluminiowe kubki i sztucce.

Dopiero wtedy miody więzień podniósł się i usiadł na łóżku. Zaczesał włosy do tyłu i obserwował kelnerskie poczynania strażnika. Myśliwy też dostrzegł, na co się zanosi, ale nadal obserwował starca, który podążał teraz wzrokiem za mężczyzną w mundurze. Ten przysunął do każdego łóżka drewniany taboret i zaczął nakładać na talerze porcje gotowanego mięsa i warzyw, a potem stawiał je przed więźniami. Kiedy każdy już miał jedzenie, strażnik nalał do kubków gorącego wywaru i postawił je razem ze sztuccami obok talerzy. Uznał, że dopełnił swoich obowiązków, i chciał wyjść, lecz powstrzymał go zmęczony głos starca.

- Hej, młodzieńcze. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ja mam tylko jedną rękę. Jak mam jeść?

Strażnik przystanął i przyjrzał się trzęsącemu się ze starości człowiekowi. Stwierdził, że nie stanowi on zagrożenia i może go rozkuć.

- Dobra - zgodził się. - Uwolnię ci rękę, ale muszę przykuć nogę do łóżka.

Podszedł do więźnia, wyjął mały kluczyk z kieszeni i odpiął kajdanki. Następnie ukląkł na jedno kolano przed starcem, by przypiąć jego nogę, ale tego już nie zrobił. Pół litra gorącego wywaru wylądowało na jego twarzy i nie zdążył nawet krzyknąć, gdy starzec - już wyprostowany - powalił go potężnym, prawym hakiem w podbródek na łóżko myśliwego. Ten bez zastanowienia, działając instynktownie, złapał strażnika za szyję i zaczął go dusić. Starzec rzucił się z pomocą i we dwójkę dokonali morderstwa, cichego i szybkiego, używając do tego jedynie poduszki. Gdy nieszczęśnik przestał wierzgać i znieruchomiał całkowicie, starzec wyjął mu z dłoni kluczyk od kajdanek i rozpiął najpierw myśliwego, a następnie swego zięcia, który obserwował całe zajście z niedowierzaniem i podziwem jednocześnie. Był zszokowany nagłym przyplływem energii u staroego. Teraz jego teść wyglądał i poruszał się jak wyszkolony żołnierz w szczytowym okresie służby. Gdzieś zniknęło to otępiełe spojrzenie, którym obdarzał jego i resztę świata przez te wszystkie lata, kiedy się znali.

Starzec gestem nakazał towarzyszom milczenie i wyszedł pierwszy na korytarz. Porozumiewali się teraz wyłącznie na migi. Myśliwy opuścił celę jako następny, ale wcześniej zabrał broń denata. Starzec skradał się powoli, przyczajony i czujny, dawał ręką znaki, kiedy pozostali mieli iść za nim, a kiedy znieruchomieć. Wygląda-

129 ło na to, że dobrze znał budynek, co zdziwiło jego zięcia, nie było jednak czasu na żadne pytania. Najmłodszy więzień miał tylko nadzieję, że stary wie, co robi.

Po wyjściu z celi ruszyli korytarzem w lewo, aż doszli do rozwidlenia. Starzec postanowił iść w prawo, choć strzałki wskazujące wyjście ewakuacyjne kierowały w przeciwnym kierunku. Jego towarzysze nie zamierzali protestować, po prostu ruszyli za nim. Korytarz nie był długi, ledwie kilkanaście metrów, i kończył się przed drzwiami zamkniętymi na głucho. Stary na migi wytłumaczył kompanom, co mają robić: do młodego należało otworzenie drzwi, a myśliwy miał wpaść do pokoju i sterroryzować śpiącego strażnika. Gdyby zaczął stawiać opór lub narobił hałasu, należało go unieszkodliwić, ale koniecznie po cichu. Pistolet był ostatecznością, wystrzał mógł bowiem zaalarmować funkcjonariuszy przebywających w innych częściach budynku. Młody pojął zamiary starca, ale dał do zrozumienia, że ma lepszy pomysł. Jednocześnie podszedł do drzwi, aby myśliwy nie zdążył ich wyważyć. Przyłożył palec do ust, odetchnął głęboko i sięgnął za klamkę. Do pomieszczenia przez okno wpadało wystarczająco dużo światła, by mógł dostrzec na jednym z czterech łóżek śpiącego strażnika. Obudziły go skrzypiące drzwi.

- Zaspaleś trochę - odezwał się napastnik, przekonując swoją ofiarę, że wszystko jest tak, jak zaplanował z kolegą kilka godzin temu. Chciał, aby mężczyzna zupełnie nie spodziewał się ataku.

Gdy rozespany strażnik niezdarnie gramolił się z łóżka, chłopak podszedł do niego i lewym sierpowym uderzył go w szczękę najmocniej, jak tylko zdołał. Tamten upadł, robiąc przy tym trochę hałasu, a potężny kopniak w głowę sprawił, że stracił przytomność. Młody mężczyzna szybko wrócił na korytarz, wziął od myśliwego pistolet i wrócił do pomieszczenia. Tam znalazł na łóżku poduszkę, przyłożył ją do głowy nieprzytomnego mężczyzny i przytknął do niej pistolet. Poduszka zadziałała jak tłumik i dwa wystrzały były niemal zupełnie niesłyszalne.

W ciągu tych kilkudziesięciu sekund, które mężczyźni wystarczyły na rozprawienie się ze strażnikiem, stary patrzył z podziwem na zięcia, przyznając w duchu, że tamten miał lepszy plan. Nie marnował jednak czasu na zbędne pochwały, tylko szeptem poinstruował towarzyszy o kolejnych etapach ucieczki.

- Wokół budynku łązi dwóch strażników, a jeszcze jeden stoi cały czas przy bramie. Reszta śpi. Zmieniają się co dwie godziny. Mamy jeszcze około trzydziestu minut do następnej zmiany warty i musimy zdążyć.

Potem zwrócił się tylko do zięcia, patrząc mu prosto w oczy:

- Teraz pójdziemy do garażu. Zabierzesz kluczyki od wszystkich pojazdów i do jednego z nich wsiądziesz. Ale z odpaleniem silnika poczekasz, aż ja uporam się z bramą.

Kiedy będzie podniesiona na tyle, żeby samochód pod nią przejechał, ruszysz. Tylko nie zapomnij mnie zabrać - uśmiechnął się zupełnie niespodziewanie.

Jego zięć pomyślał, że chyba pierwszy raz widzi na tej pooranej przez czas twarzy uśmiech.

Myśliwy był w jeszcze lepszym nastroju. Bawił się wyśmienicie. Ucieczkę z więzienia, traktował jak wspaniałą przygodę, którą będzie mógł w przyszłości wspominać z rozbawieniem. Przestał zastanawiać się, czy im się uda, po prostu jak zdyscyplinowany żołnierz poddawał się rozkazom. Był podekscytowany tym, co zdarzy się za chwilę, nie mógł się wprost doczekać każdego kolejnego kroku. Momentami zapominał, że to wszystko dzieje się naprawdę, i miał wrażenie, że czyta pasjonującą książkę.

Młody uciekinier był natomiast zdezorientowany i przerażony.

- Co jest, kurwa, grane, do jasnej cholery? - szeptał do siebie. - Skąd on, kurwa, zna tak dobrze ten budynek? Co mu się nagle stało? Odmłodniał, kurwa, czyjak?!

Te rozterki nie przeszkodziły mu jednak w podążaniu za teściem. Na pytania przyjdzie czas później, obiecał sobie, a tymczasem przyspieszył kroku, bo nie mógł nadążyć za starym. Biegiem niemal dotarli do rozwidlenia w korytarzu, gdzie z ulgą stwierdzili, że nikt jeszcze nie odkrył pustej celi. Minęli ją, nie zatrzymując się nawet na chwilę, choć burczało im w brzuchach, a pozostawione na taboretach jedzenie kusilo, i dotarli do klatki schodowej. Powoli, by nie narobić hałasu, weszli na schody. Ich cela znajdowała się na drugim piętrze, zejście na parter nie zajęło im więcej niż dwie minuty. Spieszyli się, owszem, ale pamiętali też o zachowaniu ostrożności; cały czas bacznie nasłuchiwali, czy jakiś cierpiący na bezsenność strażnik nie płacze się w pobliżu. Gdy znaleźli się na parterze, starzec skierował ich w lewo i doprowadził do pewnych drzwi. Otworzył je na oścież, a wtedy jego zięć zupełnie oniemiał. Stali w progu pomieszczenia, które znał od wielu lat. To była recepcja, gdzie meldował się codziennie przed pracą. Wiedział doskonale, które drzwi prowadzą do garażu, gdzie stały ciężarówki przeznaczone do przeszukiwania plaży. Nie zdawał sobie sprawy, iż ten jeden budynek spełnia tak wiele funkcji. Był jednocześnie biurowcem, garażem, a nawet więzieniem. Poczuł się pewniej, teraz i on wiedział, dokąd iść i co dalej robić. Wsunął się na czoło pochodu i wszedł do garażu jako pierwszy. Tam zrobił tak, jak mu kazał teść: zabrał wszystkie kluczyki i wszedł do najbliższego samochodu. Myśliwy zaraz wskoczył na skrzynię, bo uznał, że stary powinien zająć miejsce obok kierowcy. Po pierwsze dlatego, że musiał pilotować młodego, a po drugie ze względu na jego wiek i stan zdrowia. Młodzieniec już usadowił się wygodnie w fotelu kierowcy, włożył kluczyki do stacyjki i czekał na otwarcie bramy garażowej. Ta jednak ani nie drgnęła. W ciemności widział, jak

stary wciska raz po raz guzik podnoszący bramę i ogląda się bezradnie w ich stronę. Dopiero po dłuższej chwili młody przypomniał sobie, że przecież wszystkie urządzenia, które nie pracują, są na noc całkowicie odłączane. Wysiadł z samochodu, aby powiedzieć o tym teściowi, lecz ten już szedł w jego stronę, dając ręką znak, by wracał do pojazdu. Młodzieniec bez sprzeciwu usiadł za kierownicą, a organizator tej spektakularnej akcji zaraz usiadł obok niego.

- Nie ma czasu biegać po budynku i szukać skrzynki z bezpiecznikami - tłumaczył. - Odpalaj i wyważ te drzwi. Trudno, narobimy hałasu, ale i tak ich zaskoczymy.

Podjąwszy tę decyzję, stary odsapnął i zamknął oczy. Otworzył je jednak szybko i obejrzał się do tyłu, by zobaczyć, co u myśliwego. Mężczyzna w moro przybrał bezpieczną pozycję i trzymał się mocno stalowego orurowania kabiny. Wyglądało na to, że sobie poradzi.

Kierowca odpalił silnik i od razu ruszył z impetem. Samochód od bramy dzieliła odległość mniej więcej pięciu metrów, za mało, aby mógł się rozpędzić i wyważyć ciężkie, blaszane drzwi. Młody mężczyzna wrzucił wsteczny i cofał gwałtownie, aż uderzył w ścianę. Ruszył raz jeszcze, wjechał w bramę z impetem i tym razem zawiasy puściły, a roleta wyleciała z hukiem na zewnątrz. Skręcił w prawo, obserwując jednocześnie w lusterku kilku strażników, których zbudził hałas i zbiegli na dół sprawdzić, co się dzieje. Nie mieli jednak pojęcia, kto znajduje się w ciężarówce, która właśnie odjechała w stronę bramy i dlatego nie odważył się na oddanie strzałów.

Dopiero gdy samochód już zniknął za rogiem budynku, jeden ze strażników domyślił się prawdy.

- To więźniowie uciekają - krzyknął do kolegów. - Do wozów, ścigać ich.

Wszyscy pędem rzucili się do garażu, ale tam czekało ich gorzkie rozczarowanie: na ścianie nie było kluczyków do ani jednego wozu! Zapasowe znajdowały się w recepcji i kilka kolejnych minut zajęło żołnierzom ich znalezienie; tych samych minut, które zwiększały szansę wydostania się poza bramę agencyjnego budynku uciekinierom.

Tymczasem żołnierz, który pierwszy zorientował się, kto ucieka ciężarówką, wyjął broń i oddał kilka strzałów w powietrze. Miał to być sygnał dla wartowników przy bramie, ostrzeżenie. W samą porę, bo samochód z trójką uciekinierów właśnie wjeżdżał na dobrze oświetlony plac przed bramą. Więźniów dzieliło zaledwie dwadzieścia kilka metrów od wolności. Zaalarmowani strzałami dwaj strażnicy wyjęli broń i zaczęli celować do ciężarówki, sytuacja jednak była tak nietypowa, że nie byli pewni, jak mają zareagować. Nie wiedzieli, co się wydarzyło, a w dodatku widzieli samochód, który dobrze znali. Strzelili więc kilka razy w powietrze i pozwolili odjechać ciężarówce.

Więźniowie nie mieli czasu, by cieszyć się z powodzenia planu. Ucieczka wciąż trwała.

- Jedź w prawo - rozkazał starzec zięciowi - objeżdż naokoło muru i wyjeżdż na drogę na północ.

Już dawno wiedział, w którą stronę powinni się udać. Zakładał, że pościg ruszy na południe, bo strażnicy uznają, że więźniowie pojechali przed siebie; a zanim zorientują się, jak jest naprawdę, ciężarówka będzie już wystarczająco daleko.

Młody bez słowa zastosował się do wytycznych, objechał biuro i wjechał na utwardzoną drogę. Rozpędził ciężarówkę do osiemdziesięciu mil na godzinę, prędkości, z jaką nigdy przedtem nie jeździł, ale szybko przekonał się, że przesadził. Dziury, wyboje, koleiny i liczne kamienie na drodze powodowały, iż jazda z taką prędkością narażała ich na wypadek. Mężczyzna zwolnił więc do sześćdziesięciu mil i dla bezpieczeństwa włączył światła.

- Zgaś to natychmiast! - krzyknął myśliwy, który z ledwością utrzymywał się w skrzyni podskakującego pojazdu.

Młody nie usłyszał jego słów, więc ten zaczął walić w dach kabiny. Na to walenie zareagował stary. Obejrzał się do tyłu, ale zamiast na myśliwego, patrzył na samochody strażników w oddali. Już zawracały i obierały prawidłowy kierunek.

- Zobaczyli nas. - Stary dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo lekkomyślny okazał się zięć. - Wyłącz światła i zjedź między drzewa. Spróbujemy dotrzeć do plaży - krzyczał.

Był wściekły. Mieli szansę całkowicie zgubić pościg, a teraz ich przewaga stopniała zaledwie do jednej mili. Młody troszkę się speszył i zmieszał, pojął bowiem swój błąd, ale już po chwili odzyskał pewność siebie. Jechał twardą drogą jeszcze około dwóch minut, po czym zwolnił i skręcił w polną drogę prowadzącą w las. Nie pojechał na przełaj, gdyż nie chciał zostawiać śladów. Światła już zgasił i miał nadzieję, że strażnicy miną dróżkę prowadzącą między drzewami i pojedą dalej.

Tak się jednak nie stało. Byli zbyt blisko, a księżyc świecił zbyt mocno, by nie dostrzec, co się dzieje o milę przed nimi. Młody mężczyzna nie wiedział jeszcze o tym, skupiony na gnaniu nierówną drogą na złamanie karku. Nie zastanawiał się też wcale nad sytuacją myśliwego, który zaczął myśleć, że dla niego byłoby lepiej wpaść na powrót w ręce strażników, niż siedzieć na pace samochodu prowadzonego przez szaleńca. Samochód podskakiwał, niemal latał i przechylał się w powietrzu, lądował raz na tylnych, raz na przednich kołach. Momentami jechali na trzech kołach lub nawet bokiem. Długowłosy kierowca robił wszystko, by pogodzić prędkość z bezpieczeństwem, ale nie było to łatwe.

Światła włączył dopiero, gdy wjechali do lasu. Teraz widoczność była ważniejsza niż bycie niewidocznym. Żołnierze zresztą i tak byli już całkiem blisko, nie mieli pasażerów na skrzyniach, więc mogli jechać o wiele szybciej niż uciekająca ciężarówka. Kierowca tej ostatniej wiedział, że myśliwy z tyłu go spowalnia, dlatego też nagle zatrzymał samochód i krzyknął do niego, by wskoczył do kabiny. Były tam tylko dwa fotele, ale miejsca wystarczało dla trzech osób - nadliczbowy pasażer usiadł na podłodze. Ta operacja co prawda zmniejszyła ich prędkość o kolejne kilkadziesiąt metrów, ale teraz mogli jechać szybciej. I jechali. Mieli przecież znacznie więcej do stracenia niż strażnicy, którzy siedzieli im na ogonie. Im chodziło o życie, a funkcjonariuszom o regulaminowe zachowanie i uniknięcie przykrych konsekwencji w pracy.

Las skończył się po około dwóch milach, teraz mieli przed sobą stromą wydmy. Pokonali ją bez większego trudu i znaleźli się na plaży.

Młody spojrzał pytająco na starca, czekając na kolejne wytyczne. Ten rozejrzał się, jakby na skrzyżowaniu sprawdzał, czy ma wolną drogę.

- Na południe - powiedział i kiwnął głową w prawo.

Młody miał nietęgą minę. Wahał się. Myśliwy przybrał wyraz twarzy, jakby patrzył na niewytłumaczalne zjawisko, on też nie rozumiał planu starca.

- Z powrotem w stronę miasta? - upewniał się kierowca.

- No, z powrotem. Jedź, bo zaraz nam wjadą w dupę. - Zamiast starca odpowiedział zdenerwowany myśliwy, który stwierdził, że lepiej trzymać się planu ich przewodnika, choćby nie wiadomo jak szalonego, skoro lepszego nie mieli.

- Dobra, dobra. Bez nerwów. - Młody podzielał rozterki myśliwego i nie zamierzał się dłużej ociążać.

Ruszył na południe, jadąc bardzo blisko wody. Tam piasek był mokry, a przez to bardziej zbity niż dalej od brzegu, kierowca mógł więc teraz wykorzystać pełną moc silnika ciężarówki. W dodatku fale rozmywały ślady. Rozpędził samochód do prawie osiemdziesięciu mil na godzinę i zgasił światła, bo widział teraz wystarczająco dobrze. Jego znajomość psychologii podpowiadała mu ponadto, że ścigający będą jechać wolniej, jeśli ich nie dostrzegą. Tak działa instynkt, który każe oszczędzać energię, jeżeli zdobycz nie jest osiągalna na pewno.

Wszyscy trzej milczeli. Starzec swoim zwyczajem przyjął pozę posągu i gapił się przed siebie martwymi oczyma, które zdawały się nigdy nie poruszać. Myśliwy nie miał nic ani mądrego, ani ciekawego do powiedzenia, zajął się więc obserwowaniem plaży, by nie myśleć o tym, jak ta ucieczka może się skończyć. Młody natomiast był skupiony na jeździe i

wypatrywaniu ewentualnych przeszkód na drodze, nie miał czasu na rozmowy. Ponadto przypomniał mu się ostatni spędzony na plaży dzień. Wszystko zaczęło się na plaży i wszystko na plaży się skończy, pomyślał ze smutkiem. Ale szybko przegnał to, tak jak i inne przykre wspomnienia, które poczęły się kłębić bezładnie w jego głowie.

- Zobacz, jak daleko są za nami. Nie doganiają nas? - zwrócił się do myśliwego.

Mężczyzna, przytrzymując się siedzeń, podniósł się na kolana i obrócił tyłem do kierunku jazdy

- Jadą wzdłuż plaży, są jakieś dwie mile za nami. Trzy samochody - komentował z rosnącym rozbawieniem. - Pościg jak się patrzy. Prawdziwi mistrzowie kierownicy nas gonią. Lepiej dodaj gazu, bo zaraz obrzucą nas kamieniami.

Starego gadanina myśliwego drażniła. Wyjrzał przez okno, popatrzył na księżyc i coś zamruczał pod nosem.

- Co tam mamroczesz, staruszk? - Myśliwy dopiero się rozkręcał.

Zapytany przez chwilę jeszcze milczał, marszcząc brwi. Myślał nad czymś intensywnie, coś liczył, pomagając sobie palcami jak małe dziecko na pierwszych lekcjach rachunków. Gdy skończył, wrócił do swojej roli przywódcy.

- Jedź tak, żeby ich nie zgubić, ale nie pozwól, by byli bliżej niż trzy mile za nami. Włącz światła, muszą nas widzieć - wyrzucał z siebie polecenia.

Widząc, że zięć zrozumiał jego wytyczne, zwrócił się do myśliwego.

- Czy na pace są jakieś łopaty? - zapytał.

Ten spojrział przez tylną szybę i zobaczył dwie łopaty objające się o boki.

- Dobra - ucieszył się dowódca. - Mamy ze dwie godziny. Jedź blisko oceanu, tak, żeby woda zmywała ślady. Za jakieś dziesięć minut będziemy przejeżdżać koło starego dębu i wtedy zwolnisz, żebyśmy mogli wyskoczyć. Poczekasz chwilę, aż zabierzemy łopaty, a potem zgasisz światła i ujedziesz jeszcze z milę, po czym skreścis autem do wody. Wrócisz do nas na piechotę, tylko ostrożnie, mogli dać znać innym jednostkom i nie wiadomo, kto się kręci po plaży. Najlepiej płyn, tak ze sto metrów od brzegu. Zauważysz nas na pewno.

Młody mężczyzna niczemu się nie zdziwił. Był już pewien, że teść ma jakiś dobry plan i postanowił się podporządkować. Odgarnął włosy z czoła i przyspieszył, pościg został wyraźnie z tyłu.

Po kilku minutach ujrzeli w oddali ciemną plamę rozłożystego dębu górującego nad wydumą. Ciężarówka zjechała bliżej wody, tak jak polecił stary, i zaczęła zwalniać. Kierowca zdecydował się nie hamować zbyt gwałtownie, by nie zostawić zbyt wyraźnych śladów na piasku. Kiedy byli już obok wielkiego drzewa, chłopak zgasił światła i zatrzymał samochód

tuż przed wodą. Obaj pasażerowie wyskoczyli z pojazdu od strony kierowcy - wprost w błyszczącą toń. Myśliwy podniósł się szybko i zabrał ze skrzyni obie łopaty, po czym wskoczył do wody. Chłopak obserwował ich ruchy, a kiedy upewnił się, że sobie poradzą, odjechał.

Starsi mężczyźni zostali sami. Weszli do oceanu tak daleko, by móc się utrzymać się na nogach, i czekali, aż nadjedzie pościg. Po kilku minutach stania w lodowatej wodzie po szyję, zobaczyli trzy samochody, które przemknęły obok nich z dużą prędkością.

Wyszli na brzeg, kiedy oddaliły się już na kilkaset metrów.

- Zaczekaj tu na mnie - rozkazał starzec myśliwemu, a sam poszedł w stronę dębu.

Wrócił, odmierzając osiemdziesiąt kroków. Stał po kostki w wodzie.

- Cholera, jeszcze dwadzieścia. Musimy poczekać parę minut - mrucał tyle do swojego towarzysza, który nie bardzo wiedział, o co chodzi, co do siebie.

Wbił łopatę w miejscu, w którym się zatrzymał i usiadł na piasku. Myśliwy w końcu nie wytrzymał.

- Powiesz wreszcie, co kombinujesz? - zapytał ze złością.

Zapytany nie kwapił się z odpowiedzią. Zwrócił się za to twarzą do myśliwego i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Mniej wiesz, lepiej śpisz - rzucił wreszcie.

- A to dobre. Widzę, że masz zamiar się przekopać na drugą stronę kuli ziemskiej - zakpił. - Tyle czasu nie mamy, a i sił na pewno nam nie starczy. Podejrzewam jednak, że kilka następnych nocy spędzimy razem, więc chciałbym chociaż wiedzieć gdzie. To tak dużo?

- Mamy odpływ - zauważył flegmatycznie starzec. - Wiesz, co to odpływ? Woda cofa się do morza na chwilę, a potem wraca. Jak cofnie się jeszcze ze dwadzieścia metrów, będziemy mieć godzinkę na dokopanie się do włazu. Przyływ powinien nanieść piach i przykryć właz, gdy już będziemy w środku. Musimy zdążyć przed przyływem, inaczej nici z ucieczki. Będziemy musieli tu wrócić przy kolejnym odpływie, tyle że wtedy będzie nas już szukać tysiąc ludzi, a nie ta rozspana garstka. Miejmy tylko nadzieję, że te barany nie zorientują się, że nas już nie ma przed nimi, i nie zawrócą.

Stary stwierdził, że powiedział wystarczająco dużo, położył się więc jak gdyby nigdy nic na piasku i zasnął.

Myśliwy nie dowierzał własnym uszom. Bunkier w morzu? Kim był ten staruszek, że to wszystko wiedział? Chcąc dać rozsądkowi dojść do głosu, usiadł na mokrym piasku i obserwował wodę. Skoro stary postanowił zasnąć na te kilka minut, on musiał trzymać wartę i czekać, aż cofnie się o te cholerne dwadzieścia metrów. Siedział i patrzył tępo w toń, która

ustępowała bardzo leniwie. Mniej więcej po trzydziestu minutach zobaczył postać wychodzącą z morza. Wracał więc starego.

Młody mężczyzna nie mógł uwierzyć, że tamten tak po prostu zasnął.

- Hej, może i masz jakiś superplan, ale to chyba nie jest, kurwa, dobry pomysł żeby sobie tu spać. Chyba, że umierasz - krzyczał tak głośno, że rzeczywiście obudziłby nawet umarlaka.

Ten podniósł się bez pośpiechu i nie patrząc nawet na młodego, odmierzył ostatnie dwadzieścia kroków. Wbił łopatę w piach i gestem pokazał zięciowi, co powinien teraz zrobić. Tamten spojrzawszy pytająco na myśliwego, popukał palcem w czoło i zagwizdał przeciągle. Uznał, że staremu odbiło.

- Nie pytaj. Bierz łopatę i kop - zachęcił płatny morderca i sam zabrał się do pracy.

Młody patrzył na niego przez chwilę, potem przeniósł wzrok na teścia, w końcu złapał narzędzie i zaczął machać nim zamazyście.

- Kopcie szeroko - powiedział starzec, który najwyraźniej nie miał zamiaru do nich dołączyć.

- Czego my właściwie szukamy? Zakopałeś tam jakąś superbroń? A może sami mamy się zakopać w piachu i czekać, aż o nas zapomną? Jak głęboko mamy kopać? - kpił najmłodszy uciekinier.

- Powinno być ze trzy metry. - Starzec i tym razem nie zareagował na jego zaczepki.

Po około trzydziestu minutach pracy udało im się wykopać dół głęboki na dwa metry. Ocean nie cofnął się wystarczająco i stali teraz po kolana w wodzie. Zmęczyli się obaj już dosyć porządnie i wizja przerwy, w oczekiwaniu na dalszy odpływ, była nawet przyjemna, ale nie mogli sobie przecież pozwolić na odpoczynek. Ścigający mogli się w każdej chwili zorientować, że zostali oszukani, i zawrócić. Mimo tego, że wraz z piaskiem wyrzucali w górę kaskady wody, a praca szła im nad wyraz opornie, postanowili kopać nieprzerwanie. Byli już prawie na głębokości czterech metrów, gdy myśliwego dopadło z wątpienie.

- Hej - zawołał do starego - jesteś pewien, że to coś tu jest? Zaraz nie będziemy w stanie wyrzucać już piachu z tej dziury. Miało być trzy metry a mamy prawie cztery i nic.

Myśliwy stał oparty o łopatę, mówiąc i jednocześnie ciężko dysząc, a w tym czasie mło dy natrafił wreszcie na coś twardego. Stuknął łopatą kilka razy, aby upewnić się, że to nie kamień, i krzyknął do starca:

- Jest tu jakieś blaszane pudełko. To o to chodziło?

Po chwili nad kupą piachu pojawił się stary. Popatrzył w dół i pokiwał głową. Znaleźli to, czego szukał.

- Kopcie dalej - instruował towarzyszy, próbując ostrożnie zsunąć się po ścianie dołu.
- Odkryjcie i oczyśćcie z piasku dokładnie cały właz.

Młody spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Właz? Do czego ten właz? - zapytał.

- Nie ma teraz czasu. Dowiesz się, jak wejdiesz do środka. - Tym razem to myśliwy go ponaglał.

Odkopanie i dokładne oczyszczenie włazu zabrało im kolejne pół godziny. Wykonany ze stali nierdzewnej, był dosyć spory, jakieś dwa metry na dwa. Składał się z dwóch skrzydeł, które spajało ze sobą spore stalowe koło. Stary przekręcił je kilkakrotnie w lewo, wreszcie się zablokowało, dał się słyszeć cichy syk i potężne, kilkutonowe wrota zaczęły się otwierać.

Kiedy rozchyliły się całkowicie, trójka uciekinierów mogła zobaczyć słabo podświetlone schody. Stary gestem kazał pozostałym się pospieszyć i czekał, aż ruszą w dół. Ostrożnie weszli na pierwsze stopnie, cały czas spoglądając za siebie, jakby obawiali się, że dowódca zamknie ich w jakimś upiornym grobowcu. Ten wszedł jednak za nimi, wcześniej jeszcze naciskając przycisk na ścianie. Wielkie wrota wróciły na swoje miejsce.

Wąskie, spiralne schody skończyły się niespodziewanie po kilku minutach ostrożnego marszu. Znajdowali się teraz sto metrów pod powierzchnią ziemi, w ciasnym pomieszczeniu.

- Rozbierzcie się do naga i ubrania zostawcie tutaj - rozkazał starzec. - Wszelkie ozdóbki z kości, koraliki i zęby rekinów też - dodał, patrząc wymownie na myśliwego. - Za chwilę poczujecie dziwny szum w uszach, może nawet ból, to będzie znak, że spada ciśnienie. Drzwi otworzą się tylko na sekundę i automatycznie zamkną, więc musimy równocześnie wskoczyć do środka.

Towarzysze opanowanego starca spojrzeli po sobie, ale nie skomentowali słowem tej wypowiedzi. Posłusznie wykonali polecenie. Myśliwemu trudno się było rozstać ze swoimi ozdobami, dlatego, gdy zauważył na nadgarstku starca coś w rodzaju bransoletki z włosów, nie omieszkał mu tego wypomnieć.

- Zapomniałeś o swojej ozdóbce, starcze - zauważył sarkastycznie.

- Nie zapomniałem - odpowiedział stary z uśmiechem.

Myśliwy nie dociekał. W trakcie tej ucieczki nauczył się trzymać język za zębami. Tak jak pozostali, stał nago przed drzwiami i czekał, aż ciśnienie przestanie spadać i zaniknie nieprzyjemny szum w uszach. Starzec otworzył wreszcie kolejny właz, wystukując kod na panelu umieszczonym w ścianie. Nad drzwiami znajdował się elektroniczny zegar, który odmierzał sekundy od dziesięciu w dół. Gdy wskazał zero, drzwi otworzyły się tak błyskawicznie, że ledwie dostrzegli ten ruch. Wskoczyli do środka ciągnięci przez starca, i

niemal w tej samej chwili właz zamknął się z taką prędkością i siłą, iż gdyby któryś z nich się spóźnił, prawdopodobnie zostałby zmiażdżony albo pozbawiony jakiejś części ciała. Teraz otaczała ich nieprzenikniona ciemność, którą wnet rozproszyło ultrafioletowe światło. Mogli zobaczyć, że pomieszczenie, w którym się znajdują, jest niewielkie i - tak jak poprzednie - ma ściany ze stali nierdzewnej.

- Po co to odsysanie? - Myśliwy nagle zainteresował się techniką.

- Żeby podczas otwierania drzwi powietrze wychodziło na zewnątrz, a nie mieszało się z tym, które jest wewnątrz. Dzięki temu choć część mikroorganizmów, groźnych substancji chemicznych i innych brudów nie dostanie się z nami do środka - wyjaśnił stary. Po tym pytaniu znacznie się ożywił, na jego twarzy pojawił się też uśmiech.

- Ale my przecież mamy bakterie na skórze i pełno ich w organizmie. Czyli z nas też będziesz wysysał powietrze? - Młody był trochę przejęty sytuacją, gdyż to, co się teraz działo, przerosło jego najśmielsze wyobrażenia o ucieczce.

- Nie - uspokoił go teść. - Teraz znowu spadnie ciśnienie i powietrze zostanie wydalone na zewnątrz, a my przeskoczmy do kolejnego pomieszczenia. A potem do jeszcze jednego. Przygotujcie się też na prysznic.

Stary spojrzął na towarzyszy, by upewnić się, że zrozumieli dalszy przebieg zdarzeń, i ponownie wystukał kod na panelu w ścianie. Odliczanie, skok, zamknięcie drzwi - wszystko odbyło się jak poprzednio. Pomieszczenie też było podobne, tyle że w suficie i w podłodze znajdowały się setki maleńkich otworków. Nim zdołali pomyśleć, do czego mogą służyć, znaleźli się w obfitym strumieniu gorącej wody, która zalewała ich jednocześnie z góry i z dołu. Prysznic trwał około dziesięciu minut, a kiedy się skończył, zalał mężczyzn niebieskawy płyn, lekko drażniący oczy. Po kolejnych dziesięciu minutach znów pojawiła się gorąca woda, a po niej kolejny ciekły specyfik, tym razem żółty. A później znowu ukrop, i kolejny specyficzny żel. Dwie wyczerpujące godziny trwały te dziwaczne ablucje. Starzec nawet ze zmęczenia zaczął tracić przytomność, co jego towarzyszy poważnie niepokoiło. Bez niego ich sytuacja była całkowicie beznadziejna. Nie znali kodów ani do drzwi prowadzących do kolejnych pomieszczeń, ani do tych wyjściowych. Ocucony przywódca uspokoił ich jednak, tłumacząc twardo, że nie ma zamiaru jeszcze umierać.

Po męczącej wędrówce przez kolejne pomieszczenia i kąpieli mieli wreszcie chwilę na odpoczynek. Przez otwory w suficie przedostawało się do środka chłodne, rześkie powietrze, które pomagało im się zregenerować, usiedli więc i czekali, aż wrócą im siły. Starcowi zajęło to dobre pół godziny, ale kiedy wreszcie doszedł całkowicie do siebie, dał znak, że ruszają

dalej. Wstał z podłogi i zaczął wystukiwać kolejny kod na cyfrowym panelu. To, co nastąpiło potem, było następnym już tego dnia déjà vu.

Tyle że teraz znaleźli się w kompletnie innym pomieszczeniu, poprzednie przypominającym jedynie wielkością. W rogach stały tu cztery łóżka, na których nawet posłanie wyglądało na metalowe. Starzec zauważył zmieszanie na twarzach swoich stojących nieruchomo towarzyszy, ale nie doczekawszy się pytań, podszedł do jednego z łóżek i po prostu usiadł na nim. Wszystko wyglądało normalnie. Łóżko nieznacznie zapadło się pod nim, a pościel delikatnie zaszeleściła.

Myśliwy wzruszył ramionami i poszedł w ślady starca. Był nagi, ale nie poczuł chłodu, posłanie było ciepłe i przyjemne w dotyku.

- Co to za metal? To nie jest ani twarde, ani ciężkie - dziwił się. Miał minę malucha, który zrozumiał, że twarz w lusterku należy do niego i właśnie próbował dociec, skąd się tam wzięła.

- Ech, dzieci. To nic szczególnego - oznajmił starzec, nie bez trudu, bo zanosił się od śmiechu. Gdy już się uspokoił, tłumaczył dalej: - To pomieszczenie jest w całości wykonane ze srebra, a to dlatego, że srebro ma właściwości bakteriobójcze. Dzięki temu zostaniemy oczyszczeni z wszelkich drobnoustrojów. Cała ta budowla, cała ta konstrukcja, wykonana jest prawie jedynie z tytanu, wanadu i stali nierdzewnej oraz szkła. Kable i wszelkie przewodniki są ze złota oczywiście, ale izolacja ze szkła, a nie z gumy. Komputery, monitory, drzwi, toalety, meble... Tylko tytan, złoto, stal i szkło. Inne metale są użyte w minimalnej ilości, tylko tam, gdzie to było niezbędne. Tak jak tu na przykład, ale o tym później. Pościel jest wykonana z włókna szklanego, dlatego że szkło jest nieprzepuszczalne i nie wchłania żadnych substancji. Bakterie nie pozostaną więc w pościeli, kiedy się prześpisz w łóżku. Wszystko jest zrobione z włókien sto razy cieńszych niż włos, a w dodatku w tych włóknach znajduje się powietrze, aby były jak najłżejsze. Ale to nie wszystko. Każde włókno powleczone jest warstwą srebra, tak cienką, że gdybyś zebrał całe srebro z pościeli z tych czterech łóżek, to zbierałbyś go tyle co brudu spod paznokcia. Srebro powstrzymuje także szkło z włókien przed wypadaniem, aby nie wbijało się w ciało. No, to teraz wiecie już sporo.

Stary zakończył głośniejszym głosem, niż wcześniej mówił, i popadł na powrót w zadumę. Położył się na łóżku i znowu gapił się w sufit. Ale, o dziwo, wnet znów zaczął mówić.

- Kiedyś to mieliśmy technologię - powiedział sentymentalnie. - Laserowa galwanizacja, jonowanie i polaryzowanie powierzchniowe atomów, bezkaloryczny rozszczep pierwiastkowy, przemiana atomowa, zimna fuzja jądrowa, ech... Co myśmy wyczyniali. Klonowanie ludzi, kodowanie pamięci i neuronów, przeszczepy genów między gatunkami.

Wszczepialiśmy nawet geny bakterii w ludzkie organizmy. Geny glonów, płazów, ptaków, małp, psów, świń, trawy, drzew... Pomieszaliśmy ze sobą chyba wszystko, co żyło na ziemi, i chyba we wszystkich możliwych kombinacjach. Taaak, to był świat. - Stary miał łzy w oczach.

Myśliwemu przypomniał się Dedal i Ikar i pomyślał, że o tym właśnie świecie, w którym żyli ci bohaterowie, mówił starzec. Ale dlaczego właściwie się rozplakał, zastanawiał się, patrząc na łzy leniwie płynące po pobrużdżonej twarzy. Czyżby z tęsknoty za tym światem?

Młody mężczyzna tymczasem prawie w ogóle nie słuchał swojego teścia, rozglądał się za to wnikliwie po pomieszczeniu. Jego uwagę przykuły drzwi po prawej, pomiędzy dwoma łózkami: najzwyczajsze drzwi z najnormalniejszą na świecie klamką, a nie żadnym szklanym panelem dotykowym. Był zaskoczony, nie spodziewał się czegoś tak trywialnego w pokoju, który był jakby z innej cywilizacji. Kiedy już oswoił się z widokiem drzwi, zauważył też nad każdym z łóżek prostokąt naszkicowany na ścianie. Pomyślał, że ze ściany powinna wysuwać się jakaś półka lub szuflada, ale kiedy podszedł bliżej, niczego takiego nie zauważył. Nie zaprzętał sobie dłużej tym głowy, bo właśnie zdał sobie sprawę, że dłuższy czas był jakby nieobecny. Potrząsnął głową, żeby się otrzeźwić, i postanowił włączyć się do rozmowy.

- Co jest za tymi drzwiami? - rzucił pytanie, kierując wzrok w stronę starca.

Ten wciąż leżał zamyślony, patrząc w sufit. Młody pomyślał, że wrócił do swojego normalnego stanu, ale po chwili starzec otarł łzy, usiadł na łóżku i przeczesał swoją długą, siwą brodę.

- W tym pokoiku spędzimy dwa tygodnie - zaczął, ale tym razem już bez tej pasji, z którą opowiadał o przeszłości jeszcze przed momentem. - Za drzwiami jest łazienka z toaletą i prysznicem. Jeśli skorzystacie z toalety będziecie musieli wziąć piętnastominutowy prysznic ze środkami odkażającymi. Dopiero wtedy drzwi się otworzą i będzie można wyjść. To działa bardzo precyzyjnie: w łazience są specjalne czujniki, które rejestrują, czy rzeczywiście bierzesz prysznic czy tylko odkręciłeś kurek. Ten inteligentny system potrafi też określić, czy się dokładnie wyszorowałeś, czy tylko stałeś w kabinie. Jak chcesz, możesz spróbować, założę się o własne życie, że nie da się wywieść w pole czujników. To ważne, bo musimy być całkowicie czysti, zanim przejdziemy do następnego pomieszczenia.

Stary przerwał i spojrzał po kolei w oczy swoich współtowarzyszy. Skinieniem głowy potwierdzili, że rozumieją. Ich dowódca mówił więc dalej:

- Musimy się także pozbyć wszelkich brudów z organizmu. W tym celu raz dziennie będziemy jeść galaretkę, która zawiera różne środki bakterio - i wirusobójcze. Galaretka

zawiera też bakterie, które w naszym organizmie być powinny. Bez ich uzupełniania po kilku dniach poważnie byśmy się pochorowali, albo może nawet pomarli.

- A co znajdziemy w następnych pomieszczeniach? - zapytał młody, który miał już dość rozmowy o bezpieczeństwie i zdrowiu.

- Nie martw się o to teraz. - Starzec zareagował dość ostro. Zorientował się, że przesadził i dodał łagodniej: - W każdym razie nic, co by cię mogło przerazić, nic groźnego. Będzie już tylko lepiej.

Powiedziawszy to, zajął się gorliwie poduszką, a potem ułożył się na łóżku w pozycji półsiedzącej i okrył się metalową płachtą. Gestem zachęcił współtowarzyszy do zrobienia tego samego. Myśliwy natychmiast rozłożył się wygodnie na swojej pryczy, młody jednak stał bez ruchu. Był poruszony tym, co zobaczył i usłyszał, i próbował sobie to wszystko poukładać.

- Co to wszystko jest? Gdzie my jesteśmy? - powiedział słabym głosem.

- Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie. - Jego teść był już nieco zniecierpliwiony koniecznością tłumaczenia.

- Ale co to za miejsce? Jesteśmy w jakiejś opuszczonej kopalni czy... No co to, kurwa, jest?

Młody nagle zdał sobie sprawę, że znowu stracił kontrolę nad swoim życiem i zaczął się denerwować. Niczego nie rozumiał i nie umiał ocenić swojej sytuacji. Nie mógł też uciec z tego przekłętego miejsca! Wróciły nieprzyjemne wspomnienia i nabyta dawno temu klaustrofobia. Wiedział oczywiście, że ten zaawansowany technologicznie labirynt jest jego azylem, ale i tak czuł się nieswojo. Próbował się uspokoić, tłumaczył sobie, że ludzie, z którymi się tu znalazł, są jego sprzymierzeńcami, że nie zwabili go tu podstępem i nie zamierzali go skrzywdzić.

- No co to jest? - wykrzyczał raz jeszcze.

Stary wiedział, że młody się nie uspokoi. Niechętnie wrócił do wyjaśnień.

- To jest bunkier, który sam zbudowałem - powiedział spokojnie, jakby informował o przyrządzeniu kolacji. - Zrobiłem to dawno temu, kiedy jeszcze żadnego z was nie było na świecie. Tutaj możemy przeżyć choćby i tysiąc lat, bunkier jest samowystarczalny, sam wytwarza prąd, pozyskuje tlen z morskiej wody i oczyszcza go z wszelkich skażeń. Jest stąd kilka wyjść, ale nie mogę cię stąd teraz wypuścić, nawet jeśli będziesz srał w gacie ze strachu - mówił z lekką pogardą. - Szuka nas pewnie całe wojsko i połowa ludności wyspy, ochotnicy na pewno się już zorganizowali. Możesz mnie nie lubić lub nienawidzić, ale musisz zrozumieć, że jestem teraz twoim jedynym sprzymierzeńcem. Wyjdziemy stąd, ale musimy

począć na odpowiedni moment. Nie martw się, nie zostaniemy tu na zawsze, spędzimy tu tylko tyle czasu, ile będzie konieczne. Opowiem wam wszystko po kolei, ale najpierw musicie się sporo dowiedzieć o przeszłości. Bez tego nie zrozumiecie, gdzie się znajdujemy i dlaczego.

Młody nie dowierzał starcowi, ale rozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak poddać się jego woli. Przynajmniej do momentu, gdy dowie się, jak się wydostać z bunkra, i wymyśli, dokąd może się udać. Położył się więc na łóżku, co już dawno zrobili jego towarzysze, i nakrył głowę poduszką.

Stary tymczasem zamknął oczy i przez kilkanaście minut nie odzywał się, a nawet nie ruszał. Oddychał coraz wolniej i wolniej, wyglądał, jakby spał. Jego młodszy towarzysze patrzyli skonsternowani, nie wiedzieli, czy doczekają się obiecanych wyjaśnień. Stary wreszcie otworzył oczy i wypowiedział głośno, rozkazującym tonem, tylko jedno słowo:

- Lista!

W pomieszczeniu zapanował półmrok, meble i postaci straciły na ostrości, a jedna ze ścian rozświetliła się gwałtownie. Pojawił się na niej niebieski kwadrat z dwoma napisami: „Muzyka” i „Filmy”.

- Filmy! - powiedział równie głośno i stanowczo co wcześniej starzec.

Na ekranie wyświetliła się lista, gdzie pod tytułem „Kategorie”, znajdowały się dwa napisy: „Rozrywka” i „Dokument”.

- Dokument! - zakomenderował.

Ekran znów się zmienił, a lista wydłużyła się znacznie. Były wśród nich takie hasła jak: fizyka, chemia, biologia, matematyka, biografie, kultura i sztuka, technika, książki, malarstwo, i wiele, wiele innych. Starszy mężczyzna wybrał głosem historię i pojawiły się tysiące tytułów poukładanych alfabetycznie.

Myśliwy usiadł na łóżku i wpatrywał się w ekran jak zahipnotyzowany. Młody leżał i po prostu czekał na to, co się wydarzy; już domyślił się, co zamierza jego teść.

- Ogólna historia świata - Ten właśnie wybrał film.

Ekran zgasł na kilkanaście sekund, a potem pojawiły się pierwsze kadry. Najpierw były to niezliczone jasne punkty na czarnym de w nierównych skupiskach nieukładających się w żaden rozumiały wzór. Po chwili obraz zaczął się poruszać: to oddalał się, to przybliżał ku niektórym zbiorom punktów. Wreszcie pojawił się również głos z offu.

„Żyjemy na planecie o nazwie Ziemia. Ziemia krąży wokół Słońca, jest trzecią planetą spośród ośmiu. Zbiór ten nazywamy Układem Słonecznym. Oprócz planet normalnej

wielkości w układzie tym znajdują się także planety karłowate, planetoidy oraz inne ciała niebieskie”...

- Pauza! - zakrzyknął stary, troszeczkę podekscytowany tym, że nadal zaskakuje obu kompanów, oraz tym, że wreszcie dzieje się to, na co czekał tak długo. - Chyba się już domyśliliście, o czym będzie ten film? - zapytał z przekąsem.

Po chwili ciszy odezwał się myśliwy.

- Chcesz nam pokazać historię od momentu powstania wszechświata aż do dziś?

Starzec zastanawiał się chwilę i odparł:

- Coś w tym guście. Tyle, że nie do dziś, a do momentu, w którym skończono ten dokument. W historii wszechświata to różnica zaledwie chwilki, ale jeżeli chodzi o ludzkość, to cała długa epoka.

No, to oglądajmy dalej - zachęcił i ułożył się wygodnie. - Start! - zakrzyknął i film ruszył.

Kolejne kadry, komentowane ciepłym kobiecym głosem, zabrały mężczyzn w podróż do świata, którego nie znali towarzysze starca; jego istnienia domyślali się tylko nieliczni ludzie obecnie żyjący. Cofnęli się w czasie o czternaście miliardów lat, do momentu, kiedy powstał wszechświat. Lektorka objaśniała bardziej zawiłe zagadnienia akurat w chwili, gdy w głowie któregoś z oglądających rodziło się jakieś pytanie czy wątpliwość. Nie za sprawą inteligentnego systemu - po prostu film był stworzony dla takich jak oni: nieznających epoki sprzed wyjścia ludzkości z bunkrów. Film na początku ogólnie omawiał kwestie astrofizyczne, przedstawiał powstanie wszystkich ciał niebieskich w kosmosie, planet, gwiazd, czarnych dziur, objaśniał prawa fizyki rządzące wszechświatem i zależności występujące pomiędzy obiektami, by potem przejść do szczegółów.

Część pierwsza, która pokazywała okres od Wielkiego Wybuchu, aż po powstanie zaczątków Układu Słonecznego trwała ponad osiem godzin. Kiedy się skończyła, film nagle się zatrzymał.

- Co jest? - zapytał myśliwy, wspierając się na łokciu. Pomyślał, że technika jednak zawiodła i coś się zacięło.

- Nic - odpowiedział z uśmiechem jego starszy kompan. - Młody zasnął i czujniki przekazały sygnał do odtwarzacza, że powinien zatrzymać materiał. Tak to działa, żeby nie trzeba było odtwarzać filmu po raz drugi lub wyjaśniać wszystkiego od nowa. Ale może to i dobrze; oglądamy to już od ponad ośmiu godzin, więc może warto się troszkę zdrzemnąć? Film trwa sto dwadzieścia godzin, my tu zostaniemy przez dwa tygodnie, więc zdążymy

wszystko obejrzyć. Nawet dwa razy, jak będzie trzeba. - Przetarł oczy dłońmi, po czym ułożył się na boku i w jednej chwili zasnął.

Myśliwemu nie odpowiadał taki obrót sytuacji. Wreszcie spełniało się jego największe pragnienie, a właściwie jedyne, jakie miał: mógł poznać swoją przeszłość, dowiedzieć się czegoś o sobie samym. Od zawsze chciał wiedzieć, skąd się wziął, kim jest, jak powstało wszystko wokół i on sam. Nie dawało mu to spokoju, odkąd po raz pierwszy zobaczył okładkę książki Mit o Dedalu i Ikarze. Już wtedy domyślał się, że rzeczywistość, w której żyje, jest sztuczna. Wiele lat czekał na chwilę, w której odkryje tajemnicę tej książki, tajemnicę innego - czyli poprzedniego - świata, a przy okazji tajemnicę samego siebie. Ta chwila nadeszła, ale zaraz została przerwana przez coś tak trywialnego jak zmęczenie towarzyszy.

Muszę zapalić, myślał w zdenerwowaniu. Ale to akurat było niemożliwe. Nie mógł się spodziewać, że w tym sterylnym pomieszczeniu natknie się na jakiegoś zapomnianego skręta.

Ekscytacja nie pozwalała mu zasnąć. Przerwa w seansie pozwoliła dojść do głosu zmysłom i instyktom. Nerwowość narastała i chęć zapalenia lub choćby powąchania tytoniu był tak wielka, że wstał z łóżka i zaczął chodzić w kółko po pokoju. To pozwoliło mu się uspokoić. Odetchnął głęboko, aby odpędzić myśli o nałogu, i położył się w swoim łóżku. Starał się myśleć o czymś przyjemnym, na przykład o plaży, na której powinien być się teraz wylegiwać w towarzystwie pełnych, młodych pańienek. Odrzucił jednak tę wizję, bo wspomnienie plaży tylko jeszcze bardziej go przygnębiało. Wreszcie zmęczenie wygrało i zasnął.

Pościg zatrzymał się w miejscu, w którym ślady pojazdu topiły się w oceanie. Bezradni żołnierze czekali na wóz dowódcy. Po kilku minutach pojawił się porucznik i dołączył do milczących podwładnych. Dłuższą chwilę stał wpatrzony w czarną toń, potem rozglądął się tępo wokół. Nie miał żadnego planu. Zakładał początkowo, że uciekinierzy nie żyją, a jeśli tak, to nie warto było nurkować w środku nocy w zimnej wodzie i szukać topielców. Potem przyszło mu jednak do głowy, że tamci byli na tyle sprytni, by zmylić żołnierzy, zaczaili się gdzieś niedaleko i teraz śmieją się z ich ponurych min. Może tylko wepchnęli samochód do wody a sami czmychnęli gdzieś w krzaki, myślał. A może jednak stracili panowanie nad pojazdem, może się pokłócili i wyniknęła jakaś bójka? Wersji wydarzeń mogło być wiele, a na ten moment żadnej nie dało się potwierdzić.

Porucznik wiedział, że w jakimkolwiek stanie ich znajdą, dostanie mu się za tę ucieczkę. Zdawał sobie sprawę, co to oznacza. Nici z normalnego życia. Trzeba było samemu

dopilnować wszystkiego, łązić, sprawdzać co piętnaście minut albo i nawet siedzieć na warcie z nimi, wściekał się w myślach. Teraz zostało mu tylko wrócić i napisać raport.

Z głębokiego zamyślenia wyrwał go jeden z żołnierzy; już od dłuższej chwili próbował mu coś powiedzieć.

- Co? Czego? O co chodzi? - Porucznik spojrzał na młodego podwładnego zamglonym wzrokiem.

- Może oni wcale nie utonęli, panie poruczniku. Może chcieli nas zmylić, odpłynęli i wyszli gdzieś dalej na brzeg, a my tu stoimy i gapimy się na fale jak durnie. Teraz pewnie gdzieś w krzakach siedzą, albo już w jakiejś kryjówce.

Młody rozkręcił się jak katarynka, podniecony, że jako jedyny wpadł na pomysł z podstępem. Porucznik przywołał go do porządku jednym gestem. Nie mógł pozwolić podwładnemu podważać swojego autorytetu i na oczekaniu wymyślił plan działania.

- Tego już zdążyłem się domyślić - powiedział pewnym głosem. - Teraz trzeba tylko ich znaleźć. - Spojrzał na żołnierzy i zaczął wydawać rozkazy. - Wy dwaj - krzyknął do najbliższych stojących - pojedziecie dalej i będziecie wypatrywać śladów na plaży. Patrolujcie też przybrzeżne wody. Może oni ciągle sobie gdzieś nurkują.

Żołnierze bez słowa wsiedli do samochodu i powoli odjechali. Patrząc za nimi, porucznik dwóch kolejnych żołnierzy wysłał w zarośla i kazał im dokładnie je przeszukać. Kiedy ci zniknęli w krzakach, zwrócił się do gady.

- Czy wiesz, gdzie mieszka ten młody? - spytał ostro. - Ten z długimi włosami?

- Tak, panie poruczniku - zameldował krótko żołnierz.

- Pojedziecie tam więc z jakimś drugim i będziecie obserwować dom na zmianę, do momentu, aż ktoś was zmieni lub zwolni. Odmaszerować. Aha, i pamiętajcie, żeby się zbytnio nie rzucać w oczy.

Ledwie skończył, odwrócił się na pięcie i wrócił do obserwacji bałwanów atakujących plażę i rozbijających się o piasek. Stał tak kilka minut, rozmyślając o tym, że zawalił na całej linii. Więźniowie zbiegli na jego zmianie, pod jego dowództwem zginęło dwóch ludzi, to wystarczyło na pokaźny wyrok, a przecież miał więcej przewin. Nie znalazł uciekinierów i nie sądził, żeby udało mu się to przed przybyciem brygady z Centrali. Stał i patrzył w wodę, jakby szukał w niej wskazówek albo chociaż pocieszenia. Wszystkie jego plany legły w gruzach przez lenistwo, czy może przez jedną chwilę słabości, przez nieuwagę i zarozumiałość. Przecież nawet mu przez myśl nie przeszło, że ta trójka spróbuje uciec. A jeżeli nawet, to ufał jednak wyszkolonemu strażnikowi, uwierzył w to, że powstrzyma ich labirynt korytarzy. Ależ był naiwny! Zameldowano mu przecież, że ten młody może być

niebezpieczny, że trzeba na niego zwrócić szczególną uwagę. Mówiono o szczególnych środkach ostrożności. Mógł ich chociaż rozdzielić, posadzić w osobnych celach.

Ale to się już stało. Należało teraz wrócić, powiadomić, kogo trzeba, i zorganizować jakieś poszukiwania. I zrobić to tak, żeby choć trochę się zrehabilitować w oczach przełożonych. Cholera, zakrzyknął w duchu, czemu to musiało trafić właśnie na mnie? Tyle lat spokojnej służby. Raz na pół roku trafiał się jakiś producent bimbrowy czy ktoś, kogo należało wsadzić za morderstwo, żeby poprawić wykrywalność, a potem można było spokojnie odsypiać w pracy zabawy z dziećmi i igraszki z żoną. A tu nagle taka afera!

Otrząsnął się ze smutnych myśli jak pies z wody po kąpieli i postanowił jak najszybciej wrócić do bazy, a tam od razu powiadomić dowództwo. Zdał sobie właśnie sprawę, że od ucieczki więźniów minęła już ponad godzina i z rozgoryczeniem pomyślał, że ta zwłoka to jego kolejna tego dnia wpadka: powinien niezwłocznie zawiadomić górę.

Słońce rozświetlało już niebo na wschodzie, gdy wsiadał do samochodu. Zawrócił maszynę i ruszył plażą w poszukiwaniu ścieżki wśród zarośli, która doprowadziłaby go do utwardzonej drogi za wydmiami. Po niespełna dwóch minutach wypatrzył spory prześwit wśród gęstych krzaków i nie namyślając się wiele, skorzystał z tej trasy. Nie wiedział, że gdyby pojechał jeszcze niewiele więcej niż milę prosto, natknąłby się na trzech zdesperowanych mężczyzn, kopiących ogromny dół na plaży. Nawet przez chwilę nie pomyślał, że mogli być tak blisko. Wyobrażał sobie raczej, że zbiegowie brną na południe, starając się oddalić jak najszybciej i jak najdalej, albo że próbują ukryć się we własnych mieszkaniach i liczą na to, że nikt nie będzie ich tam szukał; zgodnie z zasadą: pod latarnią najciemniej.

Droga powrotna do bazy zajęła porucznikowi zaledwie kilka minut. Trochę się zdziwił, że jest tak blisko miasta, bo przecież sam pościg trwał pewnie z godzinę. Dopiero potem przypomniał sobie, że więźniowie najpierw uciekali jakiś czas na północ, a potem zawrócili plażą na południe.

Gdy dojeżdżał do bramy wjazdowej, wartownicy oddali kilka strzałów ostrzegawczych w powietrze, a następnie dali znak do zatrzymania się. Byli wystraszeni i zdezorientowani, zostawiono ich samym sobie w bazie, bez jakichkolwiek wytycznych, a nawet informacji. Nie mogli nikogo powiadomić, gdyż nie mieli bezpośredniej łączności z dowództwem, a ich przełożony odjechał w pościgu. Zatrzymując ciężarówkę i czekając, aż strażnicy podejną do niego, porucznik z uznaniem kiwał głową. W tej sytuacji pocieszająca była myśl, że przynajmniej ci dwaj jego podwładni zachowali zimną krew i trochę rozsądku.

Strażnicy zbliżali się wolno, każdy z gotowym do strzału karabinem. Zachowywali wszelkie środki ostrożności. Nie poznali porucznika z daleka, więc gdy podeszli bliżej i zobaczyli, kto siedzi za kierownicą, mocno się speszyli. Zaczęli przeproszać przełożonego za strzały w powietrze i całą akcją z zatrzymaniem, tłumacząc się chaotycznie, że więźniowie uciekli służbową ciężarówką i się przestraszyli.

- Dobra, dobra, nie ma czasu na takie drobiazgi. - Porucznik machnął lekceważąco ręką i ruszył.

Wjechał na parking przed budynkiem, wysiadł prędko i pospieszył do środka. Gdy sięgał klamki drzwi wejściowych, zdał sobie sprawę, że niedługo zaczną się schodzić funkcjonariusze na poranną zmianę. Tłumaczenie im, co zaszło, było kolejnym niełatwym zadaniem, z jakim musiał się w przeciągu kilku najbliższych godzin zmierzyć.

Już zupełnie niespiesznie skierował kroki do swojego biura na piętrze, chciał sobie dać czas na ułożenie wszystkiego w głowie. Nie mógł przecież ot tak zadzwonić do majora i powiedzieć, że więźniowie zbiegli; musiał wymyślić jakąś wiarygodną wersję ich ucieczki, choć trochę mniej go obciążającą niż prawdziwa. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Wreszcie usiadł za biurkiem, podniósł słuchawkę i przytknął ją do ucha. Wciąż jednak nie wiedział, jaka powinna być treść meldunku, siedział tak z minutę i deliberował, aż w końcu wykręcił numer. Gdy po kilkunastu sekundach usłyszał w słuchawce znajomy głos, wydusił tylko:

- Panie majorze, trójka więźniów uciekła.

- Zrozumiałem! Zaraz tam będę - odpowiedział krótko jego przełożony i zakończył rozmowę.

Porucznik odłożył słuchawkę na widelki z niepewną miną. Nie usłyszał ani jednej obelgi, ani jednej groźby, a to mogło oznaczać najgorsze. Major obiecał, że zaraz przyjedzie, czyli sprawa była jeszcze poważniejsza, niż myślał. Kim do cholery jest ten młody, długowłose bandyta, że tak się wszyscy nad nim trzęsą, zastanawiał się, łamiąc wzięty bezwiednie z pulpitu ołówek. W końcu skarcił sam siebie za mazgajstwo i wyjął z szuflady biurka mały notes z numerami telefonów, gotów do prężnego działania. Przewertował szybko zakurzone kartki i podkreślił kilkadziesiąt nazwisk. Potem ponownie podniósł słuchawkę i rozpoczął kompletowanie grupy poszukiwawczej. Wykonał ponad trzydzieści połączeń, za każdym razem rzucając rozkaz stawienia się przed budynkiem biura Agencji w ciągu pół godziny. Gdy zakończył ostatnią rozmowę, usłyszał dźwięk silnika. Zaklął w duchu, poprawił mundur i czekał na najgorsze.

Major zjawił się w gabinecie po kilkunastu dłużeń się porucznikowi minutach. Oczekujący na najgorsze żołnierz nie potrafił wyczytać z twarzy przełożonego, w jakim ten jest nastroju. Machnięciem ręki przerwał porucznikowi regulaminowe powitania, meldunki i inne ceremoniały i zaczął lustrować pomieszczenie. Podwładny podązał za wzrokiem przybyłego, nie bardzo wiedząc, jak się w tej sytuacji zachować. Teraz jeszcze bardziej niż dotychczas bał się konsekwencji swoich zaniedbań, utraty posady, prestiżu, jaki zyskał dzięki pozycji zawodowej, ale przede wszystkim bał się o własne życie i przyszłość swoich bliskich.

Cisza dłużyła się niemiłosiernie i nic nie wskazywało na to, że major zamierza ją przerwać. Zajął się wertowaniem książki meldunkowej, księgi wpisów, listy obecności i całego mnóstwa innych dokumentów i na skruszzonego porucznika nie zwracał wcale uwagi. Dopiero gdy znalazł to, czego szukał, i porozkładał wszystko na biurku, rozpoczął rozmowę.

- Dobra, opowiadaj, co się stało, jak to się stało - mówił niewyraźnie, jakby połykając końcówki. - Wszystko po kolei, powoli, dokładnie i bez pośpiechu. Samą prawdę, rozumiesz? - Zmierzył porucznika przenikliwym spojrzeniem. - Kto spał na warcie, gdzie ty byłeś, kto zaczął pościg i kiedy i tak dalej. Bez zmyślania.

Porucznik zrezygnował z wersji, które podsuwała mu opanowana przez strach wyobraźnia, i postanowił zastosować się do polecenia; miał zamiar powiedzieć wszystko, bez pomijania własnych błędów i niedociągnięć. Gdy skończył kilkanaście minut później, poczuł znaczną ulgę, choć lęk zupełnie go nie opuścił.

- Dobrze. - Major zamyślił się na chwilę, spoglądając w otwarte książki. - Masz kontakt radiowy z tymi, którzy są na poszukiwaniach? - zapytał.

- Nie bardzo. Radia są w samochodach a oni łążą po krzakach - odpowiedział już pewniejszym głosem porucznik.

- No nic, trudno. Sprawa wygląda tak. Za parę minut zjawią się ci z grupy poszukiwawczej. Podzielisz ich na oddziały, po trzech czy czterech lub jak tam uznasz za konieczne, i wyślesz w teren. Za godzinę lub dwie możemy się spodziewać konwoju z centrali. Zanim się zjawią, musimy ustalić prawdziwą wersję wydarzeń. Rozumiesz? Prawdziwą! - wyskandował, wwiercając się jednocześnie wzrokiem porucznikowi w twarz.

Ten najpierw nie pojął zamiarów przełożonego. Kiedy zrozumiał, że major chce ukryć niewygodne fakty, poczuł, że to również jemu może się opłacić.

- Tak jest - postanowił od razu, że będzie współpracował. - Jaka więc jest prawdziwa wersja?

- Otóż noc wyglądała tak... - zaczął swoją opowieść major, na powrót wbijając wzrok w rozpostarte księgi. - Przejąłem służbę o dziesiątej. Razem zrobiliśmy obchód placówki, który zakończyliśmy o jedenastej. Zgadza się? - Rzucił okiem na podwładnego.

- Tak - potwierdził skwapliwie porucznik.

Już wiedział, że major zawinił bardziej niż on. Ze względu na wyjątkowy status więźniów powinien być zostać w placówce i osobiście nadzorować strażników, a tymczasem wybrał ciepłe łóżko. To ucieszyło porucznika tak bardzo, że aż się uśmiechnął. Los mu najwyraźniej sprzyjał: major, chcąc ratować swój tyłek, musiał jednocześnie obronić i jego.

Szef tymczasem konstruował zdarzenia z ostatniej nocy na własną modłę.

- Po jedenastej poszliśmy na kolację - mówił coraz głośniej - która zakończyła się o jedenastej trzydzieści. O dwunastej miał miejsce przegląd żołnierzy i wizytacja cel - przerwał na chwilę i spuścił głowę, zastanawiając się, co dalej. Po chwili zapytał: - Ten strażnik, który zginął we śnie... Kula przeszła na wylot?

- Nie wiem. Rzuciłem tylko okiem. Nie było czasu...

- Nie ma śladów krwi na pościeli i wokół łóżka?

- Nie wiem. Jak jakieś są, to się raz dwa usunie - zapewnił porucznik.

Przez otwarte okno dolatywały coraz liczniejsze odgłosy rozpędzonych samochodów. To żołnierze wezwani na poszukiwania zaczęli zjeżdżać do bazy. Należało się pospieszyć.

- Dobra! - krzyknął major. - Biegnij do tej celi i wywlecz trupa na korytarz, a potem przeciągnij go jakieś pięć metrów i ustaw przodem do drzwi. Unieś go najwyżej, jak potrafisz, i odrzuć w tył tak, żeby wyglądało, że został zaatakowany, jak wracał z toalety. Potem ogarnij to łóżko i idź wydać rozkazy grupie pościgowej. I wróć tutaj. Ja im zrobię zbiórkę przez okno, żeby się tu nie szwendali.

Porucznik wykonał prawidłowy „w tył zwrot” i biegiem ruszył wykonać powierzone mu zadanie.

- Stój! - powstrzymał go jeszcze major. - Powiedz żołnierzom, niech najpierw odnajdą tych z nocnej zmiany, co ganiają wciąż po krzakach, i przekażą im, że mają niezwłocznie wrócić do bazy i czekać w pokoju wartowników. Ty im wszystko wytłumaczysz, a jak to zrobisz, to już twój problem. A teraz leć.

Porucznik tym razem już nie przejmował się wojskowym dyganiem, tylko od razu opuścił gabinet. Udał się na drugie piętro budynku i pobiegł korytarzem do celi, w której odpoczywali strażnicy. Zwłoki jednego z nich zobaczył po chwili, gdy zapalił światło. Poznał go. Nie byli bliskimi przyjaciółmi, nie spotykali się wieczorami, nie popijali razem i nie grali w karty, znali się jednak ze służby. Odetchnął z ulgą, że to żaden z jego przyjaciół, dotąd nie

był pewien, kto zginął tej feralnej nocy. Strażnik leżał na łóżku w takiej pozycji, że można byłoby uznać, iż wciąż śpi, gdyby nie przestrelona poduszka. Jej też należało się pozbyć, choć porucznik nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Nie miał przecież czasu, aby po prostu wynieść ją z budynku, a w środku nie było jej gdzie ukryć, a już tym bardziej spalić. Zabrał ją więc razem ze zwłokami i taszcząc otyłego nieboszczyka w stronę celi, w której siedzieli więźniowie, wrzucił do kosza na śmieci. Nie było innego rozwiązania.

Ze zwłokami zrobił to, co mu nakazał major: uniósł w górę, a potem pchnął w tył. Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby strażnik dostał kulę w pozycji stojącej. Dobra robota, poruczniku, pochwalił sam siebie, ale wnet przypomniał sobie, że musi jeszcze wiele zdziałać, nim zasłuży na taką pochwałę, i nie zwlekając, pobiegł do magazynów w piwnicy po nową poduszkę. Po drodze wstąpił po klucze na recepcję.

Magazyn nie był jego ulubionym miejscem, niechętnie tam zaglądał. Nawet się wzdrygnął, przekręcając klucz w zamku. Nie zdążył jeszcze otworzyć drzwi na pełną szerokość, a już poczuł smród stęchlizny środków odkażających i trutek na gryzonie. Była to tak silna mieszanka zapachów, że po kilkunastu sekundach pojawiły się problemy z oddychaniem, a oczy zaczęły niemiłosiernie szczypać. Rozglądał się po drewnianych regałach, coraz bardziej rozgorączkowany. Poduszkę znalazł dość szybko, ale na poszewkę nie mógł trafić. Rzucił pod nosem przekleństwa na regulaminowe posłania, kiedy wreszcie dostrzegł czystą pościel w rogu. Chwytną jedną poszewkę i jak najprędzej wybiegł z magazynu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie mógł od razu pobiec na górę, gdyż krtań miał ściśniętą, a oczy mu łzawiły. Po pięciu minutach doszedł do siebie, zatrzasnął drzwi magazynu, przekręcił klucz i ruszył pędem w stronę schodów. Po minucie był w pokoju, w którym zginął starszy strażnik. Położył poduszkę na łóżku, wygładził całe posłanie i ocierając pot z czoła, rozprostował plecy. Wreszcie poczuł się pewniej.

A mówili, że to spokojna robota, siądziesz sobie za biurkiem, wypełnisz parę rubryk i po wszystkim, ironizował w duchu. Od czasu do czasu przejdiesz się po budynku, żeby sprawdzić, co te lenie na warcie wyczyniają, i żeby nie zapomnieć, że to jednak praca. Raz na dwadzieścia miesięcy trafi ci się jakiś gagatek, co za dużo bimbrowa napędził albo polował bez zezwolenia, potrzywasz takiego troszkę, będziesz miał z kim pogadać w nocy, w karty zagrasz. Atu masz, trafiła się jakaś gruba ryba. Sknociłem - kajał się przed samym sobą - ale major też nie lepszy. Miał nas tu dopilnować, a pewnie znowu polazł do jakiejś baby. W sumie to mi tym dupę uratował, uśmiechnął się do siebie, ale gdyby tu był, to może nie byłoby całego tego zamieszania.

Rozejrzał się jeszcze raz po pomieszczeniu, żeby sprawdzić, czy wszystko wygląda w miarę normalnie, i ruszył ku wyjściu. Na placu, tak jak się spodziewał, zastał trzydziestu paru żołnierzy ustawionych na baczność w dwuszeregu. Nie przywitał się z nimi, nie wyjaśnił powagi sytuacji - po prostu podszedł do pierwszej dwójki, zapisał ich nazwiska w małym notesie, który wyciągnął z kieszeni marynarki, i przydzielił im rejon poszukiwań. Potem podawał współrzędne następnym dwójkom, aż odprawił wszystkich.

- Odmaszerować! - zakrzyknął wtedy doniośle i żołnierze w sekundzie pobiegli w stronę bramy.

Każda para ruszyła niezwłocznie w wyznaczoną stronę, nie oglądając się na kolegów. Porucznik spojrzął w okno na pierwszym piętrze i zobaczył tam majora. Przyglądał się temu wszystkiemu wsparty o parapet.

- Stój! - krzyknął major, kiedy jego podwładny zamierzał już powrócić do gabinetu. - W moim samochodzie pod siedzeniem kierowcy jest butelka bimbru. Przynies ją tu - rozkazał.

Porucznik stał przez chwilę w osłupieniu, ale wreszcie wzruszył ramionami i poszedł wykonać rozkaz. Gdy wszedł do gabinetu z dostawą, major siedział przy biurku, a głowę opierał na rękach.

- Dzwoniłem już do centrali. Konwój po więźniów powinien tu być o ósmej, czyli mamy jeszcze prawie trzy godziny - oznajmił cicho. - Troszkę się włoką, ale tym razem to akurat dobrze. Jutro wieczorem przyjedzie tu z kolei ponad trzystu żołnierzy z psami, noktowizorami i takim sprzętem, o jakim się nam nie śniło. Dobrze zorganizowany oddział, wyszkolony lepiej niż foki w cyrku. Mamy zapewnić zakwaterowanie całej grupie. Zbierzecie kilkudziesięciu ludzi z wioski, którzy już tam mają jakieś zasługi, i postawicie prowizoryczne baraki dla czterystu ludzi. Macie na to czterdzieści godzin, powinno się udać. Jak praca będzie wykonana solidnie i szybko, to wioskowi dostaną potrójne punkty. Drzewo możecie ciąć, gdzie wam najwygodniej. Myśliwi niech polują dzisiaj, ile dusza zapragnie, potrzebujemy dużo mięsa. Coś mi mówi, że oni nie odjadą stąd, dopóki nie znajdą tej cholernej trójki. A, jeszcze załatw z dziesięciu ludzi do zbierania zieleniny. Zrozumiałeś?

Porucznik pokiwał głową.

- No! To teraz, poruczniku, nalejcie dwie szklanki. - Major odzyskał pewny głos, wyprostował się, a potem oparł wygodnie, ręce spuszczając bezwładnie wzdłuż ciała.

Żołnierz aż wybałuszył oczy. Patrzył na przełożonego jak na wariata, który sam szykuje sobie stryczek.

- Ci, co tu jadą, nie będą przeprowadzać żadnego śledztwa - zapewnił major, podśmiewając się z miny podwładnego. - Pójdą od razu spać i nie będę nas niepokoić. A nam się przyda szklaneczka czy dwie na odstresowanie, czyż nie? Mamy jeszcze kupę roboty, choćby ten nieszczęsny raport trzeba dokończyć. No, bo się zagrzeje i będzie nie do przełknięcia - ponaglił porucznika, który wciąż stał niezdecydowany.

Ten przyznał w końcu rację przełożonemu. Pomyślał, że odrobina tego trunku rzeczywiście pozwoli się rozluźnić i zapomnieć na chwilę o czekających ich kłopotach. Wyjął czym prędzej dwie czyste szklanki do herbaty i napełnił je do połowy. Jedną podał przełożonemu.

- No to za pomyślny przebieg poszukiwań - zaproponował toast major i przytknął szklankę do ust.

Spojrzał przy tym na podwładnego, który - nie namyślając się - wypił zawartość naczynia prawie duszkiem. Nie spodziewał się, że trunek jest aż tak mocny i zaraz pojawiły się konsekwencje nieprzemyślanego działania. Zakrztusił się, szczerwieniał i przez kilka minut łapał rozpaczliwie powietrze. Major odstawił swoją szklankę, nienaruszoną, na stół, i czekał, aż porucznik dojdzie do siebie.

- Dlaczego pan nie pije? - zapytał przerażony porucznik, kiedy już odzyskał głos.

Tysiąc myśli pojawiło się w jego głowie, ale tylko jedna wydała mu się godna uwagi. Ten skurwysyn chce ze mnie zrobić kozła ofiarnego, myślał ze złością, która zajęła miejsce strachu. Stał znieruchomiał z ręką wyciągniętą w stronę majora i patrzył na niego rozszerzonymi oczami. Usta otworzył tak szeroko, że groziło mu zwichnięcie szczęki, każdy zakamarek ciała pokrywał pot, tak obfity, iż mogło się zdawać, że dopadła go straszliwa ulewa i przemókł do suchej nitki.

Majora nie wzruszył ten widok. Oparł ręce na biurku i odetchnął głęboko.

- Siadaj! - rozkazał, wskazując gestem krzesło po drugiej stronie biurka. - Dokończymy teraz raport. Ta grupa, co jedzie, na pewno zechce zrobić parę zdjęć, popytają, powęszą, pochodzą po budynku i nie puszczą nas stąd szybko - uśmiechnął się triumfalnie. - Jeżeli choćby jednym gestem, jednym słowem dasz im do zrozumienia, że raport jest nieprawdziwy, zrobię z ciebie ochlapusa, alkoholika i sam nie wiem kogo jeszcze. Rozumiesz? Jak mnie wydasz, to sprawię, że sam trafisz do celi, a całą twoją rodzinę przerobią na fiolki.

Porucznik łapczywym ruchem sięgnął po szklankę, którą napełnił dla majora, wypił powoli i odstawił z hukiem.

- Jesteś najgorszym kawałkiem ścierwa, jakie w życiu spotkałem - wyszeptał złowrogo, patrząc przełożonemu w oczy tak, że tamten musiał mieć dreszcze.

Zdziwił go ten nagły przyływ odwagi. A może głupoty, zapytał sam siebie. Patrzył jeszcze przez chwilę na majora, na którym jego słowa nie zrobiły najmniejszego wrażenia.

- Rozumiem - dodał po chwili.

- Doskonale! - zawołał major i zaklaskał, co było zupełnie nie na miejscu. - Zatem bierz się za pisanie. Wypełnij księgi obchodów do północy, tak jak ci mówiłem.

Porucznik skupił się na podanych zeszytach i przez dłuższą chwilę słychać było w gabinecie jedynie skrobanie długopisu

o kartkę. Gdy skończył, podniósł głowę i spojrzał pytającym wzrokiem na szefa.

- Jesteś już na dwunastej? - zapytał tamten.

- Tak, zanotowałem przegląd żołnierzy i wizytację cel - usłyszał w odpowiedzi.

- To teraz pisz dalej. - Major postanowił trochę pomóc. - Wizytacja cel zakończona o pierwszej piętnaście. Potem obchód wokół budynku. Zapisane?

- Tak!

- Dobra. Pierwsza trzydzieści, uzupełniamy księgi, słychać huk, ryk silników, krzyki i strzały... - przerwał, podszedł do okna i zaczął rozglądać się niecierpliwie po okolicy. - Masz? - zapytał po chwili.

- Tak.

- W porządku. Teraz trzeba wypełnić wszystkie pozostałe papierzyska, karty obecności, książki pobrania posiłków, księgi kluczy i inne pierdoły. Tylko się pośpiesz, bo oni tu zaraz będą.

- Przecież mieli być o ósmej? - zdziwił się porucznik.

- Przecież jestem kawałkiem ścierwa. - Major uśmiechnął się i znów klasnął w dłonie, jakby udał mu się doskonały żart. - Musiałem się jakoś zabezpieczyć. Ja ratuję twoją dupę, ty moją. Jak wyjdziemy z tego bez szwanku, to przedstawię cię do awansu. Napiszę, że wykazałeś się odwagą, że stanąłeś uciekinierom na drodze i o mały włos nie zostałeś zmiądzony przez koła ciężarówki, takie tam dyrdymały, z tych, co to lubią nasi przełożeni. Tylko trzymaj się tej wersji i napisz raport zgodnie z tym, co powiedziałem, a będziemy równi rangą.

Porucznik prawie go nie słuchał. Wiedział, że major dotrzyma słowa, trudniej mu było zaufać w tej kwestii samemu sobie. Nagle zwątpił, czy podoła takiemu wyzwaniu. Drobne kłamstewka, drzemki w czasie służby czy olewanie regulaminu zdarzały mu się często, ale przecież takie uchybienia nie umywały się nawet do tego, co właśnie zamierzali zrobić z

majorem. Był pośrednio winien śmierci dwóch swoich ludzi i właśnie próbował sprawić, żeby wyglądało na to, że ma czyste ręce. Wykazałby się odwagą i honorem, gdyby się przyznał, ale co wtedy stałoby się z jego rodziną? Pomyślał o żonie i synu i w jednej chwili zdecydował się brnąć dalej w to kłamstwo, za wszelką cenę. Tamtym w końcu życia już nie wróci, a jeżeli wyjawí prawdę, to uśmierci kilka innych osób. Tak chyba w człowieku rodzi się znieczulica i zło - pomyślał filozoficznie. Pod wpływem niesprzyjających okoliczności. Nie jest przecież naturalną chęć do wyrządzania krzywdy drugiemu człowiekowi. Nikt przecież nie rodzi się zły. Dopiero później coś w człowieku się zmienia. Ciekawe, co zmieniło majora, zaczął się nagle zastanawiać, ale wnet wrócił do siebie. Co zmieniło mnie, to akurat dobrze wiem. On mnie zmienił... Już na pewno nie będę tym samym człowiekiem, którym byłem jeszcze kilka godzin temu, choćbym nie wiem jak się starał.

- No co? Wchodzisz w to? - Major się trochę niecierpliwił.

Porucznik wstał powoli i stanął naprzeciw niego.

- Chyba nie mam wyboru - powiedział, zachowując przy tym kamienny wyraz twarzy.

W tym samym momencie dał się słyszeć zza okna potężny ryk kilku silników. Nocna zmiana, która została po pościgu na plaży, aby kontynuować poszukiwania, wracała właśnie do bazy. Ciężarówki jedna za drugą zajeżdżały na tyły budynku.

Porucznik stał nieruchomo, gapiąc się niewidzącymi oczyma w dogorywającą ciemność za oknem. Wyglądał jak posąg odziany w mundur. Nie zdawał sobie sprawy z upływającego czasu ani nie słyszał, jak major wyszedł z pokoju. Nie widział przelatujących ptaków ani słońca, które powoli wyłaniało się zza horyzontu.

Ocknął się dopiero dobry kwadrans później, w chwili, gdy słoneczne promienie były na tyle ostre, by go oślepić. Przetarł oczy i odwrócił się tyłem do okna. Był zły na siebie, że zmarnował tyle cennego czasu. Nie pamiętał ani jednej myśli z kilku ostatnich minut, choć wiedział doskonale, że mózgu nie da się wyłączyć i ten pracował w tym czasie na pełnych obrotach. Dowodem tego był plan, który - zupełnie gotowy - objawił mu się nagle. Od razu ocenił, że powinien się powieść.

Podszedł do biurka, wziął flaszkę, w której znajdował się najszlachetniejszy trunek, jaki miał okazję skosztować w swoim życiu, i udał się do pokoju wartowników. Na jego widok żołnierze ustawili się na baczność w szeregu. Mocno go to zdziwiło, nigdy bowiem tego nie robili. Pomiędzy przełożonymi a podwładnymi panowały tu przyjacielskie relacje, spotykali się często również prywatnie. Tym razem jednak spodziewali się wizyty majora, prawdopodobnie poinformowani przez grupę poszukiwawczą o jego obecności w bazie, i dlatego przypomnieli sobie o powinnościach wobec starszych rangą. Na widok porucznika

odetchnęli i wrócili na wygodne łóżka. Jeden przez drugiego relacjonowali, co zaszło na plaży:

- Nic nie znaleźliśmy.

- Jakby się zapadli pod ziemię.

- Ślady kończą się w wodzie, chyba naprawdę się utopili.

- No! Trzeba będzie dla pewności zanurkować, tylko że tam akurat jest urwisko i jest strasznie głęboko...

- Baczość!

Porucznik krzykiem przerwał to chaotyczne raportowanie. W pierwszej chwili na twarzach żołnierzy pojawiła się konsternacja. Nie wiedzieli, czy to żart, czy też może major jest kilka kroków za ich bezpośrednim przełożonym i dlatego ten nagle przypomniał sobie o regulaminie. Nastąpiła cisza, w której zgromadzeni w pokoju byli w stanie usłyszeć własne oddechy, ale nie dosłyszeli żadnego hałasu, żadnych kroków czy choćby szelestu munduru na korytarzu. A więc nie mogło chodzić o majora. Mimo to ustawili się i czekali, aż porucznik zacznie mówić.

Ten walczył z własnymi nerwami. Chcąc wyrzucić na wartownikach mocne wrażenie, przypomniał sobie, jak major postąpił z nim; to pozwoliło mu wzbudzić w sobie wściekłość, widoczną coraz mocniej w jego oczach, postawie, gestach. Musiał przekonać podwładnych, że sytuacja jest śmiertelnie poważna i nie mogą zachowywać się jak do tej pory.

Marsowe czoło i ogień w oczach prawdopodobnie podziały na żołnierzy, gdyż żaden się nawet nie poruszył, a ich twarze zarażały się od siebie strachem i dezorientacją. Już miał do nich podejść i spojrzeć każdemu z osobna groźnie w oczy, gdy poczuł ciepło i zorientował się, że się czerwieni. Od razu wiedział, że tak zadziałał alkohol i że teraz zionie nim jak komin rafineryjny oparami gazów, nie powinien zatem zbliżać się do innych, jeśli nie chce wszystkiego zepsuć.

Musiał zostać na progu i przejść do kolejnego punktu planu. Pewnym ruchem wyciągnął zza pleców butelkę i podniósł ją na wysokość oczu zaskoczonych mundurowych. Znowu pomyśleli, że to żartobliwy sposób zaproszenia ich na kolejną, że ich szef chce, aby odreagowali nocne przygody. Porucznik szybko pozbawił ich złudzeń.

- Major znalazł to pod poduszką na jednym z łóżek, kiedy my przeszukiwaliśmy plażę. Czyje to!? - wrzasnął.

Żołnierze zaczęli się bezwładnie tłumaczyć.

- No co ty? Przecież my byśmy nigdy, nie moglibyśmy.

- To musiała zostawić poprzednia zmiana.

- Jak major znalazł? Co ty pleciesz? Przecież jego nie było w nocy...

- Cisza! - Porucznik omal nie rozerwał sobie krtani. - Jakie „ty”? Jestem waszym przełożonym. Macie odpowiadać tylko „tak” lub „nie” - nie przestawał wrzeszczeć. - Który powiedział, że majora nie było w nocy? Byliście aż tak pijani, że nie pamiętacie odprawy? Czy może wcale nie macie mózgów? Pytam się po raz ostatni: czyje to? - Trząsł butelką i wskazywał każdego po kolei palcem.

Nie uzyskał jednak odpowiedzi. Żołnierze stali tylko, wciąż w przepisowej pozycji, wystraszeni i zdezorientowani, wybałuszając oczy i rozdziawiając gęby.

- Wychodzi zatem na to, że urządziliście tu sobie libację, a teraz nie macie odwagi się przyznać - kontynuował porucznik, już nieco spokojniej. - Mamy pełnić nadzór nad najważniejszymi więźniami, jakich kiedykolwiek mieliśmy, kod czerwony przez cały czas przebywania aresztowanych, mamy zachować szczególną ostrożność... A wy jak gdyby nigdy nic chlejecie bimbler i nasze ptaszki wyfruwają na wolność. Zrobiliście z tego miejsca, które ma być ostoją praworządności, jakąś leśną melinę. Co wy sobie wyobrażacie? - krzyknął znów, aż niektórzy podskoczyli. - Przecież w tym cholernym mieście obowiązuje prohibicja, a wy, ludzie, którzy powinni pilnować porządku i dawać obywatelom przykład, upijacie się na służbie? Wszystkich was czeka postępowanie dyscyplinarne.

Przerwał wreszcie, ale wciąż patrzył na swoich podwładnych z obrzydzeniem i pogardą. Zorientował się też, że tak bardzo wczuł się w swoją rolę, iż niemal uwierzył w to, co mówi. To go trochę uspokoiło - dało nadzieję na to, że i inni będą skłonni uznać tę wersję wydarzeń za prawdziwą. Nie spuszczać oka z żołnierzy, zaplótł ręce za plecami, wciąż trzymając w jednej butelkę, coraz cięższą, i zaczął się kołysać w przód i w tył.

- No co? Macie jakieś sensowne wytłumaczenie? - rzucił po chwili takiego bujania, które dla zgromadzonych było wymyślną torturą.

Wiedział, że może liczyć jedynie na przyspieszony oddech swoich - jeszcze przed paroma minutami - kumpli z pracy, ale nie zamierzał przerywać przedstawienia. Kołysał się coraz szybciej, jakby eskalując zagniewanie.

W końcu jednak rozluźnił się i westchnął głęboko. Spuścił głowę i patrząc na swe buty, zaczął mówić zupełnie innym tonem:

- Jesteśmy przyjaciółmi na służbie i nie tylko. Znamy się nie od dziś. Owszem, chlejemy czasem to gówno do upadłego, co nam przecież nie przystoi. Szczególnie mnie, waszemu przełożonemu. To, co się stało tej nocy, będzie dla mnie nauką na przyszłość. Teraz już wiem, że nie należy się spoufaląć z podwładnymi. Ale przecież nie o mnie tu chodzi. Kiedy wy się zabawialiście w najlepsze, wasi dwaj koledzy walczyli z więźniami i

stracili życie. Wypełniali swoje obowiązki sumiennie i liczyli, że przyjdziecie im z pomocą. Tymczasem nie miał kto stanąć w ich obronie... Wiecie, co będzie najlepszą karą dla was? Pójdziecie wszyscy razem do ich domów i powiadomicie rodziny o ich śmierci. Spójrzycie w oczy ich żonom, matkom, ojcom i dzieciom i opowiecie, jak urządziliście sobie zabawę, żeby poprawić sobie humor bimbrem i rozładować stres, podczas gdy oni ginęli w obronie prawa i sprawiedliwości.

Tego było już za wiele dla strażników. Nie bardzo wiedzieli, co jest powodem tej awantury, skoro nie zrobili nic gorszego ponad to, co zwykle miało miejsce na dyżurach. Co prawda śmierć dwóch ich kolegów była przykrym doświadczeniem, ale nie poczuli się do odpowiedzialności za to, co się stało. Zaczęli patrzeć po sobie z rosnącym przerażeniem, spodziewali się, że sprawa ma wymiar polityczny, a było wiadomo, jak kończą się polityczne gierki na Wyspie. Niektórzy niemal mdleli, choć bali się wystąpić z szeregu, a jeden upadł na podłogę jak kłoda, oddychając coraz ciężiej.

- Wstań i nie dramatyzuj - zbagatelizował jego problemy z oddechem i równowagą porucznik. - Nie czas teraz na to. Zaraz będą tu ci z Centrali, mają zabrać więźniów do Miasta Głównego, lepiej, żeby nie oglądali tej szopki. Przygotujcie się. Nie chcemy żadnych wpadek. Pójdziecie teraz do mojego gabinetu i przejrzyście wszystkie księgi. Jeśli nie chcecie mieć większych problemów, niż już macie, to dobrze wam radzę: nauczcie się na pamięć tego, co tam napisałem, a co powinniście byli zrobić, bo wymaga tego od was regulamin. Naprawdę lepiej by było - tu głos porucznika brzmiał jak odgłos piły mechanicznej - by wasze zeznania zgadzały się ze sobą i z tym, co ja mam zamiar powiedzieć przełożonym. Rozmawiałem już z majorem i postanowiliśmy na razie nie wszczynać przeciw wam postępowania. Postaramy się sami rozwiązać tę sprawę. Nie liczcie jednak na to, że kara was ominie. - Dowódca patrzył hardo w oczy swych podwładnych, choć większość z nich spuściła wzrok. - Teraz odejść - rzucił rozkaz i zaczął się cofać. Nie mogli wiedzieć, że to z powodu alkoholowego oddechu, który chciał za wszelką cenę ukryć.

Kiedy zdezorientowani strażnicy patrzyli po sobie, powoli formując się w grupę gotową iść do gabinetu szefa, ten dodał jeszcze:

- Przeczytać, zapamiętać, a potem wrócić i czekać na dalsze rozkazy. Dzisiaj szybko do domu nie wrócicie, ale to wasz najmniejszy problem.

Żołnierze potraktowali to jak ponaglenie i bez słowa opuścili salę. Studiowanie ksiąg zajęło im jakieś dwa kwadransy, w trakcie których porucznik spokojnie czekał w dyżurce. Kiedy wrócili i ustawili się w rzędzie na baczność, jak gdyby nigdy nic odwrócił się pięć i wyszedł, zostawiając ich samych z poczuciem winy i zagrożenia. Usiedli, ze spuszczoneymi

głowami, na swych pryczach i siedzieli tak w milczeniu. Teraz nie mieli już wątpliwości, że nie chodzi o sprawiedliwość, a o uratowanie dupy porucznika, i czuli się wykorzystywani. A jednocześnie nic na to poradzić nie mogli. Jeszcze godzinę temu uważali swego dowódcę za równego gościa, a ten zrobił z nich kozły ofiarne, i nawet powieka mu przy tym nie drgnęła.

Porucznik tymczasem włókł się do swego gabinetu. W niczym nie przypominał tego stanowczego przywódcy, który parędziesiąt minut temu wykrzykiwał hasła o sprawiedliwości i terroryzował swoich podwładnych. Opuściły go nagle wszystkie siły. Nie wiedział, jak i kiedy znalazł się w pokoju. Usiadł za biurkiem i chowając twarz w dłoniach, zaczął cicho płakać. Butelka, którą wreszcie wypuścił z rąk, potoczyła się z głośnym stukotem po podłodze.

A przecież mógł czuć się zwycięzcą, w końcu udało mu się utrzymać posadę, a nawet wykpić od wszelkiej winy. Kiedy jednak został sam, zrozumiał, jakie jeszcze będą konsekwencje tego przedstawienia, które zaplanowali z majorem. Pojął, że na zawsze już pozostanie niewolnikiem wspomnień z minionej nocy. Pamięć dokuczała mu silnie, ale jeszcze silniej sumienie, o którego istnieniu do tej pory tylko słyszał. Sądził, że już od dawna wolny jest od nagabywań tego etycznego kompasu. Zresztą dotąd sumienie nie miało zbyt wielu okazji do wtrącania się w jego życie. Czy to los był dla niego tak łaskawy czy po prostu wystarczało mu sprytu, w każdym razie zawsze dokonywał wyborów, które koniec końców okazywały się złotym środkiem. Nigdy nikogo nie skrzywdził, a i sam nie czuł się pokrzywdzony. Nigdy nie pragnął i nie oczekiwał zbyt wiele, ale jednocześnie nie był leniwy. Nie wiedział, co to walka o przetrwanie i co to walka o swoje, ponieważ nigdy nie musiał o nic walczyć. Na wszystko, co posiadał, musiał jednak ciężko zapracować. Aż do chwili, kiedy jedną decyzją zabił w sobie przyzwoitość, żył prostym, przeciętnym życiem zwyczajnego człowieka.

Co mi teraz z tej posady, co mi z pracy dla Agencji, myślał z rosnącą niechęcią. Do końca życia będę musiał się bać majora. W tym mieście jestem skończony. Wszystko, co zbudowałem przez te wszystkie lata, straciłem jak podczas jakiegoś huraganu. Choćby szacunek podwładnych... Autentyczny, niewymuszony posłuchem szacunek. Oni byli moimi przyjaciółmi, gotowi byli pójść za mną w ogień. Byłem przywódcą, kiedy trzeba było, i bratem w odpowiednim momencie. Byłem jak najlepszy ojciec. Solidaryzowaliśmy się z powodu wspólnych sekretów i grzeszków, to dawało nam poczucie jedności.

Miał ochotę sięgnąć po kolejną butelkę alkoholu, już nawet wstał, żeby jej poszukać, ale powstrzymał się. Tak, był przybity więcej: czuł się przegrany, ale przecież zostało mu

odrobinę zdrowego rozsądku, choć sam o sobie myślał inaczej. Usiadł i wrócił do swoich smutnych rozmyślań, wyrzutów trudniej było się bowiem pozbyć niż chęci na kielicha.

Jak mogłem złożyć swoje życie i życie moich bliskich w rękach kogoś takiego jak major, pastwił się nad sobą. Przecież to kawał ściierwa. Ratuje własną dupę, wystawiając tych biedaków, a oni przecież nic nie zawinili. Nawet nie chciało mi się przeczytać książki rozkazów. Przecież gdybym wiedział, że on ma tu z nami być, to na pewno bym go jakoś zmusił, żeby się tu zjawił. A wtedy, cokolwiek by się działo, byłbym kryty i te biedaki na dole też...

Niewesołe rozmyślenia przerwało mu głośnie dudnienie, które dobiegało z podwórza. Nawet się ucieszył, że rzeczywistość daje mu możliwość wyrwania się z matni wyrzutów sumienia. Wstał i podchodząc do okna, postanowił sobie, że zostawi tę sprawę za sobą i przynajmniej postara się o niej nie myśleć. Miał nadzieję, że jest na tyle silnym człowiekiem, że nauczy się z tym żyć.

Dudnienie stawało się z każdą sekundą coraz głośniejsze, ale za oknem porucznik nie dostrzegł niczego, co mogłoby je powodować. Domyślał się, że ten odgłos najpewniej wyprzedza transportery opancerzone. Zbliżała się zatem powoli chwila, której najbardziej się obawiał od momentu, kiedy zaczęły się poszukiwania zbiegów. Już miał pewność, że nie odnajdą ich przed przybyciem konwoju, a to oznaczało kilka kolejnych bardzo nieprzyjemnych rozmów, których finału wolał sobie nie wyobrażać. Westchnął ciężko, wyobrażając sobie, jak już za kilka minut będzie znów kłamał i oszukiwał. Przy tym, co go czekało, dotychczasowe działania związane z tuszowaniem jego zaniedbań były dziecięcą zabawą w wojsko; teatralne ruganie podwładnych widział teraz jako rozgrzewkę i sprawdzanie umiejętności kłamcy.

Rozmyślając o tym, gapił się w okno i nie zauważył, kiedy do gabinetu wszedł major.

- Już jadą - rzucił niedbale. On z kolei próbował udawać, że jest rozluźniony i opanowany.

Porucznik nie dał przełożonemu satysfakcji i podjął grę; wbrew oczekiwaniom majora pozostał obojętnym, na jego twarzy wykwitł nawet wąty, ale butny uśmiech.

- Hej! Ogłuchłeś? Zaraz tu będą. - Majorowi przeszła ochota na walkę na miny. - Zbierz wartowników na placu i czekajcie tam na mnie.

A widząc, że porucznik wciąż wgapia się w okno, nabrał powietrza w płuca i ryknął, aż zadrżała lampa na biurku:

- Co ty tu jeszcze robisz? Zbiórkę na placu ci rozkazałem przeprowadzić... Z wartownikami... I weź się pozbydź tej flaszki. - Kopnął z całej siły butelkę, koło której akurat stanął.

- Jak mam się j ej pozbyć? Co, mam teraz lecieć na plażę i gdzieś to zakopać?

- Ty na pewno zostałeś porucznikiem, czy masz jakieś lewe papiery? - Major już zupełnie nie panował nad emocjami. - Z pewnością nie awansowali cię za umiejętność podejmowania decyzji w stresujących sytuacjach.

- Tak jakby stresujące sytuacje w tym miasteczku to była codzienność. - Porucznik też umiał być uszczypliwy, choć nigdy dotąd tego nie wykorzystywał. - Nic tylko bandyci i zorganizowane grupy buntowników dookoła, a my z nimi walczyliśmy dzień i noc bez wytchnienia.

- Nie pyskuj, tylko bierz się do roboty. Bimber wylej, idź do celi, gdzie przebywali więźniowie, wybij szybę w oknie, a potem rozbij tę butelkę w miejscu, gdzie posypie się najwięcej szkła. No, poruczniku, czy ja tu muszę myśleć za wszystkich?

- Gdybyś, szanowny majorze, wczoraj myślał wyłącznie za siebie, to teraz wszyscy spalibyśmy grzecznie w łózkach, a więźniowie na swoich pryzach.

- Koniec tego! Masz zaraz wykonać moje polecenie! - Major aż się poplul z wściekłości. Zuchwalstwo podwładnego doprowadziło go do szewskiej pasji.

Porucznik doszedł do wniosku, że wystarczy już buńczucznych żartów, tym bardziej, że jego przełożony miał całkiem sensowny plan, i schylił się po butelkę. Pozwolił sobie jednak na jeszcze jeden gest niesubordynacji. Podniósł butelkę do ust i przechylając ją, powiedział beztrząsco:

- Jako pana oddany podwładny nie mogę pozwolić, by pozbył się pan asa w rękawie, ale też wylać takie dobro to by było marnotrawstwo.

Po czym z głośnym chleptaniem wlał sobie do gardła zawartość flaszki. Kiedy przełknął, otarł usta rękawem munduru.

- Teraz możemy odstawić teatrzyk - powiedział prawdziwie aktorskim głosem i opuścił gabinet.

Najpierw zszedł do swoich podwładnych i wrzeszcząc, zarządził natychmiastową zbiórkę na placu przed budynkiem. Nie czekał jednak, aż się zbiorą, musiał zająć się butelką.

Gdy żołnierze w pośpiechu zaczęli ustawiać się na placu, usłyszeli huk pękającej szyby, a po sekundzie zobaczyli tysiące szklanych drobinek rozścielających się tuż pod ich nogami. Po minucie zjawił się i porucznik. Trzymał w ręce butelkę w taki sposób, jakby była pistoletem.

- Pamiętacie wczorajszą odprawę z majorem? - zaczął.

- Tak! - zakrzyknęli chórem żołnierze.

- Pamiętacie godziny obchodów i swoje zmiany?

- Tak!

- Pamiętacie przebieg ucieczki i pościgu?

- Tak!

- Czy w czasie służby postępowaliście zgodnie z regulaminem?

- Tak!

- Czy w czasie służby zauważyliście jakiegokolwiek oznaki lekceważenia regulaminu?

- Nie!

- I bardzo dobrze. - Pokiwał głową porucznik, po czym zamachnął się i rzucił butelkę na wybetonowane podłoże z taką siłą, jakby miał zamiar wybić nią studnię.

Szóstka mundurowych odetchnęła z ulgą. To były pierwsze słowa niezawierające rugania, jakie wypowiedział do nich dowódca od czasu ucieczki. Zdawali sobie jednak sprawę, że to nie koniec przedstawienia. Stali wciąż na baczność, wsłuchując się w coraz głośniejsze dudnienie, przypominające teraz odgłosy burzy. Porucznika też zajmowały te złowieszcze dźwięki, znów pomyślał o czarnych chmurach gromadzących się nad jego głową.

Wnet do dudnienia dołączyło równie nieprzyjemne drganie ziemi szybko przechodzące w prawdziwe trzęsienie. Szyby w oknach zaczęły przenikliwie brzęczeć, jakby miały zaraz eksplodować, a na horyzoncie pokazały się tłuste obłoki czarnego dymu, które przemieszczały się z ogromną prędkością w kierunku biura. Po dwóch minutach pojawiły się na placu, odsłaniając sprawców całego zamieszania - potężne ciężarówki. Trzy wjechały przed budynek agencyjny, trzy kolejne zatrzymały się na ulicy, wszystkie nie zmieściłyby się na placu. Tak żołnierze, jak i porucznik patrzyli z zawodową ciekawością na ośmiokołowe opancerzone wozy, długie na około dziesięć metrów. Wywarły na zgromadzonych na placu takie wrażenie, iż na moment zapomnieli o wszelkich troskach. Oczy ich zapalały ogniem, jaki pojawia się u dziecka obserwującego rodzica, który nadchodzi, trzymając w rękach wymarzoną zabawkę. Major i porucznik mieli już styczność z tymi potwornymi maszynami w latach swojej młodości, gdy przechodzili kilkunastoletnie szkolenie wojskowe w centralnej części wyspy, widywali je także podczas służbowych wizyt w Mieście Głównym, ale wciąż imponował im techniczny rozmach, z jakimi je zbudowano. Zachwyt wnet jednak ustąpił miejsca strachowi, wystarczyło, że drzwi tych pancernych cacek się otworzyły i zaczęły z nich wysiadać starsi majorzy, a za nimi kapitanowie, porucznicy i liczni podoficerowie.

Widok tej wojskowej śmietanki poraził i wartowników, i ich dowódców. Dopiero wtedy poczuli, jak ważni musieli być więźniowie, którym pozwolili zbiec.

Lęk porucznika i majora był jednak inny niż pozostałych żołnierzy - bali się i za siebie, i za nich. Porucznik miał nadzieję, że jego nietypowe groźne zachowanie odniesie pożądaný skutek i wszystko pójdzie według planu majora, wątpliwości jednak miał sporo.

Myślał intensywnie o tym, czy powinien coś jeszcze zrobić, gdy ujrzał dwóch wartowników idących w stronę budynku. Zostali zmienieni przez strażników porannej zmiany, która właśnie - skoro było kilka minut po szóstej - się rozpoczęła. Zapomniał o nich całkowicie. Ta dwójka pełniła dyżur przy bramie i nie została wtajemniczona w knowania.

W razie przesłuchania podadzą całkiem inną wersję wydarzeń niż ta szóstka, myślał gorączkowo porucznik i dopingował się: wymyśl coś, wymyśl coś... Nic jednak nie wymyślił, poza tym, że postawi ich koło kolegów, co dawało szansę, że jakoś się porozumieją.

- Dołączyć do szeregu! - krzyknął do dwóch, wystraszonych już śmiertelnie i całkowicie zdezorientowanych, strażników.

Nie zdążyli jeszcze przyjąć regulaminowej postawy, gdy do porucznika podszedł dowódca konwoju - w stopniu starszego majora. Wyciągnął dłoń na powitanie i powiedział z żołnierskim uśmiechem na twarzy:

- Nie spodziewaliśmy się takiego przyjęcia. Brakuje tylko salwy honorowej.

A widząc marsową minę porucznika, uśmiechnął się jeszcze szerzej i machnął ręką na znak, że wszelkie regulaminowe ceregiele są już zbędne i nie musi się nimi kłopotać.

- Nie ma co marnować czasu, poruczniku - powiedział serdecznie. - Prowadźcie nas do tych gagatków. Zabieramy ich i zmykamy.

- Niestety, muszę pana zmartwić. - Porucznik nie mógł dłużej zwlekać z powiedzeniem prawdy, choć zaschło mu w gardle tak, że słowa sprawiały mu ból. - Więźniowie zbiegli dzisiejszej nocy. Zabili dwóch strażników i odjechali jedną z naszych służbowych ciężarówek. Jeden z nich pracował tu jako czyściciel plaży, więc znał budynek i wiedział, gdzie znajdują się klucze do pojazdów i jak otworzyć bramy...

Uśmiech na twarzy dowódcy konwoju zmienił się nagle w grymas niedowierzania. Starszy major zachował jednak spokój.

- Uciekli? - powiedział, jakby informował o zbliżającym się deszczu. - Cóż, trzeba będzie ich poszukać. Prowadźcie do telefonu poruczniku. Muszę powiadomić Przewodniczącego Rady.

- Już został powiadomiony. Major, który razem ze mną pełnił służbę całą noc, powiadomił Przewodniczącego o zajściu. Jak również o pościgu i...

Porucznik wypowiadał słowa nienaturalnie głośno, by dwaj strażnicy, którzy nie mieli pojęcia, co się dzieje, usłyszeli wszystko dokładnie.

- To bardzo dobrze, ale ja i tak muszę się dowiedzieć, co robić w tej sytuacji. - Dowódca konwoju przerwał mu w pół zdania. - Bez rozkazów nie mogę ani tutaj zostać, ani wracać.

Porucznik doskonale to rozumiał i zamierzał zaprowadzić spodziewanego, acz niemiłego gościa do gabinetu, by mógł zadzwonić. Nie zdążył mu jednak tego zaproponować, bo z budynku wyszedł właśnie major i salutując, podbiegł do starszego stopniem przybysza.

- Dzień dobry. Czy porucznik poinformował już pana o wszystkim?

- Tak. Teraz muszę zadzwonić do Centrali po dalsze rozkazy. Prowadźcie do telefonu.

- Dobrze. Może jednak najpierw zechce pan zapoznać się z przebiegiem zajścia, przejrzeć księgi, zobaczyć miejsce zdarzenia, porozmawiać z wartownikami?

- Wszystko po kolei. Nie wiem, czego chcę, dopóki nie dostanę wytycznych. Muszę zadzwonić i poprosić o dalsze rozkazy.

Starszy major wypowiedział te słowa stanowczym i oficjalnym tonem. Wcześniejsza uprzejmość zniknęła zupełnie. Zaczął podejrzewać, że dowódcy straży celowo próbują opóźnić jego kontakt z przełożonymi. Nie chciał jednak być arogancki, służył w wojsku na tyle długo, że wiedział, iż takie zachowanie może wynikać też ze stresu; w końcu zabito dwóch ludzi i nie umiano zapobiec ucieczce najważniejszych więźniów, jacy kiedykolwiek byli przetrzymywani w tych celach.

Major skinął głową, dając do zrozumienia, że oddaje się całkowicie do dyspozycji dowódcy konwoju i przepuścił gościa w drzwiach.

Udali się bezpośrednio do gabinetu, w którym zaledwie kilkadziesiąt minut wcześniej powstał plan ratowania honoru, a może i życia dwóch nieodpowiedzialnych wojskowych.

Starszy major bezzwłocznie zatelefonował do Centrali. Cała rozmowa trwała ponad pół godziny, ale towarzyszący mu wojskowy niewiele miał do podsłuchania. Był to raczej monolog, którego dowódca konwoju wysłuchiwał a to ze spokojem, a to z zaniepokojeniem. Robił też notatki w notesie, niektóre zdania podkreślając dwoma długimi kreskami.

Kiedy wreszcie skończył, schował notes do kieszeni wojskowej marynarki i zwrócił się do majora:

- Niestety nie mam dobrych wieści. Nie pójdziecie do domu i nie wyśpicie się dzisiaj. Muszę was wszystkich po kolei przesłuchać. Ilu was tu jest z nocnej zmiany?

- Ośmiu strażników, porucznik i ja.

- Ile macie cel?

- Cztery.

- A jakieś inne wolne pomieszczenia, które można użyć jako cele? Nie muszą mieć krat w oknach czy innych zabezpieczeń, po prostu muszę was porozdzielać i pozostawić każdego pod kontrolą dwóch strażników. Chodzi o to, żebyście nie ustalali zeznań między sobą.

- Tak, mamy tu kilka pustych pomieszczeń. - Major słowem nie skomentował tego, że właśnie zaczynają traktować jego ludzi jak przestępców. Znał procedury. - Parę pokoi biurowych, które od dawna są nieużywane, można bez kłopotu wykorzystać.

- Dobrze. To teraz pójdzie pan i ogłosi alarm. Niech wszyscy pracownicy wracają do domu, biuro będzie dzisiaj zamknięte. Nikt nie ma się tu prawa kręcić. Strażnicy, urzędnicy, magazynierzy nie powinno być ani jednego intruza. Niech zostanie tylko kotłowy, żebyśmy mieli ciepłą wodę i ogrzewanie. A, i kucharz. Spędzimy tu cały dzień, więc przyda się coś do przegryzienia.

- Tak jest! - Major zaszalutował i pobiegł zrobić, co mu kazano.

Dowódca konwoju zszedł tymczasem na podwórze. Wpierw nakazał swoim ludziom zabrać strażników i umieścić w osobnych pomieszczeniach, a potem poszedł do ciężarówki i wyjął z kabiny duży aparat fotograficzny. Oglądał go uważnie, czekając blisko kwadrans, aż wszyscy cywilni pracownicy biura znajdą się poza murami obiektu i będzie mógł rozpocząć stosowne procedury. Kiedy wreszcie za ostatnim z nich zamknęła się brama, wezwał do siebie majora, który pilnował wychodzących, i kazał oprowadzić się po budynku.

Zaczęli od pomieszczeń na parterze i kolejno zaglądali do każdego. Żadna szafa, łóżko czy segregator z dokumentami nie umknęły uwadze starszego majora. Słuchał dokładnej relacji z przebiegu nocnej służby wartowników i pościgu za zbiegami, a jednocześnie przyglądał się każdej rzeczy, a potem ją fotografował z różnych perspektyw.

Najwięcej czasu poświęcił na zbadanie celi, w której do niedawna jeszcze przebywali osadzeni. Spędził tam ponad godzinę, przyglądając się kajdanom, łóżkom, kratom w oknach i wszystkim pozostałym sprzętom i elementom zabezpieczającym. Wszystkiego dotknął, szarpnął, pomacał i - jak wcześniej - uwiecznił na zdjęciu. Podobnie postąpił z ciałami dwóch zabitych wartowników. Obejrzał ich dokładnie, zbadał rany i sińce, a nawet zajrzał do uszu i ust. Nie omieszkał też przetrzepać im kieszeni.

Zabitych wartowników zostawił sobie na koniec, więc kiedy miał już pełną dokumentację fotograficzną na ich temat, uznał, że ma komplet danych, by rozpocząć śledztwo. Wyszedł przed budynek i wyznaczył czterech ludzi do załadowania ciał na ciężarówkę. Zwłoki musiano przewieźć do rafinerii, gdzie znajdowała się jedyna kostnica w

mieście. To, co się z nimi stanie, zależało albo od rodzin, albo też od woli samych zabitych, jeśli zadbali o testamenty. Dwóm kolejnym żołnierzom dowódca konwoju rozkazał, aby udali się z majorem do budynku i sprawdzili, jak poszło z rozmieszczeniem wartowników oczekujących na przesłuchanie. Wnet wrócili z informacją, że tę kwestię ich koledzy załatwili jak należy. Starszy major pokiwał głową z aprobatą i począł gładzić swą nieogoloną twarz szorstką ręką. Marzył o tym, by się wykąpać po długiej podróży i zjeść coś ciepłego, lecz wcześniej musiał wypełnić jeszcze jeden ważny, aczkolwiek przykry obowiązek.

- Wie pan, gdzie mieszkali dwaj zabici? - Z tym pytaniem zwrócił się do majora.

- Tak, już to sprawdziłem - potwierdził tamten, zadowolony, że w tej kwestii niczego nie sknocił. To działało na jego korzyść.

- Trzeba pojechać do rodzin tych nieszczęśników i powiadomić ich. Pan powinien to zrobić, jako komendant miasta, ale pojedziemy razem. Nie ma się co ociągać. Takie wizyty nie należą do najprzyjemniejszych, dlatego im prędzej będziemy mieć to za sobą, tym lepiej. Poza tym jestem już troszkę zmęczony a przede mną jeszcze cały dzień przesłuchań, więc tym bardziej chciałbym załatwić tę sprawę i zająć się przez chwilę sobą. No...! Jedziemy.

- Tak jest.

Rozmowa z bliskimi zabitych nie była tym, na co major miał właśnie ochotę, ale przecież wiedział od paru godzin, że będzie musiał ją przeprowadzić. Tyle że, pomimo całego swego cynizmu, zdawał sobie sprawę z własnych przewin wobec tych pozostawionych samym sobie żon i dzieci, i bał się, czy zdoła przekazać im hiobowe wieści. Konfrontacja z bliskimi ofiar mogła spowodować, że obudzi się w nim współczucie i nie będzie potrafił opowiadać tych zmyślonych historii. Słowem: bał się, że pęknie i wyda w ten sposób wyrok na samego siebie.

Nie było jednak wyjścia. Starszy major czekał już na niego w ciężarówce, więc odetchnął głęboko i wsiadł posłusznie do tylnej części kabiny. Kierowca uruchomił silnik i ruszyli. Zmierzali na zachód, gdzie - jakąś milę od budynku biura - znajdowało się prestiżowe osiedle domków jednorodzinnych. Zajmowali je głównie żołnierze z rodzinami oraz pracownicy biura, ale tylko ci zasłużeni. Mieszkanie na tym osiedlu było nobilitacją; większość obywateli gnieździła się w zatłoczonych, drewnianych barakach. Już przydział lokalu wmurowanej, wielorodzinnej kamienicy uważano za przywilej, a co dopiero własny dom z ogromnym ogrodem, pielęgnowanym przez pracownika biura, z ciepłą wodą w kranie oraz ogrzewaniem zapewnianym przez wspólną kotłownię.

Podczas kilkuminutowej podróży major starał się zapanować nad swoimi nerwami i przygotować w myślach jakąś stosowną mowę. Nie mógł się jednak skupić i w końcu

zaniechał tych starań, zdając się po prostu na bieg zdarzeń. Postanowił, że powie rodzinom żołnierzy o tym, co się stało, tak po prostu, nie owijając prawdy w piękne słówka o współczuciu i solidarności, i nie będzie się przejmował łzami, szlochami i krzykami. W końcu ktoś, kto decyduje się zostać żołnierzem, powinien być przygotowany na śmierć i również przygotować na to swoją rodzinę, nawet jeśli odbywa służbę w tak sennym miasteczku jak to, tłumaczył się przed samym sobą.

Wreszcie dotarli pod dom jednego z zabitych. Major westchnął głęboko i wysiadł. Zatrzasnął drzwi pojazdu, wygładził mundur i ruszył w stronę budynku. Zastukał delikatnie do drzwi i zakaszłał, chcąc przygotować krtań do używania oficjalnego tonu, jaki był stosowny w tej sytuacji. W wejściu pojawiła się młoda kobieta, prawdopodobnie żona zabitego żołnierza. Rozmowa nie trwała długo. Okazało się, że mający niespodziewany urlop pracownicy biura zdążyli już roznieść po okolicy wieść o tym, co wydarzyło się w nocy. Rodziny żołnierzy czekały tylko, aż pojawi się ktoś kompetentny i oficjalnie potwierdzi to, z czym powoli się godzili. Choć zarazem pewnie łudzili się, że ostatecznie wieść okaże się plotką lub nieporozumieniem.

Kobieta ze spuszczoną głową wysłuchiwała tego, co major miał do powiedzenia, szepnęła cicho: „Dziękuję” w odpowiedzi na złożone kondolencje i wróciła do domu, nie patrząc na posłańca śmierci ani nie okazując w żaden inny sposób emocji. Te pozostawiła dla siebie i swoich bliskich. Major nie uchodził za człowieka o miłym usposobieniu, raczej za tyrana, egoistę i służbistę, dlatego też kobieta nie wierzyła, w jego zapewnienia o udzieleniu wszelkiej pomocy dla rodzin „bohaterskich towarzyszy broni”, jak się wyraził mężczyzna.

Podobnie było w domu drugiego zabitego. Wizyta też trwała ledwie kilka minut i też polegała na wymianie zwyczajowych uprzejmości.

Mimo to major wrócił do ciężarówki cały spocony.

- Co, było aż tak źle? - zapytał obojętnie starszy major.

- Łatwo nie było - przyznał komendant miasta. W duchu jednak dodał, że spodziewał się czegoś znacznie gorszego.

- Nie widziałem jakichś dramatycznych scen, nie przejęli się chyba zbyt? - drążył dowódca konwoju.

- Ja nie jestem od pocieszania. Płakać sobie będą we własnym towarzystwie. Dowiedzieli się, czego się mieli dowiedzieć, i tyle.

- Pełny profesjonalizm. - Nie było jasne, czy starszy major pochwalił swego młodszego kolegę, czy też była to ironiczna uwaga. - Ale widzę, że pana to troszkę ruszyło. Chyba nie jest pan jednak takim zimnym służbistą, na jakiego pan wygląda.

- Było nie było, zginęli ludzie. W dodatku moi ludzie, podczas mojego dyżuru. To nikogo nie pozostawiłoby obojętnym.

- Racja. - W głosie starszego majora pojawiła się niespodzianie nuta współczucia. - Zapamięta pan to na całe życie. To pierwszy taki przypadek w pana służbie?

- Tak. Tu się nigdy nic nie dzieje. Byłem kiedyś z oddziałem w Mieście Północnym, kiedy górnicy wszczęli jakieś zamieszki, ale skończyło się na bijatyce, kilku sińcach i zadrapaniach. To była najburzliwsza akcja w całej mojej karierze. Poza tym nuda i rutyna.

- Po tym, co teraz się stało, nigdy już nie będzie pan myślał o kolejnym dniu pracy bez emocji. Może się panu wydawać, że za jakiś czas przejdzie pan nad tymi wydarzeniami do porządku dziennego, a potem o wszystkim zapomni. Lecz tak naprawdę będzie się pan musiał oswoić z całkiem nowym sobą. Długo to zapewne panu zajmie, ale wreszcie dojdzie pan do wniosku, że ta noc była przełomem.

- Bez przesady. - Major czuł się jak uczeń, któremu wymagający nauczyciel głosi kazania o tym, że nie ma przed nim przyszłości. - Jestem twardym facetem, żołnierzem i nie tak łatwo zmienić coś w moim usposobieniu. Śmierć to tylko koniec jednego istnienia i nie mam zamiaru widzieć w cudzym zgonie jakichś przestrog dla siebie. Dla mnie ci zabici to tylko dwa numery, które należy wykreślić z inwentarza. Na ich miejsce przyjdzie dwóch kolejnych i stan będzie się zgadzał. Wszystko wróci do normy. Nic się tu nie zmieni, zapewniam pana.

Major wolał być postrzegany jako bezzwzględny samiec, bardzo dbał o to, by otoczenie nie domyśliło się, że jednak nie jest pozbawionym uczuć draniem. Słowami skierowanymi do przełożonego wygładzał swój wizerunek twardego.

- Trzeba przyznać, że ma pan ciekawe podejście do świata - uśmiechnął się dowódca konwoju. - No! jesteśmy już na miejscu - zmienił temat, widząc przed sobą bramę budynku agencyjnego.

Samochód zjechał na plac przed biurem i zaparkował koło dwóch innych. Wracający dowódca wysiedli bezzwłocznie i udali się do gabinetu, który miał teraz pełnić rolę pokoju przesłuchań. Weszli do środka, mijając bez słowa żołnierza stojącego pod drzwiami, który im zasalutował. Na biurku leżały już przygotowane wszystkie księgi oraz magnetofon, który miał rejestrować zeznania wartowników. Starszy major usiadł za stołem, wskazując młodszemu stopniem koledze krzesło obok siebie. Major zajął miejsce, ale nie krył zdziwienia. Sądził, że będzie jednym z przesłuchiwanym, a nie przesłuchującym. Nie miał jednak czasu, by spytać o swoją rolę w tym procesie, gdyż do pokoju został już wprowadzony pierwszy wartownik. Żołnierze z Centrali działali naprawdę niezwykle sprawnie.

Skoro przysyłają taką grupę do transportu więźniów, pomyślał major, to ciekawe, kogo przyślą do poszukiwania zbiegów. To chyba będzie jednostka składająca się z trzystu maszyn. Gdybym tu miał takich ludzi, to doprowadziłbym to miasto w tydzień do porządku, marudził przez chwilę sam do siebie.

Ale zaraz zastanawianie się nad wyszkoleniem żołnierzy przerwał mu starszy major, zadając wartownikowi pierwsze pytanie.

- O której zaczęliście służbę?

- O dwudziestej drugiej.

- Jak przebiegało przejście służby?

- Odprawa zaczęła się o dwudziestej pierwszej trzydzięci. Porucznik zrobił przeszkolenie, bo sytuacja była wyjątkowa. Major w tym czasie przejmował i sprawdzał budynek, robił to w towarzystwie dowódcy popołudniowej zmiany. Ustaliliśmy, gdzie każdy z nas miał pełnić służbę i w jakich godzinach.

- Co to znaczy? - przerwał starszy major. Chodziło nie tylko o dodatkowe informacje, ale o odpowiednie motywowanie strachem wartownika. Musiał wiedzieć, kto tu rozdaje karty.

- No, kto będzie pilnował więźniów, a kto będzie pełnił wartę przy bramie. - Wartownikowi język zaczął się nieco plątać.

- Jaki był system rozdzielania zadań?

- Nie zostały nam przydzielone przed dowódców. Sami się podzieliliśmy.

- Ilu was było na zmianie?

- Dziesięciu żołnierzy plus porucznik i major.

- Czy przebieg służby, włączając odprawę, był zgodny z regulaminem?

- Tak.

- Dlaczego więc sami przydzielacie sobie zadania? Powinien to zrobić wasz bezpośredni przełożony, czyli na tej zmianie pan porucznik.

- To znaczy... Myśmy meldowali porucznikowi, kto preferuje... to znaczy... - Wartownik nie wiedział, ile może zdradzić z obyczajów panujących na ich posterunku. W końcu zdecydował, że powie, jak było. - Porucznik pytał każdego, gdzie chciałby pełnić służbę. Potem zostaliśmy przydzieleni do tych miejsc. Porucznik zgodził się z nami, że pełnienie służby tam, gdzie się lubi, daje lepsze efekty.

- Gdzie pan pełnił służbę?

- Przy więźniach.

- Jak często się zmienialiście?

- Co dwie godziny.

- Jak przebiegało przejście warty?

- Byłem w trzeciej zmianie. Więźniowie uciekli, zanim przyszła moja kolej.

- Jak dowiedzieliście się o ucieczce więźniów?

- Usłyszeliśmy jakiś huk, potem strzały i domyśliliśmy się, że to ma coś wspólnego z więźniami. Najpierw myśleliśmy jednak, że ktoś chce ich odbić.

- Odbić? Kto chciałby to zrobić?

- Nie wiem. Ktoś z miasta. Tak pomyśleliśmy. - Wartownik odzyskał rezon i odpowiadał teraz pewnym głosem.

- Ktoś z miasta to znaczy kto? Rodzina, przyjaciele?

- Nie wiem, to była tylko taka myśl.

- Jednak przyszło wam do głowy, że ktoś mógłby ich próbować uwolnić, tak? Wrócimy do tego później. - Starszy major zastosował kolejny trik śledczych. - Teraz zajmijmy się samą sytuacją. Usłyszeliście strzały i co dalej?

- Pobiegliśmy na piętro, gdzie znajdowały się cele, i zobaczyliśmy naszego kolegę leżącego na korytarzu. Był martwy. Zaraz się okazało, że drugi jest w celi i też nie żyje. Wtedy usłyszeliśmy ryk silników. Podbiegliśmy do okna i zobaczyliśmy ciężarówkę, a w niej naszych więźniów. Zbiegliśmy na dół do garaży, ale nie mogliśmy ich gonić, bo zabrali kluczyki do wszystkich samochodów, albo gdzieś wyrzucili. Wróciliśmy do recepcji po zapasowe i dopiero potem pojechaliśmy za nimi. Wartownicy przy bramie powiedzieli nam, że skierowali się na południe, w stronę miasta, nie wiedzieli, że tylko okrążyli mury i uciekają na północ. Na szczęście jechali z zapalonymi światłami przez jakiś czas, więc ich dostrzegliśmy. A gdy zgasili światła, byliśmy już na tyle blisko, że wystarczył księżyc, by ich nie zgubić. Po kilku milach skręcili jednak w zarośla i pojechali wąską, leśną ścieżką w stronę plaży i pościg stał się bardzo utrudniony. Po dojechaniu do plaży skierowali się ponownie na południe, w stronę miasta. Tego już nie widzieliśmy, goniliśmy ich po śladach. Ale po kilku milach ślady urwały się w wodzie. Porucznik uznał, że albo się utopili, albo uciekają dalej, tyle że brodzą. Podzielił nas na trzy grupy po dwóch, przydzielił rejony poszukiwań, a sam wrócił do bazy. My kontynuowaliśmy poszukiwania aż do momentu, kiedy nowo przybyła grupa poszukiwawcza przekazała nam, że mamy wracać do bazy.

- Co robiliście po powrocie do biura?

- Czekaliśmy na dalsze rozkazy w pokoju wartowniczym.

- Gdzie w tym czasie byli wasi przełożeni?

- Nie wiem. Porucznik kazał nam tam siedzieć, więc siedzieliśmy.

- Czy ktoś was pilnował?

- Nie. Po co miał nas ktoś pilnować? - Wartownik uniósł brwi ze zdziwienia, ale wnet się zorientował, że to niegrzeczne w stosunku do przełożonego.

- Ilu was było? - Starszy major nie zareagował na tę zuchwałą uwagę popartą jednoznacznym gestem.

- Sześciu. Dwóch jeszcze stało przy bramie, ale oni musieli tam czekać, aż przyjdą ich zmienić wartownicy z następnej zmiany.

- Czyli tych dwóch pełniło wartę przez osiem godzin? Dobrze zrozumiałem?

- Tak, panie majorze.

- Czy często napotykać się z naruszaniem prawa?

- W jakim sensie? Tu wśród żołnierzy? - Młody strażnik, nauczony ostrożności przez przełożonych, wolał dopytać, niż palnąć coś, co mogło im wszystkim zaszkodzić.

- Ogólnie. Często musicie interweniować? Z ksiąg wiem, że najczęściej przetrzymujecie tu bimbrowników i kłusowników. Zdarzają się też drobni złodzieje. Mielicie też kilka przypadków sfingowania wypadków śmiertelnych.

- Zdarza się, że donoszą nam o nietrzeźwych na ulicach albo sami ich spotykamy. Przeprowadzamy wtedy śledztwo. Zazwyczaj nic nie udaje nam się znaleźć, bimbrownie są dobrze ukryte gdzieś po lasach, a kary za spożywanie alkoholu zbyt małe, by mogły kogoś odstraszać. Pijacy nie ujawniają, skąd biorą alkohol. Czasem znajdujemy większe ilości bimbru u kogoś w domu, ale to tyle.

- Podczas takich przeszukać nie znajdujecie żadnych innych zakazanych przedmiotów?

- Jakich przedmiotów?

- Wicie przecież, jakie przedmioty są zakazane. - Starszy major spojrział surowo na wartownika. Pierwszy raz od dłuższej chwili uniósł wzrok znad notesu. - Po pierwsze, wszystko, co nie jest podane w oświadczeniu o inwentarzu, po drugie wszelkie metalowe przedmioty, książki, narzędzia i przybory nieopatrzone logiem naszych fabryk.

- Nie, przeważnie nie znajdujemy nic podejrzanego. - Wartownik znał prawo, ale nie przerywał cytującemu je przełożonemu. Zaczął mówić, dopiero kiedy ten skończył. - Ludzie, jeżeli znajdą coś, czego nie znają, zazwyczaj przynoszą to do nas.

- Zazwyczaj? - powtórzył starszy major, wymawiając głoski przeciągle i jakoś tak świdrująco. Naprawdę znał się na tej robocie.

- Zdajemy sobie sprawę z tego - wartownik mówił wolno, jakby szukał słów, które pokażą, że nie migają się od swoich obowiązków, a po prostu nie traktują ludności

bezwzględnie - że niektórzy mogą mieć coś, na przykład noże, jakąś siekierę czy choćby wiadro, ale to są rzeczy bardzo przydatne i...

- Przydatne, ale nielegalne - nie pozwolił mu skończyć przesłuchujący. Zaraz też zmienił temat, w końcu nie niedozwolone narzędzia były przedmiotem śledztwa. - Pełnicie służbę tylko w budynku? - spytał.

- Nie. Tydzień jestem tutaj, a potem tydzień patroluję ulice.

- Jaki macie kontakt z mieszkańcami?

- Raczej dobry. Tu się niemal wszyscy znamy, to nie jest wielkie miasto. Zdarza się, że ktoś unika naszego wzroku lub nawet omija nas szerokim łukiem, ale cóż, prawo nie nakazuje lubić mundurowych.

- Spotykacie się z wrogością lub agresją?

- Nie.

Żołnierz zaczął stukać palcami o stół, chyba nawet nie zdając sobie sprawy, że to robi. Zastanawiał się, po co te wszystkie pytania. Miał być przesłuchany w sprawie nocnych wydarzeń, a tymczasem musiał opowiadać o stosunkach ze społeczeństwem. Zaczął się obawiać, że afera zatacza tak szerokie kręgi, że nawet nie umie ich sobie wyobrazić.

- Przecież zdarzały się pobicia funkcjonariuszy. - Starszy major musiał powtórzyć to dwa razy, bo zamyślony wartownik za pierwszym razem nie usłyszał.

- Tak, ale to były raczej kwestie osobiste.

- Jak to osobiste? Pobicie funkcjonariusza na służbie to naruszenie prawa, a nie osobiste porachunki.

- Raz zdarzyło się po prostu, że jeden z naszych kolegów miał jakiś zatarg z sąsiadem. Uprzykrzał mu życie, robiąc regularne przeszukania w jego domu. Tamten miał dosyć i zwyczajnie mu przyłożył parę razy. To zostało już wyjaśnione.

- Z moich informacji wynika, że takich napaści w ciągu kilku ostatnich lat było prawie trzydzieści. Chcecie mi wmówić, że za każdym razem chodziło o sąsiedzkie zatargi?

- Nie, zdarzały się oczywiście przypadki atakowania funkcjonariuszy.

- Co robiliście ze sprawcami takich pobić?

- Dostawali wyrok zgodny z prawem i po odsiedzeniu byli wypuszczani. Jak pozostali winowajcy.

- Czy mieliście recydywistów?

- No tak. Kilku osobom zdarzyło się złamać prawo kilkukrotnie.

Wartownik kręcił się na krześle, nie mogąc skupić się ani na przesłuchującym, ani na żadnym elemencie gabinetu. Wszedł do tego pomieszczenia przygotowany, przewidzieli z

kolegami, jak sądzili, wszystkie możliwości, ale teraz pojął, że niewiele wiedział o zasadach przesłuchania. Czuł się coraz bardziej niepewnie.

Starszy major dłuższą chwilę przypatrywał się grymasom zdenerwowania na twarzy m strażnika, nie spiesząc się z kolejnym pytaniem. Wiedział, że ta cisza, pełna napięcia i wątpliwości, wpływa pozytywnie na prawdomówność chłopaka. W końcu powiedział:

- Teraz się zastanówcie, zanim odpowiecie. Czy w mieście da się wyczuć niezadowolenie z działalności Rady Starszych?

- Nie rozumiem... - Wartownik pogubił się już zupełnie.

- Bywacie przecież na różnych spotkaniach towarzyskich, słyszycie grajków ulicznych, zdarzają się poeci, którzy mówią swoje wiersze na ulicy. A zatem, czy nie zdarzało się wam słyszeć czegoś niepokojącego? Chodzi mi o to, czy w tym mieście są tacy, którzy jawnie lub prawie jawnie podjudzają społeczność przeciw Radzie Starszych lub podważają słuszność jej rządów.

- Nie, nie sądzę. Wątpię, by ktoś się odważył...

- Nie chodzi mi o to, czy ktoś się odważy - przerwał mu przesłuchujący, nie kryjąc irytacji - tylko czy ktoś ma na to ochotę. To dwie różne sprawy. Widzę jednak, że nie chcecie o tym mówić. Trudno. Dobrze, możecie odejść. Idźcie do domu, odpocznijcie trochę. Macie wolne do poniedziałku?

- Tak, panie majorze.

- Zobaczymy się więc w poniedziałek.

Żołnierz wstał, zasalutował i wyszedł. Przesłuchujący wyłączył magnetofon i rozprostował zmęczone plecy.

- Pora coś zjeść - zwrócił się do siedzącego obok komendanta. - Chodźmy do kantyny. Coś tam już pewnie upichcili.

Po czym wstał i nie zwracając już uwagi na swego towarzysza ruszył do drzwi. Major bez słowa podążył za nim, w ogóle nie wyobrażał sobie, żeby mógł postąpić inaczej - w końcu ten człowiek przejął już kontrolę nad jego budynkiem, a on sam został kimś podobnym do adiutanta albo nawet giermka.

Dowódca konwoju miał słuszność: w stołówce czekał już na żołnierzy posiłek. Major nie jadł od kilkunastu godzin, nie miał jednak apetytu; zabrał jedną porcję i usiadł z łyżką przy stoliku, ale tylko dlatego, że nie chciało mu się tłumaczyć powodów niechęci do jedzenia. Wziął jednak ledwie kilka kęsów, zajmując się głównie gmeraniem w talerzu i przemyśleniami. Zastanawiał się nad poczynaniami starszego majora oraz nad tym, jak przebiegnie śledztwo, którego początków był niemym uczestnikiem. Niepokoiły go pytania,

jakie usłyszał wartownik. Przypominając je sobie, próbował dociec, do czego zmierza przesłuchujący. Był jego kluczeniem nieco zdezorientowany i przestraszony. Wyglądało to tak, jakby ustalono, czego ma dowieść to śledztwo, i teraz realizowany był scenariusz, mający doprowadzić do pożądanych wyników. Zanosilo się na znacznie grubszą aferę, niż się spodziewał, choć przecież od początku zakładał, że sprawa jest nadzwyczaj poważna. Mógł oberwać za wypełnianie obowiązków komendanta miasta, a nie tylko za to, że nie dopilnował ważnych więźniów. Przymykał oko na drobne wykroczenia swoich podwładnych, w mieście handlowało się bimbrem i mięsem gdzie popadnie, w dziwnych wypadkach zginęło w ciągu ostatniego roku więcej ludzi niż w czterech pozostałych metropoliach łącznie, nie trzeba było spacerować po najgorszych slumsach, by dostrzec na murach hasła o niewolniczej polityce Rady Starszych i ukrywaniu prawdy o naukowych osiągnięciach. Było się więc z czego tłumaczyć i - jeśli by ktoś bardzo chciał - o co się czepiać zarządcy miasta. On sam mógł odpowiedzieć na pytanie zadane wartownikowi twierdząco: tak, pojawiały się plotki o grupach planujących atak na siedzibę Rady Starszych i zamach stanu. Dotąd nikt się tym nie przejmował, ale w tej sytuacji takie plotki mogły się okazać równie groźne dla dowódców straży jak rzeczywiste knowania przeciw Radzie. Komendant wyobrażał sobie, że na ciepłej posadce doczeka końca swoich dni, bo też był świadom, że ani w Centrali, ani w Radzie nikt nie przywiązuje zbytnej wagi do tego, co się dzieje w tym mieście, uznawanym za prowincjonalne. A tu nagle wydarzyła się afery, która mogła pokrzyżować jego plan na spokojną jesień życia. Przetykając kolejny kęs, omal się nie udławił, gdy sobie uświadomił, że to może być jeden z jego ostatnich posiłków na wolności.

Obaj majorowie spędzili w kantine, nie niepokojeni przez innych żołnierzy, niemal godzinę, ale w tym czasie zamienili ze sobą ledwie kilka zdań. Ścienny zegar w stołówce wybijał właśnie czternastą, kiedy wstali, by wrócić do gabinetu.

Kolejne przesłuchania miały bardzo podobny przebieg jak to pierwsze. Każdy z wartowników opowiedział tę samą wersję ucieczki, pościgu i poszukiwań. Nawet ci dwaj, którzy pełnili służbę przy bramie, kiedy porucznik wystąpił przed ich kolegami z rzekomo znalezioną butelką bimbrow, zostali w międzyczasie poinstruowani i nie dali się zaskoczyć.

Minęła już dwudziesta, gdy do pokoju został wprowadzony porucznik. Był całkowicie wyczerpany, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Miał wystarczająco dużo czasu, aby odpocząć, a nawet się zdrzemnąć, lecz umysł gnębił go wizjami różnorodnych nieszczęść za każdym razem, gdy tylko przymknął oczy choćby na moment. Strach wzrastał z każdą chwilą oczekiwania, nie wiedział, o co będzie go pytać starszy major. Bywały momenty, kiedy stwierdzał, że jest mu już wszystko jedno, ale obojętność i rezygnację wnet zwalczał ten coraz

trudniejszy do zniesienia lęk. W ciągu tych kilku godzin jego twarz poszarzała, pod oczami pojawiły się sine wory, a ramiona poczęły opadać bezwładnie wzdłuż przygarbionego tułowia.

Siadając na krześle naprzeciw starszego majora, porucznik zdawał sobie sprawę, że nadszedł moment wyboru: wciąż jeszcze mógł powiedzieć prawdę. Ale przecież dużo już się stało, jego podwładni zeznawali tak, jak im nakazał, więc gdyby wszystko szczerze wyznał, skazałby ich na więzienie lub może nawet coś gorszego. Postanowił więc trzymać się planu, niezależnie od tego, ile go to będzie kosztowało.

Starszy major bez pośpiechu zmienił taśmę w magnetofonie i po dłuższej chwili, podczas której studiował rozłożone przed sobą książki, rozpoczął przesłuchanie. Wpierw pojawiły się standardowe w tych okolicznościach pytania, potem jednak przesłuchujący przeszedł do takich, których porucznik się nie spodziewał.

- Czy należycie do jakiegoś nieformalnego stowarzyszenia? - zapytał nagle.

- Nie. - Porucznik próbował nie okazać zdziwienia, ale chyba mu się nie udało.

- Czy ktoś z waszej rodziny należy do jakiegoś stowarzyszenia?

- Nie sądzę.

- Czy bierzecie udział w spotkaniach o charakterze społecznym?

- Nie. Moja żona co sobotę chodzi na jakieś wieczorki poetyckie czy coś w tym rodzaju, ale nigdy jej nie towarzyszę.

- Gdzie odbywają się te spotkania?

- Nie wiem. Nigdy na takim wieczorku nie byłem - powtórzył porucznik, żałując, że w ogóle o tym wspomniał.

- Czy małżonka opowiadała wam przebieg tych wieczorków? O czym rozmawiają? Czy mówiła coś o czytanych wierszach?

- Nie. Nie interesuję się poezją.

- Czy wiecie, kto pojawia się na tych spotkaniach?

- Nie, nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat.

- To jakie macie hobby, poruczniku? Lubicie muzykę, sport, wędkarstwo?

- Nic z tego, co pan major wymienił. Nie mam na to czasu.

- Ale przecież miewacie dni wolne. Co wtedy robicie?

- Gram z dziećmi w różne gry planszowe albo szachy. Czasem odwiedzę któregoś kumpla, umawiamy się na karty.

- Dobra, zostawmy wasze życie w spokoju. Czy znacie ludzi pijących alkohol?

- Tak. Jest takich kilku w tym mieście. - Tego pytania porucznik akurat się spodziewał.

- Czy wiecie, skąd go mają?

- Nie. Czasami ich przesłuchujemy, ale tego żaden nie chce zdradzić.

- A czy wśród pracowników biura Agencji też zdarzają się pijący?

- Nie sądzę. Raczej nikt by nie ryzykował utraty posady dla kilku kropel tego paskudztwa.

- Czy wasza żona wraca trzeźwa z tych wieczorków poetyckich? - Starszy major znów wrócił do tego nieopatrnego wyznania porucznika.

- No wie pan? - Ten pozwolił sobie na oburzenie. Trochę przejaskrawione. - Oczywiście, że tak. Ani moja żona, ani ja nie pijemy alkoholu.

- Tylko pytam, nie ma się co tak unosić. Dobrze, to teraz powiedzcie mi, czy odmówilibyście wykonania rozkazu, gdybyście nie byli do końca przekonani o jego słuszności?

- Obawiam się, że nie rozumiem... - Porucznik mówił wolno, patrząc przesłuchującemu prosto w twarz.

- Załóżmy, że dostajecie rozkaz pobicia kogoś w celu uzyskania informacji.

- Takiego rozkazu bym nie wykonał - zapewnił gorąco żołnierz.

- Pomyślcie, poruczniku. Nie chodzi mi tylko o taki przypadek. Raczej o waszą postawę, czy wykonalibyście rozkaz, gdybyście sądzili, że to, co macie zrobić, nie jest sprawiedliwe?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, bo nie było takiej potrzeby.

- Co przez to rozumiecie?

- No, że nie wiem, jak bym postąpił w takiej sytuacji.

- Nie o to mi chodzi. Co macie na myśli, mówiąc, że nigdy nie było takiej potrzeby?

- Nigdy nie było potrzeby zmuszania ludzi do udzielania informacji. Nigdy nie musieliśmy nikogo bić, szantażować czy przetrzymywać w areszcie. Ludzie w trakcie przesłuchań mówią nam po prostu prawdę.

- Czytacie książki? - Starszemu majorowi znów udało się zaskoczyć przesłuchiwanego.

- Rzadko - odpowiedział z wahaniem. W końcu już była mowa o poezji, więc to pytanie wydało mu się podchwytliwe.

- Przeczytaliście jednak kilka w swoim życiu? - dopytywał śledczy.

- Tak, parę przeczytałem.

- Która spodobała się wam najbardziej?

- Nie pamiętam jej autora ani tytułu. To była książka o pewnej kobiecie, która chcąc zdobyć surowce potrzebne do kuracji dla siebie, zabiła całą swoją rodzinę.

- Tak, chyba wiem, którą powieść macie na myśli. Ta kobieta pisała sama o sobie, prawda? Została skazana na pracę na rzecz tych nieszczęśników, co mieszkają w barakach. Karmi ich, podaje im wodę, sprząta odchody i wymiociny. To chyba najlepsza kara dla kogoś, kto popełnił taką zbrodnię. Tego jednak w książce nie napisała.

- No tak, rzeczywiście to była powieść autobiograficzna - przypomniał sobie porucznik.

- Dlaczego akurat ta książka najbardziej wam się spodobała?

- Nie wiem. Trochę współczułem tej kobiecie. Moim zdaniem nie miała innej szansy na normalne życie, dlatego to zrobiła. Była już zbyt otyła, żeby pracować. Cała jej rodzina powoli umierała, a nie chcieli się dla niej poświęcić tylko przez zwykłą zawiść. Mogła albo zrobić to, co zrobiła, albo umrzeć.

- Mogła przecież napisać podanie o kurację. Przecież jest możliwość jej odpracowania.

- Z tego, co wiem, taką możliwość mają tylko najmłodszy. Ona nie miała najmniejszych szans na uzyskanie zgody Centrali.

- Dobrze, nie mówmy już o tym. Powiedzcie lepiej, o której zakończył się pościg.

- Jestem zmęczony, wtedy też byłem, i pewnie dlatego już wszystkiego dokładnie nie pamiętam, ale jakoś tak przed piątą wróciłem do bazy. Nie, raczej po czwartej - poprawił się, myśląc jednocześnie, że to może być źle odebrane.

Starszy major nie skomentował jednak tej małej wpadki.

- Czy major brał udział w pościgu razem z wami? - zapytał jakby nigdy nic, choć przecież ten siedział obok niego.

- Nie.

- Gdzie był w trakcie pościgu?

- Tutaj, w biurze.

- Przez cały czas?

- Tak.

Starszy major notował dłuższą chwilę coś w notesie, aż w końcu zamknął go zamaszystym ruchem i powiedział:

- To wszystko, poruczniku. Możecie iść do domu.

Zmęczony i zmalretowany psychicznie porucznik wstał i ciężko powłócząc nogami, wyszedł z pomieszczenia, nie zdobywszy się nawet na regulaminowe pożegnanie. Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd przejął służbę, ponad trzydzieści godzin był na nogach i miał wszystkiego dość. Nie miał nawet siły, by zamknąć za sobą drzwi, dlatego oddalając się wolno korytarzem mógł usłyszeć pytanie, które starszy major zadał swojemu młodszemu rangą koledze.

- Skoro był pan tu przez cały czas, a ucieczka więźniów miała miejsce pomiędzy pierwszą a drugą, to dlaczego powiadomił pan Centralę dopiero o piątej?

Odpowiedzi już jednak nie poznał. Nie wiedział sam, czy major uporczywie milczał, czy też strach lub zmęczenie stępiły mu nagle słuch. Miał nadzieję, że major wpadł na jakieś wiarygodne wyjaśnienie, w przeciwnym razie jemu i wszystkim jego ludziom groziło rozstrzelanie. Był jednak zbyt zmęczony, by o tym myśleć.

Z trudem dotarł do samochodu, ale już stojąc przy drzwiach zdecydował, że wróci do domu na piechotę. Bał się, że może zasnąć za kierownicą, mimo iż jego mieszkanie znajdowało się zaledwie kilka mil od bazy i jazda zajęłaby nie więcej niż pięć minut. Poza tym stwierdził, że spacer pomoże mu odzyskać spokój ducha. Ruszył więc w stronę swojego osiedla, próbując wyłączyć mózg, i odgonić czarne myśli. Zdawał sobie sprawę z tego, że poczucie winy doprowadzi go wkrótce do obłądu, jeśli czegoś nie wymyśli.

Dłuższą chwilę szedł przed siebie, nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie jest i co się z nim dzieje. W pewnym momencie poczuł się tak, jakby ktoś go śledził, i wrócił do rzeczywistości. Okazało się, że za szpiega wziął swój własny cień. Obejrzawszy się, zobaczył też nienaturalnie wielką tarczę księżyca, który unosił się nisko nad linią horyzontu, i zorientował się, że przeszedł już połowę drogi. Zdziwił się z początku, zaraz jednak spojrzął na zegarek i okazało się, że spaceruje już czterdzieści minut; tyle zajęło mu przejście półtorej mili. Szedł zatem żółwim tempem, ale wcale nie miał ochoty przyspieszać. Znowu zaczął myśleć o ostatnich wydarzeniach i ich spodziewanych konsekwencjach.

Na tych rozważaniach minęła mu dalsza droga do domu. Nie od razu zdecydował się wejść do środka, znów pojawiło się poczucie winy wobec bliskich i bał się, że nie będzie mógł im spojrzeć w oczy. Podeszedł do jednego z okien i obserwował swoją rodzinę przez chwilę, starając się pozostać niezauważonym. Zatrzymał wzrok na swojej żonie, która siedziała na obszernej, skórzanej sofie i czytała książkę.

Pewnie znowu jakiś kliwy romans o biednym zbieraczu żelastwa, co to zakochuje się w pięknej dziewczusce, a jej rodzina nie godzi się na ich związek, pomyślał. Znal takie historie: było w nich dużo pięknych słów i smutnych zwrotów akcji, a na końcu i tak

zakochani brali ślub i żyli zajełście długo, doczekawszy się tuzina albo i dwóch tuzinów niebieskookich, pulchnych bachorów; życie upływało im na tańcu na łące z niebiańskim uśmiechem na swych nieziemsko ślicznych buźkach przy wtórze przesłodkich ptasząt i w promieniach radośnie świecącego słońca...

A potem przychodzi pijany major - zaczął nagle inaczej wyobrażać sobie opowieść - i jednym granatem rozpieprza ten idylliczny świat. Rodzinkę mógłby chociaż dobić, wszyscy mają podrywane ręce i nogi, a bebechy wyszły im na wierzch, ale nie, pozostawia ich przy życiu, żeby mogli czuć ból i dodatkowo cierpieć z powodu własnej bezradności.

To wściekłość i zmęczenie podsuwały mu takie literackie wizje.

Dał się ponieść wyobraźni, która w ten trudny czas była niczym destruktor, gotowa niszczyć wszystko, co dobre i godne marzeń.

Kiedy udało mu się wreszcie zgłuszyć rozbestwioną fantazję, powoli dochodził do siebie. Wiedział, co może go uspokoić. Zostawił żonę w jej wymyślnym świecie i przeszedł pod okno dużego i kolorowego pokoju, gdzie dwóch brzdąców bawiło się teraz drewnianymi klockami. Budowali z nich dwie twierdze ogrodzone murami. Porucznik nie mógł się napatrzeć, jak ich małe palce radzą sobie z tym zadaniem. Gdy warownie były gotowe, skonstruowali katapulty, a potem używali klocków do burzenia murów i budynków drugiego.

Ten obrazek miał go pocieszyć, ale sprawił, że było mu jeszcze ciężiej na sercu. Westchnął i spuścił oczy. Miał ochotę się rozplakać, wiedział, że to pomogłoby rozładować negatywne emocje. Płacz, jak uczono go na jednym szkoleniu, pomaga dotlenić zmęczony mózg, a przez to spojrzeć na wszystko trzeźwiej. Nie był jednak w stanie wycisnąć ze swych oczu choćby jednej słonej kropli.

Wciąż nie czuł się gotowy na spotkanie z rodziną, odszedł więc od okna i poszedł na tyły domu. Zapach świeżo skoszonej trawy, który przypominał mu, że w piątki zawsze przychodzi ogrodnik, sprawił mu niespodziewanie przyjemność. Trzeba się nacieszyć tym luksusem, póki mleko się nie wyleje, myślał, co i rusz zaciągając się głęboko aromatycznym powietrzem. Niedługo pewnie stęchlizna i wilgoć więziennej celi będą jedynymi zapachami, jakimi będę mógł się delectować...

W końcu położył się na miękkiej trawie i patrząc w gwiazdy, poddał się specyficznej terapii.

Tylko tam się nic nie zmienia, myślał, patrząc w górę. Gwiazdy co prawda przesuwają się po niebiańskich przestrzeniach, ale pozostają ciągle w takiej samej odległości od siebie. Jak skute łańcuchami. Są wierne sobie nawzajem na wieki. One pewnie się nie zdradzają i nie

opuszczają w potrzebie. Dobrze wiedzą, że nie mogą istnieć osobno. Gdyby któraś zdecydowała się odejść w poszukiwaniu własnego szczęścia, pewnie zburzyłaby tę harmonię. Sama by nie przeżyła, a i reszta umarłaby bez niej. Są niewolnikami porządku rządzącego ich światem i wiedzą, że jest to najlepszy układ, jaki może istnieć między nimi. Niezmiennie i ciągle w tym samym miejscu, a jednak pędzą co noc przez niebo z jednego końca w drugi w poszukiwaniu wspólnego szczęścia.

Porucznik oderwał wzrok od rozgwieżdżonego nieba i spojrzał przed siebie, wybiegając wzrokiem poza osiedle. Ostatni raz leżałem tak chyba z tysiąc lat temu, próbował sobie przypomnieć. Żeby tak znowu być dzieckiem i wierzyć, że przede mną jeszcze wszystko, czego tylko sobie zapragnę, rozmarzył się nagle. Beztroska, słodka niewiedza, wiara w dobroć ludzi... Przecież te gwiazdy wyglądają tak samo jak wtedy, co więc się zmieniło? Ja czy ludzie?

- Zabierzcie mnie, zabierzcie mnie ze sobą z powrotem do dzieciństwa, o gwiazdy, do krainy słodkiej niewiedzy - szeptał głosem czarnoksiężnika. - Tylko wy przez ten czas nic się nie zmieniłyście.

Sen przyszedł niespodziewanie, a do tego tak twardy, że przespał na trawniku do rana. Nie obudziły go ani chłód nocy, ani wilgoć, ani odrętwienie kolejnych członków, ani nawet drobne kamyczki, wbijające się w bezwładne ciało. Spał, a troski nie miały w tym czasie dostępu do jego świadomości - to jedynie się liczyło.

VI

Około szóstej nad ranem znalazła go żona. Czekala na niego od ponad doby, coraz bardziej się niecierpliwiąc. Gdy w piątkowy poranek dotarły do niej informacje o zbiegłych więźniach, pomyślała od razu, że jej ukochany pewnie nie wróci prędko, ale nie niepokoila go telefonami. Wiedziała, na czym polega jego służba i godziła się na to. Po wielu godzinach oczekiwania zaczęła się jednak niepokoic, rozumiała, że nie może wrócić, ale liczyła, że zadzwoni i powie, kiedy można się go spodziewać w domu. Sobotni poranek, po nieprzespanej nocy, przyniósł nową porcję złych przeczuć, wyszła więc zaczerpnąć świeżego powietrza i uspokoić się. Musiała też rozprostować kręgosłup, bo prawie przyrósł jej do fotela, w którym skulona obgryzała nerwowo paznokcie i wpatrywała się w telefon. To, co zobaczyła w ogrodzie, niemal przyprawilo ją o palpitanje, bo w pierwszej chwili pomyślała, że jej ukochanemu coś się stało, a potem podrzucono ciało do ogrodu. Wnet jednak przerażenie ustąpiło miejsca rozbawieniu, śmiała się do łez, gdy zauważyła, że klatka piersiowa mężczyzny porusza się w jednostajnym rytmie. Spróbowała go podnieść, lecz porucznik okazał się za ciężki. Miała zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i

pięćdziesiąt pięć kilogramów wagi, w żaden sposób nie mogła unieść stu kilogramów wysportowanego i wspaniale ukształtowanego ciała mężczyzny w średnim wieku.

Kiedy jednak mimo wszystko próbowała, wyczuła odór alkoholu. To wprawiło ją w ogromne zdumienie. Jej mąż nigdy nie wracał ze służby pijany. Gdy miał ochotę uraczyć się nielegalnym trunkiem, umawiał się z którymś z kumpli; zawsze ją też informował, dokąd idzie i z kim ma się spotkać. I wracał tak, jak obiecał. Dbał także o to, by dzieci nigdy nie widziały go w stanie upojenia alkoholowego. Taki stan zresztą zdarzał mu się bardzo rzadko. Zazwyczaj wypijał szklankę lub dwie, tyle, by mieć przyjemność ze smaku alkoholu, a żadnych przykrych następstw.

Dlatego tak ją przeraził stan męża. Ale też pozwolił się domyślić, że wydarzyło się coś naprawdę złego w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Coś, co całkowicie zmieni ich życie, przewróci je do góry nogami i nie pozwoli na realizację licznych planów.

Zaczęła go szarpać, tak mocno, że wreszcie otworzył oczy. W jednej chwili zerwał się i stanął na czworakach, ze spuszczoną głową, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest i co się dzieje. Wkońcu podniósł wzrok i spojrzał na żonę zaczerwienionymi oczami, a zaraz potem westchnął z rezygnacją. Wspomnienia ostatnich wydarzeń i widok ukochanej wzbudziły w nim smutek, żal i gniew; wróciło też poczucie całkowitej bezradności. Nie mógł opanować drżenia warg ani powstrzymać łez. Miał jeszcze nadzieję, że nadal śni, i to, co czuje, jest częścią koszmaru, ale coraz dotkliwszy ból całego ciała po nocy spędzonej na zimnej ziemi przekonał go, że sen już się skończył i to rzeczywistość jest koszmarem. Przestał płakać niemal natychmiast, nakazał to sobie, i spojrzał z westchnieniem w zatroskane oczy żony.

- Piłeś? - zapytała tonem, w którym wyczuł zarówno smutek i zawód, jak i troskę i strach.

- Nie, nie piłem - chciał ją uspokoić. - To znaczy piłem, ale...

Przerwał na moment i próbował zebrać myśli. Kobieta wiedziała, że usłyszy prawdę i cierpliwie czekała. Oboje w tej chwili czuli to samo: przepelniającą ich miłość. Więzy, która ich łączyła, nie mogła rozerwać żadna siła.

Porucznik wstał wreszcie, powoli, rozprostowując kości, w taki sposób, by sprawić sobie jak najmniejszy ból. Zanim o tym pomyślał, żona otrzepała jego mundur z gliny i trawy. Potem wzięła go za rękę i poprowadziła do domu.

Gdy znaleźli się w obszernej, ale przytulnej kuchni z drewnianymi meblami, usiadł wyprostowany przy ogromnym, rzeźbionym stole i czekał, aż jego żona zaparzy herbatę i przysiądzie się do niego.

- Chłopaki śpią? - zapytał, obserwując ją, krzątającą się wokół gazowego pieca.

- Jest parę minut po szóstej, pewnie, że śpią. - Mężczyzna pomyślał, że się uśmiechnęła, ale nie widział jej twarzy i nie wiedział tego na pewno. - Jest sobota, więc nie muszą iść do szkoły.

Starła się mówić swobodnie, lecz w jej trzęsącym się głosie mąż mógł wyczuć wiele przykrych emocji. Wrzuciła po szczypcie rozdrobnionych liści do dwóch porcelanowych garnuszków i czekała, aż woda się zagotuje, wciąż stojąc tyłem. Gdy już zalała herbatę wrzątkiem, podniosła oba naczynia i postawiła je na stole. Usiadła obok męża i kładąc głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy.

- Opowiadaj - wyszeptła i objęła jego przedramię swoimi delikatnymi dłońmi, które wyglądały jak pokryte jedwabiem.

Porucznik wpierv jednak siorbnął potężny łyk z glinianego kubka. To wywołało opętańczy, szaleńczy śmiech obojga. Śmiali się i śmiali, żadne z nich nie chciało przerwać. Aż wreszcie mężczyzna się zakrztusił.

- Siorbiesz tylko przy mnie. W towarzystwie zachowujesz się jak dobrze wytresowany piesek - zażartowała kobieta.

Porucznikowi jednak przeszedł dobry nastrój.

- Mam złe wieści - zaczął tak, jak zwykle zaczyna się w przypadku, gdy chce się pozbawić drugą osobę złudnej nadziei.

- Już co nieco słyszałam. Mów, co się stało - pospieszała go. Była gotowa na najgorsze.

Porucznik uwolnił ramię z jej delikatnego uścisku i oparł łokcie na stole. Ze wzrokiem wbitym w blat opowiadał ze szczegółami wydarzenia dwóch ostatnich nocy oraz przebieg swojego przesłuchania.

Gdy skończył, podniósł wzrok i spojrzał na najpiękniejszą kobietę, jaką miał okazję w życiu poznać. Przyglądał się jej tak, jakby to były ostatnie chwile, jakie miał spędzić u jej boku.

Jak ja cię kocham, myślał, ulegając pożądaniu... Zaraz jednak się opanował i przypomniał sobie, o czym mają rozmawiać.

Kobieta, widząc cierpienie w oczach męża, wstała, by nie dokładać mu własnego smutku i strachu, które - o ile znała siebie - z pewnością uwidoczniły się na jej twarzy. Zabrała ze stołu puste kubki i podeszła do zlewu. Myła je długo i dokładnie, dodając do wody własne łzy. Gdy skończyła, podeszła do stołu, ale teraz usiadła naprzeciw porucznika. Westchnęła głęboko i spojrzała mu w oczy.

- Co teraz zrobimy? - zapytała.

- Jeszcze o tym nie myślałem. Nie możemy wiele działać. Niedługo zjedzie się tu połowa wojska i oni się wszystkim zajmą. Cicho siedzieć też nie możemy. Nie po to organizowaliśmy to przez pięćdziesiąt lat, żeby teraz się tak po prostu poddać.

Przetarł dłońmi zmęczoną twarz i wzruszył ramionami w geście bezradności.

- Zostałem mundurowym po to, żeby pomagać ludziom, wyciągać ich z kłopotów - mówił, patrząc tępo przed siebie. - Nie chciałem dopuścić do anarchii, ale też wystrzegałem się terroryzowania kogokolwiek. Wszystko szło tak dobrze. Jesteśmy już całkiem niezłe zorganizowani i gotowi do działania. I co, wszystko na nic?

- Może nie wszystko. Musimy tylko coś wymyślić. - Kobieta starała się pocieszyć męża. - Dobrze wiesz, że w tym mieście ludzie ci ufają - mówiła z zapalem. - Nie opuszczą nas w takiej chwili. Jeśli ktoś zrezygnuje, to nawet lepiej. Nie trzeba nam takich, co mają wątpliwości. Przeczekamy ten huragan, a potem będziemy działać, jak zaplanowaliśmy. Jakich znajdą, to trudno. Jeżeli nie, to w końcu zdadzą sobie sprawę z tego, że dalsze poszukiwania nie mają sensu. Całe zamieszanie ucichnie za parę lat. Zawsze tak jest. Zawsze po takich incydentach na nowo wprowadzaliśmy własne zasady w tym mieście.

- Tak, tyle że tym razem nie odpuszczą tak łatwo. - Porucznik nie podzielał jej entuzjazmu. - Wiedzą więcej, niż nam się wydaje. Wiesz, że podczas przesłuchania pytano mnie o ciebie i o wieczorki poetyckie? Nie są tacy głupi. Być może chcą, byśmy myśleli, że nic nie wiedzą. Może chcą nas wziąć z zaskoczenia.

Porucznik wbił wzrok w blat stołu. Nie wiedział, co wie major, który przyjechał w konwoju, i co wiedzą w Centrali, ale przeczuwał najgorsze.

- Dzisiaj pozbędziemy się szpiegów, jeżeli jacyś są, i dowiemy się, co wiedzą - zarządziła kobieta.

Porucznik spojrział na żonę ze zdziwieniem.

- Jak masz zamiar tego dokonać?

- Mam swoje sposoby. Tym się nie martw. Najważniejsze to działać szybko. Musimy być o krok do przodu cały czas. O te wieczorki pytano cię nie bez przyczyny, nie możemy tego bagatelizować. Na pewno jest wśród nas jakiś donosiciel, i dzisiaj go zdemaskuję. Co się potem wydarzy, nie wiem, ale o to też będziemy martwić się później. Na razie róbmy, co się da. Trzeba podejmować działania zgodne z naszą dzisiejszą wiedzą. Nie możemy opierać się na przewidywaniach. Nie można uciekać przed kulą. Trzeba unieszkodliwić Strzelca, jeżeli zna się jego pozycję.

- Masz rację, tylko nie wiemy, gdzie jest strzelec i ile ma naboii.

- Więc pozwolimy mu strzelić, by się odkrył, a potem znajdziemy go od tyłu.

Żona porucznika ożywiła się, w jej oczach rozbłysły te ogniki ekscytacji, które porucznik tak bardzo lubił. Przypomniały mu, że poślubił niezwykle inteligentną kobietę, która zawsze znajdzie sposób na wyjście z opresji.

- Dobrze - zgodził się, choć z ociąganiem. - Ty zrobisz, co w twojej mocy. Musimy jakoś przetrwać ten trudny czas. Będzie ciężko, bo młody, ten Barbarzyńca jest dla nich jak skarb. Nie odpuszczą łatwo, a przy okazji będą chcieli zaprowadzić porządek w mieście.

Porucznik wciąż był pełen obaw, chociaż już spokojniejszy.

- Przecież jesteś wysokim urzędnikiem, jesteś oficerem. - Żona wiedziała, jak go zdopingować i dodać mu animuszu. - Będziesz zaprowadzał porządek razem z nimi i to bardzo gorliwie. Tak gorliwie, że może nawet dostaniesz awans. Musisz uspić ich czujność, przekonać, że jesteś jednym z ich wilków. Nie tym najagresywniejszym, ale też nie tym z podkulonym ogonem, co łązi za stadem i dojada resztki.

- Wiesz, że będą ofiary - zauważył trzeźwo.

- Wiem. Niejedną śmierć już przeżyliśmy i niejedną jeszcze przeżyjemy. Postaramy się, by strat było jak najmniej, ale nie unikniemy ich całkowicie.

- Mówisz jak jakiś generał - uśmiechnął się i sięgnął, by pogłaskać ją po włosach.

- Bo jestem generałem, tyle że w sukience - odwzajemniła uśmiech. - Ja dzisiaj jeszcze dowiem się, na co możemy sobie pozwolić, a później opracujemy plan działania.

Porucznik wstał i ucałował żonę w czoło.

- Byłabyś naprawdę świetnym przywódcą - powiedział przy tym.

- Przecież jestem - odparła i chwyciła mocno jego dłoń. - Nie zapominaj, że to ja ułożyłam cały ten scenariusz - dodała.

Porucznik przez chwilę poczuł się jak pionek w jej grze, lecz tylko przez chwilę. Przecież to on był pomysłodawcą tego przedsięwzięcia. Potrzebował tylko mądrego, przebiegłego i podstępnego doradcy, a żona w tej roli spisywała się lepiej, niż się mógł spodziewać.

- Tak, ty stworzyłaś scenariusz, ja jestem główną postacią, a niedługo dowiemy się, kto tę sztukę reżyseruje. Oby tylko nie okazało się, że reżyser ma na imię przypadek, a kurtynę opuści przegrana.

- Nie. Tego reżysera już dawno wywaliliśmy za drzwi. Co do kurtyny...

Przerwała i spuściła wzrok. A po chwili wstała i objęła go, przykładając głowę do jego serca. Wsłuchiwała się w miarowe uderzenia i wydawało się, że cały świat przestał dla niej istnieć. Nastąpiła dojmująca cisza, w której nawet on mógł słyszeć powolne uderzenia we

własnej piersi, i przyniosła spokój. Wiedzieli, że mogą na siebie liczyć, że jedno za drugim wskoczy w ogień - to dawało im siłę do przetrwania wszelkich przeciwności losu.

- Jeżeli teraz przestaniemy działać, to kurtynę z pewnością opuści przegrana, tyle że będzie mieć wielu pomocników, takich jak wstyd, hańba, zdrada i upokorzenie. Jeśli będziemy walczyć, a mimo wszystko przegramy, to kurtynę opuszczą duma, odwaga, honor i nadzieja - mówiła kobieta, nie podnosząc nawet głowy.

Porucznik uśmiechnął się tym razem szeroko. Lubił jej alegoryczne uniesienia. Sam używał niewyszukanego języka, ale tego typu wypowiedzi żony bardzo sobie cenił. Kochał w niej to wszystko, czego sam nie miał, zawsze twierdził, że są tak dobraną parą, ponieważ doskonale się uzupełniają. Właśnie to, co ich różniło, sprzyjało ich uczuciu.

- Nie mógłbym istnieć bez ciebie - zwerbalizował swoje myśli.

- Ani ja bez ciebie. - Pocałowała go i uwolniła się z jego uścisku, choć wcale nie miała na to ochoty. - Wykap się i połóż. Ja muszę się przygotować na wieczór. Masz jeszcze trochę czasu, nim wstaną dzieciaki, wypocznij. Musisz mieć siły, gdyby przyszło nam uciekać.

- Jak to „uciekać”? Co ty masz zamiar zrobić? - zaniepokoił się porucznik. - Czy ty nie przesadzasz? Przecież nie wiemy, czy Bękart w ogóle jeszcze żyje. Ani nawet czy kiedykolwiek istniał.

Zmarszczył brwi i spojrzał na żonę wzrokiem, który wskazywał, że czeka na wyjaśnienia. Doskonale знаła to spojrzenie i nie zamierzała już niczego przed nim ukrywać.

- Usiądź i posłuchaj - poprosiła. - Nie mówiłam ci tego wcześniej, bo nie było pewności, że to prawda. Nie chciałam dawać fałszywej nadziei. Nie możemy po prostu działać w pośpiechu, a ty nie możesz się zdradzić. Usiądź jeszcze na chwilę, proszę - powtórzyła, widząc, że wciąż stoi i patrzy na nią coraz bardziej zdumionym wzrokiem.

Zrobił, o co prosiła. Usiadł i czekał na to, co żona ma do powiedzenia. Kobieta westchnęła głośno i spokojnie zaczęła opowiadać:

- Nie wszyscy zginęli w wielkim pożarze w Mieście Centralnym...

- Wiem, przecież nie spłonęło całe miasto - przerwał jej.

Pokiwała głową, na znak, że ma rację, ale jednocześnie podniosła rękę, prosząc w ten sposób, by jej nie przerywał.

- Miałam na myśli laboratorium. Barbarzyńca uciekł, to już wiemy. Wszyscy, którzy byli w laboratorium, spłonęli żywcem. Pod gruzami znaleziono ciała profesora i Bękart. Ciało profesora było w takim stanie, że można było przeprowadzić badania genetyczne i potwierdzić, że to jego zwłoki. Z innymi było podobnie. Wiesz jednak, że oni są strasznie

dociekliwi i zawsze szukają dziury w całym. Coś im nie dawało spokoju i tym razem mieli rację.

Wstała, by zaparzyć świeżej herbaty. Porucznik nie ponaglał jej, patrzył, jak stawia czajnik na piecu, potem sięga po puszkę z herbatą i nasypuje po trochu do kubków tak dobrze znanymi mu ruchami. Wodził za nią wzrokiem przez cały ten czas, aż do momentu, w którym usiadła ponownie naprzeciw niego, stawiając gorące naczynia na stole. Dopiero wtedy zapytał:

- Co więc takiego odkryli?

- Otóż, jak mówiłam, badania potwierdziły, że to ciało profesora. Nie było najmniejszych wątpliwości. Jednak jego zwłoki znaleziono w miejscu, w którym nie powinien się znajdować. Profesor, jako twórca tego budynku, znał najlepiej wszystkie drogi ewakuacyjne, wiedział, jak i którędy uciekać, a tymczasem zginął w centralnym pomieszczeniu, razem z Bękartem. Badający tę sprawę najpierw pomyśleli, że próbował ratować notatki, eksponaty czy cokolwiek innego, co miało dla niego wartość tak dużą, że ryzykował dla tego czegoś życie. Tyle że wszystko spłonęło w takim stanie, jak zamknięto to wieczorem. Szuflady, gabloty, tajne pomieszczenia, do których wchodziło się z tej pracowni, były pozamykane, nikt ich nie dotykał w trakcie pożaru. Znalazł się naukowiec, któremu ten szczegół śmierci profesora nie dawał spokoju i ponownie zbadał dokładnie jego ciało. I odkrył, że to nie jego zwłoki znaleziono wraz ze zwłokami Bękartem. Jak? Sprawdził jeszcze raz uzębienie. W miejscach, gdzie profesor miał ubytki, zwłokom, a właściwie zachowanemu szkieletowi z resztkami zwęglonych tkanek, także brakowało zębów, tyle że na kości żuchwy odkrył delikatne zadrapania. Takie zadrapania mogą powstać tylko w przypadku wrywania zdrowego zęba. Wiadomo, że zęby wypadły profesorowi naturalnie, to znaczy: ze starości. Skąd więc te ślady po wrywaniu zdrowych zębów?

- Stworzył własnego klona, wyrwał mu zęby i podrzucił... - Porucznik zaczął powoli rozumieć, do czego zmierza jego żona.

- Dokładnie. - Kobieta potwierdziła te domysły. - A skoro stworzył własnego klona po to, żeby go podrzucić dla upozorowania własnej śmierci, to znaczy, że długo i skrupulatnie to planował. Nie da się przecież stworzyć klona w kilka dni. Musiał mieć na to kilka lat. W tym czasie obmyślił też pożar i ucieczkę Barbarzyńcy, bo nie można mieć już wątpliwości, że to jego dzieło.

- Dobra, wszystko się zgadza - porucznik kiwał głową - ale co z Bękartem? Mówiłaś, że jego ciało też znaleziono.

- Tak, tylko że ciało Bękartu było spalone całkowicie. Nie udało się uzyskać kodu DNA. Kompletnie nic.

- W takim razie nie mamy pewności, że on wciąż żyje.

- Coś mamy. Idźmy po nitce do kłębka. Skoro profesor zadał sobie tyle trudu, aby upozorować własną śmierć, to chyba nie tylko po to, by samemu uciec, prawda? Dlaczego, jak sądzisz, akurat ciało Bękartu było spalone na popiół, podczas gdy inne zwłoki dało się zidentyfikować?

- Hmm... Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to, że profesor spalił Bękartu doszczętnie sam, a potem podrzucił jego prochy na pogorzelsko.

- Mogło też tak być. Pytanie tylko: dlaczego? Dlaczego zależało mu na tym, żeby nie można było odczytać jego DNA?

- DNA Bękartu to klucz do długowieczności. Chcesz mi powiedzieć, że zniszczył własne dzieło? Tak po prostu? Przecież jego kod genetyczny też zawiera enzym odnowy biologicznej, czy jak oni to tam nazywają. - Te dociekania zbiły go z tropu.

- Nieprawda. Profesor nie jest długowieczny. On stworzył długowieczność, Bękart był jej nośnikiem, ale sam długowieczny nie jest.

- Może coś w nim pękło, załamał się albo coś takiego i postanowił zniszczyć to, nad czym pracował całe swoje życie?

- Lub tylko chciał, aby wszyscy tak myśleli - dodała kobieta. - Co ty na to? Być może uciekli wszyscy trzej i wszyscy trzej siedzą teraz w jakiejś kryjówce?

- Jeden na pewno. Barbarzyńca. I jeśli się nie utopił, to rzeczywiście ma doskonałą kryjówkę.

- No właśnie. Dlatego teraz naszym najważniejszym zadaniem jest go odnaleźć. Jeżeli odnajdziemy Barbarzyńcę, to on doprowadzi nas i do profesora, i do Bękartu.

Porucznik pokręcił energicznie głową.

- To wszystko nie jest takie piękne - mówił, bębniąc pięścią w stół. Z tego wszystkiego zapomniał, że dzieci jeszcze śpią i może je obudzić. - Po pierwsze, nie wiemy, dlaczego profesor zorganizował tę wielką ucieczkę. Po drugie, nie wiemy, czy będzie chciał współpracować. A po trzecie, nie wiemy, czy Barbarzyńca wie, gdzie znajduje się profesor.

- Tak. W sumie to nic nie wiemy, ale wiemy też bardzo dużo - zaznaczyła kobieta. - Podejrzenia, że profesor i Bękart żyją, mają mocne podstawy. Pomyśl: Barbarzyńca już po raz drugi uciekł, choć był dobrze pilnowany...

- No nie aż tak dobrze. - Porucznik zaśmiał się niemal charkliwie. - Daliśmy ciała, uciekł przez naszą nieuwagę i głupotę.

- Gdyby nie uciekł, odbilibyśmy go z konwoju już wczoraj.

- Wiesz... - Porucznik zamyślił się przez chwilę, ale zaraz mówił dalej: - Może to i lepiej, że uciekł. Nie wiadomo, jakby skończyła się ta historia z napadem na konwój. Nie jesteście zbyt dobrze uzbrojeni, macie ledwie cztery karabiny i parę granatów. Wasze wyszkolenie bojowe jest praktycznie żadne. Ci, co przyjechali wczoraj rano, to nie tacy żołnierze jak tutejsi. Już na sam ich widok ma się ochotę gdzieś schować. Wszyscy o głowę wyżsi ode mnie, szersi w barach, a w oczach mają coś takiego... Nie wiem, jak to nazwać, ale sprawiają wrażenie gotowych na wszystko. Poza tym gdybyś widziała, jak są zorganizowani! Wszystko odbywało się jakby to był jeden wieloelementowy automat, komendy padały rzadko, prawie wcale, a gdy ich dowódca, w stopniu starszego majora, wydał jakieś polecenie, to było wykonywane natychmiast i dokładnie. To prawdziwi fighterzy i pewnie wybiliby was, zanim zdążylibyście otworzyć drzwi więźniarki.

- Mniejsza o to. - Kobiety nie interesowały się szczegółami uzbrojenia i wyszkolenia armii, w tej sytuacji nie miało to już żadnego znaczenia. Chciała skończyć zaczętą przed dygresją męża myśl. - Barbarzyńca musi coś wiedzieć. Jeżeli uciekł, to nie po to, by się utopić. Gdzieś jest i teraz naszym najważniejszym zadaniem jest go odnaleźć. Tobie oczywiście jako mundurowemu ludzie nic nie powiedzą, dlatego sama zdobędę potrzebne informacje, popytam i znajdę jakieś wskazówki. Będziemy wiedzieć więcej po dzisiejszym wieczorku poetyckim.

- Właśnie, co zamierzasz?

- Musimy pozbyć się szpiega, mówiłam ci. Ktoś z nas z pewnością donosi Centrali.

- Mam nadzieję, że nie napytacie sobie jeszcze większej biedy. Jeżeli już musicie to zrobić, to tak, żeby nas z kolei nie aresztowali.

- Nie martw się. Dam sobie radę.

- Nie wątpię, ale mimo wszystko bądź ostrożna.

- Dobra. Leć pod prysznic i prześpij się. Jak chłopaki wstaną, to nie będzie tu już tak cicho.

Jeszcze nie skończyła zdania, gdy do kuchni wbiegli obaj ich synowie i rzucając się porucznikowi na szyję, zaczęli się z nim głośno witać i opowiadać o ostatnich zabawach. Potem pobiegli po swoje konstrukcje z klocków i demonstrowali działanie katapult i wyrzutni. Każdy przy tym starał się udowodnić, że to właśnie jego mur jest trwalszy, a zdolności bojowe większe niż brata. Po chwili sprzeczka przerodziła się w prawdziwą słowną wojnę, z wyzwiskami, aż chłopcy zdecydowali, że rozstrzygną swój spór na klockowym polu walki. W jednej chwili zapomnieli o rodzicach i opuścili kuchnię.

- Chyba się nie zdrzemnę już dzisiaj - stwierdził porucznik, okazując sporo radości z tej zmiany planów.

- Spokojnie. Wymyślę im wojnę partyzancką czy coś w tym rodzaju. Pobiegną po lesie i wyszumią się, a ty w tym czasie pośpisz. A w dodatku będziemy mieli spokojniejszy wieczór.

- Może pobiegam razem z nimi? - zaproponował, jakby przeszło mu już zmęczenie. - Urządzimy polowanie na tatę. - Spojrzał w sufit, udając, że się nad czymś zastanawia i po chwili dodał

E... lepiej nie. Jeszcze by mnie związali i przynieśli do domu i kazali przygotować na kolację.

I zaczął się głośno śmiać. Wkrótce śmiali się już oboje, znów ściskając się czule. Przytuliła się i przez chwilę czuła się jak bezbronna istota, którą znalazła sobie silnego obrońcę. On z kolei pomyślał z tkliwością, ale i determinacją, że zrobiłby wszystko, by chronić swoją rodzinę. Naprawdę wszystko.

Nawet nie wiedząc kiedy, zwarli swe usta w pocałunku. Był dłuższy niż ten codzienny całus na dzień dobry i dobranoc, lecz za krótki, by rozpaścić pożądanie. Oderwali się od siebie z uczuciem niedosytu.

- Idę do łazienki. Jestem wykończony - powiedział porucznik z przeciągłym ziewnięciem, odwrócił się i wyszedł.

Kobieta odprowadziła go smutnym wzrokiem, a kiedy usłyszała szum wody, usiadła przy stole. Teraz mogła sobie pozwolić na rozterki i wątpliwości. Schowała twarz w dłoniach i pomyślała, że nie jest do końca pewna, czy to wszystko, co robi, jest warte zachodu. Zdawała sobie sprawę z tego, że szanse są niewielkie, a nawet jeśli pojawią się jakieś sukcesy, to gra potrwa jeszcze wiele długich lat. Chciała walczyć o lepszy świat dla swoich dzieci, tylko że było duże prawdopodobieństwo, że dzieci dorosną, zanim ta walka się skończy, a wiele wskazywało na to, że wcześniej braknie jej sił. Z drugiej jednak strony nie widziała innego rozwiązania. Pozostawało jej tylko działać dalej równie pręźnie i mieć nadzieję, że jeżeli oni nie zakończą teraz tego, co zaplanowali, dalsze pokolenia będą kontynuować dzieło rozpoczęte tak dawno temu. To też było jej zadanie: wpoić dzieciom te wartości, które dla niej były najważniejsze, aby i one wyżej ceniły odzyskanie wolności niż wygodę i szczęście osobiste. Takie chwile słabości zdarzały jej się rzadko, niemniej czasem czara goryczy przelewała się i musiała siebie samą przekonywać, że stoi po odpowiedniej stronie barykady. Wiedziała, jak się pozbyć tego zniechęcenia. Trzeba było wziąć parę

głębokich wdechów i powtórzyć sobie kilka razy, że jest silna i odważna. Czyli posłużyć się autosugestią.

Cały dzień upłynął jej na zwykłych pracach domowych i uciszaniu malców; zachowywali się tak, że wydawało się, iż ich jedynym życiowym celem jest robienie hałasu. Wreszcie, aby mąż mógł mieć przynajmniej krótką drzemkę, zabrała ich na obiecany spacer do lasu, gdzie mogli do woli biegać i ćwiczyć bojowe okrzyki.

Kiedy wrócili do domu, po kilku dobrych godzinach ganiań i sprawdzania możliwości płuc, porucznik siedział w kuchni i pił herbatę. Chłopcy nie byli wcale zmęczeni, więc obawiając się ich animuszu, gdy żona pójdzie na wieczorek poetycki, zabrał ich do ogrodu i zagonił do sprzątnięcia. Stwierdził, że godzina wytężonej pracy wystarczy, aby sami zdecydowali się pójść spać. Jego plan się powiódł. Grabienie liści, zbieranie połamanych gałęzi i wrywanie chwastów spowodowało, że energia, zdawało się, że niespożyta, uszła z nich jak powietrze z przekłutego balonu, i już po szóstej spali smacznie w swych flanelowych piżamach.

- Trochę za wcześnie zasnęli. Jutro wstaną już przed świtem i nici z niedzielnego lenistwa do południa - zauważyła żona porucznika. Właśnie szykowała się do wyjścia.

- Nie przejmuj się, jakoś sobie damy z nimi radę. Lepiej powiedz mi, co zamierzasz zrobić na tym wieczorku poetyckim.

- Cóż... Teraz rozlew krwi jest już nieunikniony. Pierwszą ofiarą będzie szpieg. Nie mówię, że jestem zwolenniczką takich metod, ale nie ma innego wyjścia. Jesteśmy zorganizowani na tyle, żeby walczyć, bo jest oczywiste, że szpieg nie będzie jedynym niemniej czasem czara goryczy przelewała się i musiała siebie samą przekonywać, że stoi po odpowiedniej stronie barykady. Wiedziała, jak się pozbyć tego zniechęcenia. Trzeba było wziąć parę głębokich wdechów i powtórzyć sobie kilka razy, że jest silna i odważna. Czyli posłużyć się autosugestią.

Cały dzień upłynął jej na zwykłych pracach domowych i uciszaniu malców; zachowywali się tak, że wydawało się, iż ich jedynym życiowym celem jest robienie hałasu. Wreszcie, aby mąż mógł mieć przynajmniej krótką drzemkę, zabrała ich na obiecany spacer do lasu, gdzie mogli do woli biegać i ćwiczyć bojowe okrzyki.

Kiedy wrócili do domu, po kilku dobrych godzinach ganiań i sprawdzania możliwości płuc, porucznik siedział w kuchni i pił herbatę. Chłopcy nie byli wcale zmęczeni, więc obawiając się ich animuszu, gdy żona pójdzie na wieczorek poetycki, zabrał ich do ogrodu i zagonił do sprzątnięcia. Stwierdził, że godzina wytężonej pracy wystarczy, aby sami zdecydowali się pójść spać. Jego plan się powiódł. Grabienie liści, zbieranie połamanych

gałęzi i wyrywanie chwastów spowodowało, że energia, zdawało się, że niespożyta, uszła z nich jak powietrze z przekłutego balonu, i już po szóstej spali smacznie w swych flanelowych piżamach.

- Trochę za wcześnie zasnęli. Jutro wstaną już przed świtem i nici z niedzielnego lenistwa do południa - zauważyła żona porucznika. Właśnie szykowała się do wyjścia.

- Nie przejmuj się, jakoś sobie damy z nimi radę. Lepiej powiedz mi, co zamierzasz zrobić na tym wieczorku poetyckim.

- Cóż... Teraz rozlew krwi jest już nieunikniony. Pierwszą ofiarą będzie szpieg. Nie mówię, że jestem zwolenniczką takich metod, ale nie ma innego wyjścia. Jesteśmy zorganizowani na tyle, żeby walczyć, bo jest oczywiste, że szpieg nie będzie jedynym przeciwnikiem, który stanie przeciw nam. Dopóki oni mają informatora, nic nie zdziałamy, a jeśli go wyeliminujemy, to zaatakują - musimy być na to gotowi.

Porucznik nie skomentował bojowego nastawienia swej żony, westchnął jedynie głęboko i ruszył z kuchni. Przechodząc obok niej, rzucił tylko:

- Uważaj na siebie.

- Będę, nie martw się - skorzystała z okazji i pocałowała go w policzek.

Kobieta wykonała jeszcze kilka telefonów, a potem poszła pod prysznic. Już po godzinie była gotowa. Wychodząc z domu, zabrała ze sobą kilka widelców i duży gliniany garnek.

Już po chwili siedziała w samochodzie, który kierowała na osiedle, gdzie zaledwie przed tygodniem pewien młody, długowłosy mężczyzna rąbał drwa w szopie za domem i przygotowywał obiad dla trójki swoich dzieci. Jazda zajęła jej kilkanaście minut. Zaparkowała przed budynkiem z tą szopą z tyłu i weszła do ogrodu przez zadbaną furtkę. Z daleka dojrzała, że w dużej altanie znajduje się kilkanaście osób: jedenaście kobiet i czterech mężczyzn. Byli wszyscy, czekali tylko na nią. Dołączyła do nich i przywitała się, stawiając ciężkie naczynie na małym, okrągłym drewnianym stoliku.

- Nie spodziewaliśmy się żadnego poczęstunku. Gdybym wiedział, nie objadałbym się w domu - zauważył jeden z mężczyzn.

- Nieistotne, ile zjadłeś. Zawsze znajdziesz miejsce na jeszcze troszkę. - Kobieta uśmiechnęła się do niego.

- Lubię jeść, nie przeczę.

- Ja tam się cieszę, nie miałam dziś czasu nawet na małą przekąskę - włączyła się blondynka o pociągłej twarzy.

- Co tam upichciłaś? - Inna kobieta, starsza, w długiej czerwonej sukni, wstała i sięgnęła po pokrywkę, chcąc odkryć zawartość naczynia.

Żona porucznika pacnęła ją delikatnie w dłoń i pogroziła palcem, oznajmiając żartobliwie:

- To na deser. Najpierw zajmiemy się daniem głównym, czyli tym, po co tu przyszliśmy.

Atmosfera była luźna i wesoła, wszyscy mieli doskonałe nastroje. Starali się zrelaksować przed przystąpieniem do odczytywania swoich wierszy i dyskusowania pomysłów na książki i eseje, co przecież czasem kończyło się wyczerpującymi sporami.

- A właśnie. Dzwoniłaś i mówiłaś, że przygotowałaś na dzisiaj coś specjalnego - przypomniała sobie blondynka. - To zabrzmiało bardzo tajemniczo. Czy chodziło ci o to, co znajduje się w tym garnku?

- No, nie trzymaj nas w niepewności - dodał jakiś mężczyzna, schowany za plecami innego. - Znamy twoje zamiłowanie do kulinariów, nie raz już dałaś nam okazję do chwalenia swojego talentu.

- Ja pamiętam toffi. Całą michę pożarliśmy chyba w pięć minut.

- Ja tam pamiętam wszystko - mówił ten sam mężczyzna co wcześniej, w taki sposób, jakby nie jadł niczego od tygodnia. - Owoce w cieście, owoce w cukrze, ciasta, lody, słodkie chlebki, lemoniadę, roladki, czekoladki i całe mnóstwo innych cudeniek.

- Rzeczywiście było tego troszkę. Na samo wspomnienie ślinka cieknie - przyznała milcząca dotąd kobieta w okularach na dużym nosie.

Rozgorzała dyskusja o kuchni żony porucznika. Znajomi wspominali smakołyki, jakimi raczyła ich przy różnych okazjach. Po dobrych kilkunastu minutach siwowłosy mężczyzna w końcu przypomniał pozostałym, że to wieczorek poetycki, a nie kulinarny. I zapytał sprawczynię zamieszania:

- Właściwie to co masz dla nas? Podejrzewam, że nie ten gar, lecz jakiś nowatorski poemat. Zgadłem?

- I tak, i nie - powiedziała kobieta, wciąż trzymając wszystkich w niepewności. - Ani nie gar pysznej zupy, ani nie poemat. Dzisiaj specjalnym będzie temat naszej rozmowy.

- Temat rozmowy? - zapytała ze smutkiem i rozżaleniem pulchna blondynka. - Ja przez tydzień napisałam ponad pięćdziesiąt stron mojej książki i miałam nadzieję, że przeanalizujemy chociaż kawałek. Zależy mi na waszych opiniach.

Jeden z mężczyzn zaśmiał się gorzko i powiedział, używając minorowego tonu:

- Po co my piszemy te poematy, wiersze, te książki, skoro tylko my sami je czytamy?

- Nie przesadzaj - ofuknęła go blondyna. - Jeszcze parę osób spoza naszego kręgu też je czyta. Przecież dostajemy zamówienia na różne utwory.

- Tak, tyle że głównie z Centrali - ripostował mężczyzna. - Pewnie czytają je tylko po to, żeby wywęszyć propagandę, a nie z miłości do literatury.

- Nieważne! - Kobieta o blond włosach chciała jeszcze coś dodać, ale żona porucznika powstrzymała ją wymownym gestem i sama zaczęła mówić.

- Na dzisiaj rzeczywiście przygotowałam coś specjalnego i dlatego prosiłam, abyście się zjawili wszyscy - zaczęła. - To dobrze, że udało nam się zebrać w pełnym gronie. Usiądźcie wygodnie i posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia. I nie przerywajcie mi, proszę. A wcześniej jeszcze poczęstujcie się. To są roladki z serem. Pomyślałam, że przydadzą się, bo będziecie mogli zagryźć moją gorzką opowieść czymś słodkim.

Usiadła i odczekała parę minut, aż pokazało się dno garnka i zebrani w altanie powoli wracali na swoje miejsce, chwając po raz kolejny umiejętności żony porucznika.

- Wyśmienite.

- Nigdy nie jadłam czegoś tak pysznego.

- Musisz mi zdradzić tajemnicę swoich wyrobów.

- Mnie nie musisz zdradzać żadnych tajemnic, wystarczy, że co tydzień coś przyniesiesz.

Każdy, próbując przekrzyczeć pozostałych, chciał wyrazić swą aprobatę. Kobieta nie uciszała swoich towarzyszy, poczekała, aż sami zamilkną. Wtedy podjęła swoją przemowę.

- Wszyscy wiemy, w jakim celu spotykamy się na naszych wieczorkach poetyckich. Po co tworzymy poezję, piszemy książki, opowiadania i masę innych dzieł. Dzisiaj nadszedł czas, żeby zacząć mówić otwarcie o powodach. Pewnie słyszeliście, co się stało. W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego jak przygotowania do otwartej wojny lub co najmniej do obrony. Niedługo zjawi się tu całe wojsko, a wtedy nie będziemy już mieć odwrotu. Do tego czasu możemy jeszcze postanowić co i jak. Dotąd używaliśmy legalnych metod ograniczania tyranii. Pisaliśmy petycje, mamy dwudziestu swoich przedstawicieli w Radzie, rozpowszechnialiśmy poezję, która ma uzmysławiać ludziom, że ci, którzy ośmielają się nazywać siebie Pierwszymi, dążą do tego, by część ludności stała się niewolniczo zależna od wybrańców. Tym, którym fizjonomia nie pozwala na normalne funkcjonowanie, oferuje się kurację, tyle że w zamian muszą ciężko pracować do końca życia. Niektórzy być może zdają sobie sprawę, że są potrzebni tylko jako tania siła robocza, ale godzą się na to z braku innych możliwości. Mówimy, gdzie się da, że nieprawdą jest, iż wyprodukowanie deotolu wymaga ludzkiej tkanki, jak twierdzi Rada. Tak naprawdę ludzkie ciała są im potrzebne do badań.

Chodzi o profesora i Bękart. Centrala też nie ma pojęcia, gdzie ukrywa się profesor i czy Bękart jeszcze żyje. Dlatego szukają po omacku sposobu na długowieczność, który profesor opracował. Może to jednak potrwać jeszcze dziesiątki lub nawet setki lat, a w tym czasie dalej będą gnębić niewinnych ludzi.

Przerwała na chwilę i spojrzała na zebranych. Każdy wiedział, o czym mówi, lecz nie mogli pojąć, po co powtarza coś, co dla nich akurat było zupełnie oczywiste. Milczeli jednak, czując, że cel tej przemowy jest ważki. Kobieta sięgnęła po szklankę z wodą, którą ktoś jej podsunął, wzięła kilka łyków i mówiła dalej.

- My wiemy, że opracowali już syntetyczny deotol. Dlaczego jednak tego nie ujawnili? To proste. Wolą uzależniać innych od siebie i wyzyskiwać ich. Pracowników, żołnierzy, jedzenie, wszelkie przyjemności - dostają to za coś, czego sami mają pod dostatkiem, a traktują to jak akt łaski, za którą każą słono płacić. Ludzie pracują całe życie, w zamian za kuracje usługują opływającym w luksus, sami jedząc byle co i mieszkając w domach z gnijącymi dachami. A i to nie wystarczy. Trzeba jeszcze poświęcić kogoś z rodziny, byjego tkanki, jakimówią, wykorzystać do produkcji deotolu. Dawno temu było to prawdą, ale teraz jest przecież inaczej.

Kobieta miała przed sobą najważniejszą część przemówienia, przerwała więc i wzięła kilka głębokich oddechów. Zerkała też na twarze swoich towarzyszy, zastanawiając się, jak zareagują na jej apel.

- Musimy stanąć do walki - powiedziała wreszcie, głośniejszym głosem niż dotychczas. - Chcieliśmy się dogadać, lecz niestety nie dało to żadnych rezultatów. Jesteśmy zmuszeni do siłowych rozwiązań. Jest nas wystarczająco dużo, by opanować Miasto Główne. Tyle że, jak wiecie, mamy problem z amunicją. Odkąd zarekwirowano broń, którą ukryliśmy na taką okazję, mamy zaledwie kilka karabinów i naprawdę niewiele amunicji. W dodatku zostaliśmy zdekonspirowani. Centrala wie, kto należy do zgromadzenia; znają większość z nas. Pozwalają nam nadal działać, ale tylko po to, by móc kontrolować nasze poczynania, a w odpowiednim momencie podjąć radykalne kroki. Szpiegują nas. Właśnie tak! - krzyknęła widząc niedowierzanie w oczach kilku uczestników spotkania. - Centrala wie o wszystkim, co tu się dzieje. Skąd? Jest tylko jedno wytłumaczenie: ktoś z nas donosi.

Przerwała na moment i usiadła wygodnie. Nikt nie odezwał się słowem, choć kobieta spodziewała się okrzyków oburzenia czy przerażenia. Pomyślała, że wszyscy coś przeczuwali, a ona tylko potwierdziła ich obawy.

- Nie wiemy, kto jest szpiegiem - mówiła dalej - ale właśnie dzisiaj się dowiemy. I pozbedziemy się zdrajcy. Wiem nawet jak. Musimy upozorować wypadek. Upijemy

delikwenta, a po wszystkim zostawimy w lesie z rozbitą głową. Proste, prawda? Wszyscy pomyślą, że w stanie zamroczenia potknął się o korzeń czy kamień.

Zgromadzeni w altanie zaczęli się nerwowo wiercić na swych krzesłach. Ich rozbiegane spojrzenia zdradzały najwyższe zdenerwowanie. Napięcie sięgało zenitu.

- Czy to jakiś dramatyczny monolog, który przygotowałaś na dzisiaj? - odważył się odezwać jeden ze starszych mężczyzn.

- Jesteś pewna że mamy zdrajcę wśród nas? - Ktoś inny potraktował słowa kobiety poważniej.

- Nie uśmiecha mi się nikogo dzisiaj zabijać - dodał ktoś jeszcze.

Nagle zaczęli mówić wszyscy naraz, zupełnie chaotycznie. Ucichli, gdy jedna z kobiet dostała drgawek i upadła na trawnik. Zaraz potem dziwne drgawki, drżenie rąk i dreszcze pojawiły się u kilku innych osób. Reszta patrzyła z rosnącym przerażeniem na te objawy hysterii. Znow zaczęli krzyczeć. Zdali sobie sprawę, że kobieta zastawiła na nich pułapkę.

- Co jest do cholery coś ty nam dała?

- Otrułaś nas? Po co?

- Coś było w tych naleśnikach?

- To ty jesteś szpiegiem, ty donosisz. Teraz nas wytrujesz i po problemie!

- Nie, to nie ja donoszę - zaprzeczyła żona porucznika spokojnym głosem. - Jednak masz rację: otrułam was. Tylko po to jednak, by dowiedzieć się, kto zdradził. Mam antidotum, nie dostanie go jednak nikt, dopóki się tego nie dowiem. Umrzecie wszyscy, jeśli zdrajca sam się nie ujawni.

Kilka osób przestało już panować nad drgawkami. Pulchna blondynka, ta sama, która kilkanaście minut wcześniej tak zachwycała się słodkimi roladkami, z trudem radziła sobie z rękami, ale resztką sił wydobyła z kieszeni spodni mały pistolet i wycelowała w żonę porucznika.

- Dawaj antidotum, mała szmato - wykrzyknęła. - Ty poetko zasrana. Walki wam się zachciało o lepszy byt dla Leniwców? Co wy, kurwa, wiecie. Wy nie musicie walczyć o kurację, nie musicie decydować, kogo z rodziny zabić, żeby móc dostać deotol dla siebie, kogo wybrać do następnej kuracji, a kogo pozostawić w śmierdzącej budzie, żeby zdychał jak pies we własnym gównie. Wy żyjecie normalnie i wszystko macie podane na tacy. Jedyne, co was obchodzi, to iść raz na tydzień do miasta po żarcie, które dostajecie za darmo i zrecie je potem w swoich ślicznych domkach, które my wam budujemy A sami mieszkamy w drewnianych barakach.

Dawaj, suko, odtrutkę...

Blondynka przestała całkowicie panować nad swym ciałem i ostatnie słowa zabrzmiały jak odgłos betoniarki. Pistolet wypadł jej z ręki, zaczęła wymiotować. Po kilku minutach wszyscy tarzali się we własnych wymiocinach. Mężczyźni, masywniejsi, a przez to wolniej poddający się działaniu trucizny, byli w nieco lepszej sytuacji niż otrute kobiety. Zaczęli prosić żonę porucznika o antidotum, błagać ją i zaklinać na wszystkie świętości.

- Zmiłuj się, przecież zaraz wszyscy pozdychamy.

- No pospiesz się, kobieto...

Żona porucznika podniosła z ziemi pistolet i schowała go do kieszeni. Poszła do samochodu i przyniosła mocny, długi sznur i kilka butelek bimbru. Związanie i zakneblowanie zdrajczynie nie sprawiło jej wielkiego kłopotu, gdyż tamta była już niemal nieprzytomna. Pewien mężczyzna, sądząc, iż w butelkach znajduje się odtrutka, dopadł jednej z flaszek i począł pić łapczywie. Jednakże już po kilku haustach zorientował się, że się pomylił i wypłuł płyn z wściekłością.

- Coś ty tu przywlokła? To ma być odtrutka? Po co ci ten bimber? - wrzeszczał.

Kobieta uspokoiła go gestem ręki i wyjaśniła:

- Uspokój się. Nie otrułam was. Nie sądzisz chyba, że posunęłabym się do czegoś takiego? Dodałam jedynie odrobinę kamfory do sera. Kamfora jest słodka jak miód, więc nie mogliście niczego wyczuć. W większych ilościach może być śmiertelna, na szczęście wiem, ile trzeba, żeby wywołać tylko drgawki na kilka minut. Za godzinkę dojdziecie do siebie. Przepraszam, że doprowadziłam was do takiego stanu, ale nie wiedziałam, co robić. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście mamy tu zdrajcę, i na szybko wymyśliłam coś takiego. Cóż... niestety moje przypuszczenia się sprawdziły.

Tak jak obiecała żona porucznika, po kilkudziesięciu minutach wszyscy uczestnicy wieczorku poetyckiego doszli do siebie. Po drgawkach nie zostało ani śladu, po dobrej atmosferze z początku jednak również. Usiedli na tych samych miejscach co wcześniej, ale nikt nie chciał rozpocząć rozmowy na jedyny temat, który mieli teraz do przedyskutowania. Zdekspirowana blondynka została posadzona na krześle; wyglądała na przerażoną, ale też zdeterminowaną, jej oczy stawały się coraz większe i bardziej szkliste z każdą minutą. Z twarzy zebranych wyczytywała odrazę i nienawiść. Nie miała już nadziei na to, że odstąpią od realizacji swojego planu. Nawet zrezygnowała z próby przekonywania ich do tego. Spuściła głowę i czekała już tylko na swój koniec.

Jeden z mężczyzn postanowił wreszcie przerwać ciszę, wstał, wyjął kawałek brudnej szmaty z ust zdrajczynie i spytał:

- Obiecujesz opuścić miasto i zamieszkać w lesie? Nie wrócisz tu nigdy i nigdy nie zamieszkasz w żadnym innym mieście. Będziesz unikać ludzi, a już pod żadnym pozorem nie wolno ci z nikim rozmawiać. Takie są warunki.

Błada twarz blondynki nabrała rumieńców. Była tak zaskoczona, że dłuższą chwilę nie zdołała wypowiedzieć ani słowa. Kiedy już doszła do siebie, wypowiedziała jedynie krótkie:

- Tak!

Żona porucznika zareagowała na propozycję swojego kolegi z nie mniejszym zaskoczeniem niż zdrabczyni. Kręciła głową, a kiedy blondynka się odezwała, gestem ręki dała jej do zrozumienia, by się nie odzywała. Ze złością zabrała mężczyźnie knebel i zatkała na powrót pulchne usta związanej kobiety.

Mężczyzna, jak się zaraz okazało, był jedynym, który postanowił darować życie blondynce. Więcej się nie sprzeciwiał woli większości. Usiadł i czekał, aż ktoś wreszcie coś zrobi, bo właśnie to czekanie było dla niego, a pewnie i dla reszty, najgorsze.

Nie miało to jednak nastąpić zbyt szybko. Żona porucznika postanowiła skomentować wpierw całą sytuację.

- Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że ona jest jednym z tych, którym mamy pomagać - mówiła jak prawdziwy polityk. - Wiem, że omamiono ją obietnicą kuracji dla całej rodziny i znęcono wizją wspaniałego, długiego życia bez głodu i chorób. Rozumiem, że wielu postąpiłoby tak samo na jej miejscu, naprawdę to rozumiem. Musimy jednak zrobić to, co konieczne, niezależnie od tego, co myślimy o jej sytuacji. Nawet jeżeli szczerze zapewniasz nas teraz, że odejdzie i nikt jej nigdy nie znajdzie, to jestem pewna, że kiedyś zmieni zdanie. Wróci, bo tęsknota za najbliższymi będzie silniejsza niż przysięga. A kiedy zobaczy znów ich ból i niedolę, zapagnie im pomóc, być może tak jak teraz. Nie możemy pozwolić na to, żeby chodziła po tym świecie, jeśli w ogóle myślimy o powodzeniu naszej misji. To jest jedyne wyjście i jestem przekonana, że wszyscy tutaj zgadzamy się co do tego w głębi serca...

Zebrani kiwali tylko smutno głowami. Kobieta powiedziała to, co sami bali się wypowiedzieć na głos. Ona zaś mówiła dalej:

- Rozlew krwi to ostateczność i dotąd nigdy nie musieliśmy stosować takich metod. Ale wszystko się zmieniło. Musicie być przygotowani na to, że będzie coraz gorzej i jeszcze wiele rzeczy zmieni się na gorsze.

- No tak, teraz po okolicy będą się kręcić tabuny żołnierzy - odezwał się jakiś mężczyzna, pierwszy raz nawiązując do aktualnej sytuacji w miasteczku. Dotąd nie mieli jeszcze możliwości o tym porozmawiać.

- Słyszałem, że trzystu ma przyjechać na poszukiwania - dodał ktoś inny. - Mają tu być już w poniedziałek.

- Przecież wystarczy, że ktoś piśnie słowo, a przerobią nas wszystkich na fiolki. - Kobieta w czerwonej sukience znów wyglądała, jakby miała zaraz dostać drgawek.

Ponury nastrój udzielił się wszystkim. Nikt nie dopuszczał do siebie myśli, by zakończyć działalność rebeliancką, lecz w tonie mówiących dało się usłyszeć niepewność i delikatną nutkę zwątpienia. Znów zaczęli mówić wszyscy naraz.

- Akurat teraz, kiedy musimy szukać Barbarzyńcy, ktoś będzie patrzył nam na ręce.

- Żebyśmy mieli jakiś ślad, najmniejszy chociaż...

- Nie mamy nic, ani Barbarzyńcy, ani Profesora, ani Bękartą. Co gorsza, nie wiemy nawet, czy choćby jeden z nich jeszcze żyje.

- Nie pozostaje nam nic innego jak szukać ich i jednocześnie walczyć o dostęp do laboratorium Centrali. Bo to jest nasz główny cel. Technologia, którą oni posiadają, pozwoliłaby na leczenia większości ludzi na wyspie a może nawet na wyleczenie wszystkich. To jest nasz główny cel.

- Dobra! Ale co robimy ostatecznie z tą bidulką? - zapytała wreszcie j edna z kobiet, głośniejsz niż pozostali, i skinęła głową w kierunku związanej blondynki.

- Ma ktoś jakiś plan?

Żona porucznika spojrzała po twarzach zebranych, a widząc, że nikt nie kwapi się do odpowiedzi, ponownie zabrała głos.

- Musimy ustalić wersję wydarzeń z dzisiejszego wieczoru, której będziemy się trzymać choćby nie wiem co. Po pierwsze, wieczorek odbył się jak zwykle, i rozeszliśmy się do domów o tej samej godzinie co zazwyczaj. Nikt z nas nie mieszka blisko tej kobiety, więc będzie zupełnie oczywiste, że wracała do domu sama. Musimy też ustalić, co się działo podczas spotkania, w jakiej kolejności przedstawialiśmy swoje dokonania literackie. Oczywiście przeczytamy je później, żeby w razie czego móc coś opowiedzieć o twórczości kolegów. Musimy dowieść, że to spotkanie było typowym wieczorkiem poetyckim, jak każde poprzednie. Zrozumieliście?

Zebrani pokiwali głowami, ale nic nie mówili. Czekali na dalsze instrukcje.

- Dobrze. Teraz kilka spraw do ciebie. - Żona porucznika zwróciła się do zdrąpczyni.

Wyjęła jej knebel z ust i uklękła naprzeciw niej. Zanim jednak padły pytania, długo patrzyła jej prosto w oczy.

- Przyszłaś pieszo? - zapytała po krępującej chwili ciszy.

- Tak. - Blondynka odpowiedziała od razu.

- Wiesz, że musimy to zrobić. Rozumiesz to?

- Rozumiem.

- Nie jest to łatwa decyzja, lecz jedyna, jaką możemy w tej sytuacji podjąć.

- Przestań już gadać i wpakuj mi kulkę w łeb. Skończ te ceregiele. - Tym razem zareagowała agresją, choć jej spojrzenie wyrażało wciąż obojętność.

- Najpierw musisz się napić. - Żona porucznika nie zamierzała rezygnować ze swojego planu. Od tych szczegółów zależało bezpieczeństwo jej i jej towarzyszy.

- Po co? Za chwilę umrę. Po co mam pić to świństwo?

- Albo wypijesz dobrowolnie tyle, ile zdołasz, albo wmusimy w ciebie sporą dawkę.

- Wypiję - zgodziła się blondynka szeptem. - Mam tylko jedną prośbę.

- Jaką?

- Nikt z mojej rodziny nie wie, że na was donosiłam. Powiedziałam im, że kuracja to nagroda za dobrą pracę. Nie byli zresztą zbyt dociekliwi. Cieszyli się, że mogą zacząć normalne życie.

- Jaka jest twoja prośba? - Żona porucznika zachowywała się jak twardy żołnierz. Bała się, że jeśli pozwoli kobiecie na zwierzenia, ta zmiękczy jej towarzyszy i plan się nie powiedzie.

- Nie mówcie nikomu, co robiłam, bardzo was proszę. I mam jeszcze jedną prośbę. Jeżeli uda wam się zdobyć to, o co walcycie, nie pomijajcie moich krewnych. Oni są niewinni. Nie wiedzą nic

o moich kontaktach z Centralą i cierpią tak samo jak reszta. Proszę was, żebyście traktowali ich tak samo jak pozostałych.

- Tyle możemy dla ciebie zrobić. Teraz powiedz nam, gdzie jeszcze Centrala ma szpiegów.

- Nie wiem. Oni mi przecież nic nie mówią. Zresztą w ogóle tam nie bywam, nie kontaktuję się z nikim. Dostarczałam im tylko informacje. Pewnego dnia przyjechał do nas do domu jakiś żołnierz i przedstawił mi swoją propozycję, nikogo więcej nie poznałam.

- Co im do tej pory powiedziałaś?

- Niewiele. Głównie relacjonowałam wasze spostrzeżenia na temat sposobu ich rządzenia.

- Wiedzą, ilu nas jest?

- Nie. Ja sama jestem z wami przecież dopiero od roku. Domyślałam się, że planujecie jakieś zbrojne akcje, ale nie byłam pewna.

Nie wiem, czy macie broń i ile. O to zresztą w ogóle mnie nie pytali. Miałam przysłuchiwać się wam dokładnie i później opowiadać wszystko przez telefon. Oni podejrzewają, że jest was około setki i że macie dużo broni, bo ostatnio okradziono któryś z magazynów i są przekonani, że to wasza sprawa.

- Czyli coś jednak ci mówią. - Żona porucznika powiedziała to z satysfakcją, zadowolona, że jej przesłuchanie przynosi efekty. - Powiedz wszystko, co wiesz. Co im zginęło?

- Około stu karabinów automatycznych, kilka skrzyń naboji i kilkaset granatów.

- To bardzo dużo. Tyle że to nie nasza sprawa. A szkoda. Co jeszcze wiesz?

- Wiem, że mają jakichś nowych żołnierzy. To znaczy inaczej szkolonych niż dotychczas. Są... dziwni. Zachowują się, jakby nie mieli w ogóle własnej woli. Są inteligentni, ale wykorzystują tę inteligencję, by ślepo służyć przełożonym. Opowiadano mi o ich bezwarunkowym oddaniu służbie, ponadprzeciętnej sile i wytrzymałości. Mogą maszerować bez wody przez tydzień, a bez jedzenia miesiąc. Wiem też, że Centrala ma ogromne laboratoria i warsztaty. Podobno opracowali już maszynę latającą, a dokładniej mówiąc są blisko realizacji projektu, brakuje im jednak jakichś materiałów. To wszystko, co wiem, naprawdę.

- Pomyśl, czy na pewno - nalegała żona porucznika. Nikt z pozostałych osób w altanie nie pomógł jej w tym przesłuchaniu. - Radzę, z dobrego serca, które zaraz stwardnieje. Jeśli będzie trzeba, wydobędę z ciebie potrzebne informacje siłą. Daruję ci kilka dni życia, ale to będą straszne dni. Wymyślimy takie tortury, o których nie czytałaś nawet w książkach sensacyjnych. Wiesz, że jesteśmy do tego zdolni, prawda? Że ja jestem do tego zdolna...

- Wiem. Ja nie mówię wam tego ze strachu. Teraz już mi po prostu nie zależy na sobie. Chcę tylko, byście zostawili moją rodzinę w spokoju i pomogli im, gdy będziecie mogli.

- Wierzę ci. - Przesłuchująca stwierdziła, że już nic więcej się nie dowie od zdrajczyni i odpuściła. - Teraz pij. - Podała jej butelkę. - Tylko powoli, masz czas. Pij, dopóki będziesz w stanie przelić.

Dopiero wtedy do blondynki zbliżyła się jedna z kobiet i pomogła żonie porucznika. Uwolniła zdrajczyni ręce i stanęła za nią, niczym strażnik pilnujący więźnia. Blondynka pociągnęła łyk alkoholu i zaraz się zakrztusiła, a jej twarz wykrzywił grymas obrzydzenia. Powoli oswajała się z tą substancją w swoim gardle, musiała odetchnąć głęboko kilka razy, nim znów przytknęła butelkę do ust. Powtarzała tę czynność przez kolejne kilkanaście minut,

z przerwami na dojmujący kaszel, aż usta, podniebienie i żołądek przyzwyczyły się do drażniącego płynu i mogła dopić resztę z butelki jednym haustem.

W tym czasie nikt nie odezwał się ani słowem. Wszyscy czekali, aż kobieta osunie się nieprzytomna na ziemię i będą mogli przejść do następnego punktu planu. Tak też się stało, choć zdrajczyni zachowała resztki przytomności, kładąc się na miękkiej trawie. Ciężko przy tym dyszała. Żona porucznika, z pomocą dwóch mężczyzn, wlała jej wówczas jeszcze połowę kolejnej flaszki do ust. Gdy dziewczyna straciła całkowicie przytomność, wszyscy stali już wokół niej i przyglądali się jej z żalem i goryczą. Kilka kobiet uroniło parę łez. W końcu ta kobieta była jedną z nich, choć zarazem mogła doprowadzić ich do zguby. A przy tym boleli nad tym, że zabijają kogoś z klasy społecznej, której chcieli za wysoką cenę nieść pomoc, a w przyszłości całkowite wyzwolenie.

Żona porucznika, widząc apatię na twarzach towarzyszy, znowu przejęła inicjatywę.

- Musimy zanieść ją do samochodu - powiedziała energicznie i spojrzała w kierunku mężczyzn.

Czterech rosnących osiłków wykonało jej polecenie bezzwłocznie i już po minucie pijana blondynka leżała w tylnej części ciężarówki. Żona porucznika wydawała zaś kolejne polecenia.

- Ja pojedę do lasu z wami. - Wskazała na mężczyzn, którzy wrócili na swoje miejsca po wykonaniu nieprzyjemnego zadania. - Wy - to skierowane było do reszty - zostaniecie tutaj i poczytacie to, co każdy dziś z sobą przyniósł. Kiedy wrócimy wszystko nam opowiecie. Będziemy się krzątać, bo spotkanie nie może trwać dłużej niż zwykle. Będziemy z powrotem za jakieś pół godzinki.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła pospiesznie w stronę samochodu. Wybrani mężczyźni podążyli za nią. Już po chwili wyjechali na drogę. Żona porucznika nie знаła zbyt dobrze zdrajczyni, więc musiała dopytać o to, gdzie ta mieszka.

- Jedź na południe i skręć w pierwszą ubitą drogę w lesie - kierował ją siwiejący grubas z wielkim nosem. - Gdzieś tam za lasem jest jej dom, ale gdzie dokładnie, to już chyba nie musimy ustalać.

- Nie, to zupełnie niepotrzebne - potwierdziła kierująca ciężarówką.

Prowadziła samochód pewnie, choć była zdenerwowana do granic wytrzymałości. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiła, ba, nigdy nawet o tym nie myślała. Odkąd przystąpiła do organizacji, lub raczej odkąd ją założyła, wiedziała, że taka chwila nadejdzie, myślała jednak, że to stanie się podczas bitwy czy jakiejś ulicznej jatki z wojskiem, a zabitym przeciwnikiem będzie jakiś anonimowy poplecznik Centrali. W tłumie rozszalałych bojowników, gdzie

każdy dodawałby drugiemu odwagi i otuchy okrzykami determinacji, zabicie człowieka byłoby znacznie łatwiejsze. Nie sądziła, że przyjdzie jej mordować bezbronną, słabą dziewczynę, którą znała wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jakie plany snuła na najbliższych kilka lat. Nie były może najlepszymi przyjaciółkami, lecz trzymały się ze sobą na tyle, by zwierzać się z trosk i problemów rodzinnych i opowiadać sobie o rzeczach, których nie mówi się byle komu. Teraz wiozła ją półprzytomną z zamiarem zabicia i pozostawienia w lesie. Przekonywała wszystkich, że było to jedyne słuszne rozwiązanie, ale sama nie mogła pozbyć się wątpliwości, a nade wszystko dokuczliwych podszeptów sumienia.

Przerwała rozmyślenia po kilku minutach, bo właśnie wjechali na leśną drogę i mogli zacząć działać. Zatrzymała samochód i powiedziała:

- Wyjmijcie ją i połóżcie twarzą do ziemi.

Wspólnicy zbrodni wypełnili jej polecenie, a potem stanęli nad bezwładnym ciałem i czekali na kolejne wytyczne.

Żona porucznika wolno wysiadła z samochodu, jakby nagle dopadła ją jakaś choroba, zabierając z sobą niedopitą butelkę bimbrow. Podeszła do dziewczyny i nie patrząc jej w twarz, uklękła przed nią. Oddychała głęboko, chciała w ten sposób dodać sobie odwagi. W końcu zwróciła wzrok w stronę zdrajczyni, ręką sięgnęła do jej głowy i przez chwilę gładziła jej bujne, kręcone blond loki. Myślała o tym, czy kiedyś będzie w stanie wybaczyć sobie to, co za chwilę zrobi, i czy w ogóle będzie w stanie żyć z tym wspomnieniem.

Miała wrażenie, że jest na jakiejś ogromnej scenie, a jej zbrodnia obserwowana jest przez olbrzymią widownię. Wielu niemych świadków pochyliło swoje konary nad jej głową, jakby śledząc każdy jej ruch i nie chcąc dopuścić choćby jednego promyka światła, tam, gdzie już świeciła triumfy ciemność. Zrobiło się ponuro, członkowie organizacji ledwie widzieli siebie nawzajem. Wiatr, zrzucając z gałęzi kolejne liście, zdawał się współnikiem zbrodni, chciał zagłuszyć odgłosy dramatycznych wydarzeń. Pośród żalostnej pieśni drzew i pohukiwań wiatru dało się słyszeć ciężki, spazmatyczny oddech upojonej do nieprzytomności dziewczyny.

W pewnym momencie żona porucznika wczepiła swoje palce we Włosy zdrajczyni i szarpnęła jej głowę w górę z taką siłą, że uniosła prawie cały tułów. Następnie jednym mocnym, gwałtownym ruchem pociągnęła całe jej ciało w dół i roztrzaskała blade czoło o ostry kamień wystający z ziemi.

Wiatr ustał w tej samej chwili, zamarły drzewa i zapanowała całkowita cisza, głęboka jak samo piekło. Zabójczym i jej wspólnicy łapali spragnionymi ustami hausty powietrza. Doznania były tak gwałtowne, iż cała piątka była w szoku i nie potrafiła racjonalnie myśleć.

Choć należało działać, stali i przyglądali się zwłokom. Szok powoli przeradzał się w panikę, podsycany strachem i wyrzutami sumienia, tak dokuczliwymi jak ostrza setki mieczy.

Zdali sobie nagle sprawę z tego, że już nigdy nie będą tymi ludźmi, którymi byli jeszcze przed chwilą. I że trudno im będzie ukrywać pobrudzone sumienie, bo to maluje na obliczach poczucie winy. Ktoś to na pewno zauważy, wychwyci niepokój w oczach i brak codziennego uśmiechu, którego dotąd nie skąpili znajomym.

- Co dalej? - zapytała wreszcie żona porucznika. Głos jej drżał, ale twarz powoli odzyskiwała spokój. Pozory spokoju.

- Nie wiem. Chyba wracamy, co innego możemy zrobić? - Mężczyzna, który to powiedział, dotknął ramienia morderczyni, ale wnet cofnął rękę, jakby się poparzył.

- Zostawmy przy niej tę butelkę - dodał drugi. - Będzie wyglądać bardziej wiarygodnie.

- Tak, i nie zapomnijmy sznura. To byłby dla śledczych trop - rzucił następny.

Po kolei odwracali się w stronę samochodu, ale odeszli razem, jakby na umówiony znak. Żadne z nich nie oglądnięto się, by spojrzeć na ciało. Wsiedli do auta i w milczeniu odjechali. Tak też minęła im droga powrotna.

Zdawało im się, że wszystko to trwało wieczność, lecz w altanie okazało się, że pozostali nie zdążyli w tym czasie przeczytać nawet tych kilku swoich utworów, które mieli ze sobą. Upłynęło zaledwie czterdzieści minut. Najgorszych czterdzieści minut w ich życiu, zmieniających ich na zawsze.

Tak jak było uzgodnione wcześniej, pozostali twórcy opowiedzieli w skrótach rezultaty swoich literackich wysiłków, a zaraz potem w nerwowym pośpiechu się rozeszli.

Gdy żona porucznika otwierała drzwi swojego domu, jej mąż właśnie walczył z dwoma malcami o spokój podczas kolacji. Choć wcześniej smacznie zasnęli, okazało się, odzyskali wigor po krótkiej drzemce i wstali z nową ochotą na zabawę, a przy tym głodni jak wilki. W kuchni zastała krajobraz jak po bitwie, a raczej w trakcie bitwy: chłopcy strzelali do siebie jedzeniem. Nie pomagały prośby, a gróźb porucznik z zasady nie używał. Nigdy też nie podniósł na synów głosu, choć to był jeden z tych momentów, kiedy miał na to wielką ochotę. Ćwiczył jednak siłę woli: siedział na krześle z miną męczennika i przyglądał się, jak chłopcy zapewniają mu sprzętanie na kolejnych kilka godzin. Czekał, aż się zmęczą bądź znudzą i będzie ich mógł włożyć do wanny, choćby w ubraniach.

Choć sądził, że małżonka się zdenerwuje tym widokiem, kobieta dostała ataku śmiechu. Stała w progu i trzymając się framugi drzwi, śmiała się tak głośno i histerycznie, że

dwaj malcy przerwali swoją bitwę i zaczęli się jej przyglądać ze zdziwieniem. Trwało kilka minut, nim się opanowała.

- Powiedz, co cię tak śmieszy, mamó - zapytał wtedy starszy z chłopców.

- Powiedz, powiedz. - Młodszy powtórzył po bracie, co mu się często zdarzało.

Obaj mieli nadzieję usłyszeć ciekawą i zabawną historię, akurat pasującą do pory przed snem, dlatego mocno się rozczarowali, gdy kobieta wzięła się pod boki, popatrzyła na nich wymownie i ostrzejszym niż zwykle tonem powiedziała:

- Wy mnie śmieszycie. Spójrzcie, jaki bałagan robicie. Ojciec już pewnie dawno umarł na tym krześle, a wy nawet nie zwróciliście na to uwagi.

Porucznik na te słowa oparł głowę na stole, zrobił zęza i wysunął język. Udawał martwego. Malcy zapomnieli w jednej chwili, że chcieli opowieści, i przerazili się stanem ojca. Zaczęli szarpać go za ręce i klepać delikatnie po twarzy.

- Tato, obudź się, tato, tato - zawołał młodszy syn, niemal płacząc.

- Trzeba mu dać lekarstwo - zaproponował rezolutnie starszy. - Dzwonimy do doktora, przyjedzie i da tacie zastrzyk. Taką grubą igłą.

Wtedy porucznik zerwał się na równe nogi i udając przestraszonego, krzyknął:

- Uuuuaaaa, tylko nie zastrzyk, już mi lepiej.

Rozbawił tym chłopców i teraz to oni chichotali na całego, kontynuując biegi wokół stołu i rzucanie jedzeniem.

- Hej, hej, hej! - Matka próbowała przekrzyczeć ich jazgotliwe zawołania bojowe. - Dostyc tego. Zobaczcie, co narobiliście. Brać miotłę i sprzątać. Nie pójdziecie spać, dopóki kuchnia nie będzie błyszczeć. Aza karę nie dostaniecie dziś deseru. Do roboty, potem wanna i do łóżek. A! Łazienka ma być czysta, jak skończycie. Nie chcę widzieć już więcej bałaganu dzisiaj. No, na co czekacie? - ponagliła ich, widząc, że stoją jak wryci, zaskoczeni tyloma poleceniami naraz.

Dzieciaki westchnęły ciężko i potulnie przyniosły z przedpokoju miotłę. Porucznik doskonale wiedział, że czują przed jego żoną większy respekt niż przed nim, ale nie przeszkadzało mu to wcale. Ich obowiązki rodzicielskie rozłożyły się w ten sposób, że ona zajęła się wychowaniem i uczeniem obowiązkowości, on natomiast miał dostarczać malcom rozrywki. To z nim biegali po lesie i urządzali bitwy w ogrodzie; to on uczył ich trudnej sztuki jazdy na rowerze i wspinania się na drzewa. On też wyrabiał w nich umiejętność podejmowania decyzji i oceniania własnych możliwości.

Chłopcy sprząтали kuchnię kawałek po kawałku, a to sprawiało, że rodzice nie mogli swobodnie porozmawiać. Kobieta dostrzegła w oczach męża pytanie i zaniepokojenie i

odpowiedziała na nie, ale tylko lekkim skinieniem głowy, rozmowę odkładając na ten moment, kiedy chłopcy będą już w łózkach. Teraz zaś zostawiła go z małymi sprzętacami i poszła do łazienki. Po chwili dobiegł go stamtąd szum wody a że nie mógł już dłużej usiedzieć spokojnie, udał się do ogrodu. Wszedł do małej szopy na tyłach i w ciemności odszukał w podłodze nieco wystającą deskę. Podniósł ją i wymacał to, czego szukał - sporej wielkości butelkę. Wziął ją, a potem włożył kawałek drewna na swoje miejsce i wrócił do kuchni. Butelka znalazła się na stole, a zaraz obok niej pojawiły się dwie szklanki. Porucznik usiadł na krześle i czekał.

Godzinę później zbudziły go ciepłe usta żony na czole. Nie wiedział nawet, kiedy zasnął na niewygodnym meblu. Bolały go wszystkie kości, wstał więc i rozprostowywał zdrętwiałe ciało, uśmiechając się wciąż zasną twarzą do ukochanej. W końcu sięgnął po butelkę, otworzył i nalał do szklanek po odrobinie ciemnopurpurowego wina. Żadne z nich nie przepadało za alkoholem, jednakże wydarzenia kilku ostatnich dni były tak stresujące, iż postanowił odprężyć ciało i umysł w najprostszy jeśli nie liczyć snu, sposób. Kilkanaście minut milczeli nad szklankami nielegalnego trunku, z rzadka racząc usta kilkoma kroplami. Porucznik czekał z rozmową, aż wino doda mu odwagi.

- Kto to był? - zapytał, kiedy alkohol zaczął krążyć w jego żyłach.

- Pielęgniarka - odpowiedziała krótko żona. Poczula ulgę, że to wyznanie ma już za sobą. Choć czekało ją jeszcze jedno, trudniejsze.

- Nie spodziewałaś się?

- Nie. Sądziłam raczej, że to będzie któryś facet.

- Też tak myślałem. Co z nią...?

- Nie żyje. - Znów ulga. Ale wciąż niepełna. - Upiliśmy ją, a martwą zostawiliśmy w lesie. Wygląda, jakby się przewróciła.

- A co z resztą? Ktoś może nie wytrzymać napięcia i się wygadać, nie boisz się tego? Wszystko weźmie w łeb. - Porucznik spojrzał na żonę badawczo.

- Mam nadzieję, że nie. Wiesz przecież, że to sami zaufani ludzie.

- Ona też była zaufana.

Wiedziała, że ma rację i dzieliła jego obawy. Ale nie miała siły bać się jeszcze i tego, że ktoś kolejny ich zdradzi. Musiała szukać argumentów przeciw.

- Ale ona nie dołączyła do nas jako szpieg - mówiła gorączkowo. - Zwerbowali ją kilka miesięcy temu, a była z nami od początku.

- Może jeszcze ktoś przeszedł na ich stronę. Skąd pewność, że to jedyny zdrajca?

- Raczej działała sama. Gdyby było tak, jak mówisz, ten ktoś nie pozwoliłby jej zabić. Powstrzymałby nas, na pewno miałby ze sobą broń, tak jak ona. Miała pistolet.

- Gdzie go schowaliście? - zaniepokoił się porucznik. To był ważny dowód i nie należało go zostawiać byle gdzie.

- Mam ze sobą. Jest w samochodzie.

- Oszalałaś? Przecież jeśli znajdą u nas ich własną broń, od razu nas powieszają. Na pewno miała to od nich.

Ostatnie słowa porucznik wyrzucał z siebie już w drzwiach. Wybiegł z domu jak oparzony. Zaraz jednak zawrócił i z impetem wpadając do kuchni, zakrzyknął:

- Gdzie w samochodzie?

- Pod siedzeniem kierowcy - odpowiedziała spokojnie kobieta, nalewając sobie kolejną szklankę wina. Nie udzielił jej się niepokój męża. Była na to zbyt zmęczona.

Porucznik pobiegł do samochodu, odnalazł niewielki pistolet i rozglądając się na boki, zaniósł go do szopy. Tam ukrył go w schowku, tym samym, w którym chował butelki wina. Wrócił już nieco uspokojony i opadł na krzesło. Patrząc w podłogę, pokręcił głową i powiedział z wyrzutem:

- Jeżeli będziemy działać w tak nieprzemyślany sposób, to zostaniemy zdemaskowani, zanim w ogóle cokolwiek osiągniemy. Musimy być bardziej ostrożni, przecież już dziś o tym rozmawialiśmy. Nie możemy polegać na przypadku i liczyć, że dopomoże nam szczęście.

- Wiem. Do tej pory nie byliśmy... nie jesteśmy - poprawiła się - zbyt dobrze zorganizowani. Nie mamy przywódcy, nie mamy struktur. Działamy nieco chaotycznie, często licząc na łut szczęścia, a nie na wiedzę operacyjną, która zawsze jest ograniczona. Jesteśmy słabo zakonspirowani. W ogóle mamy szczęście, że jeszcze nie siedzimy za kratami - kończyła tę przerażającą wyliczankę. W jej głosie niewiele było jednak emocji.

- Musimy zawiesić działalność na jakiś czas. - Porucznik nie kontynuował wątku kiepskiego przygotowania. Nagle przypomniał sobie o czymś ważniejszym: o bezpieczeństwie swej ukochanej, i poraziła go myśl, że w każdej chwili może ją stracić. - Teraz wieczorki poetyckie będą naprawdę tylko poetyckie. Musimy porządnie wszystko przemyśleć i mieć gotowy plan na każdą ewentualność. I zasady działania. Regulamin, przysięgi i tak dalej. Do organizacji należy już tylu ludzi, że nie możesz wiedzieć, czy wśród nich nie ma jakiegoś kabla z Centrali. Ludzi w takiej sytuacji jak ta pielęgniarka jest bez liku, zawsze znajdzie się ktoś, kogo skusi porcja fiolek dla całej rodziny.

- Miejmy tylko nadzieję, że ludzie rozumieją, że gdy zdobędziemy dostęp do laboratorium, wszyscy dostaną porcję deotolu. Choć ta blondynka...

- Sama widzisz - wszedł jej w słowo. - Ona doskonale wiedziała, co robicie i po co, a mimo to was zdradziła. Centrala ma świetną akcję propagandową. Bardzo wielu jeszcze jest takich, którzy wierzą w dobre intencje władzy i w to, że chcemy przejąć kontrolę na Wyspie i zatrzymać wyniki badań tylko dla siebie. Dla wielu obywateli to my jesteśmy ci źli. Legenda, która krąży o Barbarzyńcy, też nam nie pomaga. Jeżeli ludzie wierzą, że z nim współpracujemy, to nam nie ufają. Uważają, że chcemy zniszczyć Wyspę. To samo ci w organizacji: po mojej wpadce i po zagadkowej śmierci tej pielęgniarki mogą się zacząć wykruszać.

- Nie jesteśmy zupełnie bez szans. Zanim zabiliśmy tę blondynę, wymusiłam na niej kilka informacji. Bardzo cennych. Okazało się, że parę miesięcy temu z ich magazynów zginęło prawie sto sztuk broni, amunicja i granaty.

- Przecież my nie przeprowadzaliśmy żadnych akcji od ponad dziesięciu lat - zdziwił się porucznik.

- Właśnie. Gdzieś na Wyspie musi być jeszcze jedna taka grupa dywersyjna.

- Domyślasz się, gdzie ich szukać?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Nikt się z nami nie kontaktował. Może być tak, że oni też nie wiedzą o naszym istnieniu.

Porucznik podrapał się po czubku głowy często tak robił, gdy intensywnie się nad czymś zastanawiał, potem wypił duszkiem wino ze szklanki i nalał sobie kolejną porcję. Nie zapomniał też o żonie.

- Myślę, że oni są z Miasta Zachodniego lub Miasta Północnego - powiedział, znów podnosząc szklankę do ust. - Tam bywały różnorakie zamieszki i rewolucje. Ludzie próbowali wielokrotnie walczyć o swoje prawa, bez skutku, więc może zdecydowali się zorganizować w tajemnicy i solidnie przygotować do zaatakowania Centrali.

- W każdym razie musimy to ustalić. - Żona porucznika jakby nabrała nowych sił. Sugestie męża pozwalały jej działać, to było dobre antidotum na wyrzuty sumienia.

- Ale to nam chyba nie pomoże nijak. - Porucznik nagle zmienił ton na pesymistyczny.

- Dlaczego?

- Nie wiemy, kto to jest i jakie ma zamiary.

- No tak. Może to być grupa, która chce przejąć władzę dla jakichś swoich celów. - Entuzjazm kobiety znów się gdzieś zapodział.

- W każdym razie mamy nowy kłopot. Jakby mało było zmartwień.

- Co masz na myśli?

- Nie możemy podjąć teraz żadnych akcji przeciwko Centrali, to jedno. Musimy zaprzestać działalności propagandowej, to drugie. Po trzecie, musimy znaleźć tych, którzy wykradli broń, a przynajmniej poznać ich zamiary. Jeżeli to jacyś szaleńcy, to musimy przede wszystkim ich powstrzymać. A jeżeli chcą tego samego co my, to zupełnie inna sytuacja. Wtedy trzeba będzie się zająć produkcją broni i werbowaniem ludzi. W końcu będzie szansa na regularną rewolucję. - Porucznik przerwał, przetarł twarz dłońmi i westchnął głęboko. - Musimy znaleźć jakieś miejsce na spotkania. Te wieczorki poetyckie to nie był dobry pomysł.

- Rzeczywiście nie był - przyznała kobieta. Z tego powodu też czuła się winna: gorąco popierała taką formę konspiracji.

- Mam tylko nadzieję, że nie zawieszą mnie w służbie. Inaczej nie będę mógł już zdobywać żadnych informacji. - Porucznik wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

- Myślę, że major nie połączy tych faktów w jedno, nie jest zbyt inteligentny. - Kobieta przypomniała sobie niektóre jego publiczne wpadki.

- Nie martwię się moim przełożonym, raczej tym starszym majorem z konwoju. I nie tylko nim, w poniedziałek przyjedzie tu więcej takich szych. Będą mieli sprzęt, o jakim nam się nie śniło. Jeżeli nasz informator ma dobre dane o zdobywaczach techniki, które przed nami ukrywają, to możemy mieć prawdziwe kłopoty.

- To wszystko może być niestety prawda. Pielęgniarka wyznała, że w ciągu ostatnich paru lat naprawdę dokonano wiele odkryć i zrealizowano mnóstwo technologicznych projektów. Ponoć już nawet zbudowali samolot, lub przynajmniej są blisko celu, lecz brakuje im albo odpowiednich metali, albo wiedzy. Mają potężne komputery i są bliscy odtworzenia technologii sprzed potopu. - Kobieta wzdygnęła się na wspomnienie zdrajczyni, które musiała przywołać.

- To mnie nie dziwi. Zaawansowana technologia może pomagać i w życiu codziennym. Tylko dlaczego trzymają to wszystko w tajemnicy?

- To z kolei mnie nie dziwi. Leniwcy pracują dla nich i za nich jedynie za kilka kuracji dla swoich bliskich, wystarczy więc, że wyprodukują parę fiolek i już mają ludzi do produkcji żywności, żołnierzy do obrony swoich wyłudzonych praw, pracowników fabryk i służących. Ale żeby to mogło trwać, muszą utrzymywać ludzi w niewiedzy i ogłupiać ich obietnicami.

- No tak. Gdybym był kobietą, raczej ciężko byłoby mi się zmusić do obcowania z tymi staruchami. A tak mają chętnych, ile dusza zapragnie. A właściwie nie całkiem dusza. - Porucznik uśmiechnął się figlarnie.

- No widzisz. Każdy potrzebuje seksu, jak wody. Oni dostają najlepsze kąski do łóżka bez wysiłku. I pewnie to im każe się tak kurczowo trzymać tych swoich praw.

- Sądzisz, że chodzi tylko o to, żeby sobie poużywać? - Porucznik śmiał się już całkiem głośno.

- No a co ty myślisz?

Wino wreszcie dało pożądany skutek. Byli rozluźnieni i powoli ich myśli uwalniały się od trosk i smutków związanych z ostatnimi wydarzeniami. Ni stąd, ni zowąd ich rozmowa zmieniła kierunek i z trudnej analizy sytuacji stała się obmawianiem Rady Starszych.

- Samiec to zawsze samiec - rzekła z przekorą kobieta.

- Co ty chcesz powiedzieć?

- Że wszystko, co robi, ma na celu tylko jedno.

- Nie sądzisz chyba, że na niczym mi nie zależy, tylko na tym, żeby się z tobą przespać? - Porucznik udawał oburzonego.

- Pewnie, że nie. Wszystko, co robisz, robisz tylko po to, żeby móc się przespać z kobietami, które wzbudzają w tobie pożądanie.

- Jedyłą kobietą, która wzbudza we mnie pożądanie, jesteś ty.

- Nie. Jestem jedyną kobietą, która się z tobą będzie kochać zawsze, kiedy tylko będziesz miał na to ochotę. - Żona porucznika sięgnęła po butelkę, a kiedy się okazało, że jest zupełnie pusta, skrzywiła usta w grymasie niezadowolenia.

- Ja myślałem, że jesteśmy ze sobą z miłości.

- Oczywiście, że z miłości. Jednak gdyby nie było w tym związku seksu, nie siedzielibyśmy tutaj razem.

- Pewnie tak. Napić to się mogę z kumplem po służbie - powiedział porucznik w zadumie. Sam już nie wiedział, czy się przekomarzają, czy rozmawiają poważnie. - Ale wszystko, co robię, robię dla ciebie.

- Tak. Jednak nie robisz tego z miłości, tylko z pożądania - upierała się kobieta.

- Przecież cię kocham.

- Oczywiście. Ja ciebie też. Jednak gdybym nie pozwoliła ci wejść do łóżka, albo pozwoliła tylko od czasu do czasu, to znalazłbyś sobie inny obiekt.

- Obiekt?

- No tak. Nie powiesz mi chyba, że nie spotkałeś nigdy innej kobiety, o której nie pomyślałbyś w ten sposób?

- To znaczy w jaki?

- No, żeby się z nią przespać!

- No pewnie. Tylko że zawsze po chwili myślę o tobie - zapewnił mężczyzna z taką miną, jakby ponownie się oświadczał.

- To normalne - zignorowała go małżonka. Była zbyt pijana, by zauważyć, że on na poważnie wyznaje jej uczucia. - Ja mam dziesiątki takich znajomych, z którymi chętnie bym się przespała.

- Co cię zatem powstrzymuje?

- To samo co ciebie. Gdybyś się dowiedział, że sypiam z innymi, odszedłbyś, a ja musiałabym szukać kogoś, kto chciałby zaspokoić moje pragnienia. Ty byłbyś w jeszcze gorszej sytuacji, bo kobiecie łatwiej znaleźć partnera. Facet przecież nigdy nie odmówi. A kobieta wybiera ostrożnie. Ja wybrałam ciebie.

- Dlaczego?

- Bo byłeś jedynym, który miał to wszystko, czego mi było potrzeba.

- To znaczy, że jestem tak dobry w łóżku, że nie chcesz nikogo innego? - upewniał się, że wciąż mówią o tym samym.

- Między innymi. Jesteś dobrym człowiekiem, silnym mężczyzną, potrafisz zadbać o rodzinę i do tego potrafisz mnie doprowadzić do takiego stanu, że zapominam o całym świecie. - Swą ostatnią uwagę okrasiała odpowiednią miną.

- Czyli jednak jestem dobry w łóżku.

- Oj, jesteś. Za każdym razem, kiedy mnie dotykasz, mam dreszcze.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że właśnie zdradziłaś mi, jak mogę cię kontrolować. - Tym razem jego uśmiech był zawadiacki.

- Nie boję się tego, bo wiem, że mnie kochasz i nie wykorzystalbyś mnie za nic w świecie.

- Kiedy ja właśnie mam ochotę cię wykorzystać.

Nie czekał już na jej odpowiedź, tylko wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do sypialni. Tam rzucił ją na łóżko i bez żadnej zachęty z jej strony, zaczął ją zachłannie całować.

Kochali się długo, lecz nie było w tym napięcia i tej pasji, z jaką robili to zwykle. Była to raczej ucieczka od złych myśli. Nie potrafiliby tak po prostu zasnąć, mając w głowie wydarzenia ostatnich dni. Wino nie pozwoliło im się całkiem rozluźnić, liczyli, że tak zadziała seks. Miał pozbawić ich sił i zmusić do snu. Podświadomie jednak pragnęli czegoś jeszcze: bliskości drugiej osoby i ciepła ludzkiego ciała, które dawało poczucie bezpieczeństwa. Starali się okazać sobie tyle miłości i czułości podczas tego mechanicznego zbliżenia, ile tylko potrafili. Wreszcie, wyczerpani, bez jednego słowa splekli się w mocnym uścisku i zasnęli.

Równo o dziewiątej rano obudził ich ogromny huk. Zanim zdążyli sobie uświadomić, że to trzask wyważanych drzwi, w ich sypialni stało już sześciu żołnierzy. Tuż po nich

pojawił się starszy major, ten sam, który zaledwie dwa dni wcześniej przesłuchiwał porucznika.

- Proszę się ubrać - powiedział służbowym, pozbawionym emocji tonem.

Porucznik i jego żona założyli na siebie to, co im akurat wpadło w ręce, i zaraz zostali skuci i wyprowadzeni na zewnątrz. Nie protestowali i o nic nie pytali. Nie martwili się także o swoich synów, bo znali procedury: na czas ich zatrzymania, przynajmniej do momentu zakończenia procesu, będą znajdować się pod opieką Centrali; także zostaną przewiezieni do miasta i będą przetrzymywani w specjalnym ośrodku dla dzieci. Jeżeli okaże się, że porucznik i jego żona są niewinni, cała rodzina wróci do domu. Jeżeli jednak będzie inaczej, o losie dzieci zadecyduje Rada Starszych, co oznaczało mniej więcej tyle, że któryś z naukowców podejmie decyzję, do czego się nadają. Jeżeli okaże się, że nie brak im inteligencji, zostaną skierowani do szkoły, gdzie wychowuje się kolejne pokolenia naukowców mających pracować dla Rady, jeżeli jednak nie wykażą naukowych uzdolnień, zostaną niewolnikami na resztę swojego życia. Będą pracować jako rolnicy, robotnicy, kucharze i sprzątacze.

Do wojskowej ciężarówki porucznik i jego żona dali się zaprowadzić i wsadzić bez protestów, które przecież na nic by się zdały. Ta zawiozła ich do biura Agencji, gdzie czekało na nich miejsce w największej celi, na drugim piętrze. Przebywało tam już kilkanaścioro kobiet i mężczyzn, a wśród nich niemal wszyscy uczestnicy makabrycznego wieczorku poetyckiego. Brakowało jedynie dwóch kobiet. Cisza przenikała wszystkich do szpiku kości, nawet na głośniejsze westchnienia nikt sobie nie pozwalał. Wszyscy wiedzieli, co jest powodem ich aresztowania, choć żadnej z tych osób takich informacji nie udzielono. Domyślali się również, dlaczego pozostałe dwie kobiety nie znalazły się w celi razem z nimi.

Porucznik usiadł na ławce pod ścianą i jął rozglądać się po pomieszczeniu. Badał wzrokiem grube kraty w oknach, zauważył też, że tynk wokół drzwi był świeży. Nowe masywne drzwi, drewniane, ale okute grubą blachą, zostały wstawione niedawno. Była to prawdopodobnie pierwsza czynność, jaką wykonali żołnierze po przyjeździe do Miasta Wschodniego. Widocznie spodziewali się, że będą musieli dokonać aresztowań „wyjątkowo niebezpiecznego elementu społecznego”, jak pisano w instrukcjach. Przez małe okienko na środku drzwi można było dostrzec dwóch strażników, uzbrojonych w groźnie wyglądające karabiny automatyczne.

Współwięźniowie spoglądali po sobie, ale żaden nie miał odwagi się odezwać. Wreszcie jeden z mężczyzn nie wytrzymał i zapytał półgłosem:

- Ciekawe, dlaczego siedzimy wszyscy w jednej celi. Przecież możemy między sobą ustalać zeznania.

*

- Ale jakie zeznania? - odezwał się inny mężczyzna, starszy, z długą brodą. - Nawet nie powiedzieli nam, dlaczego jesteśmy aresztowani.

- Na pewno chodzi o tę przeklętą babę. Ktoś musiał donieść

O tym, co zrobiliśmy w lesie...

- Zamknij się - wyszeptała nerwowo jedna z kobiet.

- Być może znaleziono na razie tylko ciało. - Mężczyzna zignorował ostrzeżenia towarzyszkii niedoli. - Wiadomo, że należała do naszej grupki artystycznej, więc po prostu przywieźli nas na przesłuchanie. Nie muszą wcale o niczym wiedzieć.

- Ciekawe gdzie te dwie się podziewają? - odezwał się ktoś jeszcze. - Jeżeli nie dowiozą ich w ciągu godziny, to będę w stu procentach pewien, że doniosły. Może nie z miłości do Rady

1 Centrali, ale zwyczajnie ze strachu. Po prostu puściły im nerwy i wyśpiewały wszystko. Jeśli tak jest, to już po nas.

- Nie panikuj. Uspokój się i w razie czego rób zdziwioną minę.

- Dokładnie - poparła go kobieta z długimi włosami zaplecionymi na karku. - Trzymajmy się wszyscy jednej wersji, to może jakoś z tego wyjdziemy.

- Pewne jest, że nie zdołamy stąd uciec - powiedział wolno mężczyzna, który rozpoczął dyskusję, wpatrując się w drzwi. - Przynajmniej nie teraz, kiedy pilnuje nas banda klonów.

- Myślisz, że to klony?

- Nie wiem. Tak tylko powiedziałem... Chodzi mi o to, że nie damy im rady, nawet jeżeli będzie nas trzykrotnie więcej. Są zbyt dobrze wyszkoleni i uzbrojeni. To żołnierze, a nie urzędnicy, tak jak tutejsi.

Słyszając to, porucznik uśmiechnął się nieznacznie. Postanowił ratować swój honor i honor swoich kolegów.

- My jesteśmy wyszkoleni zgodnie z obowiązującymi standardami - mówił, wstając, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. - Ci tutaj to jakiś nowy wynalazek. Powinniście się cieszyć, że to my tu pilnujemy porządku a nie te bezmózgie kupy mięcha zależne całkowicie od Przewodniczącego. Wtedy nie mogłoby być mowy o metalowych łyżkach, garnkach, ani o tych waszych wieczorkach poetyckich. Z pozwoleniami na kuracje byłoby zupełnie krucho, a historie o tragicznie zmarłych członkach rodzin, których ciała można użyć do produkcji deotolu byłyby dokładnie sprawdzane, a nie przyjmowane w dobrej wierze. Nie dopuściliby do rzępolenia grajków pod bramą, do handlu wymiennego i świadczenia wzajemnie usług.

Tak właśnie jest w innych miastach. Mielibyście to, na co zapracujecie, i tyle, ile zostanie wam przydzielone. Komendant biura, gdyby był jednym z nich, nie dałby się przekupić byle bimbrem czy jakimś kawałkiem żelastwa znalezionym na plaży czy w lesie. Nie wspominając już o degustatorach wyśmienitych trunków pędzonych nocami gdzieś w jaskiniach ukrytych głęboko w lesie. Wasze życie byłoby dokładnie zaplanowane, a czas odmierzałby skrupulatnie wielki strażnik czasu.

Przerwał na chwilę, ale nikt nie zamierzał zabrać głosu, więc postanowił to wykorzystać. Miał im do przekazania coś znacznie ważniejszego niż wizja życia w innych miastach.

- Wyobraźcie sobie, dokąd zmierza ten świat i jak będzie wyglądał za kilkadziesiąt lat, jeśli bez szemrania poddamy się takiej władzy. Rzesze niewolników będą umierać z poczuciem winy, że nie zrobili nic, by uwolnić świat od pazerności klasy panującej, od nierówności i wszechobecnej krzywdy. Ale oni będą od początku na przegranej pozycji, bo układ, który znamy, utrwali się i żadna siła nie zdoła go podważyć. Te rzesze niewolników będą mieć do siebie pretensje, ale to was będą przeklinać, jako tych, którzy mogli jeszcze coś zrobić, ale pozostali bierni. Dziś ta grupa, która rządzi światem, jeszcze nie jest tak potężna, by nie dało się jej powstrzymać. Jeszcze możemy wytyczyć ludzkości drogę do jedności i harmonijnego współżycia. Jeszcze możemy naprawić nasz świat. Nawet jeżeli będzie trzeba zlikwidować kilku takich, którzy widzą tylko czubek własnego nosa, a los drugiego człowieka jest im obojętny, to nie możemy się zawahać. Ale jeżeli tego nie zrobimy dzisiaj, jutro może być za późno.

Ludzie stali wokół porucznika jak zahipnotyzowani. Choć porucznik skończył mówić, wciąż tkwili w bezruchu. Jego słowa wprawiły ich w zakłopotanie, lecz jednocześnie uświadomiły im, że nie walczą o lepszy byt dla siebie, lecz dla przyszłych pokoleń. Zrozumieli też, że nie jest to jedynie walka z systemem, ale wykuwanie przyszłości Wyspy.

Porucznik popatrzył po twarzach więźniów, a potem spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili jego ciałem wstrząsnął dreszcz, a zgromadzeni usłyszeli cichy szloch. Żona podeszła i uklękła przed nim. Pochwyciła jego dłonie i zaczęła je całować.

- Walczyliśmy i robiliśmy co było w naszej mocy - tłumaczyła mu żarliwie, ale półgłosem, pamiętając o strażnikach za drzwiami. - I będziemy walczyć dalej. Póki żyjemy, nie zaprzestaniemy tej walki. Choć chcąc, byśmy ich za takich uważali, nasi przeciwnicy nie są niezniszczalni ani nawet nieomylni. Można ich pokonać, trzeba tylko obrać inną taktykę. Musimy także zrozumieć, że przynależność do tej organizacji nie jest kwestią prestiżu i że nie poklask jest tu najważniejszy, ani opinia szlachetnych i wspaniałomyślnych. Zamiast

oczekiwać szacunku i uznania, musimy być gotowi poświęcić życie za ideały, które wyznajemy. Nikt nie będzie wykrzykiwał po ulicach naszych imion i wychwalał naszego heroizmu, musimy się pogodzić z tym, że toczymy walkę w ukryciu. Jeżeli szukamy poklasku, to jesteśmy tacy sami jak ci, z którymi walczymy.

Żona porucznika mówiła jeszcze długo o tym, że nie wszystko stracone. Dopiero kiedy skończyła, zaczęli odzywać się inni więźniowie. Wielu miało coś do powiedzenia o Radzie Starszych, inni podsuwali pomysły na skuteczną walkę, a jeszcze inni, chcąc rozładować atmosferę, żartowali, nawet nieco frywolnie.

Mężczyzn, który zrobił niefortunną uwagę na temat tutejszych żołnierzy, chcąc rozładować sytuację, rzekł beztróskim tonem:

- Gdybym wiedział, że jesteście tacy czuli na punkcie swojej służby, to bym się o was inaczej wyrażał wśród swoich znajomych.

Porucznik podniósł głowę i spojrzał na niego.

- Ja po prostu mam dwóch synów, których kocham - odparł, a potem tłumaczył: - Widzisz, ja nie muszę pracować. Urodziłem się jako Pierwszy. Mogę mieć wszystko za darmo, leżeć na plaży do góry brzuchem i czekać, aż przyjdzie moja kolej na objęcie stanowiska w Radzie, gdzie mógłbym przebić na posiedzeniach do końca życia, podnosząc tylko rękę w trakcie głosowań. Wiem jednak, że taki porządek świata jest niesprawiedliwy, dlatego postanowiłem być użyteczny. Swoje punkty oddaję tym, którzy tego potrzebują i mogą za to dostać kurację dla siebie lub kogoś bliskiego. Dlatego zostałem żołnierzem: by mieć wpływ na to, co się dzieje w mieście. Mogę dopilnować, po pierwsze, żeby w tym mieście lżej się żyło niż w innych, bo nie przestrzega się tu prawa rygorystycznie, a po drugie, żeby taka organizacja jak nasza pozostała niezauważona, nieodkryta. Nikt niczego nie podejrzewa, ponieważ ja trzymam rękę na pulsie. Przynajmniej trzymałem do jakiegoś czasu. Ci w Mieście Centralnym nie są przecież półgłówkami. Wcześniej czy później coś musiało dojść ich uszu. Nie ufają nam też w stu procentach i starają się mieć na wszystko oko. Mają wszędzie swoich szpiegów. Niektórzy tylko udają, że donoszą, przekazując jakieś zmyślane bujdy aby tylko nie zwerbować kogoś naprawdę oddanego im całkowicie. Niestety jednak tacy też dla nich pracują. Przykładem jest nasza koleżanka, która pożegnała się wczoraj w lesie ze swoim stanowiskiem. Ja tylko widzę krzywdę innych i chcę walczyć o ich dobro. Robię to także dla moich synów. Chcę, żeby żyli w lepszym świecie. Pragnę by mieli beztróskie życie, lecz jeżeli mają być tacy jak oni, to wolę żeby tego świata nie było. Staram się im pokazać, jak być dobrym człowiekiem, otwartym na wołanie o pomoc drugiego.

Kiedy skończył, jeden z mężczyzn, niezadowolony z tego, w jakim kierunku zmierza rozmowa, zaczął analizować ich sytuację.

- Trzeba przyznać, że wraz z aresztowaniem wszystko się zmieniło - zaznaczył. - Jesteśmy w zupełnie innym punkcie realizacji naszego planu, niż byliśmy choćby jeszcze wczoraj. I niewiele możemy zrobić. Pewnie, możemy wyważyć kraty i skakać z nadzieją, że uciekniemy na połamanych nogach i nikt nas nie będzie gonił. Możemy też wyłamać drzwi i unieszkodliwić żołnierzy, w końcu jest nas tu wystarczająco dużo. Ale zaraz ruszy za nami pościg i nie dotrzemy nawet do bramy. Jedyne zatem, co możemy tak naprawdę zrobić, to pomyśleć, jak poinformować pozostałych o naszej sytuacji. Miejmy nadzieję, że uda im się nas odbić.

- Tak. Siłą nic tu dzisiaj nie zdziałamy - zgodziła się jakaś kobieta.

- Może nas wypuszczą po przesłuchaniu? - zauważył mężczyzna z brodą.

- Nie ma się co łudzić. - Żona porucznika machnęła ręką, jakby chciała pokazać, że gada od rzeczy. - W najlepszym wypadku będziemy do końca życia wypasać bydło na pustyni.

- A co się stanie z naszymi dziećmi? Mam syna i córkę - powiedziała drżącym głosem jakaś brunetka.

Inni też struchleli, wyobrażając sobie czarną przyszłość swoich pociech. Posypały się trwożliwe wyznania.

- Ja mam córkę.

- Ja trzech synów.

- Ja dwie córki i syna.

- Ja też mam dwie córki i syna.

- Ja mam trzy córki, dwóch synów i dwie wnuczki...

Te wyznania zagłuszył szcęk klucza w zamku. Zaraz potem drzwi otwały się na oścież i do pomieszczenia weszło dwóch żołnierzy z odbezpieczonymi karabinami. Jeden z nich rozglądnął się po sali i gdy odnalazł wzrokiem żonę porucznika, podszedł do niej, ujął ją za ramię i wyprowadził na korytarz. Zdażyła tylko posłać pożegnalne spojrzenie ukochanemu i zamknęły się za nią drzwi.

Na korytarzu założono kobiecie kajdanki i poprowadzono do gabinetu komendanta miasta, popychając ją i szturchając. Kilka dni wcześniej w tym samym gabinecie przesłuchiowano jej męża.

Starszy major czekał już na nią, gotowy do przesłuchiwania. Nie był sam, towarzyszyli mu dwaj żołnierze, jeden miał spisywać zeznania oskarżonej, a drugi - zgodnie z regulaminem - być świadkiem.

Krzesło naprzeciw starszego majora czekało na podejrzaną. Strażnicy, którzy ją przyprowadzili, w sposób daleki od delikatności posadzili kobietę i wyszli, salutując w ciszy.

Oficer z Centrali przyglądał się przez chwilę żonie porucznika, po czym z nienagannym dżentelmeńskim uśmiechem powiedział:

- Dzień dobry!

- Wcale nie taki dobry - odparła, nie patrząc żołnierzowi w twarz.

Starszy major uniósł brwi i rozłożył ręce, jakby w geście bezradności.

- Przepraszam bardzo, ale musimy czasem traktować ludzi nieco brutalniej, niż na to zasługują. Sama pani rozumie... Lepiej dmuchać na zimne i troszkę poszarpać niewinnego niż dać się zaskoczyć jakiemuś niebezpiecznemu osobnikowi, traktując go zbyt pobłaźliwie. Wybaczcie nam pani to poranne najście? My po prostu musimy być ostrożni.

Starszy major zachowywał się tak, jakby zbił przez nieostrożność filizankę podczas popołudniowej wizyty. Przesłuchiwana nie dała się jednak nabrać na jego sztuczki, ale postanowiła zagrać w tę grę na uprzejmości.

- Oczywiście, że wybaczę - odpowiedziała z godnością. - Mój mąż też jest żołnierzem i sama wolałabym, aby był, jak pan to ujął, ostrożny w takich sytuacjach.

- Dobrze, zacznijmy więc. - Starszy major kiwnął głową w stronę żołnierza stenotypisty. - Czy wie pani, dlaczego panią zatrzymaliśmy? Albo chociaż domyśla się?

- Nie.

Kobieta postanowiła odpowiadać na każde pytanie najkrócej, jak się da, ale też mówić, na ile to będzie możliwe, prawdę. Uznała, że w ten sposób dowie się, ile wie osobnik siedzący przed nią.

- Dobrze. To może spróbujmy inaczej. Czy należy pani do organizacji artystycznej?

- Tak, choć właściwie nie nazwałabym tego organizacją. To bardziej kółko zainteresowań.

- Czym się zajmujecie?

- Piszemy wiersze, książki, komponujemy muzykę, jeden z naszych członków maluje obrazy...

- Ile osób należy do tej organizacji?

- Do kółka poetyckiego - kobieta położyła nacisk na te słowa - należy wraz ze mną szesnaście osób.

Zanim jeszcze skończyła, już pożałowała, że ostentacyjnie poprawiała przesłuchującego. Zdała sobie sprawę, że takie zachowanie w niczym jej nie pomoże. Skarciła się w myślach i nakazała sobie spokój i opanowanie.

- Czy poza członkami kółka - starszy major niemal przeliterował słowo, na którym tak zależało przesłuchiwaney - kogoś jeszcze obchodzą wasze poczynania?

- W jakim sensie?

- Przecież nie tworzycie dla samych siebie i nie działacie w tajemnicy. Organizujecie jakieś odczyty, prezentacje. Jest chyba jakieś stałe grono miłośników sztuki w tym mieście - uściślił starszy major.

- Tak. Organizujemy takie spotkania. Co dwa miesiące.

- Dużo osób na nie przychodzi?

- Około setki. Sto pięćdziesiąt maksymalnie.

- I to dla nich tworzycie tę sztukę?

Kobieta zastanawiała się przez chwilę i odpowiedziała:

- To kwestia naszej duchowości.

- Duchowości? Może pani to rozwinąć?

- Oczywiście. Kiedy idzie pan ulicą, co pan widzi?

- Pani mnie przesłuchuje czy ja panią? - Starszy major zmarszczył brwi, a towarzyszący mu żołnierze spojrzeli po sobie znacząco. Ale zaraz roześmiał się i odpowiedział: - Widzę to, co mnie otacza. Budynki, drzewa, ludzi, beton pod stopami...

- Właśnie - weszła mu w słowo żona porucznika. - Ja widzę te same rzeczy, tylko dostrzegam w nich jeszcze coś. Na tym właśnie polega pogłębiona duchowość. Piękno i brzydotę każdego przedmiotu poddajemy refleksji, którą potem zawieramy w słowach, obrazach czy melodii.

- Nie do końca rozumiem. Jeśli coś jest ładne, to jest ładne. Jeżeli coś jest brzydkie, to jest brzydkie.

- Niech mi pan powie, czy podoba się panu to biurko? - Kobieta wskazała na mebel, przy którym siedzieli po dwóch stronach.

Starszy major spojrział na dębowy stół. Gładki, lakierowany blat intarsjowany był drewnem sosnowym, a jego lica sfrezowano na okrągło i wyrzeźbiono w szlaczek w kształcie fal. Drzwiczki i szuflady były rzeźbione w podobne wzory, a rolę uchwytów pełniły polerowane, dębowe kule. Całość wspierała się na masywnych, toczonych nogach, które wyginały się lekko na zewnątrz. Były one także zdobione sosnowymi intarsjami, które ciągnęły się wzdłuż nich po każdej ze stron, dzięki czemu przypominały stopy ogromnego

Iwa. Major dłuższą chwilę skupiał się na każdym szczególe, w końcu wyprostował się, spojrzał na kobietę i powiedział:

- Całkiem niebrzydki. W domu mam jednak ładniejszy stół. Mahoniowy i z ładniejszymi rzeźbieniami.

- A zatem jest pan czuły na piękno. Może pan powiedzieć, co jest ładniejsze w pańskim stoliku i dlaczego ten jest brzydszy. Ja jednak widzę coś więcej. Widzę na przykład, że stolarz, który go wykonał, zrobił to solidnie. Użył dębu, żeby mebel był trwały. Wypolerował i polakierował wszystkie elementy, żeby drzazgi nie wbijały się w ciało przy każdej próbie zapisania jakiejś notatki.

Wreszcie chciał, aby ten mebel był ładny, żeby osoba, która będzie siedzieć przy tym biurku, czuła się dobrze. Liczył na to, że ktoś kiedyś powie: „Trzeba mieć talent, mnóstwo cierpliwości oraz szczyptę wyobraźni, aby stworzyć coś takiego”. A mógł przecież przybić gwoździami cztery nogi do gołej deski. Tyle że wtedy nie pokazałby ludziom swojej osobowości. Chciał komuś uprzyjemnić pracę, a samemu pochwalić się zdolnościami. To samo robimy my. Piszemy wiersze o pięknie przyrody, historii takich przedmiotów, o kontaktach międzyludzkich i charakterze każdego z nas. Piszemy książki, które mają uczyć przyszłe pokolenia o tym, co się dzieje dzisiaj. Malujemy obrazy aby ludzie w przyszłości zobaczyli, jak wyglądał nasz świat.

- Chce pani zatem powiedzieć, że sztuka, którą tworzycie, to odkrywanie siebie przed innymi i lekcje dla przyszłych pokoleń?

- Mniej więcej.

- Czego te lekcje miałyby dotyczyć?

- Nie chcemy, aby przyszłe pokolenia popełniały nasze błędy.

- Jakie błędy? Może pani sprecyzować?

Z każdym kolejnym pytaniem starszy major mówił jakby głośniej, a jego twarz stawała się bardziej zacięta. Kobieta widziała to, ale postanowiła nie dawać przesłuchującemu satysfakcji i mówić obszernie o tym, co było dla niej ważne. Choć oczywiście wszystkiego powiedzieć nie mogła.

- Każdy, kto ma dzieci, chce, aby rozwijały się i dorastały w świecie bez przemocy i wśród dobrych ludzi - tłumaczyła spokojnym, ale pewnym głosem. - Zależy nam też, żeby nasze dzieci same były dobre, nie krzywdziły innych i bezinteresownie pomagały potrzebującym. Żeby tak się stało, należy im wpajać pewne wartości od najmłodszych lat. My wybraliśmy poezję jako formę nauczania.

Starszy major pokiwał głową, choć bez zrozumienia.

- Znam wszystkie wasze dzieła - powiedział, podkreślając sposobem mówienia wieloznaczność tego stwierdzenia. - Niewiele tam jest rzeczy, które dzieci mogłyby zrozumieć.

- Ależ oczywiście. Najpierw trzeba uświadamiać dorosłych. To oni przecież budują świat, w którym będą żyć ich dzieci. I są przykładem do naśladowania.

- Czyli wasza organizacja a... przepraszam, wasze kółko, a raczej ludzie udzielający się w nim, twierdzą, że świat w którym żyjemy, nie jest dobry?

Kobieta zdawała sobie sprawę, do czego prowadzą te pytania. Odpowiedziała więc, w jej mniemaniu, wymijająco:

- Świat nie jest zły, tylko niektórzy ludzie. Ludzie powinni sobie pomagać, a nie wykorzystywać siebie nawzajem.

- Tak jak pani i pani mąż? Nie musicie pracować, a jednak pracujecie. Czy to z czystej dobroci?

- Tak. Chcemy pomagać tym, którzy sami sobie nie poradzą.

- To bardzo szlachetne z waszej strony. Czy wszyscy w waszym zgromadzeniu mają takie same zapatrywania społeczne?

- Tak. Choć niektórzy pozostają przy zajmowaniu się sztuką.

- Tak jak ten stolarz? - Starszy major uśmiechnął się na wspomnienie wymiany zdań o biurku.

- No właśnie, tak jak ten stolarz.

- Dobrze. - Przesłuchujący przewrócił stronę w notesie i długo wpatrywał się w to, co miał tam zapisane. - Porozmawialiśmy troszkę o wzniosłych tematach - powiedział wreszcie - a teraz przejdźmy do tego, po co się tu dziś spotkaliśmy. Jak pani wie, jedna z waszych koleżanek zmarła dzisiejszej nocy.

Kobieta starała się sprawiać wrażenie zaskoczonej, co udało jej się tym lepiej, że ze zdenerwowania zaczęły jej się trząść ręce i zabrakło jej nagle powietrza.

- Nic nie wiedziałam - wystękała, jakby z trudem. - O kogo chodzi?

- To pielęgniarka. Taka młoda dziewczyna. Dlatego musimy pewne rzeczy ustalić. Jest pani gotowa?

Starszy major nie zdradził, czy wierzy kobiecie. Zachowywał się tak, jakby jej zdumienie i żal uznał za szczere. Kiedy potwierdziła skinieniem głowy, że może odpowiadać na pytania, zadał pierwsze dotyczące okoliczności śmierci zdrajczynie.

- Jak przebiegało wasze wczorajsze spotkanie?

- Normalnie, tak jak zwykle. Najpierw pogadaliśmy o tym, co się komu przytrafiło w ciągu tygodnia, a później przeszliśmy do prezentacji naszych dzieł i projektów. Jak zmarła?

- Powoli. Teraz już tylko ja będę zadawał pytania. Czy jedliście coś na tym spotkaniu?

- Nie... Znaczy tak, zapomniałam. Przygotowałam naleśniki z serem, na słodko.

- Czy piliście alkohol?

- Alkohol? Nie, w żadnym wypadku.

- Kobieta, kiedy ją znaleziono w lesie, cuchnęła alkoholem, i była przy niej butelka z resztkami bimbru. Może pani wyjaśnić, skąd miała tę butelkę?

- Nie mam pojęcia.

- Czy denatka... - Starszy major przerwał na moment i spojrzał w sufit w zamyśleniu.

Po chwili zapytał: - Czy ma pani coś przeciw temu, abym tak mówił o zmarłej?

Kobieta pokręciła głową.

- Tak czy nie? - dopytywał major.

- Nie. Nie mam nic przeciwko... Niech ją pan nazywa, jak tylko chce.

- Dobrze... Zatem, czy denatka przyjechała na spotkanie samochodem?

- Nie, przyszła pieszo.

- Czy ktoś odwoził ją do domu po spotkaniu? Zauważyła pani?

- Nie, każdy udał się w swoją stronę. Nikt nikogo nie podwoził ani nie odprowadzał.

Starszy major znów zajrzał do swojego notesu i coś sobie zapisał. Mimo tego, że przesłuchanie było stenografowane, robił własne notatki.

- Oto, co mamy - powiedział po chwili, nie podnosząc wzroku. - Dziewczyna opuściła altankę trzeźwa i sama, i nikt więcej jej potem nie widział. A dzisiaj rano znaleziono ją martwą, prawdopodobnie upojoną alkoholem, a pusta flaszką leżała obok. Czy zdarzało się jej przychodzić pod wpływem alkoholu na spotkania?

- Nie. Nikt z nas nie pije alkoholu.

- Niestety ja wiem, że pani kłamie. - Przesłuchujący zaczął stukać długopisem o blat. - W waszym domu w kuchni znaleźliśmy butelkę po winie i dwie brudne szklanki... Co pani na to?

Kobieta spuściła głowę i nic nie odpowiedziała. Przeklinała siebie w duchu za niedbalstwo i lekkomyślność. Nie mogła sobie darować, że poszli spać, nie uprzątnąwszy wpierw dowodów łamania prawa.

Major odczekał chwilę, ale widząc, że przesłuchiwana nie ma zamiaru odpowiedzieć, mówił dalej:

- Załóżmy jednak, że nasza denatka lubiła sobie wypić. Miała gdzieś w lesie ukrytą butelczynę, by po spotkaniu umilić sobie samotną podróż do domu przez ciemny las. Wypiła za dużo i wyrznęła głową o kamień. Mogło tak być?

- Pewnie tak było - zgodziła się kobieta i wbiła wzrok w podłogę.

- Mogło tak być, oczywiście, że mogło. Droga w lesie jest kamienista, nierówna. Łatwo stracić równowagę, szczególnie jeśli się jest pod wpływem alkoholu. Mówiła pani, że nikt jej nie podwoził, jednak kilka metrów przed miejscem, w którym leżało ciało, znaleźliśmy ślady samochodu. Dojechał do tego miejsca, a następnie zawrócił w stronę miasta. Łatwo się domyślić, że ktoś ją tam po prostu przywiózł. Prawda...?

Świdrujący wzrok starszego majora byłby nie do wytrzymania dla żony porucznika, gdyby tylko patrzyła w jego stronę.

- Może ktoś jechał drogą, zobaczył ciało i nawrócił, by was powiadomić? - wymyśliła na poczekaniu.

- Nie. Powiadomił nas mąż denatki, o szóstej rano. Zadzwoił i powiedział, że jeszcze jej nie ma, a powinna była wrócić wieczorem. Wysłaliśmy patrol i ją znalazł.

- Może ktoś ją zauważył, nie chciał kłopotów, więc zawrócił i pojechał do domu? - Kobieta uparcie trzymała się swojej wersji.

- Nie chciał kłopotów? Jakich kłopotów?

- Przecież ja jestem przesłuchiwana tylko dlatego, że się z nią wczoraj widziałam.

- Ach, tak. - Twarz starszego majora znów nabrała cech zbrodniarza. - Możemy przyjąć, że ślady zostawił jakiś przypadkowy człowiek. Ale jest kolejna sprawa. Kobieta przewróciła się, lecz butelka się nie zbiła...

- Butelki nie zawsze się tłuką, kiedy upadają na ziemię... - wtrąciła się żona porucznika. Trochę zbyt szybko. Od razu wiedziała, że to zabrzmiało podejrzanie.

- Wiem, niech mi pani nie przerywa. Może butelki się nie tłuką, ale jeśli człowiek upada z taką siłą, że rozbija sobie głowę o kamień, to chyba jednak powinien się potłuc. Tak?

- Ale jak to? - spytała zdezorientowana kobieta.

- No normalnie, powinien mieć zadrapania na dłoniach, kolanach i twarzy, może złamane żebra. A tymczasem na ciele znalezionym w lesie nie ma żadnych obrażeń. Nawet jednego siniaka. Jak to pani wytłumaczy?

- Nie wiem, jak to się stało. Dlaczego mnie pan o to pyta?

- Dlatego, że wstępne oględziny pozwalają stwierdzić, że kobieta została zamordowana. Prawdopodobnie upojono ją alkoholem, by nie stawiała oporu, wywieziono do

lasu i tam zabito. A członkowie tego waszego kółka, czyli również pani, to ostatni ludzie, którzy się z nią widzieli.

- Mógł ją przecież ktoś napaść w lesie. Może ktoś ją wykorzystał seksualnie a potem zabił? Albo w odwrotnej kolejności.

Żona porucznika próbowała wszystkiego, by naprowadzić starszego majora na fałszywy trop. Zdawała sobie jednak sprawę, że przesłuchujący jest sprytniejszy, niż się spodziewała, i trudno go będzie wywieść w pole.

- Mógł ją ktoś napaść... i zwięzać, tak? Jedyne obrażenia, oprócz wielkiej dziury w głowie, to obtarcia wokół nadgarstków, które mogły być spowodowane przez sznur. - Starszy major patrzył na kobietę nieprzyjaznym wzrokiem. Wydawało się, że zaraz przerwie to przesłuchanie i na miejscu wymierzy jej karę. Zamiast tego jednak powiedział spokojnie: - Mamy więc morderstwo. Teraz moim zadaniem jest znaleźć sprawcę.

Przesłuchujący powoli otworzył jedną z szuflad biurka i włożył do niej rękę.

- Czy może pani położyć ręce na stole? - zapytał uprzejmie, z tym samym przyjacielskim uśmiechem, którym witał się z nią na początku.

Kobieta położyła skute ręce na blacie. Starszy major pochylił się i przyglądał im przez chwilę, podczas której ona wyobrażała sobie, że zaraz wyjmie z szuflady młotek i uderzy ją z całej siły w którąś dłoń. Lecz on wyjął mały, plastikowy woreczek. Kładąc go na biurku, rzekł:

- To znaleźliśmy we włosach denatki.

Żona porucznika poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Na chwilę straciła kontakt z rzeczywistością. To, co było w woreczku, sprawiło, że sparaliżował ją tak wielki strach, jakiego nigdy wcześniej nie czuła. Kawalek zakrwawionego paznokcia. Spojrzała powoli na swoje dłonie. Koniuszek środkowego palca jej lewej dłoni pokrywała zakrzepła dopiero co na ranie krew. Zbladła zupełnie i zamglonymi oczyma spojrzała na starszego majora. Myśli pełne paniki rozsadały jej głowę. Wśród nich były te, którymi oskarżała się o lekkomyślność, jak i takie, które podsuwały najczarniejsze wizje najbliższej przyszłości i jej, i całej rodziny.

- Zastanawia się pani, czy to pani paznokieć, prawda? - Starszy major przerwał jej rozmyślenia. - Proszę się nie głowić. My za panią rozwiążemy tę zagadkę w laboratorium i za kilka tygodni się pani dowie. Osobiście przekażę pani wyniki, jeżeli pani sobie tego życzy.

Kobieta nie była w stanie odpowiedzieć, przesłuchujący jednak w ogóle tego nie oczekiwał. Ten dowód ją pogrążał. Wiedziała już na pewno, że całe przesłuchanie było tylko rozrywką, zabawą, którą urządził sobie major nie z własnej woli zatrzymany w

prowinjonalnym mieście. Był jak najedzony kot, któremu w łapy wpadła mysz: bawił się nią na tyle delikatnie, by nie zabić, lecz gdy się wreszcie znudził, zmiażdżył jej kark jednym kłapięciem zębów. Kobieta czuła się teraz właśnie jak ofiara sadystycznego kota. Ale to nie do starszego majora miała największy żal, ale do samej siebie. Zlekceważyła przeciwnika i musiała teraz ponieść tego konsekwencje. Nie tylko ona zresztą, również jej rodzina, znajomi, a prawdopodobnie i całe miasto.

Starszy major dłuższą chwilę przyglądał się kobiecie, napawając się swoim zwycięstwem, aż wreszcie kiwnął ręką w stronę drzwi. Kiedy żołnierz pełniący rolę świadka je otworzył, okazało, że dwaj mundurowi, którzy przyprowadzili więźniarkę, czekają na nią. Weszli do środka i wyprowadzili przesłuchiwaną, biorąc ją pod ramiona, bo słała się na nogach. Gdy była już w progu, odwróciła głowę i spoglądając w stronę majora, wyszeptała:

- Nie zabijajcie moich dzieci...

Oficer nie zamierzał jej niczego obiecywać. Nawet jednym gestem nie zdradził, jak traktuje jej prośbę. Począł, aż zamkną się za nią drzwi, a wtedy wstał i podszedł do okna. Roztaczał się z niego widok na las odległy o jakąś milę. Za lasem było już tylko ocean. Marzył, by móc być teraz na plaży i rozkoszować się zapachem słonej wody. Tymczasem czekały go długie miesiące wytężonej pracy. Liczył jednak na to, że nie minie go nagroda, w końcu gładko zbliżał się do celu, który mu wyznaczono. Jeśli o czymś bardziej marzył niż o widoku morza w tej chwili, to o tych wszystkich beztrudnych latach, które miały się zacząć po wypełnieniu misji w Mieście Wschodnim. Musiał tylko zrobić to, co było planowane od lat.

Żona porucznika tymczasem została sprowadzona na niższe piętro, do innej celi niż poprzednio. Ta była obszerna i mogła pomieścić kilkadziesiąt, a nawet setkę ludzi. Była to, jak oceniła, próbując czymś zająć myśli, aula lub sala gimnastyczna. Znajdowało się w niej około czterdziestu osób. Znała wszystkich. Byli to członkowie ich organizacji, spiskującej przeciw Radzie Starszych, a także ich rodziny.

Zatrzymała się na progu, załamana tym widokiem, który oznaczać mógł tylko jedno, i łzy popłynęły jej po policzkach.

- Wszystko na próżno - wyszeptała tak cicho, że nikt nie mógł jej usłyszeć.

Jeden z żołnierzy wepchnął ją do środka i zatrzasnął za nią drzwi. Strach ustąpił miejsca wstydom. Stała przed tymi wszystkimi ludźmi i myślała, że to przez nią się tam znaleźli. Przez jej nieprzemyślane działania, przez to, że uzurpowała sobie prawo do podejmowania decyzji za innych. Zamknęła twarz w dłoniach, nie będąc w stanie spojrzeć współwięźniom w oczy, podeszła do jednej z wolnych prycz i usiadła na niej. Głowa zwisała jej bezwładnie na piersi.

Pozostali patrzyli na nią, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. W końcu podeszła do żony porucznika jasnowłosa kobieta i usiadła obok. Była to jedna z tych dwóch uczestniczek spotkań literackich, które reszta oskarżała o to, iż doniosły strażnikom o wydarzeniach z poprzedniego wieczora. Kobieta położyła rękę na ramieniu nowo przybyłej i siedziały tak kilka minut.

- Od dawna o nas wiedzieli - powiedziała w końcu troskliwa blondynka. - Nie przeszkadzali nam, bo nie stanowiliśmy realnego zagrożenia. Nie byliśmy uzbrojeni ani nawet dobrze zorganizowani. Ale teraz wszystko się zmieniło. Przez tę ucieczkę Barbarzyńcy zjawili się w naszym mieście, postanowili więc zająć się i nami. Sami się zresztą podłożyliśmy, zabijając tę bidulkę. Teraz nas wszystkich zabiorą do Miasta Centralnego, a tam to już nie wiem, co się stanie. Może wyślą nas do kopalni? Albo do zbierania zboża? Co młodsze dziewczęta pewnie pójdą usługiwać tym zwyrodnialcom przy stole, a pewnie nie tylko...

- To moja wina - odezwała się wreszcie żona porucznika.

Głos łamał się jej przy każdej głosce, mówiła tak cicho, że jej towarzyszka ledwie słyszała. Ale chciała zrzucić z siebie ten okropny ciężar, wypowiedać się przed kimś, kto mógł ją zrozumieć.

- To ja wszystko organizowałam - mówiła dalej, coraz śmielej - ja podejmowałam wszystkie decyzje i ja kierowałam wszystkimi poczynaniami, pomimo że nikt nigdy nie udzielił mi takiego prawa.

- Przecież wcale to tak nie wyglądało - zaprzeczyła stanowczo blondynka. - Nie poddawaliśmy się twoim rozkazom z przymusu. Twoje pomysły były po prostu jedyne i wszystkim wydawały się słuszne, dlatego się na nie godziliśmy. Jeżeli coś się komuś nie podobało, mówił o tym. Byłaś... hhhmmm... liderką, ale nie przywódczynią. Nikt też nie był zmuszany do czegokolwiek. Wszyscy przystali do nas dobrowolnie i na własną prośbę. Nawet jeżeli nam przewodziłaś, to działaliśmy wspólnie i teraz wspólnie poniesiemy konsekwencje. Trudno...

- Gdybyśmy chociaż wczoraj postąpili inaczej - przerwała jej żona porucznika. - Nie powinniśmy jej zabijać. Nie wiem, co mną kierowało. Chciałam się po prostu pozbyć zdrajcy z naszej grupy, ot co. A teraz wszystkich nas wyrzną jak bydło, bo wpadłam na genialny pomysł...

- Tu nie ma co szukać winnych - wtrącił się mężczyzna siedzący na pryczy obok. Od początku przysłuchiwał się tej rozmowie. - Mnie się wydaje, że całe to miasto jest przeznaczone do likwidacji. Wspomnicie moje słowa, kiedy wezmą się za przeszukania. Tutaj

w prawie każdym domu można znaleźć coś nielegalnego, a to metalowe łyżki, a to garnki, jakieś strzępy niezarejestrowanych książek. Kiedy ktoś z was zaniósł do biura Agencji jakikolwiek metalowy przedmiot? - powiedział głośniej, żeby usłyszało go więcej osób, i powiódł wzrokiem po celi. - Albo coś znalezionego na plaży? Cokolwiek? Każdy zabierał wyrzucone przez ocean przedmioty do domu. Poczuliśmy się zbyt pewnie, bo w naszym mieście nie było przez długie lata żadnych kontroli ani przeszukań. Jeżeli już jakieś się zdarzają, to za flaszkę dobrego wina lub za kawałek znalezionego żelastwa mundurowi tracą wzrok. Każdy ma w domu zakazane dobra. Co gorsza, nie mamy jak uprzedzić mieszkańców miasta o tym, co się szykuje. Zanim ludzie się zorientują, będzie za późno, żeby cokolwiek ukryć, spalić lub wywieźć.

- Chcesz powiedzieć, że oni pozamykają wszystkich? - zapytała blondynka wciąż siedząca przy żonie porucznika. - Gdzie oni pomieszczą dwadzieścia tysięcy ludzi?

Mężczyzna patrzył kobiecie w oczy przez dłuższą chwilę i nie był w stanie odpowiedzieć. Wreszcie wydusił z siebie:

- W fiolkach...

Kiedy kończył wypowiadać te słowa, drzwi otworzyły się i do sali zostało wprowadzonych kilkanaście osób. Byli to ci, którzy wcześniej czekali na przesłuchanie w drugiej celi. Porucznik od razu odnalazł wzrokiem żonę i podbiegł do niej.

- Jesteś... - szeptał jej do ucha, biorąc ją jednocześnie w ramiona. - Nie wiedziałem, dokąd cię zabrali. Byłaś u starszego majora? Przesłuchiwał cię? Co wiedzą? - zarzucił ją pytaniami.

- Nie będą was przesłuchiwać? - odpowiedziała mu kolejnym.

- Nie wiem. Może później. Nic nam nie powiedzieli, tylko nas tu przyprowadzili. Ty byłaś u majora? - powtórzył. Był roztrzęsiony.

Jego żona westchnęła i wreszcie odpowiedziała:

- Tak, przesłuchał mnie, ale wcale nie musiał. Wie wszystko o naszej organizacji. Chciał potwierdzić, że to ja zabiłam pielęgniarkę. Myślę, że teraz jest tego pewny.

- Jak to? Powiedziałaś mu, że to ty? - Porucznik nie mógł się nadziwić.

- Nie musiałam. Znaleźli w jej włosach mój paznokieć - odrzekła i pokazała mu swój zraniony palec. - Przez taką bzdurę jesteśmy skończeni - skomentowała.

- Nie przez taką bzdurę. To nie ma nic wspólnego z naszym aresztowaniem. Gdybyście nawet jej nie zabili, oni i tak by wszystkich pozamykali. Tyle, że później. - Mężczyzna na pryczy obok trwał przy swoim zdaniu. - To, że zabito ich człowieka, tylko przyspieszyło cały proces aresztowań.

Porucznik spojrział na mężczyznę i skinieniem głowy przyznał mu rację. Dodał jeszcze:

- Tak, mają morderców, a przy okazji pozostałych członków grupy, których uznają za współwinnych. Tylko co teraz? Będziemy z nimi walczyć? Jest nas tu prawie setka...

- Wspaniale. Nasza setka przeciw trzydziestu tamtym? Na pewno damy radę - ironizował mężczyzna. - To nic, że każdy z nich ma przy sobie tyle naboju, że mógłby nas wystrzelać w pojedynkę. Nawet gdyby spudłował kilka razy, to jeszcze by mu pewnie sporo zostało.

- No tak. Jedyne, co możemy zrobić, to czekać. - I tym razem porucznik się z nim zgodził.

- Masz rację. Teraz nie ma już co gdybać i kombinować. Poczekajmy, może nas przydzielą do jakichś prac. Zawsze łatwiej nawiać z pola buraczanego niż stąd.

Atmosfera w celi nie była najlepsza, ale ludzie starali się trzymać razem. Nikt nikogo nie obwiniał ani nie oskarżał. Każdy wiedział, że to, co się wydarzyło, musiało się wydarzyć. Większość pogodziła się już nawet ze śmiercią, byli na nią gotowi. Podtrzymywała ich na duchu wiara, że ich los wstrząśnie wyspą i podburzy masy do walki. Bali się tylko, że może już być za późno. Rada Starszych wydawała się przygotowana na każdy społeczny bunt.

Po porannej rozmowie przez cały dzień w celi panowała cisza. Wieczorem, gdy znużenie dopadło już wszystkich, dało się słyszeć tylko głębokie oddechy oraz chrapanie. Porucznik i jego żona, wtuleni w siebie, też spali, a ich twarze pierwszy raz od rana wyrażały spokój. Wiele par zasypiało na pryczach w uścisku, dzieląc się z sobą nadzieją na odmianę losu.

Ale ten sen nie trwał długo. Pierwsza zbudziła się żona porucznika. Po długiej chwili, podczas której biła się z myślami, postanowiła porozmawiać z mężem.

- Śpisz? - zapytała, jak to mają zwyczaj czynić ludzie, budząc kogoś.

- Teraz już nie. Co się stało? - Porucznik usiadł i zaczął trzeć dłonią zaspane oczy.

Miał nadzieję, że ta rozmowa nie potrwa długo, gdyż zmęczenie dawało mu się mocno we znaki. Chciał być wypoczęty na wypadek, gdyby kolejnego dnia potrzebował sił do walki bądź ucieczki.

- Pomyślałam, że mógłbyś powiedzieć o zachowaniu majora - zasugerowała kobieta i wyczekująco spojrzała mu w oczy.

- Jakim zachowaniu majora? - Porucznik pomyślał, że chyba jednak nie obudził się jeszcze wystarczająco, bo nie pojmował, co do niego mówi własna żona.

- Powinieneś powiadomić Centralę o tym, w jaki sposób major wymusił na was zeznanie. I że wcale nie było go na służbie przez całą noc, jak i o tym, jak podszedł cię z tym bimbrem...

- To nie jest dobry pomysł, kochanie - westchnął porucznik i z powrotem się położył. - Po pierwsze dlatego, że to i tak nam w niczym nie pomoże; po drugie, nie zależy mi na zemście na majorze i wsypaniu go; po trzecie wreszcie, nie zapominaj, że ja sam zrobiłem to samo, zmusiłem moich podwładnych do kłamstwa i złożenia fałszywych zeznań. Dzięki temu teraz przynajmniej oni mają święty spokój. To dobre chłopaki. Gdyby wszystko wyszło na jaw, mogliby mieć poważne problemy.

- Masz rację. - Kobieta przytuliła się do niego. - Jestem wściekła na wszystkich po kolei, a najbardziej na siebie, i dlatego próbuję coś wymyślić. Próbuję chyba znaleźć kogoś, na kim mogłabym się wyżyć.

- Możesz się wyżyć na mnie - uśmiechnął się porucznik i pogładził ją po włosach. - Jutro rano urządzimy sobie trening sztuk walki. Będziesz mogła walić do woli. Poobijasz mnie troszkę, to ci przejdzie...

Kobieta nic mu na to nie odpowiedziała, tylko pocałowała go z czułością w czoło i położyła swoją dłoń na jego policzku. Po krótkiej chwili spali już oboje, tak jak wszyscy pozostali towarzysze niedoli.

Starszy major stał dłuższą chwilę przy oknie, planując swoje przyszłe doskonałe życie. Szuranie żołnierskich butów za drzwiami przypomniało mu jednak, po co przybył do tego przeklętego miasta, i wrócił do swoich obowiązków. Usiadł na powrót przy biurku, wyjął arkusz papieru i zaczął rozpisywać plan pracy na najbliższe dni. Póki co miał do dyspozycji trzydziestu swoich żołnierzy, ale oczekiwał trzystu kolejnych, mieli przybyć już następnego dnia, mógł więc zaplanować akcję poszukiwawczą z prawdziwego zdarzenia. Był niemal pewien, że znajdą Barbarzyńcę i dwóch pozostałych zbiegów w ciągu najwyżej tygodnia. Nie chodziło jednak tylko o tych bandytów, ale też o pilnowanie ponad setki aresztowanych, zgromadzonych w jednej przestronnej celi. Miejscowym strażnikom nie mógł w tej sprawie zaufać, w końcu byli to - lepsi czy gorsi - znajomi więźniów. Przy poszukiwaniach należało ich jednak wykorzystać; działając pod rozkazami jego ludzi nie mogli niczego zaplanować na własną rękę.

Gdy zakończył zapisywanie planów, zażądał od adiutanta raportu na temat budowy baraków dla ludzi mających przybyć w poniedziałek. Dostał go po zaledwie piętnastu minutach i z zadowoleniem przeczytał, że wszystko będzie gotowe jeszcze przed wieczorem. Ajako że było już późne popołudnie, nie pozostało mu nic innego jak wydać odpowiednie

rozkazy swoim podwładnym i zakończyć pracę. Przekazał adiutantowi wytyczne, a potem wolnym krokiem, już to ze zmęczenia, już to po to, by delektować się wolną chwilą, udał się do łaźni, znajdującej się w piwnicach. Wziął prysznic, a potem założył cywilne ubranie, a mundur, złożony wzorowo w kostkę, zaniósł do sali, która była sypialnią jego i jego żołnierzy. Nie było to duże pomieszczenie, ale kilka łóżek w zupełności się tam mieściło; wystarczyło, gdyż spać jednocześnie mogła tylko jedna czwarta oddziału.

Odprężony i w dobrym nastroju, ruszył w kierunku plaży. Dojście do niej zajęło mu kilkadziesiąt minut. Gdy ujrzał bezkresną taflę, przystanął na chwilę i zaczął inhalować się wilgotnym powietrzem. Miał jeszcze dość siły na dalszy spacer, powoli ruszył więc wzdłuż plaży, kierując się na południe. Maszerował tak żołnierskim krokiem, co zawsze go odprężało, ponad pół godziny, aż ujrzał w oddali koronę ogromnego drzewa. Z daleka wyglądało jak kilka drzew rosnących bardzo blisko siebie, i to na wysokim pagórku, starszy major słyszał jednak o tym niezwykłym, potężnym dębie i nie dał się zwieść.

Właśnie na spotkanie z nim zmierzał. Po kolejnej półgodzinie był już przy ogromniastym pniu i dotykał delikatnie kory. Była szorstka i ciepła od słońca, które teraz wisiało już nisko i mogło bezwstydnie zaglądać pod suknię z dębowych liści.

- Rzeczywiście jesteś wielki - wyszeptał major, spoglądając to w górę, na rozłożystą koronę, to na pień drzewa. Potem obszedł je w koło. - Co mi możesz powiedzieć stary przyjacielu? - kontynuował swoją niezwykłą rozmowę z najstarszym bodaj mieszkańcem wyspy. - Ty coś wiesz. Jesteś tak stary, że widziałeś już niejedno. Ponoć znasz tajemnicę Bękarta. To prawda, że on istnieje? Naprawdę żył kiedyś ktoś taki? Może nadal żyje, co? A profesor? Też gdzieś się tu ukrywa? Profesor żyje, prawda? Jak cię zmusić do mówienia? Czym cię przekonać? Hmmm, taki stary drań jak ty jest zbyt mądry, żeby zdradzać tajemnice pierwszemu lepszemu wojakowi. Poznamy się więc lepiej. Będę przychodził do ciebie co dzień wieczorem. Nauczę się twojego języka, ty przestaniesz się mnie bać i zostaniemy przyjaciółmi. A wtedy mi wszystko powiesz.

Major skończył swój monolog w tym samym momencie, co oględziny pnia i całej wydmy. Te nie dały mu żadnych rezultatów, nie znalazł żadnej ukrytej wiadomości ani na korze, ani w pobliżu drzewa. Był przekonany, że dąb skrywa tajemnicę Bękarta, żadne miejsce na Wyspie nie wydało mu się bardziej godne jej ukrywania.

Zszedł z wydmy z powrotem na plażę i usiadł na piasku, opierając plecy o wielki, spróchniały pień. Siedział tyłem do drzewa i wpatrywał się w morskie fale. Nawet się nie zorientował, jak szum fal ukoił jego zmysły i zapadł w płytki sen.

Gdy się obudził, słońce chyliło się już ku zachodowi. Wstał powoli i zaczął otrząpywać ubranie z wilgotnego piasku, jednocześnie spoglądając z podziwem na potężne drzewo. Zanim ruszył w drogę powrotną, uśmiechnął się do niego jak do starego druha.

Choć obiecał sobie, że już nie będzie tego dnia pracował, nawyk był silniejszy i zaraz po powrocie udał się do swojego tymczasowego gabinetu, nie przebierając się już w mundur. Na biurku leżał gotowy raport podsumowujący budowę baraków dla grupy poszukiwawczej. To dodało mu sił i powiadomił swojego adiutanta, iż po kolacji odbędzie się obchód budynku i wizytacja cel zapelnionych rebeliantami.

Godzinę później starszy major, wciąż w cywilnych ciuchach, a więc niezgodnie z regulaminem, przystąpił do obchodu, ale wtedy właśnie zmęczenie dało o sobie znać i zrobił to bardzo pobieżnie. Cały czas towarzyszyło mu uczucie, że w mieście, a może i w samym biurze dzieje się coś dziwnego, coś, czego nie jest w stanie na tę chwilę pojąć.

Kiedy wreszcie odprawił towarzyszących sobie żołnierzy, udał się do sali sypialnej i padł na prycę jak stał. Zasnął w ciągu kilku sekund i spał snem głębokim aż do rana.

W poniedziałkowy świt obudził go adiutant. O piątej trzydzieści, tak jak to miało miejsce każdego dnia. I jak każdego innego dnia wystarczyło mu piętnaście minut na poranny prysznic i przygotowanie się do służby. Dokładnie po kwadransie zmierzał już do swojego gabinetu, gdzie czekał na niego jego wiemy sługa.

- Dzień dobry! - rzucił krótko, nie siląc się na uśmiech.

- Dzień dobry, panie majorze - odpowiedział sierżant i zasalutował.

- Jakież wieści?

- Tak, panie majorze. Oddział jest już blisko. Pół godziny temu udało nam się nawiązać łączność radiową. Są jakieś sto mil stąd i powinni dotrzeć za około trzy godziny.

278

- Świetnie! - Starszy major aż klasnął w dłonie. - Wszystko idzie zgodnie z planem. Połączcie się z nimi i poinformujcie, że mają się udać od razu do baraków. Dwustu ludzi ma czekać na rozkazy, reszta niech odpoczywa. A dowódca niech się zjawi u mnie.

- Tak jest! - zakrzyknął sierżant i stuknąwszy obcasami o podłogę, wyszedł.

Bez zwłoki udał się na ostatnie piętro budynku, gdzie została umieszczona aparatura radiowa, i przekazał obsługującemu ją żołnierzowi rozkazy starszego majora.

Kiedy wrócił do przełożonego, jak co dzień rano zdał raport z przebiegu nocnej służby, a gdy na wybiła siódma, razem udali się na śniadanie. O siódmej trzydzieści wyruszyli na poranny obchód i przegląd wojska. Godzinę później wrócili do gabinetu, i - nie mając

pilniejszych zajęć - przeglądali dokumenty, czekając na meldunek o przybyciu grupy poszukiwawczej i na pojawienie się jej dowódcy.

Zgodnie z oczekiwaniami piętnaście minut przed dziewiątą konwój trzystu żołnierzy wjechał na obozowisko zabudowane drewnianymi barakami na planie kwadratu, dzięki czemu pośrodku powstał duży plac apelowy oraz parking dla trzydziestu wojskowych pojazdów. W prowizorycznych koszarach było wszystko, czego potrzebowali żołnierze: kuchnia, wspólna łaźnia, kantyna oraz zbudowany solidniej niż pozostałe budynki magazyn na broń i amunicję. W sypialniach znajdowały się jedynie drewniane łóżka z słomianymi siennikami oraz małe proste szafki, mogące pomieścić plecak żołnierski oraz najpotrzebniejsze wyposażenie wojskowe i osobiste przybory do higieny.

W ciągu piętnastu minut wojsko zostało rozlokowane w pokojach, po czym stu mundurowych udało się na odpoczynek, a dwustu pozostałych ustawiło się na placu apelowym w oczekiwaniu na rozkazy. Nie musieli się troszczyć o wyżywienie i utrzymanie czystości: w koszarach przebywało kilku cywilów pełniących role kucharzy pracy i sprzątaczy.

Dowódca oddziału, potężnej postury kapitan o włosach krótkich i białych jak świeży śnieg, dopilnowawszy żołnierzy przy zajmowaniu baraków, wsiadł do lekkiego, wojskowego pojazdu i udał się niezwłocznie na spotkanie ze starszym majorem - swoim przełożonym i tymczasowym komendantem miasta. Droga do biura nie zajęła mu wiele więcej niż kwadrans, a kiedy zaparkował samochód pod drzwiami wejściowymi biura, adiutant starszego majora, czekający w gotowości na placu, poprowadził go do gabinetu swego szefa. Tam wszystko odbyło się zgodnie z regulaminem: była wymiana wojskowych grzeczności, powoływanie się na rozkazy i tym podobne rytuały. Dopiero potem żołnierze uścisnęli sobie dłonie i usiedli naprzeciw siebie.

Witam kapitana w tym ciekawym i pełnym dziwactw mieście - rzekł z westchnieniem starszy major, próbując się uśmiechnąć.

- Tak, słyszałem już co nieco o tym miejscu. Jeden wielki niewypał. Wolne Wschodnie Miasto, Miasto Bez Nadzoru, Miasto Degeneratów, tak o nim mówią. Czy rzeczywiście dzieje się tu aż tak źle, jak słyszy się w opowieściach?

- Cóż. - Oficer splótł ręce i odchrząknął, gotując się na dłuższą przemowę. - Właśnie doszło do ucieczki trzech więźniów, z których jeden to sławetny Barbarzyńca. Tutejsi żołnierze, o ile można ich tak nazwać, nie potrafili ich upilnować. To chyba o czymś świadczy. Ale to nie wszystko. Mamy tu bandę opozycjonistów. Nie są groźni, niewiele mogą, ale jest ich dość sporo. Prawdopodobnie to oni pomogli zbiec tej trójce. Ustaliliśmy

też, że handel tutaj kwitnie jak w jakimś demokratycznym kraju. Ludzie nagminnie łamią przepisy. Dzisiaj rano podczas aresztowania jednego z żołnierzy, konkretnie porucznika, który miał służbę w noc ucieczki, na stole w kuchni zastaliśmy napoczętą butelkę wina. Tak więc już nawet się nie kryją z posiadaniem alkoholu, nie mówiąc o niezarejestrowanych przedmiotach, takich jak siekiery, noże, garnki. No i oczywiście książki. Rośnie tu także liczba przypadkowych zgonów, co oczywiście ma związek z dużą ilością produkowanego w ostatnim czasie deotolu. To się wymknęło spod kontroli - kończył dobitnie starszy major.

Kapitan nie przerywał, jedynie od czasu do czasu kiwał głową. Kiedy się upewnił, że jego rozmówca nie miał już nic do dodania, zapytał:

- Czy Rada Starszych coś zamierza?

- Tak. Ale wszystko w swój czasie. Teraz priorytetem jest odnalezienie Barbarzyńcy. Zaczynamy od razu. Straciliśmy już wiele cennego czasu.

- Czekam zatem na rozkazy, majorze. - Kapitan złożył ręce na piersi, co zwykł czynić mimowolnie, gdy miał się na czymś skupić.

- Ludzie będą pełnić służbę nieprzerwanie. - Starszy major przeszedł do objaśniania planu poszukiwań. - Każda setka będzie zmieniana po dwunastu godzinach. Utworzycie dziesięcioosobowe oddziały, do każdego zostanie przydzielony jeden miejscowy żołnierz, który zna teren. Dwanaście oddziałów odeślecie na plażę, sześć ruszy na południe, a sześć na północ. Pierwszy oddział będzie szedł szpalerem w odstępach pięciometrowych. Kolejny oddział będzie posuwał się w odległości stu metrów za pierwszym i o pięć metrów w głąb lądu od ostatniego żołnierza pierwszego szpaleru. Trzeci oddział postąpi podobnie względem drugiego.

Pierwszy szpaler po przejściu około dwudziestu mil zawróci i będzie się poruszał w odległości około dziesięciu metrów od plaży; pozostałe oddziały znowuż sto metrów za nimi i pięć metrów w głąb lądu. Jeżeli zbiegowie ukryli się gdzieś w zaroślach, to chcąc uniknąć spotkania z pierwszym oddziałem, przesuną się w głąb lądu, ale tam natkną się na kolejny. Pozostałe osiem oddziałów roześlecie po osiedlach i po leśnych osadach, których tu nie brakuje. To już wedle pańskiego uznania. Każdy dom ma być przeszukany, ale żołnierzy interesować będą tylko zbiegowie, na resztę niech przymykają oko. Szukajcie kryjówek, schowków, penetrujcie piwnice, strychy, szopy. Każdy dom ma być zbadany centymetr po centymetrze, a każdy mieszkaniec tego miasta przesłuchany, niezależnie, kim jest i czym się zajmuje.

Kapitan kiwał głową na znak, że rozumie, jakie ma zadania, ale dodał:

- To zajmie kilka tygodni. Tu mieszka około dwudziestu tysięcy ludzi.

- Niech zajmie i kilka miesięcy. - Starszy major rozłożył ręce, pokazując, że na to nie ma żadnej rady. - Oni muszą zostać odnalezieni.

- Tak jest! - Kapitan użył regulaminowego zwrotu i wstał, słusznie mniemając, że narada skończona.

- Możecie odejść - potwierdził to jego dowódca.

Po oddaniu honorów kapitan oddalił się pospiesznie. Teraz dopiero zrozumiał, jak trudne zadanie stoi przed jego ludźmi.

Tak jak rozkazał dowódca poszukiwań, trzystu ludzi przeczesywało teren wokół miasta w promieniu pięćdziesięciu mil. Bardzo skrupulatnie. Mimo to po dwóch miesiącach wciąż nie natrafili

282 choćby na ślad zbiegów. Wśród mieszkańców żołnierze nie znaleźli zbyt wielu sprzymierzeńców, a ci, którzy chętnie z nimi współpracowali, nie byli w stanie w żaden sposób pomóc. Nikt właściwie nie znał Barbarzyńcy, a i o jego istnieniu nie wszyscy słyszeli. Nie miał bliskich przyjaciół. Zaledwie kilku kolegów z pracy wiedziało, gdzie mieszkał, ale nic ponadto nie umieli o nim powiedzieć. Jego teścia znało jeszcze mnie osób. Inaczej miała się sprawa z myśliwym. W wyniku śledztwa oraz kilku niezbyt miłych przesłuchań, starszemu majorowi udało się ustalić, że był płatnym zabójcą, ale ta informacja pozwoliła aresztować kilkoro jego klientów, w żaden zaś sposób nie wpłynęła na wyniki poszukiwań. Miejsce pobytu uciekinierów pozostawało nadal tajemnicą.

Aresztowaniom nie było za to końca. W przestronnej celi zgromadzono już około trzysta osób, wypełniła się po brzegi i nie wydawała się już obszerna. Życie zatrzymanych nie toczyło się jednak w zatęchłym pomieszczeniu. Wyznaczono ich do pracy przy budowie kolejnych baraków, na placu oddalonym około pięciu mil na zachód od miasta. Pracowali bez wytchnienia po dwanaście godzin dziennie przez okrągłe dwa miesiące, a wciąż byli dalecy od ukończenia swego dzieła. Planiści przewidywali, że prace budowlane potrwać jeszcze co najmniej miesiąc. Więźniom dokuczało nie tylko zmęczenie, ale i strach o losy miasta - w końcu te budowle, które wznosili, najlepiej świadczyły o tym, że przyjdzie do nich niezliczona armia; baraki, jak liczyli, mogły pomieścić nawet sto pięćdziesiąt tysięcy osób. Próbowali dociec, co to oznacza, a każde kolejne przypuszczenie było gorsze od poprzedniego. Nie brakowało głosów, że Rada planuje kolejną inwazję na sąsiednią wyspę.

Kolejny miesiąc upłynął na tych samych zajęciach: aresztowani kończyli swoje, jak je nazywali, małe miasteczko, żołnierze na próżno szukali zbiegów. Kiedy baraki były wreszcie gotowe, więźniowie zostali przeniesieni z ciasnej celi do jednego z nich i przez następną

tydzień rozciągali ogrodzenie z drutu kolczastego. Kiedy i ta praca została wykonana, każdemu przydzielono inne obowiązki. Mieli się zająć doposażeniem baraków.

Wszystkie prace zostały ukończone w sobotę wieczorem, trzy miesiące i dwa tygodnie od ucieczki Barbarzyńcy i jego dwóch kompanów. Więźniowie mieli wolną niedzielę, pierwszą od bardzo dawna.

W poniedziałek około godziny dziewiętej u bramy zadrutowanego osiedla pojawiło się około pięciuset żołnierzy pod dowództwem jakiegoś porucznika. Został im przydzielony jeden z wielkich baraków. We wtorek przybył kolejny oddział, podobnej wielkości. Każdego dnia pojawiali się następni żołnierze, w sobotę było ich już około pięciu tysięcy. Z podsłuchanych przez więźniów rozmów wynikało, że to kolejna grupa poszukiwawcza. Pracowali nad tą sprawą już od dwóch miesięcy, przeszukując wyspę od Miasta Centralnego aż do Masta Wschodniego, do którego właśnie dotarli. Podobne grupy wyruszyły z Miasta Północnego i Miasta Południowego, zatem cała wyspa była aktualnie pod specjalnym nadzorem.

Żołnierze po tygodniowym odpoczynku i uzupełnieniu zapasów mieli wyruszyć w drogę powrotną i rozpocząć poszukiwania od początku. I tak aż do skutku. Rada Starszych postanowiła, że te działania będą prowadzone tak długo, aż zbieg zostanie ujęty. Zaangażowano w nie niemal całą armię, jedynie kilkuset żołnierzy pozostało w Mieście Centralnym, aby chronić Radę Starszych.

Osadzeni w prowizorycznym miasteczku nie mieli teraz zbyt dużo pracy, owszem, wciąż pojawiały się i odchodziły oddziały wojska, ale nie liczniejsze niż pięciotysięczne. Dziwiło ich zatem to kosztowne osiedle baraków, używane w minimalnym zakresie. Wnet mieli się przekonać, jakie jest jego prawdziwe przeznaczenie.

Grupa poszukiwawcza, która przybyła do miasteczka jako pierwsza, dostała teraz nowe zadania. Znow przeszukiwali każdy dom w mieście, penetrowali zakamarki wszystkich osiedli, ale tym razem już bez miejscowych strażników. Mieli też nowe wytyczne. W wyniku tych przeszukań w małym miasteczku przybyło mieszkańców - aresztowano każdego, u kogo znaleziono przedmioty niewiadomego pochodzenia. Za kawałek żelastwa, niezgłoszone nadpalone strzepy książek, części urządzeń o nieznanym już przeznaczeniu czy choćby znikomą ilość alkoholu należała się teraz surowa kara. Nie było tylko jasne jaka. Jak powiedziano aresztowanym, mieli w barakach oczekiwać decyzji o swym dalszym losie. Jedynie ci, którym od razu udowodniono najcięższe przewinienia, jak zabójstwo czy oszustwo w sprawie kuracji, zostawali w trybie natychmiastowym skazani na karę śmierci. Wśród nowych aresztowanych nie brakowało lekarzy, pracowników rafinerii, cywilnych i

wojskowych pracowników biura Agencji. Pozostali, w zależności od skali win, zostali oddelegowani do prac w kopalniach i odwiertniach złóż ropy i gazu. Niewielu było takich, którym nie można było zarzucić niczego.

Ci, którym udało się uniknąć aresztowania, też nie zaznali jednak spokoju. Zostali przesiedleni. Jako akt łaski przedstawiano to, że sami mogli zdecydować, gdzie chcą mieszkać. Większość przeniosła się do Miasta Południowego, licząc na bezproblemowe, pozbawione obowiązków życie w ciepłym i przyjaznym klimacie. Niektórzy wybrali Miasto Centralne, oczekując z kolei, że to im się opłaci pod względem finansowym.

Najwięcej mieszkańców Miasta Wschodniego można było jednak spotkać w barakach. Panowała w nich teraz ogromna ciasnota, a w dodatku władze przestały się troszczyć o więźniów, dla których nie było już żadnej pracy. Dawał się we znaki niedobór jedzenia i wody pitnej. Pracownicy Agencji najwyraźniej nie doszacowali skali zjawiska; w barakach miało zostać osadzonych od siedmiu do dziesięciu tysięcy ludzi, tymczasem przebywało ich tam ponad osiemnaście tysięcy.

Dla tych trzystu, którzy współtworzyli organizację opozycyjną oraz dla ich rodzin oznaczało to pracę ponad ludzkie możliwości. Ustanowiono ich, jak to szumnie nazywano, opiekunami osiedla. Ich codziennym zadaniem było przygotowywanie posiłków, sprzątanie pomieszczeń oraz wszelkie prace naprawcze.

Po kilku tygodniach takiego życia za drutem kolczastym nikt z aresztowanych już nie miał wątpliwości, jaki los spotka Miasto Wschodnie. Rozpoczęły się też wywózki, co tylko potwierdzało te teorie. Więźniowie zostali przydzieleni do prac w kopalniach, fabrykach oraz na ogromnych farmach. Dzieci zostały zabrane do Miasta Centralnego, gdzie poddano je szczegółowym testom, mającym na celu ustalenie ich zdolności psychofizycznych.

Najinteligentniejsze z nich odesłano do ośrodka badawczego, gdzie miały przez kilkanaście lat być intensywnie szkolone i przystosowywane do pracy umysłowej dla Rady Starszych. Z tych, którzy byli sprawni fizycznie, utworzono specjalny oddział armii. Najgorszy los spotkał małych Leniwców - trafili do laboratoriów jako króliki doświadczalne w badaniach nad deotolem. Pracownicy Agencji * nie ukrywali przed rodzicami, jaki los czeka ich dzieci, prawdopodobnie licząc na efekt propagandowy.

Po tych wszystkich działaniach w barakach pozostało nie więcej niż pięć tysięcy ludzi, głównie młodych, zdrowych i silnych mężczyzn. Im wyznaczono zadanie, którego nikt się nie spodziewał. Pod nadzorem żołnierzy rozbierali budynki do fundamentów, które wojskowi potem wysadzali. Domy drewniane i murowane zniknęły z powierzchni ziemi, a odzyskane materiały, takie jak cegły, drewniane belki i metalowe elementy konstrukcyjne zostały

skrzętnie poskładane na dużym placu za małym miasteczkiem. Stamtąd zabierano je ciężarówkami do pozostałych miast.

I tak Miasto Wschodnie przestało istnieć. Tam, gdzie wcześniej były domy, place zabaw, parki i szkoły, teraz posadzono ziemniaki, zasiano zboże i trawę na pastwiska. Na polach i miejscach wypasu pojawili się Leniwczy zmuszani do pracy; wykonywali przydzielone im zadania szybciej lub wolniej, lepiej lub gorzej, lecz bez żadnego oporu. Nie stanowili także żadnego zagrożenia dla sprawujących nad nimi nadzór, gdyż byli na tyle sprawni fizycznie, by podołać swoim obowiązkom, i zarazem na tyle ograniczeni umysłowo, by nie zastanawiać się nad sensem tego, co robią, i nad sensem własnego życia.

Porucznik i jego żona zostali skazani na karę śmierci za działalność w organizacji, dążącej do obalenia Rady Starszych. Ten sam los spotkał pozostałych członków kółka poetyckiego oraz ich rodziny. Pozbawieni życia zostali także żołnierze pełniący służbę w noc ucieczki Barbarzyńcy jego teścia i myśliwego. Nawet major, który próbował się wymigać od odpowiedzialności, został przerobiony na fiolkę życiodajnego płynu.

Artyści spod bramy biura Agencji stracili swoje gitary i zostali odesłani do prac przy wypasaniu i uboju bydła. Wszelkie książki, obrazy i rzeźby, które według wyznaczonych przez Radę Starszych recenzentów zawierały myśl antyspołeczną, zostały spalone.

Mimo że wydawało się, że nic nie może przeszkodzić autorytarnym rządóm Rady Starszych, ta sama powoli doprowadzała się do upadku. Populacja Leniwców drastycznie malała. Poszukiwania Barbarzyńcy pochłaniały coraz większe środki i wymagały zaangażowania coraz to nowych ochotników, bo żołnierze już dawno zajmowali się tylko tym. Spalono większość lasów i zarośli, wysadzano w powietrze betonowe fundamenty pozostałe z przeszłości i przeszukiwano jaskinie. Cała Wyspa została przewrócona do góry nogami, bez żadnych efektów.

Nic już nie było takie jak kiedyś. Tylko stary dąb na wydmie trwał wciąż na posterunku i - niewzruszony - przyglądał się poczynanióm maleńkich, rozgorączkowanych istot, poszukujących innej maleńkiej istoty w tylko sobie znanym celu.

VII

Życie trójki uciekinierów w podziemnym schronie płynęło swoim rytmem, zupełnie nieprzystającym do tego, co działo się aktualnie na powierzchni. Przez dwa tygodnie myśliwy i młody wdowiec oglądali filmy wyświetlane na szklanej ścianie, i w ten sposób poznawali historię wyspy. Pierwszy film zdążyli już obejrzeć dwukrotnie. Wątpliwości wyjaśniał im z entuzjazmem starzec.

Mijał właśnie czternasty dzień ich pobytu w pomieszczeniu odkażającym, i mieli przejść do kolejnego. Nieformalny przywódca całej trójki przygotowywał ich do tego.

- Czy będziemy tam też mieć filmy? - dopytywał się myśliwy.

Martwił się jedynie o dostęp do wiedzy. Warunki życia nie obchodziły go już tak bardzo, jak jeszcze dwa tygodnie wcześniej.

- Tak - potwierdził znający schron jak własną kieszeń mężczyzna. - Będziemy mieli filmy, książki, normalne jedzenie i napoje. Każdy dostanie własną kabinę, gdzie będzie mógł oglądać filmy. Na jakie tylko będzie miał ochotę.

- A będą dla nas jakieś ubrania? - wtrącił się do rozmowy najmłodszy uciekinier, używając ironicznego tonu. - Dość już mam oglądania waszych gołych tyłków. I nie tylko tyłków. Tracę przez to apetyt.

Myśliwy zarechotał, lecz też patrzył pytającym wzrokiem na starca.

- Tak. Będą i ubrania - odrzekł teść Barbarzyńcy. - Są zrobione z tego samego materiału co pościel, więc na rewię mody liczyć nie możecie - zaznaczył. A potem zerknął na zegar, spoważniał i dodał: - Przygotujcie się, panowie. Pozostało nam nie więcej niż pół godziny.

Myśliwy i młodzieniec podnieśli się z łóżek, gotowi do pakowania, lecz zaraz uprzytomnili sobie, że nie mają tutaj niczego, co mogliby ze sobą zabrać. Nawet ubrań. Położyli się więc z powrotem na swych posłaniach i czekali niecierpliwie na syk wydobywającego się gdzieś ze ściany powietrza, który poprzedzać miał, jak twierdził starzec, samoczynne otwarcie się kolejnych drzwi.

Po kilkudziesięciu minutach wyczekiwania, które według ich oceny trwały dłużej niż całe dwa tygodnie spędzone w tym pomieszczeniu, usłyszeli wreszcie upragniony dźwięk, a zaraz potem ściana pomiędzy łózkami rozsunęła się i odsłoniła niedługi korytarz. Tym razem nie musieli się spieszyć, to przejście nie zamykało się tak prędko jak poprzednie. Wstali i stanęli naprzeciw otworu, a kiedy starzec ruszył, pozostała dwójka poszła za nim bez słowa. Gdy tylko znaleźli się w prostokątnym pomieszczeniu, drzwi za nimi zasunęły się powoli, pozostawiając ich na kilka sekund w całkowitych ciemnościach. Zanim jednak którykolwiek z dwójki będących tu po raz pierwszy mężczyzn zdołał się tym przejąć, kolejne drzwi, znajdujące się przed nimi, rozsunęły się i do korytarza wpadła wystarczająca ilość światła.

- No chodźcie, panowie - ponaglał starzec. - Witam was w waszym nowym domu. Tu pomieszkam jakiś czas.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, miało kształt kwadratu o bokach, o ile mogli ocenić, około dziesięciu metrów. Znajdowały się w nim liczne meble: cztery fotele, ustawione

wokół kwadratowej ławy oraz stół jadalny również kwadratowy z czterema, wysokimi krzesłami. Na przeciwległej do wejścia ścianie wypatrzyli kolejne drzwi z panelem dotykowym na środku. Na dwóch pozostałych ścianach również odcinały się drzwi. Jak wyjaśniał starzec, za nimi właśnie znajdowały się prywatne kabiny których razem było również cztery.

Przybyłych najbardziej intrygowały jednak dwie, duże, metalowe szafy, obie zaopatrzone w szklane panele dotykowe w miejscu klamek, podobne do tych, którymi starzec uruchamiał drzwi w poprzednich pomieszczeniach. I młodzieniec, i myśliwy, przyglądali się im z zainteresowaniem.

- No dobra, panowie. Mała instrukcja obsługi - powiedział głośno starzec, widząc zaintrygowanie towarzyszy, i ruszył w stronę jednej z kabin. Ręką uczynił gest mający zachęcić pozostałą dwójkę do tego samego.

Weszli do środka pomieszczenia, które również było kwadratem, tyle że znacznie mniejszym. We wnętrzu znajdowało się jedynie wąskie łóżko i mały stolik obok niego. Naprzeciw łóżka w ścianę wbudowany był ekran oraz dwoje drzwi. Starzec otworzył je po kolei, prezentując najpierw szafę, a następnie łazienkę.

- Tu są szklanostalowe kombinezony oraz buty - pokazywał. - Kombinezony z czerwonym znaczkiem nosicie w ciągu dnia, a te z zielonym w ciągu nocy, jako piżamy. Dzień zaczyna się o szóstej a kończy o dwudziestej drugiej. Jasne?

- Jak na razie wszystko rozumiem - odparł jego zięć.

Stary spojrzął na myśliwego i też doczekał się potwierdzenia, tyle że niemego, wyrażonego skinieniem głowy. Mógł kontynuować.

- W tej kabinie jest toaleta i kabina prysznicowa - oznajmił, przechodząc do kolejnych drzwi. Następnie wszedł do środka i wskazał palcem nieduży otwór w ścianie, obok natrysku, i wyjaśnił: - Tutaj wrzucacie swoje kombinezony przed porannym i wieczornym prysznicem. Podobny otwór znajduje się w szafie. Po kilku minutach wypluje on wasze ubrania, czyste, odkażone i suche, lecz niestety pogniecione. Na szczęście nie wybieramy się na żaden bal, więc możemy sobie dać spokój z elegancją.

Patrzyli na niego bez słowa, gdy wyszedł z pomieszczenia sanitarnego i wskazał palcem ekran w ścianie.

- Tu macie wyświetlacz, na którym możecie obejrzeć wszystko, co tylko ludzkość zdołała wyprodukować przez wieki jej istnienia. Obsługuje się głosem. Tylko mówcie powoli, głośno i wyraźnie.

Teraz obaj towarzysze starca kiwnęli głowami.

- No! To chyba wiecie, do czego służy? - Wskazał palcem łóżko i już nie czekając na odpowiedź, wyszedł do głównego pomieszczenia.

- Może się w takim razie od razu ubierzemy? - zaproponował młodzieniec.

- Dobra myśl - zgodził się myśliwy.

Starzec zmierzał właśnie w stronę otwartej kabiny, ale przystanął i zrobił ręką gest wskazujący na to, że mężczyźni sami mają się podzielić pozostałymi. Była to jednocześnie zgoda na założenie skafandrów.

Młody oraz myśliwy zniknęli w sąsiadujących ze sobą pomieszczeniach osobistych, a po kilku minutach wyszli z nich w stalowych kombinezonach i takich samych butach.

Czekali chwilę na starca. Wnet się pojawił i podszedł bezpośrednio do jednego z wielkich, metalowych pudeł, stojących przy ścianie i wrócił do objaśniania użyteczności urządzeń.

- Tu mamy dwa dystrybutory, posiłków i napojów. Są proste w obsłudze. Wystarczy dotknąć palcem wyświetlacza, a pojawi się menu. Dostosowane do pory dnia, śniadanie możecie pobrać od szóstej do ósmej, drugie śniadanie od dziesiątej do jedenastej, obiad pomiędzy trzynastą a piętnastą, a kolację pomiędzy osiemnastą a dziewiętnastą trzydzieści. Jedzenie nie wygląda zbyt apetycznie, to szarobura papka, ale odnajdziecie w nim smaki, które zapamiętaliście. Najważniejsze jednak, że ma odpowiednio dopasowane składniki odżywcze. Teraz nie mogę wam pokazać, jak to działa, gdyż jest już za późno na obiad, a za wcześnie na kolację. Musimy poczekać do osiemnastej, to już niecałe dwie godziny. Aha, pamiętajcie: metalowe tacki odkładacie tam, skąd je wzięliście. Jeść nie możemy, ale napoje to co innego; można je dostać o każdej porze dnia i nocy. Ale i tu są ograniczenia: nie dostaniecie więcej niż trzy litry na dobę.

Starzec pogładził swoją długą, siwą brodę i usiadł w jednym z obszernych foteli, nie ukrywając zmęczenia. Jego kompani poszli jego ślady. Zapanowała cisza, w której mogli usłyszeć bicie własnych serc oraz szum w uszach, powodowany przez przepływającą krew.

- To chyba wszystko, co miałem wam do powiedzenia - przerwał ją po kilku chwilach instruktor nowego życia całej trójki i zamknął oczy.

Nie dane mu jednak było wypocząć. Mąż jego córki poczuł się oszukany i nie zamierzał tego tak zostawić. Stał naprzeciw teścia, z miną zdradzającą, że chce powiedzieć coś nieprzyjemnego, lecz ze zdenerwowania nie mógł rozluźnić gardła na tyle, by wydobyć z siebie chociażby najcichszego szeptu. Po chwili jednak zwyciężyła buńczuczna część jego osobowości i wykrzyknął ze złością swoje ulubione słowo.

- Kurwa!

Po czym usiadł z powrotem na fotelu i próbował się uspokoić. Gdy mu się to udało, odezwał się łagodniejszym tonem:

- Miałeś nam wyjaśnić, gdzie jesteśmy. Co to w ogóle jest za miejsce? I kim ty, do cholery, jesteś. Mówiłeś, że ten filmik, który oglądaliśmy, pozwoli nam to pojąć. No to słuchamy.

- Dobrze. Nie mogę wam powiedzieć wszystkiego, na razie i tak byście nie zrozumieli. - Starzec odchrząknął z taką miną, jakby w jego gardle latała chmara much i próbował je przepędzić, poprawił się w fotelu i dalej mówił typowym dla siebie zmęczonym głosem. - Otóż jest to coś w rodzaju bunkra. Ma on półtora kilometra średnicy, z zewnątrz i około kilometra wewnątrz. Jego ściany zostały wykonane z niezwykle wytrzymałej stali, ze specjalnie na takie potrzeby opracowanego stopu. Jest w nim między innymi ołów, który nie przepuszcza promieniowania gamma, cyrkon, który odbija promieniowanie elektromagnetyczne i...

- Nie o to chyba chodziło twojemu kochanemu zięciowi, staruszk. - Myśliwy wszedł starcowi w słowo i do tego machnął ręką na znak protestu bądź zniecierpliwienia. - Oszczędź nam tych szczegółów technicznych, i tak nie zrozumiemy. Powiedz nam lepiej, do czego to służy, kto i kiedy to zbudował i skąd wiedziałeś, gdzie jest bunkier i jak go obsługiwać.

- No właśnie! - poparł go podenerwowany Barbarzyńca.

Starzec ponownie westchnął głęboko i zanim zaczął mówić, przetarł zmęczoną twarz.

- Problem polega na tym, że nie mogę wam tego wyjaśnić, jeśli nie zacznę od początku, czyli od tego, w jaki sposób zbudowano ten bunkier. Ale dobrze. Spróbuję inaczej. Wybudowali go ludzie... - przerwał i podniósł się na fotelu. Jego mina zdradzała, że nie bardzo wie, jak streścić im historię tego miejsca w przystępny sposób. - Wkażdem razie powstał jeszcze przed potopem - zaczął od nowa. - Takich bunkrów zbudowano wtedy kilkanaście. Każdy ma kilkaset pięter, a na każdym piętrze znajduje się inne laboratorium. Biologiczne, chemiczne, techniczne, genetyczne albo jeszcze jakieś - przerwał wyliczankę, przypominając sobie, co mówili o szczegółach. A dodatkowo jest to swego rodzaju magazyn, jak by to ująć, historii. Przechowywane są tutaj genomy większości roślin i zwierząt zamieszkujących tę planetę w trakcie całej jej historii. I można je w każdej chwili powołać do życia, odtworzyć. Jest też biblioteka, potężne składowisko danych, wszystko, co ludzkość zdołała przez wieki utrwalić, w różnorodnej formie. Słowem: wszystko, czego dokonała poprzednia cywilizacja, lub raczej cywilizacje, zmagazynowane jest właśnie tutaj.

Skończył triumfalnym tonem i patrzył po twarzach swoich towarzyszy, ciesząc się ich zaskoczeniem i niedowierzaniem. To, co usłyszeli, zamiast wyjaśnić, namieszało im w głowach.

- Ale po co? - Myśliwy odezwał się jako pierwszy.

- Po to, żeby w razie potrzeby zamknąć się tu nawet na kilka tysięcy lat, a gdy już będzie można bezpiecznie wyjść na powierzchnię, zrekonstruować florę, faunę i stworzyć człowiekowi dogodne warunki życia. Naturalne warunki.

- Kilka tysięcy lat? Chyba nie chcesz powiedzieć, że my tu będziemy tyle siedzieć? - Myśliwy tak się przejął tą perspektywą, że nie pomyślał nawet o tym, że ludzie nie żyją tak długo.

Starzec chciał mu coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili jego zięć wstał i rzucił kilka przekleństw w stronę teścia.

- Dobrze, staruszkule - mówił już spokojniej. - Oczywiście, możemy sobie to wszystko oglądać na tym... no... na telewizorku, ale my nawet nie wiemy, czego szukać ani od czego zacząć.

Starzec pokiwał głową ze rozumieniem.

- Mamy dużo czasu - oznajmił. - Posiedzimy tu kilka miesięcy. Zaczniemy oglądać filmy o historii ludzkości. Przechodźcie chronologicznie, od najstarszych cywilizacji do najmłodszej. Spróbujcie dowiedzieć się jak najwięcej o technice, medycynie i naukach przyrodniczych, prześledźcie ich rozwój. Jeżeli będziecie mieć jakieś wątpliwości, zawsze możecie zażądać objaśnienia, tłumaczyłem wam, jak to działa, lub ostatecznie zwrócić się do mnie. Na razie jednak chciałbym, abyście mi dali spokój. Jestem wyczerpany do granic możliwości. Muszę odpocząć kilka dni i zregenerować organizm. Od razu się położę, nie mam siły nawet jeść, choć zbliża się pora kolacji.

Z każdym słowem starca jego zięciowi mina rzedła coraz bardziej. Nie takiego rozwoju wypadków oczekiwał. I nie takiej wiedzy. Nie chciał marnować czasu na naukę o przeszłości, i to tak odległej, zależało mu raczej na opanowaniu umiejętności, które pomogłyby mu powrócić na wyspę, z której został kiedyś tak brutalnie uprowadzony. Skoro przekonał się, że nie może na to liczyć, postanowił przynajmniej nakłonić starego, by ten wyprowadził go na zewnątrz. W końcu od dawna planował wielką ucieczkę, więc mógł sobie poradzić i bez tych wszystkich cudeniaków, jakie widział w bunkrze na każdym kroku.

- Mnie nie interesuje to, co się działo miliony, tysiące, a nawet setki lat temu - zakomunikował zmęczonemu teściowi z wielką determinacją, słyszaną w każdym słowie. -

Nie chcę być teraz więźniem tej twojej techniki, tak jak wcześniej Rady. Posłuchaj... - zrobił krótką pauzę i spojrzał starcowi prosto w oczy - chcę tylko popłynąć na moją wyspę.

Starzec nie okazał zdziwienia.

- Pewnie nie powinienem wam tego mówić - kontynuował młody - ale już trudno, skoro razem w tym tkwimy, to muszę wam zaufać. Zbudowałem łódź. Cała jest aluminiowa, a więc wytrzymała, i ma spalinowy silnik. Jest też wystarczająco duża, bym mógł zabrać jedzenie na dwa tygodnie i paliwo na kilka tysięcy mil rejsu. Planowałem to kilkadziesiąt lat, potem w ukryciu pracowałem nad konstrukcją. Dobrze wiesz, że twoja córka też brała w tym udział. - Świdrował spojrzeniem teścia. - Jej śmierć była częścią mojego planu ucieczki, nie chcesz chyba, by poszła na marne? Muszę popłynąć. Ale wcześniej muszę się poddać kuracji. Bez niej nie mam szans, teraz nawet przebiegnięcie kilkuset metrów to dla mnie olbrzymi wysiłek. I trzeba to zrobić jak najszybciej, nim wojsko znajdzie fiołki, a w końcu i łódź.

- Spokojnie, młodzieńcze. - Starzec zachowywał się tak, jakby rozmawiali o pogodzie, a nie spektakularnej ucieczce na wrogą wyspę. - Nawet nie wiesz, dokąd płynąć. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Mężczyzna opadł ciężko na fotel. Słowa starca zwały go z nóg. Teść miał rację. W jednej chwili uzmysłowił sobie, że wyprawa, której tyle poświęcił, to fantasmagoria.

- Po drugie - stary nie oszczędzał naiwnego buntownika - nawet gdybyś wiedział, w którym kierunku płynąć, nie umiesz żeglować. Zgubisz się na oceanie. Po trzecie, nie wiem, czy zauważyłeś, ale miejsce, w którym się znajdujemy, wyprzedza technologicznie twoją łódkę. Nie sądzisz, że mógłbym ci pomóc?

- Więc mi pomóż, kurwa, a nie opowiadaj pierdol. - Młody odzyskał rezon. - Powiedz mi, jak nawigować i zbuduj mi zajebiście wspaniałą łódź. A potem się pożegnamy i każdy pójdzie w swoją stronę.

Starzec pokiwał głową, ale trudno to było uznać za wyraz zgody. Po chwili zimno oznajmił zięciowi, iż nie zamierza wypełniać jego poleceń.

- Nie jestem w stanie nauczyć cię nawigacji w ciągu kilku minut, a nawet godzin - tłumaczył. - To potrwa. Łódź też się znajdzie, ale nie tak zaraz. Daj mi odpocząć. Też powinieneś się uspokoić i przemyśleć plan swojej wyprawy.

Młody miał niepewną minę, ale widać było, że nie zamierza stawiać oporu. Wiedział, ile od tego zależy.

- Musisz się jeszcze wiele dowiedzieć o sobie, zanim popłyniesz do swoich, jak ich nazywasz. - Głos starca był teraz ostry i nieznoszący sprzeciwu. - Filmy dotyczące historii są

ci niezbędne, uwierz mi. Musisz się nauczyć sporo o technologii i o tym, co dawniej potrafiono zrobić z ludzkim ciałem. Bez tego twoja wyprawa nie ma sensu.

Stary skończył niespodziewanie i udał się do swojej kabiny. Młody odprowadził go gniewnym spojrzeniem, lecz już nie próbował z nim polemizować.

Myśliwy podczas rozmowy swoich kompanów siedział z odchyloną do tyłu głową i zamkniętymi oczami. Wciąż nie zmieniał pozycji. Jemu było całkowicie obojętne, czy wydostaną się z tego podziemnego świata, czy też zostaną tu na zawsze. Może nawet wolałby to drugie. Jedzenia im tu nie brakowało, rozrywki mieli zapewnione. A na powierzchni szukało ich pewnie z tysiąc mundurowych.

Pokrzepiony myślą o słodkim nieróbstwie, wstał, pogwizdując, i też poszedł do siebie. Postanowił coś obejrzeć.

Jego młody towarzysz słyszał, jak szurał miękkimi podeszwami o metalową, ciepłą podłogę, ale nie zwrócił na to uwagi. Zajmowały go tylko własne sprawy. Nie wiedział, co ze sobą począć. Siedział kilkadziesiąt minut w bezruchu, rozmyślając nad całym swoim życiem, którego połowy praktycznie nie pamiętał. Był tak blisko osiągnięcia swoich zamiarów i wszystko wzięło w łeb przez ten głupi wypadek na plaży. Co prawda udało mu się uciec z więzienia, ale co z tego, skoro trafił do kolejnego. Tak właśnie myślał teraz o bunkrze. A od dawna dopracowywany plan okazał się mrzonką.

Z odrętwienia i gorzkich rozmyślań wyrwało go pogwizdywanie myśliwego, który wyszedł pobrać kolację.

- Ty ciągle tu? - zdziwił się, widząc zafrasowaną minę towarzysza. Ale nie wypytywał. Zamiast tego powiedział: - Pora kolacji, chodź coś zjeść. Z pustym brzuchem nic mądrego nie wymyślisz. Podjesz sobie, to ci się będzie lepiej myślało. Może nawet nastrój ci się poprawi.

Młody westchnął ciężko i wstał. Uznał, że to słuszna rada.

- Co mi zależy. Kilka lat w tę czy w tę... - powiedział bardziej do swoich myśli niż do głodnego kompana.

- Mam dokładnie takie samo zdanie. - Tamten jednak odpowiedział. - Ja mam zamiar zostać tu jak najdłużej. Gdyby tak jeszcze sprowadzić tu kilka pańienek...

Mężczyzna nie skomentował wesołego nastroju myśliwego ani też mu się nie poddał. Poszedł jednak za kompanem i bacznie obserwował jego poczynania przy maszynie do posiłków, a potem powtórzył te same czynności. Po chwili człapał niechętnie w stronę stołu, niosąc tackę, której wygląd nie dodawał apetytu. Brunatnozielona papka okazała się na

szczęście dużo lepsza w smaku. Pochłonęli całe porcje, a potem, zgodnie z wytycznymi starca, odnieśli puste naczynia do automatu.

- Nie wiem jak ty, ale ja mam zamiar teraz obejrzeć wszystko, co znajduje się w mojej kabinie - powiedział myśliwy i nie czekając na reakcję towarzysza, obrócił się na pięcie i wszedł do siebie.

Młody obserwował go bez większego zainteresowania. Nie pozostało mu nic innego, jak uczynić to samo. Powlókł się więc do kabiny, którą mu przydzielono, i spędził długie godziny, próbując nauczyć się sztuki nawigacji i żeglugi z filmów, których obfitość znalazł w bazie danych. Ich zawartość mocno go jednak rozczerowała, szczególnie w kontekście tego, co starzec mówił o inteligencji systemu. Co rusz natrafiał na informacje, które uważał za nieprzydatne. Poznawał tajniki nawigowania za pomocą sygnałów wysyłanych przez satelity, by zaraz potem dowiadywać się o umiejętnościach ptaków, ryb czy delfinów. Ale mimo wszystko była to bardzo pouczająca lekcja. Dowiedział się choćby o Słonecznym Kamieniu Wikingów, poznał wiele pożytecznych przedmiotów, takich jak sekstant, chronometr czy choćby cyrkiel, oraz liczne metody zliczeniowe. Pod koniec tego długiego seansu miał już tyle informacji, że nie umiał ich sensownie poukładać sobie w głowie. Dopiero teraz pojął, jak trudna jest sztuka nawigacji, ale wraz z tym odkryciem zyskał też nadzieję, że - jeśli przyłoży się do nauki - poradzi sobie z nią.

Czując przesyt wiedzy żeglarskiej, postanowił dowiedzieć się czegoś o wyspie, z której pochodził. Szukał i szukał, używał wszelkich możliwych metod perswazji w stosunku do systemu wyświetlania, z krzykiem i przekleństwami włącznie, ale żadnych filmów na temat wyspy nie mógł znaleźć. W dodatku widoczne na ekranie dane geograficzne dotyczące planety przeczyły temu, co już wcześniej udało mu się samodzielnie dowiedzieć. Było to dla niego mocno irytujące i frustrujące. Nie wiedział, czy on przez całe swoje życie był wprowadzany w błąd, czy też superinteligentny system, tak zachwalany przez teścia, najzwyczajniej w świecie się myli; oczywiście przychodziło mu też do głowy, że nie potrafi obchodzić się z tym urządzeniem na ścianie, i to, czego się dowiaduje, jest wynikiem błędnych komend. Wreszcie, zrezygnowany, postanowił porozmawiać z teściem. Chciał na spokojnie dowiedzieć się, jak długo będzie musiał czekać, zanim ten zdecyduje się udzielić mu niezbędnych informacji oraz pomocy. Potrzebował nowego konkretnego planu.

Tymczasem w kabinie starca nikogo nie było. Zdziwiony mężczyzna zajrzał następnie do kabiny prysznicowej, a gdy i tam nie znalazł teścia, pomyślał, że pewnie jest u myśliwego. Okazało się jednak, że ten śpi, a w pomieszczeniu nikogo więcej nie ma. Niezajęta kabina również była pusta. Zaglądał do szaf, łazienek, a nawet pod łóżka, ale nigdzie go nie było. W

końcu postanowił obudzić myśliwego. Ten też zaczął od przeszukania całej dostępnej im przestrzeni, nie dowierzając młodemu mężczyźnie. Gdy się w końcu sam przekonał, że starego nie ma, był równie mocno zdezorientowany jak jego towarzysz.

- Sądysz, że nas zostawił? - zapytał Barbarzyńca.

- Mam nadzieję, że nie. Może to blaszane pudełko wymaga jakiejś, nie wiem... obsługi? Może poszedł sprawdzić, czy wszystko działa jak trzeba? - zastanawiał się głośno myśliwy.

- Kiedy go ostatnio widziałeś?

- Nie wiem. Wiele godzin temu.

Musieli przyznać przed sobą, że stracili poczucie czasu. Brak wschodów i zachodów słońca wpływał na ich rytm życia i niweczył dotychczasowe przyzwyczajenia. Czas odmierzali posiłkami, ale że te nie korelowały z widokiem za oknem, nie wyznaczały dobowego rytmu. Nigdzie nie było kalendarza a żaden z nich nie pomyślał, by zacząć odliczać dni. Dopiero teraz uświadomili sobie, że nie widzieli się pewnie od tygodnia.

- Ja nie spotkałem go ani razu w porze posiłków - zauważył najmłodszy z uciekinierów.

- Ja też nie - przyznał jego towarzysz. - Myślę, że nie ma się czym przejmować. Jeżeli nawet wrócił na powierzchnię, to chyba wie, co robi. Zresztą i bez niego damy sobie radę. Wystarczy mi to, co tu mam. Filmy, które teraz oglądam...

- Nie opowiadaj mi teraz o tych zaszanych filmach - przerwał mu gwałtownie zięć starca. - Może i ty przeżyłeś już, co miałeś do przeżycia, i chciałbyś tu zdechnąć, ale ja mam jeszcze coś do zrobienia. Jeżeli ten skurwysyn sprowadził nas tu, bo ma wobec nas jakieś nieczne plany, to obiecuję, że, kurwa, zmartwychwstanę i zabiorę go ze sobą do grobu - zaczął wygrażać, porażony nagłą myślą, że dał się złapać w pułapkę. - Mówię ci. Ten dziad coś knuje...

- Nie dowiesz się tego, dopóki nie wróci. - Uśmiechnął się do niego myśliwy, wciąż spokojny, i wrócił do swojej kabiny.

Młody został z niedokończonym zdaniem na ustach, którego nie miał już komu powiedzieć. Zaczął się rozglądać, bezczynne czekanie na starca doprowadzało go do szału. Spojrzał w stronę drzwi, które powinny prowadzić do dalszej części tej niezwyklej budowli, potem śmiało podszedł do nich i zaczął wystukiwać na panelu różne kombinacje cyfr. Żadna z nich nie okazała się jednak tą właściwą. Po godzinie tej bezowocnej wyliczanki zaczął uderzać pięścią w wyświetlacz; przestał dopiero wtedy, gdy poczuł, jak drętwieje mu dłoń.

Rzucił jeszcze kilka przekleństw w stronę nieprzyjaznego urządzenia i wrócił do swojego pokoju.

Przez kolejnych kilka dni nie spędził w nim jednak zbyt wiele czasu. Zwykle siedział w głównym pomieszczeniu, obserwując drzwi w nadziei na powrót teścia. Wreszcie młody mężczyzna przestał w ogóle korzystać z łóżka i prysznic, wciąż czatował przy wejściu, bojąc się, że przegapi moment, gdy stary pojawi się choć na chwilę. Przesiedział tak ponad dwa tygodnie.

Myśliwy początkowo obserwował go z pobłażaniem, potem z niecierpliwością, aż w końcu dał mu do zrozumienia, że przesadza.

- Cuchniesz jak padlina. Idź się umyj i przebierz - zasugerował wprost. - Nie martw się, tatuś wróci - dodał drwiąco.

Musiał przyznać, że drażnienie młodzieńca sprawiało mu przyjemność. Po tygodniach spędzonych tylko w towarzystwie szklanego ekranu, była to dla niego nie lada rozrywka.

- Wiem, że wróci. Po nasze truchła wróci. - W głosie młodego mężczyzny było sporo złości, ale i wiele rozpacz. - Mówię ci, on nas tu zostawił na pewną śmierć. Zabrał nas ze sobą tylko po to, żebyśmy odkopali ten przekłety właz. Sam by nie dał rady. Pierdolony, stary cwaniak.

Dla myśliwego tego było już za dużo. Podeszedł do chłopaka i uderzył go otwartą dłonią w twarz.

- Idź się umyj, ty płacziwa łajzo - krzyknął, znów podnosząc rękę. - Leżysz tu jak jakiś kretyn. W końcu wróci. A jeżeli nie wróci, to zdechniesz pod drzwiami?

- Przecież on też musi coś jeść. - Młody tłumaczył, dlaczego nie opuszcza miejsca obserwacji.

- Tak, tylko z tego, co mówił, ten bunkier jest wielki jak góra, więc pewnie jest tu jakaś inna jadłodajnia i wcale nie musi tu przyłączyć po żarcie - wykiął jego rozumowanie myśliwy. - Więc idź się umyj, bo już nie mogę wytrzymać. Śmierdzisz, człowieku. Rozumiesz?

Ale młodemu mężczyźnie nie kąpiel była teraz w głowie. Popadał w paranoję. Już nie tylko starca podejrzewał o złe zamiary. Pewnie są w zмовie, myślał, patrząc na myśliwego. Dlaczego się tak uśmiecha? Napawa się swoim zwycięstwem. Podstępem mnie tu sprowadzili i uwięzili. Tylko po co, kombinował.

W pewnej chwili stracił kompletnie kontrolę nad sobą, wstał z podłogi i ciężko dysząc, rzucił się na myśliwego, chcąc go obezwładnić i siłą wymusić na nim przyznanie się do współpracy ze starcem. Tamten jednak zrobił szybki unik i zamiast niego, to atakujący

znalazł się na podłodze. Podniósł się jednak w ułamku sekundy i wymierzył starszemu mężczyźnie cios w szczękę; lecz przeciwnik i tym razem był szybszy. Kolejny unik, potem cios w podbródek i młody leżał jak długi u jego stóp. Myśliwy rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby związać chłopaka, lecz oczywiście niczego takiego nie dostrzegł. Pobiegł więc szybko do jego kabiny i po kilku sekundach wrócił z pościelą zdjętą z łóżka. Chłopak zaczął już dochodzić do siebie i próbował utrzymać się na czworakach. Myśliwy, chcąc uniknąć kolejnej bójki, ponownie go ogłuszył, tym razem potężnym kopniakiem w głowę. Potem bez trudu go owinął prowizorycznym kaftanem i zaniósł do łóżka. Potrzebował jeszcze kubka zimnej wody: wrócił po niego i wylał zawartość na głowę swego towarzysza.

- Co jest? Gdzie ja jestem? - Młodzieńcowi powoli zaczęła wracać świadomość.

- Jesteś w domu i mamusia jest przy tobie. - Myśliwy nie mógł sobie darować żartu.

Ale młody mężczyzna już wszystko rozumiał.

- Rozwiąż mnie, skurwysynu... - wycharczał przez zaciśnięte zęby.

Jego wściekłość rosła równomiernie z poczuciem bezsilności. Czuł się też upokorzony przegraną w bójce z człowiekiem dwa razy od niego starszym.

Myśliwy nie zamierzał jednak spełniać tak osobliwie wyrażonej prośby. Wymierzył koledze kolejny siarczysty policzek i czekał, aż tamten się uspokoi. Kiedy ocenił, że już doszedł do siebie na tyle, żeby pojąć całą sytuację, wyjaśnił:

- Odbiło ci, więc związałem cię i przyniosłem tutaj. Jak będziesz grzeczny, to cię rozwiążę.

- Pewnie, że będę, kurwa, grzeczny. - Młody mężczyzna wypowiedział ostatnie słowo jak rekrut do generała. I zaraz zmienił temat. - Powiedz lepiej, gdzie jest stary.

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Jak wróci, to go zapytamy, gdzie był. Dobrze?

Myśliwy był spokojny i opanowany a wszystkie słowa wypowiadał z uśmiechem, ale i stanowczo, dając młodzieńcowi do zrozumienia, że to on jest panem sytuacji.

- Ciebie nic nie obchodzi. - Młodemu wracały siły i typowa dla niego porywczosć. Wrócił do swoich oskarżeń. - Jesteście w znowie? Do czego ja wam jestem, kurwa, potrzebny? Co wy kombinujecie?

- Nic nie kombinujemy. Nie wiem nic, tak samo jak ty. Nie wiem, co to za miejsce, nie wiem, po co tu jesteśmy, i nie wiem, gdzie jest stary - tłumaczył, nie pozwalając sobie przerwać, choć młody miał na to wielokrotnie ochotę. - Jedyne, co wiem, to to, że sami się stąd nie wydostaniemy. Dlatego czekam spokojnie, aż wróci nasz bunkrowy guru. Nie mam zamiaru napierdalać w drzwi, bo sobie tylko ręce poharatam. Nie będę czekał na niego pod

drzwiami jak ty, bo wiem, że jak będzie chciał, to tu wpuści jakiś gaz usypiający albo coś i przyjdzie sobie bez naszej wiedzy. Może tak robi zresztą, nie wiem. Nic nie wiem, ale nie mam zamiaru się dowiadywać na własną rękę. Jak przyjdzie, to się wszystko wyjaśni.

Słowa myśliwego, logiczny wywód, pozwoliły Barbarzyńcy zobaczyć niedorzeczność własnych poczynań.

- Dobra już dobra - mówił, lekko skruszony, tak jakby przepraszał. - Rozwiąż mnie tylko. Jest mi cholernie niewygodnie.

- Rozwiążę cię, ale jak jeszcze raz mnie zaatakujesz, to cię zabiję. Zrozumiałeś?

- Rozumiem - wyszeptał tak cicho, że myśliwy domyślił się treści wypowiedzi z ruchu warg.

Oswobodził chłopaka, po czym bez słowa wyszedł z jego kabiny, zostawiając swoją ofiarę sam na sam z niewesołymi myślami. Teraz i on czuł odór własnego ciała i z niechęcią powlókł się pod prysznic.

Kolejne dni miały w tym samym rytmie, a raczej wlokły się niemiłosiernie i z trudem układały w tygodnie, a potem i miesiące. Dwaj uciekinierzy, nagle pozbawieni towarzystwa człowieka, który znał dalszą część planu na ich życie, spędzali większość czasu w swoich pokojach, oglądając coraz to nowe filmy edukacyjne. Młody mężczyzna wybierał zwykle te, które opowiadały o osiągnięciach technologicznych, myśliwy natomiast metodycznie studiował historię Wszechświata. W ten sposób obaj poznali dzieje planety na przestrzeni milionów lat jej istnienia, choć z różnych perspektyw. Homo Erectus, Neandertalczyk i Homo Sapiens byli teraz ich dobrymi znajomymi. Wędrowali z pierwszymi ludźmi z Afryki do Europy, by tam zbudować osady, poznali bliżej Babilończyków, Sumerów i Egipcjan, przemierzali pełen tajemnic Daleki Wschód i z fascynacją patrzyli na upadek Cesarstwa Rzymskiego.

Im bliżej byli współczesności, tym obszerniejsze i dokładniejsze stawały się filmy. Tym więcej też mieli pytań i wątpliwości i - zgodnie z zaleceniem swego chwilowego przywódcy - zadawali je swemu niewidzialnemu nauczycielowi, zwykle uzyskując obszerne wyjaśnienia. W taki sposób poznali zasadę działania silnika parowego i spalinowego, odkryli potęgę elektryczności oraz reakcji rozszczepienia jądra atomu, towarzyszyli próbom anihilacji materii otoczonej przez antymaterię, lądowali na Księżycu oraz zakładali pierwsze, samowystarczalne kolonie na Marsie. Poznali nowe gatunki zwierząt, zarówno morskich, jak i lądowych, dowiedzieli się, jak działają ludzkie ciała, odkrywając krok po kroku funkcje poszczególnych narządów i organów. Z każdym dniem dowiadywali się więcej, a jeszcze więcej chcieli wiedzieć. Im większa była ich wiedza, tym większe było pragnienie poznania.

I to nie tylko historii cywilizacji czy historii naturalnej - zajęli się też sztuką, i tą ambitną, i tą rozrywkową. Odkryli nowe gatunki muzyki, przeczytali wiele książek i poznali równie dużo filmów fabularnych, komedii, kryminałów i horrorów. Horrorzy dostarczały im najwięcej rozrywki.

W ciągu spędzonych we dwójkę miesięcy młodszy z nich miał jeszcze kilka napadów paniki, lecz za każdym razem myśliwy pomagał mu dojść do siebie. Wiele zmieniło się w ich wzajemnych relacjach, teraz byli niemal przyjaciółmi, ale też w podejściu do miejsca, w którym się znaleźli. Obaj przyzwyczaili się do swojej podziemnej kryjówki.

I tak minął roku pobytu w bunkrze, podczas którego prawdziwe życie wyspy w żaden sposób ich nie dotyczyło. O starcu już prawie nie rozmawiali, tracąc nadzieję na jego powrót. Obaj godzili się powoli z myślą, że zostaną w tej idealnej kryjówce do końca swoich dni.

Filmy przestały im już wystarczać, coraz częściej szukali swojego towarzystwa. Często przesiadywali w głównym pomieszczeniu, komentując właśnie poznane fakty lub dzieląc się wrażeniami z lektury. Z rzadka pojawiał się też temat przyszłości, każdy z nich miał jeszcze jakieś plany na dalsze życie, choć uważali je teraz za marzenia.

Tego popołudnia, równo rok po tym, jak opuścił ich starzec, też razem spędzali czas przed kolacją.

- Czy ty też uważasz, że przeszłość, cała historia, ma wpływ na naszą osobistą przyszłość? - Myśliwy podzielił się przeczytaną mądrością ni stąd, ni zowąd, w środku dyskusji o wyższości potęgi umysłu nad inteligencją fotonową.

- Znowu jakieś filozoficzne brednie czytałeś? - Młodemu nie w smak była zmiana tematu, bo czuł, że w prowadzonej właśnie dyskusji ma więcej argumentów. - Co się stało, to się nie odstanie. Siedzimy tu sobie i czekamy na coś. Najgorsze jest to, że nie wiemy na co - odpowiedział.

Myśliwy długo się nie odezwał. W końcu rzekł:

- Zastanawia mnie tylko taka rzecz. Gdybym nie zastrzelił twojej żony tam na plaży, to siedzielibyśmy tu teraz czy nie?

Młody spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. Nie pojmował, po co kompan tak po prostu podsuwa mu to przykre wspomnienie. W ułamku sekundy przypomniał sobie całe swoje przeszłe życie. To, co zostawił tam, gdzie mieszkał przez ostatnie lata. Cały jego świat już nie istniał. Żona, dzieci, kilku znajomych i dom, w którym mieszkał, stały się przez czas jego ukrywania się tak odległe, jakby to były opowieści o życiu całkiem obcego człowieka. Niewiele mu z tamtych dni zostało, ledwie kilka obrazów wspólnie spędzonych chwil, kilka zapamiętanych rozmów i portretów, ale zamazanych.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział wreszcie myśliwemu. - Wiem tylko, że nie chcę tu siedzieć. Miałem całkiem inne plany.

Utkwił wzrok w ścianie i zdawał się teraz zupełnie nieobecny.

- Przyszłość ma w dupie twoje plany - Myśliwy zaśmiał się z własnych słów, jak z dobrego dowcipu. - To, czego ty chcesz, nie jest ważne.

Chłopak otrząsnął się z wspomnień i wrócił do rozmowy.

- O co ci chodzi? Nie rozumiem twojego pytania. - Był teraz wyraźnie podenerwowany. - Czy to, co zrobiliśmy kiedyś, ma wpływ na to, co będzie w przyszłości? O to pytałeś?

- Nie! Czy to, co się stało w przeszłości, ma wpływ na to, co się dzieje teraz w naszym życiu - uściślił jego kompan.

- Pewnie, że tak. - Tym razem odpowiedź była natychmiastowa. - Gdyby stary nie wybudował tego bunkra, to byśmy tu nie siedzieli.

- A jak to się stało, że cię złapali? - Myśliwy pozornie znów zmienił temat.

- Miałem wypadek na plaży. Przygniótł mnie kawał drewna, wyrzucony przez sztorm. Podjechałem zbyt blisko brzegu, żeby ratować topielca. Niewiele więcej pamiętam. Obudziłem się w szpitalu, na chwilę, a potem to już kojarzę tylko celę.

- Właśnie o tym mówię. To, co się wydarzyło, nie było konsekwencją twoich działań. Był sztorm, którego nie planowałeś, był topielec, który wszedł do wody z własnej woli, i akurat wtedy, gdy ty tam byłeś.

- Tak, tylko że to była moja decyzja, żeby tego człowieka ratować, mimo warunków, które na to nie pozwalały - zauważył młody mężczyzna.

- Ratowałeś go, bo to twoja praca.

- Owszem, ale zgodziłem się na wykonywanie tego zajęcia. Po drugie, nie mógłbym zostawić człowieka w potrzebie samemu sobie.

- No dobra, to poszukajmy wcześniej) - rozechocił się myśliwy. Powiedz mi, jak dostałeś tę robotę, skoro byłeś poszukiwany?

Chłopakowi odjęło mowę, gdy usłyszał to pytanie. Ponownie zapatrzył się gdzieś w dal. Po chwili zaczął mówić, ale raczej było to głośnie myślenie niż swobodna wypowiedź.

- Nic z tego nie rozumiem. Pamiętam urywki z własnego życia na mojej wyspie. Właściwie to nie z życia, to są urywki snów, które udało mi się zapamiętać. Pamiętam kobietę, która się do mnie uśmiechała, i gromadkę roześmianych dzieciaków. Pamiętam także pocałunki tej kobiety i ciężar dzieci, które nosiłem na rękach. Pamiętam zabawy, pamiętam ciężką pracę i pamiętam także niesamowity ból i strach. Wszystko to jednak tylko sny.

Myśliwy tylko kiwał głową. Widział, że jego towarzysz przerwał tylko po to, by nabrać tchu. Czekał na dalszą część opowieści powieści.

- Z prawdziwego życia pamiętam tylko laboratorium i różne dziwne testy - podjął tamten, takim głosem, jakby mówił za niego ktoś ukryty w jego głowie. - Byłem związany. Przypinali mi do ciała jakieś różne kable i przyssawki. Pamiętam operacje, jakieś zabiegi, narkozy, badania i przesłuchania. Wszystko to było męczące i bolesne. Pamiętam ogień i ucieczkę. Potem tylko woda. Obudziłem się na plaży i zobaczyłem kobietę. Jakoś znalazłem się u niej w domu. Została moją żoną.

- Pamięć może płatać figle, szczególnie po takich strasznych przeżyciach - przyznał myśliwy. - Ale co z pracą? - wrócił do swojego pytania. - Nie miałeś problemów, gdy się o nią starałeś?

Chłopak pokręcił w zamyśleniu głową.

- Nie! Miałem dokumenty i wszelkie zaświadczenia potrzebne do rejestracji. Wynikało z nich, że jestem Leniwcem po kuracji.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to znaczy i o co chodzi. Problemów jednak nie miałem żadnych.

Przez dłuższą chwilę trwało milczenie. Młody mężczyzna wracał do przeszłości, a myśliwy widział, że jest mu ciężko, i nie chciał drażnić tematu. W końcu jednak nie wytrzymał i zdjęty ciekawością, zapytał:

- Naprawdę pochodzisz z Drugiej Wyspy?

- Co?

Młody człowiek spojrzał na myśliwego, jakby właśnie mu się objawił. Ten, widząc zmieszanie na twarzy młodzieńca, zapytał ponownie:

- Pochodzisz z Drugiej Wyspy?

- Wszystko na to wskazuje - odpowiedział młody mężczyzna już zupełnie normalnym głosem.

- Zapewne zostałeś stamtąd uprowadzony, zgadłem?

- Pewnie tak. Nie sądzę, żebym zostawił całe swoje życie dla jakiejś przygody na statku płynącym w nieznane.

- A gdy już znalazłeś się na wyspie, to w końcu udało ci się uciec?

- Uciekłem, ale nie pamiętam jak. Być może dokonałem tego sam, możliwe jednak, że ktoś mi w tym pomógł.

- Tak, mogło być i tak, i tak - przyznał myśliwy, który traktował opowieść swojego kolegi, sklejaną z taką trudnością, jak fascynującą zagadkę. - A później zostałeś znaleziony

przez kobietę. - Teraz on ją snuł, z wyraźną przyjemnością. - Zabrała cię do domu i wykurowała. Chciała, żebyś z nią został, a ty się zgodziłeś. Poszedłeś do biura, zarejestrowałeś się, dostałeś pracę... Potem urodziły wam się dzieci i żyliście jak gdyby nigdy nic.

- Nie do końca - zaproponował wreszcie chłopak. Już wcześniej miał ochotę przerwać.

- Co znaczy: „Nie do końca”?

- Na początku ona chciała tylko pomóc mi wrócić na moją wyspę. Dopiero po jakimś czasie pojawiło się coś między nami.

- Mniejsza z tym. - Myśliwy zamachał rękoma, jakby chciał odegnać chmurę komarów. - Miałeś dom, pracę czyszciciela plaży i rodzinę. Miałeś jednak zamiar wrócić na swoją wyspę? - Tego mężczyzna, który już okazał swoje zamiłowanie do wygodnego życia, nie umiał pojąć.

- Tak.

- Aż pewnego dnia przytrafił ci się przykry wypadek i znalazłeś się w szpitalu. - Ton opowiadającego był odpowiedni do grozy sytuacji. - I tam odkryli, kim jesteś?

- Tak było - potwierdził młody mężczyzna.

- Później znaleźliśmy się w jednej celi i wspólnie z niej uciekliśmy. A teraz jesteśmy tu we dwóch, pozostawieni samym sobie, bo stary postanowił pójść sobie w siną dal.

Młodzieniec nie miał nic do dodania. Własna historia, którą wysłuchał z ust myśliwego, sprawiła, że znów oddał się rozmyślaniom.

- Ile masz lat? - spytał nagle jego towarzysz.

Na to pytanie nie był w stanie odpowiedzieć.

- Nie wiem - przyznał. - Mówiłem ci, nie pamiętam, co się ze mną działo na mojej wyspie.

- Nie wiem, co zrobili z tobą w laboratorium, ale jeśli cię nie odmłodzili znacząco, to nie możesz mieć więcej niż osiemdziesiąt, góra sto. - Myśliwy nie poddawał się tak łatwo. - Jak myślisz?

Młody chłopak kiwnął głową. Jego żona uważała podobnie.

- Od pięćdziesięciu lat j esteś tutaj, a więc drugie pół wieku przeżyłeś u siebie na wyspie - liczył myśliwy. A po dłuższej chwili, podczas której na jego twarzy uwidaczniał się znaczący wysiłek umysłowy, dodał: - Chciałeś płynąć do swoich, zbudowałeś łódź i zrobiłeś zapasy na podróż. Zaplanowałeś morderstwo własnej żony, żeby zdobyć deotol, by starczyło ci sił na wyprawę. Wszystko jednak się zmieniło przez wypadek na plaży. Ech, przejebane to życie.

Barbarzyńca nie odpowiedział. Myślał podobnie, ale po tym, co mówił myśliwy, jakoś uleciała z niego nadzieja, którą wciąż żywił. Dalej wszak marzył o spełnieniu planów i swojej ojczyźnie... Wreszcie machnął ręką i poszedł do swojej kabiny. Nie chciał znowu dać się wyprowadzić z równowagi. Tego typu rozterki to była ostatnia rzecz, której teraz potrzebował. Zatrzasnął z hukiem drzwi, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalsze dyskusje, i położył się do łóżka z zamiarem zaśnięcia.

Myśliwy tymczasem długo jeszcze siedział w fotelu, nadal zapatrzonego w punkt na ścianie, który tylko on dostrzegał. Oddał się rozmyśleniom nad życiem swojego towarzysza, a potem jakoś tak gładko przeszedł do uzalania się nad sobą. Uświadomił sobie, że jednak niekoniecznie chce zostać w wygodnym bunkrze na zawsze.

Wreszcie wstał i postanowił ukończyć swoje rozterki podczas snu. Będąc już w drzwiach do swojej kabiny, odwrócił się i szepnął cicho w stronę pokoju współlokatora:

- Najważniejsze to mieć plany i próbować je realizować. Trzeba walczyć o swoje przekonania. Ruszyć dupę, żeby potem nie narzekać, że wszystko to wina przypadku i złych ludzi.

Zakończył to niespodziewane dictum uśmiechem i wszedł do środka. Wskoczył do łóżka i po kilku minutach już spał, podobnie jak jego przyjaciel.

Nazajutrz obaj obudzili się o tej samej, wczesnej jeszcze, porze i jednocześnie wyszli ze swoich kabin, by sprawdzić, czy śniadanie jest już dostępne. Zamiast śniadania, czekała na nich jednak ogromna niespodzianka. To, co - a raczej kogo - zobaczyli w głównym pomieszczeniu, wprowadziło ich w osłupienie. Stali w drzwiach swoich kabin, spoglądając na siebie raz po raz z niedowierzaniem, a potem przenosili wzrok na jeden z foteli, na którym siedział tak długo wyczekiwany przez nich starzec. Kiedy wreszcie oswoili się z tym widokiem, zdali sobie sprawę, że nie wrócił sam. Naprzeciw niego siedział młody blondwłosy chłopak o szerokim uśmiechu i przyglądał się to jednemu, to drugiemu, kręcąc głową. Twarz miał tak gładką, że mogłaby uchodzić za niemowlęcą, i mocno kontrastowała z jego muskularną posturą. On odezwał się pierwszy.

- Dzień dobry, chłopaki - zawołał. - Jak się spało?

Zięć starca nie zamierzał odpowiedzieć na to uprzejme powitanie. Ignorował młodzieńca, wpatrując się tylko w swojego teścia coraz bardziej złowrogo.

- Gdzie byłeś? - zapytał w końcu nieco podniesionym głosem. Widać było, że ma ochotę przywitać starca pięścią.

Ten jednak nic sobie z tego nie robił. Jak zwykle. Odczekał chwilę, dając zięciowi do zrozumienia, że nie obawia się jego krzyków, i powiedział grzecznie:

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Usiądźcie.

Myśliwy nie sprzeciwiał się i bez słowa podszedł do fotela. Usiadł i czekał, nie spuszczać zaniepokojonego wzroku z nieznanego blondyna. Wyglądał jak wystraszone zwierzę, które spodziewa się ataku w każdej chwili, lecz próbuje zachować spokój, by nie sprowokować agresji u potencjalnego napastnika. Młody mężczyzna nie poszedł w jego ślady i wciąż stał w przejściu do własnej kabiny z gniewem wypisanym na twarzy.

- Gadaj, kurwa, gdzieś się podziewał przez tyle czasu? - powtórzył swoje pytanie jeszcze mniej uprzejmie niż poprzednio.

- Usiądź, wiesz przecież, że nic ci nie dadzą te wrzaski. - Jego teść był lekko zniecierpliwiony. Potraktował zięcia jak małego chłopca, który okazuje fochy. - Chcesz się czegoś dowiedzieć, to siadaj i słuchaj. Posadź swoje dupsko na tym pieprzonym fotelu i zamknij się wreszcie.

Młody trwał jeszcze chwilę na swoim stanowisku, niczym snajper gotowy do strzału, lecz wreszcie dał za wygraną i usiadł w fotelu. Ale nie zamierzał przestać mówić. Tylko tak mógł wyrazić swoją frustrację.

- Siedzę grzecznie i słucham. Gdzie ty, kurwa, byłeś przez cały rok? Wylazłeś na górę? Po co wylazłeś i po co tu przywlokłeś tego uśmiechniętego pajaca? - perorował.

Starzec westchnął głęboko i zapytał:

- Jak dużo zdołaliście się dowiedzieć o poprzedniej cywilizacji?

- Dużo więcej niż o mnie samym. Może byś łaskawie przeszedł do konkretów? - Młody wciąż nie zdołał opanować gniewu. Ale w jego pełnych buty słowach pobrzmiewał też lęk przed tym, co ma mu do zakomunikowania starzec na temat realizacji jego planów.

- Spokojnie, właśnie to, czego się dowiedzieliście, pozwoli wam zrozumieć naszą sytuację...

- Wiemy wystarczająco dużo. - Młody mężczyzna wszedł mu w słowo. - Gadaj, co masz do powiedzenia. Mnie nie zdziwi już nic po tym, co widziałem.

Myśliwy zaczął się niecierpliwić. Wiedział, że młody będzie co rusz przerywał starcowi, żądając natychmiastowej odpowiedzi na pytania, które akurat przyjdą mu do głowy. Ale nie miał pomysłu, jak temu zaradzić.

- Nie byłem na powierzchni - mówił tymczasem starzec. - Cały czas byłem tutaj, na dole, w laboratorium numer dziewięć. Ten młody człowiek, który siedzi naprzeciw mnie, to mój klon.

Przerwał i spojrzał na słuchaczy. Ci byli tak zszokowani, że nie umieli nawet tego wyrazić.

- Ja jestem już stary i gotowy na śmierć. Nie mogę jednak tak po prostu odejść i zostawić tego wszystkiego bez nadzoru.

- Mogłeś przynajmniej powiedzieć, że nie będzie cię tu przez dłuższy czas. Dumy starcze, wyjaśnij wreszcie, co to jest za bunkier, po co nas tu przyprowadziłeś i co to za człowiek. - Mężczyźnie wróciła chęć do słownych utarczek.

- Przecież mnie nie potrzebowaliście. Tu macie wszystko, czego wam trzeba do życia. A ja byłem zajęty - tłumaczył cierpliwie. - Postaram się wyjaśnić wszystko po kolei, jeśli nie będziesz mi przerywał co dwa zdania. - Rzucił zięciowi twarde spojrzenie.

- Dobra już, dobra. Zamieniam się w słuch. - Młody rozparł się w fotelu i założył ręce na brzuchu, żeby dowieść prawdziwości swej deklaracji.

Myśliwy przez cały ten czas przyglądał się blondynowi i teraz to on przerwał starcowi opowieść, nie mogąc opanować ciekawości.

- To rzeczywiście twój klon? Po co ci on? - spytał.

- Mówiłem już. Spodziewam się rychłej śmierci, a nie mogę tak po prostu odejść. Klon to jedyny sposób, żeby jakoś przedłużyć moje istnienie.

- To przecież bez sensu. Klon tylko będzie wyglądał tak jak ty. Nie ma przecież twoich myśli i wspomnień. Czyli to tak naprawdę nie ty.

- Nieprawda. Jestem młodszą wersją siebie, dokładnie tym samym człowiekiem - zaprzeczył blondyn z takim samym spokojem, który znamionował starca, po czym wstał, wykonał kilka piruetów, i usiadł ponownie, dodając z uśmiechem: - W dodatku znowu mam obie ręce.

- Wyjaśnijcie nam to łaskawie. - Myśliwy też już zaczął się niecierpliwić.

Starzec tymczasem zwrócił się do swojego klona:

- Może ty będziesz mówił? Ja jestem troszkę zmęczony.

- Wybacz, staruszkule, ale tobie prędzej uwierzą - wymigał się tamten.

- No dobrze, masz chyba rację - zgodził się starzec.

Na opowieść musieli jeszcze trochę poczekać. Ich nieformalny przywódca wpięrow podszedł do jednego z dystrybutorów, pobrał kubek wody i wypił ją duszkiem, a kolejną porcję zabrał ze sobą do stolika. Usadowił się wygodnie i rozpoczął objaśnienia:

- Budowa tego bunkra rozpoczęła się jeszcze w poprzedniej epoce. Takich kul powstało dziesięć. Są one zbudowane z wielu warstw, które mają chronić przed różnymi czynnikami zewnętrznymi, takimi jak woda, gazy, kwasy i zmiana temperatury. Zewnętrzna powłoka zrobiona jest ze stali królewskiej, stopu metali takich jak osm, wanad, żelazo, ołów, platyna oraz kilku innych minerałów, utwardzanych w temperaturze ponad stu tysięcy stopni

Celsjusza przy ciśnieniu ponad tysiąca atmosfer. Ta stal jest odporna praktycznie na wszystko. Może nas zalać lawa z wnętrza Ziemi, a my w ogóle tego nie odczujemy.

- No dobra. Tylko po co to wszystko? - przerwał przechwałki starca jego zięć.

- Możesz chyba poczekać kilkadziesiąt minut, aż objaśnię? - poprosił go grzecznie, acz stanowczo teść. - Już niedługo zrozumiesz, po co tu jesteś i dlaczego.

Młody mężczyzna umilkł, choć nie był pewien, czy uda mu się nie otwierać ust dłużej niż przez minutę.

- Zatem jesteśmy w jednym z dziesięciu superbunkrów. - Starzec starał się mówić zwykłym głosem, choć słyhać było, że ten temat jest dla niego ważny. - Wszystko zaczęło się już w dwudziestym wieku, kiedy ludzie zdali sobie sprawę z zagrożeń. Zaczęło się od samozwańczych proroków nawołujących do przemiany przed końcem świata. Wielu dało im posłuch. Nie brakowało idiotów, którzy zakopywali w swoich ogrodach metalowe puszki z zapasami na kilka lat, sądząc, że dzięki temu przeżyją wojnę atomową, zderzenie Ziemi z asteroidą czy destabilizację Pacyficznego Pierścienia Ognia. Dopiero po upływie kilkuset lat, kiedy wszystko to, przed czym tamci zapobiegliwi chowali się w swoich kontenerach, już się zdarzyło, ludzie zdali sobie sprawę z faktu, że nie są gatunkiem niezniszczalnym i zaczęli szukać jakichś całościowych rozwiązań. Były wojny atomowe, były asteroidy, zdarzyło się praktycznie wszystko, co przepowiadali starożytni prorocy, ludzkość mogła więc na podstawie doświadczeń stworzyć system obronny. Nie nastąpiło tylko jedno.

- Ponowne przyjście Chrystusa na świat? - Myśliwy odzyskał dobry humor.

Starzec i blondyn równocześnie wybuchnęli śmiechem i nie mogli go opanować przez pewien czas.

- Co w tym kurwa zabawnego? Daj mu mówić i nie pieprz tu teraz o tych wszystkich religiach, bo nigdy się nie dowiem tego, czego się chcę dowiedzieć. - Młody nagle stał się orędownikiem ciszy. - Nie dość, że stary opowiada wszystko z detalami, jak te zaszrane filmy, to j eszcze ty j akieś żarty sobie stroisz i przerywasz. - Schował twarz w dłoniach i ponaglił teścia: - Mów dalej, co z tymi bunkrami.

Starzec odetchnął kilka razy głęboko i wrócił do opowieści.

- Nie, nie miałem na myśli takiego czy innego Chrystusa, Mahometa czy Buddy. Chodziło mi o zombie i wampiry, chyba tylko ich oszczędził los ludzkości. I tak nadszedł wiek dwudziesty szósty. - Starzec nagle sam zaczął przemawiać jak prorok. - Wiek przebudzenia. Wszelkiej maści ekolodzy trąbili o tym kataklizmie, ale kto ich tam słuchał. Mieli rację, choć nie do końca. Twierdzili mianowicie, że zmiany klimatyczne są wynikiem działalności człowieka. Teraz już wiadomo, że nie są. Znajdujemy się mianowicie w połowie

cyklu zlodowacenia planety i nikt ani nic się do tego nie przyczyniło. To się po prostu dzieje. Pierwsza epoka lodowcowa była ponad dwa miliardy lat temu. Następna jakiś miliard lat temu, a potem kolejno siedemset, sześćset, pięćset, czterysta i trzysta milionów lat do tyłu. Jak widzicie, średni odstęp pomiędzy tymi zlodowaczeniami to około stu milionów lat, ale nie stało się to normą. Okazało się, że częstotliwość występowania zlodowaceń zwiększa się. W dodatku ocieplenie klimatu, które nastąpiło za naszych czasów, odpowiadało takim samym zjawiskom, które miały miejsce tuż przed nadejściem epok lodowcowych. Po około pięćdziesięciu latach badań i testów, doszliśmy do wniosku, że właśnie rozpoczyna się kolejny okres zlodowacenia ziemi...

- Jak to: doszliście do wniosku? - Myśliwy słuchał uważnie i właśnie coś przestało mu się zgadzać. - Nie pojmuję tego, co mówisz. Kiedy to było? Mówisz o minionej epoce czy o teraźniejszej? Przecież poprzednia epoka skończyła się jakieś pięćset lat temu. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że żyłeś wtedy?

Starzec pogładził się po łysinie i z uśmiechem odpowiedział:

- Tak. Żyłem w tamtych czasach i to ja zbudowałem ten bunkier. Gwoli ścisłości, to nie jest bunkier a Macierz Genetyczna numer Dziewięć. Pozwól mi jednak opowiadać po kolei. I nie było to pięćset lat temu, a tysiąc pięćset. Ziemia znów zaczynała swój cykliczny taniec przemian. Tym razem jednak odbywało się to wszystko szybciej niż zazwyczaj. Z wielu powodów. Po pierwsze, klimat zaczął się ocieplać. Planeta rozpoczęła przebiegunowywanie, co wiązało się ze zmianą wartości pola magnetycznego na wszystkich jej obszarach. To znowuż wpływało na ilość energii słonecznej przedostającej się do atmosfery. Ziemia stała się planetą nieprzewidywalną. Nie tylko temperatura się podniosła, rozpoczął się też czas intensywnych burz. Tornada były codziennością, wiatr i deszcz nie ustawały, a temperatura nie spadała poniżej trzydziestu stopni na biegunach. Lodowce stopiły się w try miga i zatopiły kolejne fragmenty lądów. Ponad trzy czwarte ludzkości po prostu przestało istnieć w ciągu kilkudziesięciu lat. Przez kolejne pięćdziesiąt lat z dwudziestu pięciu miliardów ludzi zamieszkujących Ziemię zostało się zaledwie około miliarda. Wpływ na to miało ograniczenie przestrzeni do życia, pojawiły rozliczne nowe choroby spowodowane choćby awariami elektrowni atomowych umieszczonych na dnach oceanów, a i stare dawały się we znaki; ludzie umierali jak muchy na zwykłą cholere, o której zdążyli już zapomnieć przez te wszystkie wieki, malaria też nie próżnowała. Zmiany klimatyczne były korzystne dla owadów, roznosicieli najpodlejszych zarazków. Mieliśmy dwa wyjścia, aby pomóc naszej rasie przetrwać ten okres: wysiać ludzi na Marsa lub stworzyć przechowalnię kodu genetycznego. Postanowiliśmy uczynić i jedno, i drugie.

- Ty masz tysiąc pięćset lat? - Młodzieniec dopiero teraz uświadomił sobie, co powiedział starzec kilka minut wcześniej.

- I tak, i nie. - Mężczyzna objaśniający powstanie bunkra nie

* krył niezadowolenia z tego, że ktoś znów mu przerwał. - Daj mi mówić, a wnet wszystko zrozumiesz - poprosił raz jeszcze. - Gdzie to ja byłem? A tak, już wiem! Zmiany w klimacie, rozliczne choroby, wojny o każdy skrawek ziemi, pozwalały mieć pewność, że ludzkość jest o krok od wymarcia. Jak mówiłem, mieliśmy ostatni pomysł na ocalenie i zrealizowaliśmy go. Wysłaliśmy odpowiednio zabezpieczony kod genetyczny człowieka na Marsa. Przez kilkadziesiąt lat budowaliśmy na czerwonej planecie stację, która miała stać się swoistą przechowalnią. Udało się. Tyle, że od kiedy nie działają satelity, nie mamy kontaktu z ludźmi, których tam wysłaliśmy, a raczej z ich potomkami. Nie wiemy zresztą, czy ktokolwiek tam się ostał, nawet czy stacja jeszcze istnieje. Tym się jednak nie martwię. Jak powiedziałem, działaliśmy dwutorowo i chcieliśmy też przechować kod genetyczny tutaj, na Ziemi, na wypadek gdyby loty na Marsa przestały być możliwe. Dlatego postanowiliśmy zbudować bunkry, jak kiedyś ci idioci obawiający się zombie, i w nich przechować kod genetyczny. Takie jest ich przeznaczenie.

Starzec popatrzył po swoich towarzyszach, sprawdzając, jakie wrażenie zrobiła na nich jego opowieść. Nieco się zawiódł, dostrzegłszy jedynie znużenie i nieliczne oznaki zaciekawienia. Wiedział jednak, że mężczyźni czekają na ten moment jego opowieści, który będzie ich bezpośrednio dotyczył. Do tego wciąż jednak było daleko.

- Są to całkowicie skomputeryzowane i zrobotyzowane obiekty - kontynuował tymczasem opowieść o możliwościach bunkrów. - Prąd elektryczny wytwarzają dzięki ruchom wody w oceanach. Mogą się przemieszczać w dowolnym kierunku, dzięki systemowi świrdrów, w każde miejsce wewnątrz Ziemi, nawet do samego jej jądra. Są tak odporne, że zdołałyby tam wytrzymać choćby i kilkaset lat. Każdy z nich to mała planeta, a do tego samowystarczalna.

Znów przerwał, chcąc zwilżyć zmęczone gardło. Sięgnął po kubek, wypił jego zawartość i podszedł do automatu po kolejną porcję. To był doskonały moment na zadawanie pytań, ale nikt tym razem się nie odezwał. Uciekinierzy siedzieli w fotelach jak zakłęci, a młody mężczyzna o blond włosach zasnął.

Starzec był już bardzo zmęczony, ale gdy już zaspokoił pragnienie i troszkę odpoczął, wrócił do opowieści.

- Tak więc znajdujemy się w przechowalni ludzkiego kodu genetycznego. Może was zainteresuje, że to, co jecie na co dzień, to nic innego jak pozyskane z wody oceanicznej

minerały, które inteligentny system przetwarza w posiłki. Ale do rzeczy. Zachowanie gatunku to jedno. Włożyliśmy w to wiele wysiłku, ulegając podszeptom instynktu przetrwania. Ale przecież ten instynkt każe troszczyć się nie tylko o gatunek, ale też o siebie. Każdy z nas marzy o wiecznym życiu, prawda? Tak już jesteśmy skonstruowani. Dlatego też zaczęliśmy pracować nad metodą klonowania, to miał być sposób na nieśmiertelność. To nie jest zbyt skomplikowane, problem jednak był z czymś innym: jak sprawić, by kopia miała wspomnienia oryginału? To, że ktoś będzie wyglądał tak samo i genetycznie będzie identyczny nie znaczy przecież, że będzie tą samą osobą. Żeby tak było, musi mieć te same poglądy, doznawać radości i smutków z tych samych powodów, o tym samym marzyć i tym samym być rozczarowany. W przeciwnym razie będzie tylko twoją białkową rzeźbą.

Jego towarzysze niewiele wiedzieli o klonowaniu, teraz pojęli, czym naprawdę jest. I choć nie przerywali starcowi, kiwali głowami ze zrozumieniem. Ten zerknął na nich i widząc, że jego słowa nie trafiają w próżnię, mówił dalej znacznie swobodniej.

- Badania, doświadczenia i testy mające nas doprowadzić do nieśmiertelności trwały ponad sto pięćdziesiąt lat. Kolejne próby kończyły się fiaskiem. Zmiany genetyczne, które miały opóźnić starzenie się komórek, odblokowanie genu odpowiedzialnego za odporność na choroby, spowolnienie metabolizmu i wiele innych pomysłów okazało się naukową mrzonką. Aż w końcu, gdy już prawie straciliśmy nadzieję, wpadłem na coś ważnego. Nie było to jakiegoś wielkiego odkrycie, ale cenna obserwacja. Opowiem po kolei. Technologia, którą wtedy posiadaliśmy, pozwalała mi na trwałe usuwanie owłosienia twarzy, byłem jednak tak zafascynowany przeszłością gatunku ludzkiego, iż postanowiłem zachować sobie zarost. A zatem jako jeden z nielicznych mężczyzn musiałem się golić. Używałem do tego kawałka naostrzonej stali, zwanej brzytwą. Pewnego razu jeden niefortunny ruch spowodował spore skaleczenie na mojej twarzy. Przez kilka dni miałem ranę, ale w końcu ładnie się zagoiła, właściwie nie zostało po niej śladu. Wtedy doznałem olśnienia. Skoro nasza skóra może produkować białka potrzebne do wzrostu włosów i paznokci, potrafi także wytworzyć nowe warstwy samej siebie i wypełnić puste miejsce, czyli ranę, to znaczy, że ma zdolność regeneracji. Ale przecież, myślałem dalej, podekscytowany, nie tylko ona. Organizm potrafi odtwarzać niektóre elementy samego siebie, i to wielokrotnie, nieraz przez prawie cały okres naszego życia. Uznałem to za pewnego rodzaju zachętę ze strony natury do wymyślenia sposobu, który pozwoliłby człowiekowi regenerować każdą komórkę jego organizmu, gdy zajdzie taka potrzeba. Skóra się zrasta, kości się zrastają, wątroba się regeneruje, dlaczego więc ciało ludzkie jako całość nie miałyby posiadać takiej zdolności? Niestety, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, zaczęliśmy od złej strony. Odnaleźliśmy gen odpowiedzialny za

renowację organizmu oraz zdołaliśmy wyodrębnić komórki macierzyste każdego organu znajdującego się w ludzkim ciele. Tyle że ludzie, których poddaliśmy testom, produkowali potrzebne organy w liczbie różnorodnej, nie byliśmy tego w stanie kontrolować, i po kilku dniach umierali. A zatem potrafiliśmy zmusić organizm, by odtwarzał każdą komórkę, bez konieczności mutacji, lecz nie umieliśmy mu kazać, by robił to w momencie, w którym tego potrzebuje. Tutaj jednak przyszła nam z pomocą technologia. Stworzyliśmy procesor, który nie był większy od ziarenka piasku. Określał on stan każdego organu na podstawie analizy impulsów elektrycznych wytwarzanych przez pobliskie neurony i zarządzał jego ewentualną regeneracją. W taki oto sposób stworzyliśmy człowieka odpornego na śmierć. Każdą komórkę zniszczoną przez czas zastępowała nowa. Wymyśliliśmy nieśmiertelność.

Ostatnie zdania starzec wypowiadał z wielkim zaangażowaniem, a kiedy skończył, już zupełnie pompatycznie, odchylił głowę do tyłu i zamyślił się nad tymi wszystkim odkryciami, których był współtwórcą, i nad czasami, które były tego świadkiem. Z przeszłości wrócił za sprawą pytania myśliwego.

- Chcesz powiedzieć, że Bękart istniał naprawdę? - Nie mieściło mu się to w głowie.

- Oczywiście, że tak. Co więcej, on żyje nadal.

Myśliwy przyglądał się staremu przez moment, naznaczony napięciem, aż wreszcie zadał następne pytanie.

- Ty nim jesteś?

- Nie. To nie ja. - Starzec z uśmiechem kręcił głową. - Ty jesteś Bękartem.

Cisza, który zapadła po tych słowach, była niezwykle przejmująca. Nikt nie śmiał skomentować wyznania najstarszego uciekiniera, nim nie zrobi tego myśliwy. Ten bardzo długo milczał, od czasu do czasu tylko głęboko wzdychając. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle.

- To całkiem możliwe - zaczął. - Nie pamiętam, skąd się wziąłem. Mam jakieś wspomnienia sprzed dwustu lat, ale poszarpane i mocno niekompletne, z kolejnych dziesięcioleci już dużo wyraźniejsze, ale nie składają się na życiorys. Myślałem, że to po prostu umysł płata mi figle, że straciłem pamięć, może w jakimś wypadku na przykład. Ale skoro moje komórki mogą się regenerować, to dlaczego tracę pamięć?

Starzec pochylił się do przodu i spojrzał mu prosto w oczy.

- To proste. Jeżeli jakaś komórka obumiera, na jej miejsce powstaje nowa. Rozumiesz? Zupełnie nowa, nienosząca cech, które wykształciła w trakcie swego „życia” jej poprzedniczka. Dlatego tracisz wspomnienia. Czasami zdarza się, że coś wspominasz, to zostaje zapisane ponownie i zostaje z tobą.

- Taka nieśmiertelność nie ma najmniejszego sensu - skrzywił się myśliwy. - Jeśli po jakimś czasie nie będę pamiętał, kim jestem, to przestanę być sobą. To tak samo jak z klonem, jak nam tłumaczyłeś. Jestem tym samym człowiekiem biologicznie, jednak innym niż pięćset lat temu.

- Ty tak, ale to się zmieniło. - Głos niespodziewanie zabrał młody blondyn, który do tej pory tylko przysłuchiwał się rozmowie. - Pozwól, że coś ci wyjaśnię - zaczął, uprzednio porozumiewając się wzrokiem ze starcem. - Zostałeś stworzony przede wszystkim po to, by zapewnić przetrwanie gatunku, być strażnikiem życia planety. Takie były założenia i temu poświęcone były badania. Znalazło się jednak kilku takich, którzy pragnęli nieśmiertelności dla siebie, a nie dbali o ludzkość, i wszelkimi sposobami dążyli do jej osiągnięcia. Jediną przeszkodą było przekazywanie zgromadzonych danych z jednej komórki do drugiej. Nasz mózg wykonuje tę czynność bez najmniejszego problemu, lecz jest to dosyć skomplikowane. Stworzenie klona to jedno. Jednak aby stał się on całkowicie tobą, trzeba mu... Trzeba mu zapisać w mózgu wszystkie twoje myśli. To nam się również udało. Dlatego siedzę tutaj z wami, jako dwudziestolatek.

Młodzieniec i myśliwy spojrzeli po sobie z niepewnością. Ten pierwszy już dawno zgubił wątek i przestał rozumieć, o czym jest mowa. Myśliwy jednak słuchał czujnie.

- Chcesz mi powiedzieć, że ty to on? - zażądał jeszcze raz potwierdzenia.

Myśliwy wskazał palcem najpierw na blondyna, a następnie na starca.

- Tak. Ja to on, czyli ja to ja. On stworzył mnie, czyli swojego klona, a następnie wgrał mi swoje wspomnienia. Wyobraź sobie, że przekładasz swój mózg do nowego, młodszego ciała. Jesteś ciągle sobą, tylko znowu młody.

- Po co to wszystko? - Myśliwy drążył temat.

Blondyn uniosł rękę, widząc, że chce coś jeszcze dodać, i wziął się za wyjaśnianie.

- Stworzyliśmy klony i elektroniczne procesory sterujące mechanizmami biologicznymi człowieka po to, by zapewnić naszej rasie przetrwanie, niezależnie od warunków, jakie kiedykolwiek zapanują na tej planecie. Zakładaliśmy, że możemy długi czas, nawet bardzo długi, żyć pod ziemią, w schronach, ale docelowo chcieliśmy wrócić na powierzchnię. Nie byliśmy jednak w stanie stworzyć sztucznej inteligencji. Czegoś, co samoistnie będzie potrafiło prognozować przyszłość. Taki mechanizm był niezbędny do oceny sytuacji panującej na globie i określenia, kiedy można wreszcie wyjść. Musieliśmy więc zapewnić człowiekowi także przetrwanie informacji. Mogliśmy zostawić film z instrukcjami dla jakiegoś klona, lecz to było zbyt ryzykowne. Nie możemy przecież mieć pewności, co taki klon uczyni. Mógłby chociażby wszystko zniszczyć lub zrobić coś głupiego

przez pomyłkę. Dlatego opracowaliśmy metodę przekazywania danych z mózgu do komputera i z komputera do mózgu. Pamięć człowieka zostaje zdeponowana na dysku magnetycznym, a później wgrana do mózgu innego homo sapiens.

Blondyn zamilkł i czekał na kolejne pytanie. Spodziewał się, czego będzie dotyczyło.

- Jak to robicie? - Nie zawiodła go intuicja. - Podpinacie jakieś kable, którymi myśli biegną do komputera?

- Nie, to nie takie proste. Chociaż dość szybkie, nasza technologia pozwala wykonać ten zabieg w ciągu zaledwie jednego dnia. - Blondyn podrapał się po głowie i zwrócił się do myśliwego: - Czy oglądałeś jakieś filmy o działaniu ludzkiego umysłu?

- Tak, parę widziałem - przyznał.

- Pamiętasz fale magnetyczne?

- No, coś tam pamiętam. Mózg wytwarza takie fale, można je rejestrować specjalnymi urządzeniami.

Mówiąc to, myśliwy uświadomił sobie, że pamięta doskonale wszystkie filmy, które obejrzał, z najdrobniejszymi szczegółami. Teraz i on już wiedział, że ma to związek z ciągłym zastępowaniem starych i zmęczonych komórek mózgu nowymi.

- Otóż częstotliwość fal mózgowych jest specyficzna dla każdego człowieka, tak samo jak kod genetyczny, i jej określenie jest tutaj kluczowe. Poddajemy takiego osobnika działaniu różnych czynników i bodźców dotykowych, smakowych, zapachowych i wizualnych, pokazujemy zdjęcia, filmy, puszczaemy muzykę, odgłosy zwierząt i maszyn, i tak dalej, i tak dalej. Obserwując w tym czasie pracę mózgu, jesteśmy w stanie określić specyfikę jego fal mózgowych. Podczas poddawania człowieka działaniu bodźców, badane są także impulsy elektryczne wysyłane z poszczególnych jego organów do mózgu. Założmy, że to od ciebie będziemy pobierać wspomnienia. Najprościej rzecz ujmując, za pomocą mikroskopijnej igielki wkłuwamy się w okolice nerwu wychodzącego, dajmy na to, z twoich gałek ocznych. Pokazujemy ci różne obrazki, kolorowe karteczki w różnych odcieniach i kształtach, zdjęcia roślin, zwierząt i twarzy oraz setki innych kształtów i cieni. Za pomocą igły badamy impulsy elektryczne wysyłane przez neurony oraz zmiany chemiczne zachodzące w nich. Później to samo robimy ze słuchem, węchem, receptorami czuciowymi i tak dalej. Staramy się także wzbudzić w tobie uczucia, takie jak strach, gniew, współczucie czy złość, aby dowiedzieć się jak i która część twojego mózgu na to reaguje. Dzięki temu dowiemy się, jak widzisz kolory, słyszysz dźwięki, odbierasz dotyk, ból, podniecenie, strach i przyjemność. Mamy schemat pracy mózgu na kawałku dysku magnetycznego i możemy teraz zrobić z nim, co chcemy. Aby wgrać te dane do innego mózgu, wystarczy jedynie powtórzyć

proces badania specyfiki fal mózgowych, sposobu odbierania bodźców oraz przywoływania danych biorcy wspomnień i za pomocą impulsów elektrochemicznych o odpowiedniej częstotliwości, wgrać wspomnienia dawcy, do mózgu biorcy. To właśnie uczyniliśmy w laboratorium numer dziewięć i dzięki temu siedzę tu teraz przed wami jako dwudziestolatek.

Kiedy młody egzemplarz najstarszego uciekiniera wymawiał ostatnie zdania, jego zięć niezmiernie się ożywił. Nie zdołał usiedzieć dłużej na fotelu, wstał i zaczął nerwowo rozczesywać palcami swoje splątane włosy. Pozostali przyglądali mu się, oczekując kolejnego wybuchu wściekłości. Nic takiego jednak się nie wydarzyło: Barbarzyńca po chwili wrócił na fotel i przyglądał się raz po raz to teściowi, to jego klonowi. W końcu zaśmiał się sarkastycznie, zatrzymując wzrok na starcu.

- To ty jesteś profesorem, którego szuka Agencja od pieprzonych wieków? - powiedział tak, jakby właśnie puentował dobry dowcip.

- Tak!

- A ty z kolei - mówił teraz do myśliwego - jesteś tym pierdolonym Bękartem, o którym opowiadają legendy?

- Tak. - Tym razem też odpowiedział starzec. - To jest właśnie ten osławiony Bękart. Jak widać żyje i ma się całkiem nieźle, jak na swoje tysiąc pięćset lat.

- A ja jestem Barbarzyńcą, którego również szuka teraz pewnie cała armia na wyspie?

- Młody przydzielał zebranych nowe role z rosnącym zaangażowaniem.

- Tak. Jesteś Barbarzyńcą z Drugiej Wyspy i ściga cię cała armia.

- Ten tutaj - kiwnął głową w stronę blondyna - to ty, tylko młodszy?

- Tak. To ja, tylko młodszy.

- Nie, kurwa, nie, nie, nie, nie, nie... - Młody powtarzał bez końca, coraz zamasyściej kręcąc głową.

Reszta obserwowała jego dziwaczne zachowanie, dając mu czas na oswojenie się z sytuacją. Długo to trwało, ale wreszcie wziął głęboki wdech, potem powoli wypuścił powietrze z płuc i się uspokoił. Teraz potrzebował dodatkowych wyjaśnień.

- Może byś jakimiś ludzkimi słowami opowiedział, co to, kurwa, jest za świat, w którym my teraz żyjemy? - zwrócił się do starca lekko tylko podniesionym głosem. - Bo jak na razie to rozumiem tylko tyle, że zbudowaliście sobie jakieś bunkry miliony lat temu, żebyśmy mogli przeżyć pierdolone, długie zimy Tymczasem na powierzchni jest ze dwadzieścia stopni i nic nie wskazuje na to, żeby miało się ochłodzić.

Starzec westchnął. Był już zupełnie wyczerpany, a tymczasem oczekiwano od niego, że opowie wszystko od nowa. Zebrał jednak resztki sił i zaczął streszczać historię raz już opowiedzianą.

- Wiesz już o klonach, zmianach genetycznych powodujących przedłużenie życia, budowie superschronów, Bękarcie, profesorze, prawda? Nie zapomnij tego i słuchaj teraz uważnie. W pewnym momencie na Ziemi zapanowały takie warunki, że musieliśmy się zamknąć w tych bunkrach, nie było innego wyjścia. Mówiłem, że jest ich dziewięć, zapamiętałeś to? - postanowił sprawdzać, co jego zięć rozumie z tej opowieści, żeby już nie musieć do niczego wracać

Tamten kiwnął posępnie głową.

- W każdym bunkrze można znaleźć kody genetyczne wszystkich roślin i zwierząt, bakterii, wirusów, grzybów i czego tam jeszcze. Jednym słowem: możemy odtworzyć w każdej chwili całą florę i faunę planety w takim kształcie, w jakich znano ją za moich czasów. Na dyskach zebrany jest dorobek kulturowy i technologiczny ludzkości, gotowy do wykorzystania, od pierwszego bazgrołu na ścianie jaskini, aż po technologię przemiany masy atomowej. Zadbaliśmy o to, aby w każdym bunkrze było pięciu naukowców, którzy mieli przedłużać swój żywot poprzez klonowanie i transfer danych z mózgu do mózgu i w ten sposób sprawować pieczę nad tymi dobrami tak długo, jak będzie trzeba. Ustaliliśmy, że będziemy monitorować sytuację na planecie i czekać, aż będzie można wyjść i odbudować ekosystem, który pozwoliłby człowiekowi na normalną egzystencję. W takim bunkrze został zamknięty także mój tylko tyle, że zbudowaliście sobie jakieś bunkry miliony lat temu, żebyśmy mogli przeżyć pierdolone, długie zimy. Tymczasem na powierzchni jest ze dwadzieścia stopni i nic nie wskazuje na to, żeby miało się ochłodzić.

Starzec westchnął. Był już zupełnie wyczerpany, a tymczasem oczekiwano od niego, że opowie wszystko od nowa. Zebrał jednak resztki sił i zaczął streszczać historię raz już opowiedzianą.

- Wiesz już o klonach, zmianach genetycznych powodujących przedłużenie życia, budowie superschronów, Bękarcie, profesorze, prawda? Nie zapomnij tego i słuchaj teraz uważnie. W pewnym momencie na Ziemi zapanowały takie warunki, że musieliśmy się zamknąć w tych bunkrach, nie było innego wyjścia. Mówiłem, że jest ich dziewięć, zapamiętałeś to? - postanowił sprawdzać, co jego zięć rozumie z tej opowieści, żeby już nie musieć do niczego wracać.

Tamten kiwnął posępnie głową.

- W każdym bunkrze można znaleźć kody genetyczne wszystkich roślin i zwierząt, bakterii, wirusów, grzybów i czego tam jeszcze. Jednym słowem: możemy odtworzyć w każdej chwili całą florę i faunę planety w takim kształcie, w jakich znano ją za moich czasów. Na dyskach zebrany jest dorobek kulturowy i technologiczny ludzkości, gotowy do wykorzystania, od pierwszego bazgrołu na ścianie jaskini, aż po technologię przemiany masy atomowej. Zadbaliśmy o to, aby w każdym bunkrze było pięciu naukowców, którzy mieli przedłużać swój żywot poprzez klonowanie i transfer danych z mózgu do mózgu i w ten sposób sprawować pieczę nad tymi dobrami tak długo, jak będzie trzeba. Ustaliliśmy, że będziemy monitorować sytuację na planecie i czekać, aż będzie można wyjść i odbudować ekosystem, który pozwoliłby człowiekowi na normalną egzystencję. W takim bunkrze został zamknięty także

Bękart. - Starzec kiwnął głową w stronę myśliwego. - Niestety, czterech moich kolegów po mniej więcej tysiącu lat podniosło bunt. Stwierdzili, że wolą wyjść i dożyć swoich dni na powierzchni, choćby mieli zamarznąć, ugotować się lub zostać napromieniowani. A że ja się opierałem, obezwładnili mnie i siłą zabrali ze sobą. Szkodliwe promieniowanie co prawda ustało, o czym się zaraz przekonaliśmy, lecz niestety flora i fauna w niczym nie przypominały przyrody sprzed zmian klimatycznych. Te gatunki, które przetrwały, uległy przemianom genetycznym, choć nie wszystkie. Po lasach, w których rosły kilkudziesięciometrowej wysokości trawy i karłowate drzewa, biegały dwugłowe wilki i ośmionożne sarny, ale to akurat widzieliście na własne oczy. Niektóre rośliny i zwierzęta ocalały swoje gatunkowe cechy, ale nigdzie nie znaleźliśmy normalnego człowieka. Ludzie, których spotykaliśmy, mieli ogromne cielska, nawet patologicznie otyli w naszych czasach nie byli aż tak ogromni. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że to my jesteśmy za to odpowiedzialni. Takie były skutki nieudanych eksperymentów. Porzuciliśmy nasze „szczury” laboratoryjne, myśląc, że nie żyją albo że zaraz umrą, a tymczasem niektórzy przeżyli, choć cierpiąc tak straszliwe męki w trakcie tych wszelkich kataklizmów, że lepiej byłoby dla nich, gdyby zginęli podczas badań.

Zięć mówiącego chciał mu przerwać, ale starzec nie pozwolił na to. Popatrzył na młodego tak srogo, że ten dał sobie spokój.

- Moi koledzy zabrali się szybko do odnawiania gatunku ludzkiego - mówił spokojnie, jak się okazało, profesor genetyki. - W ciągu kilkudziesięciu lat udało im się zaludnić wyspę. O tych męczących się otyłych biedaków nie troszczyli się wcale, traktując ich jak żywe wyrzuty sumienia. Dopiero gdy ukończyli misję odnawiania gatunku, przypomnieli sobie o nich, i gnani naukową ciekawością zabrali się za ich badanie. Uświadomili sobie bowiem, że

ludzie ci, choć są w fatalnej kondycji, żyją już po kilkaset lat. Koniecznie chcieli poznać ten mechanizm. Okazało się, że ich długowieczność to choroba, skutek napromieniowania. Żyli tak długo, bo mieli spowolniony metabolizm i obniżoną temperaturę ciała o jakieś pięć stopni w stosunku do typowej. Ich organizmy magazynowały takie ilości tłuszczu właśnie z powodu utrzymywania stałej niskiej temperatury. To było dla moich czterech kolegów kolejne wyzwanie: jak zachować ich zdolność do długiego życia, a jednocześnie uczynić je znośniejszym, czyli przyspieszyć metabolizm. Jak na razie udało im się znaleźć sposób jedynie na nieznaczną poprawę kondycji Leniwców. Za pomocą pewnej substancji otrzymywanej z ich komórek macierzystych poddanych działaniu promieniowania gamma udało im się na tyle przyspieszyć metabolizm, że Leniwczy mogą się przynajmniej trochę ruszać i używać mózgu jak kilkuletnie dzieci. Tak, właśnie o tym mówię. - Starzec kiwał głową myśliwemu, którego mina wskazywała na to, że domyślił się, o jakim specyfiku opowiada jego kompan. - Deotol, ten przeklęty deotol. Przeklęty, bo ma również inne działanie. U zdrowych ludzi powoduje regenerację niektórych organów. Co prawda nie na tyle, by zapewnić nieśmiertelność, lecz pozwala dożyć trzech setek.

Naukowiec przerwał na moment, by dać odpocząć zmęczonemu gardłu. Wypił resztę wody z kubka i zastanawiał się, czy ma siłę wstać, by napelnić go znowu. Nie musiał się jednak fatygować. W chwili, gdy odstawiał naczynie na stół, blondyn podał mu kolejne, napelnione po brzegi. Starzec pił powoli, czekając, aż tamten usiądzie wygodnie, a potem wrócił do wykładu.

- Kiedy oni kończyli eksperymenty z deotolem na Leniwcach i na zdrowych, na wyspie żyło zaledwie kilkaset osób. W ciągu kilku lat ta liczba podwoiła się. Pół wieku od naszego wyjścia z bunkra populacja liczyła sobie już kilka tysięcy, wystarczająco, by stworzyć normalne społeczeństwo albo chociaż dobrze zorganizowane plemię. Tyle że byli to ludzie prymitywni, nastawieni jedynie na zaspokajanie swoich najpierwotniejszych potrzeb. Żyli w byle jak zbudowanych szałasach, żywili się tym, co znaleźli lub upolowali. Prawie jak ludzie pierwotni. Ale wśród nich pojawiły się już pierwsze klony, które za nami opuściły bunkier. Byli jak zupełnie inna rasa, przewyższali swoją inteligencją resztę ludzkości kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt razy. Żyli od początku osobno, we własnym towarzystwie. Ze sobą też zakładali rodziny. Kiedy zaczęli się rozmnażać, nie zapomnieli oczywiście o edukacji swoich dzieci. Rosła w siłę kasta uprzywilejowanych, zdolnych sobie podporządkować całą resztę dzięki właściwościom mózgu. To oni stali się kontynuatorami ludzkiej myśli, w ich rękach i głowach spoczywała cała wiedza zgromadzona przez człowieka przez wieki i przynosząca znaczące korzyści. Im też, rzecz jasna, sprzyjali profesorowie,

wybierając sobie spośród tego grona najinteligentniejszych. Ci stanęli na straży nowego społecznego porządku, podporządkowali sobie pozostałe klony oraz wszystkich Leniwców. Tym ostatnim przypadła podła rola robotników, a właściwie niewolników uprzywilejowanej kasty. Praca była ich walutą, za którą mogli poddać się kuracji deotolem. W taki oto sposób narodził się system społeczny, który panuje na wyspie do dzisiaj. Z czasem ludzi przybywało, i to w każdej warstwie, a ład społeczny zaczął powoli przypominać układ państwowy, jaki poznaliście, oglądając filmy historyczne. Ze wszystkimi tego konsekwencjami, również urbanistycznymi i gospodarczymi. Zbieractwo i polowanie przestały zapewniać wystarczającą ilość pożywienia. Żeby było go pod dostatkiem, zatroszczono się o rozwój rolnictwa. Tak powstało Miasto Wschodnie, pod którym teraz jesteśmy. Tu były najlepsze ziemie pod uprawę. Miasto Centralne założono wcześniej, z przeznaczeniem na ośrodek władzy. Powoli odnawiano też inne gałęzie gospodarki. Na zachodzie i północy odkryto złoża surowców naturalnych i ruszył przemysł, w dwóch kolejnych miastach. Oczywiście wszelkie prace wykonywali Leniwczy po kuracji. Wybrańcy mogli korzystać z życia. Wybudowali dla siebie jeszcze jedno polis, Miasto Południowe, zapewniające różnorakie rozrywki. Coraz sprawniej działała administracja i służby mundurowe pilnujące układu społecznego i niedopuszczające do buntów.

- No dobrze - odważył się wreszcie przerwać starcowi zięć - wciąż mówisz o tej wyspie. Ale przecież nie tylko tu żyją ludzie, prawda? - nawiązał do tego, co go najbardziej interesowało.

- Obiecałeś, że mnie wysłuchasz. - Teść spojrział na niego z wyrzutem. - Właśnie chciałem do tego przejść. Otóż gdy zdołano już odtworzyć technologię na tyle, by eksplorować oceany i przemieszczać się po wodzie, wysłano ekspedycję mającą znaleźć inny suchy ląd. Nie chodziło tylko o przestrzeń dla rozrastającej się populacji, liczone też na odkrycie złóż metali, których na wyspie brakuje. No i był jeszcze jeden cel tej wyprawy: znalezienie pozostałych bunkrów. Profesorowie sprawujący nad nimi pieczę mogli w każdej chwili odkryć niezgodne z ustaleniami odrodzenie się społeczności ludzkiej na ziemi, a to mogło się skończyć różnie. To był wyścig z czasem. Należało odnaleźć bunkry wcześniej, niż ich mieszkańcy odkryją istnienie na wyspie nowego państwa. Z takim zadaniem dziesięć statków wyruszyło jednocześnie w różnych kierunkach. Nie wiedzieliśmy, jak wygląda świat po zalaniu, więc należało się liczyć z tym, że niektóre z nich natrafią na przeszkody nie do pokonania i nie zdołają ani niczego znaleźć, ani szczęśliwie wrócić. Tak właśnie się stało, wrócił tylko jeden statek. Z załogami pozostałych nie ma kontaktu. Domyślasz się chyba, że na tym statku przywieziono ciebie? - Starzec patrzył teraz zięciowi prosto w oczy.

Ten kiwał potakująco głową, ale nie był zdolny wymówić ani słowa. Zajęło mu dłuższą chwilę, nim zdołał zapytać o swoje rodzinne strony. Ale musiał się przemóc. Czekał na ten moment wystarczająco długo.

- Czy ja naprawdę pochodzę z kraju barbarzyńców? Agresywnych i tępych troglodytów, nastawionych jedynie na zniszczenie i siejących grozę? Tak mi powtarzali ci, którzy uważali, że powinienem żyć w niewoli... - mówił coraz ciszej.

- To wygodne kłamstwa - przyznał starzec. - Kiedy statek dotarł do twojej rodzinnej wyspy, załoga zobaczyła, że jej mieszkańcy całkiem nieźle sobie radzą, tyle że tamto społeczeństwo było zupełnie różne od naszego. Po pierwsze, tworzyli je tylko ludzie poczęci zgodnie z prawami natury. Im niepotrzebne było klonowanie i genetyczne udoskonalenia. Owszem, to miało skutki cywilizacyjne, z pewnością twoich rodaków mogliśmy uznawać za zacofanych. Podstawą gospodarki było tam wciąż rolnictwo, i to zupełnie tradycyjne, wykorzystujące jedynie proste narzędzia, i rybołówstwo, a ludzie żyli w małych osadach, nie wiedząc pewnie nawet, czym są miasta i jaką pełnią funkcję społeczną. Ale ten ustrój trudno nazwać prymitywnym. Po jakimś roku, kiedy już nasi naukowcy nauczyli się waszego języka...

- Jak to: naszego języka? - przerwał mu gwałtownie młody mężczyzna z otwartymi ustami słuchający przez ostatnie minuty o swojej ojczyźnie.

- Tak, wykształciliście całkiem nowy język, nieoparty na żadnym ze znanych języków starożytnych. Wracając jednak do tematu. Kiedy możliwe stało się już porozumienie z mieszkańcami tamtej wyspy, nasi uczeni odkryli, że możecie dożyć w dobrym zdrowiu stu pięćdziesięciu lat. Nie mogli przejść wobec tego obojętnie, musieli zbadać tajemnicę waszego długiego, zważywszy na warunki, życia. Postanowili zabrać kilka osób do swoich laboratoriów i poddać je badaniom. Wpierw szukali ochotników, ale nikt się oczywiście nie zgodził. Wtedy, zamiast dać sobie spokój, próbowano siłą wziąć na statek kilku tubylców. Doszło do krwawych walk, które ciągnęły się bez przerwy przez kilka tygodni. Nasi wybili prawie wszystkich twoich pobratymców, to znaczy mieszkańców tej osady, z której pochodzisz. Ocalało jedynie kilku mężczyzn, których, jak niegdyś niewolników z Afryki, wywieziono tutaj. Niestety, przeżyłeś tylko ty, pozostali zmarli w trakcie podróży, czy to z wycieńczenia, czy z tęsknoty. Tak oto znalazłeś się w laboratorium. Resztę chyba już znacie?

- Starzec spoglądał to na jednego, to na drugiego swojego słuchacza, szukając na ich twarzach zrozumienia.

Myśliwy potwierdził krótkim skinieniem głowy i wrócił do swoich myśli. Analizował dopiero co poznane fakty z zadowoleniem. Wreszcie dowiedział się tego, nad czym się zastanawiał przez całe swoje życie. Nie tylko o sobie, ale i o innych ludziach.

Zięć starca natomiast, przed którym właśnie otworzyły się na oścież drzwi do jego własnej historii, zamknięte dotąd na głucho, uderzał nerwowo piętą o podłogę i nie zdobył się na żaden gest, czy to potwierdzenia, czy zaprzeczenia. Widać było, że toczy walkę z samym sobą.

- To wszystko jest jakieś popierdolone - skomentował wreszcie w swoim stylu. - Mam uwierzyć w takie pierdoły? A może ja też jestem klonem? Co, staruchu? Znowu wymyśliłeś jakąś nową zabawę? Dalej chcesz mnie męczyć swoimi sztuczkami?

- Nie wygłupiaj się - zabrał głos młody blondyn. - Po co miałbym cię okłamywać? Pomyśl, przecież mam cię w garści. Nie potrafisz stąd wyjść, jestem od ciebie silniejszy, a na wypadek, gdybyś chciał zrobić coś głupiego, mam paralizator. - Wyjął z kieszeni małe urządzenie i zademonstrował je młodemu mężczyźnie stojącemu teraz naprzeciw niego. - Nie mam żadnego powodu, aby tobą manipulować, do niczego nie jesteś mi potrzebny. A nawet gdybym chciał, żebyś coś dla mnie zrobił, to łatwiej byłoby mi cię do tego zmusić, niż wymyślać fortele. Zrozum wreszcie: ten pożar laboratorium, zabici naukowcy, śmierć tych wszystkich ludzi w Mieście Głównym, to wszystko było tylko po to, żeby umożliwić ucieczkę tobie i Bękartowi. Pomogę ci wrócić na twoją wyspę, jeżeli tak bardzo tego pragniesz.

- Ty mi pomożesz? - naskoczył na niego zięć, który teraz wyglądał dużo starzej od swojego teścia. - Nawet nie wiem, czy jesteś prawdziwy. Jesteś jakimś dziwnym wynalazkiem, mówisz, że jesteś nim - wskazał ręką na niepotrafiącego powstrzymać ziewania starca - ale niby dlaczego miałbym w to wierzyć? Naopowiadałeś jakichś bzdur o wymianie mózgów, a mnie to wcale nie...

- Dosyć tego! - krzyknął starzec, wstając gwałtownie z fotela. - Obiecałem, że pomogę ci popłynąć na twoją wyspę i tak będzie. Teraz się zamknij i pomyśl, czego tak naprawdę chcesz. Jeśli nie przyjmiesz mojej pomocy, to zostaniesz tu do śmierci. Skończyłem.

Usiadł z powrotem, a młody mężczyzna poszedł w jego ślady i skulił się na fotelu w wiele mówiącej pozycji. Trząsł się cały ze zdenerwowania.

Myśliwy uznał, że to jest dobry moment na to, by zacząć zadawać pytania kłębiące mu się w głowie.

- Dlaczego właściwie pomogłeś nam w ucieczce z laboratorium? - wypowiedział na głos najważniejsze z nich.

- Cóż... Moim zadaniem było ponowne zaludnienie ziemi, a nie zabawa w bogów. I chciałem się z tego wywiązać, nawet jeśli moi koledzy nagle zmienili plany. Jedyne, do czego oni dążyli, to wypracowanie formuły genetycznej nieśmiertelności oraz stworzenie takiego systemu udostępniania kuracji dla Leniwców, by można było do woli korzystać z ich niewolniczej pracy. Uwolnienie ciebie krzyżowało im szyki. A jego uwolniłem, bo zrobiło mi się go żal. - Zerknął przelotnie na zięcia.

- No, to ma sens - przyznał myśliwy. - A jak to się stało, że nikt nas nie rozpoznał, ani mnie, ani jego, choć mieszkaliśmy przecież tyle lat na tej wyspie? Wciąż nas szukano, a tymczasem my żyliśmy zupełnie normalnie.

Blondyn nie odpowiedział, tylko wstał i skierował się w stronę drzwi do tajemniczego pomieszczenia.

- Chodźcie ze mną - rzucił, chwytając za klamkę. - Najlepiej będzie, gdy wam to wszystko pokażę.

Myśliwy bez wahania podążył za nim, ale jego młodszy towarzysz nie był tak skory. Wciąż nie potrafił zaufać młodzieńczej wersji swojego teścia. Ale ponaglany spojrzeniem „oryginału”, również podszedł do dotąd nieotwieranych drzwi. Już po chwili cała czwórka jechała windą w dół, a blondyn kończył odpowiadanie na pytanie myśliwego.

- Z tobą sprawa była prosta. W laboratorium zginęli wszyscy, którzy kiedykolwiek widzieli cię na oczy. Po przybyciu na wschodnie wybrzeże wyspy zarejestrowałem cię jako jednego z uleczonych Leniwców i tak oto dostałeś pracę jako myśliwy. Z nim był większy problem.

Młody mężczyzna ożywił się nieco, uświadomiwszy sobie, że teraz będzie mowa właśnie o nim.

- Dlaczego? - zapytał nerwowo.

- Dlatego, że jesteś czarny.

- No i co z tego? Jedna trzecia ludzi na wyspie ma czarną skórę.

Myśliwy uderzył się dłonią w czoło, jakby właśnie znalazł rozwiązanie wszystkich swoich życiowych problemów. Usiadł na podłodze i kręcąc głową powiedział:

- Jak to co, idioto? Przecież oni szukają białego, rudego mężczyzny.

Młody chłopak zaczął oglądać swoje dłonie i ramiona.

- O co tu chodzi, staruszkule?

W chwili, gdy ten kończył pytanie, winda się zatrzymała i drzwi otworzyły się bezszelestnie, ukazując długi korytarz z rzędami metalowych drzwi.

- Chodź, to zobaczysz. Zaraz zrozumiesz. - Blondyn ruszył pierwszy.

Poprowadził ich korytarzem do drzwi oznaczonych numerem dziewięć, otworzył je i gestem zaprosił do środka.

Wnętrze nie zaskakiwało. Był to kolejny metalowy sześcian, z gołymi ścianami, tonący w świetle padającym nie wiadomo skąd. Jedno tylko było tu zadziwiające: stojąca na środku szklana kapsuła z ludzkim ciałem leżącym na srebrnej macie. Przypięto do niego tysiące różnych kabli i rurek, które oplatały go jak jakaś wielonożna istota. Wydawało się, że człowiek ten nie oddycha, miał jednak różową, zdrową skórę, tak mocno kontrastującą z jego śmiertelnym bezruchem.

- To ty - rzekł starzec do zięcia, ręką dając znak, by podszedł bliżej szklanej kapsuły.

- Ja? To mam być ja? Przecież ja stoję tutaj. - Mężczyzna począł bić się po twarzy i klepać po udach. - Jak mogę być tam, i to biały i rudy, kiedy stoję tu, czarny i... i z czarnymi włosami?

- Posłuchaj mnie. - Tym razem mówił blondyn, stanąwszy bliżej młodego mężczyzny.

- To jesteś ty. Z Bękartem nie było problemu, bo nikt o nim nie wiedział. Ukrywali jego istnienie, a jak pojawiała się na ten temat jakaś plotka, skutecznie ją dementowano. Został legendą i to był koniec problemu, wierzono, że to takie naukowe bajanie. Po pożarze w laboratorium nikt nawet nie pomyślał o tym, by go szukać. O tobie jednak wiedzieli wszyscy i jak tylko ugaszono ogień, zaczęto przeczesywać wyspę. Dlatego jedynym wyjściem była zmiana wyglądu. Postanowiłem powołać do życia kolejnego klona. Oni szukali białego, rudego mężczyzny, stworzyłem więc murzyna. Wgrałem mu twoje wspomnienia i tak oto stałeś się czarnoskórym. Potem wywiozłem cię na powierzchnię i puściłem wolno, zgodnie z dawnym powiedzeniem, że najciemniej pod latarnią. Nikomu nie przyszło do głowy przesłuchiwać czarnoskórych, żółtych czy ludzi o śniadej skórze. Szukali tego. - Wskazał palcem ciało zamknięte w kapsule.

- Ale dlaczego nie pamiętam nic z mojego normalnego życia?

- Jesteś na tej wyspie już prawie dwieście lat. Komórki twojego mózgu, które to pamiętają, już wymarły. Zastąpiły je nowe. Zapomniałeś o swojej rodzinie, zapomniałeś, skąd jesteś, i nie pamiętasz swojego języka.

- Mogę odzyskać te wspomnienia? Możesz mi to wszystko wgrać jeszcze raz?

- Po to cię tu przyprowadziłem - potwierdził blondyn. - Tak jak obiecałem, pomogę ci też przedostać się na twoją rodzimą wyspę.

- Dlaczego nie zrobiłeś tego wtedy, zaraz po pożarze? Przecież mogłem stąd odpłynąć już dwieście lat temu.

- Nie zgodziłeś się. Chciałeś jeszcze zostać na wyspie. Bałeś się też tego pomieszczenia. Nie dziwię się. Po tym, co przeżyłeś podczas testów w Mieście Centralnym, dostawałeś drgawek na widok każdego kabla, każdej przyssawki i jakiegokolwiek sprzętu laboratoryjnego.

- Pamiętam jedynie, że chciałem odpłynąć na łodzi rybackiej, którą ukradłem. Następne wspomnienie związane jest już z twoim domem.

Młody mężczyzna mówił cicho, stojąc ze spuszczoną głową tuż obok swojego naturalnego ciała. Kiedy skończył, tym, które miał teraz, wstrząsnął szloch. Nie pozwolił sobie jednak na rozpacz. Wyprostował się i otarł dłonią łzy spływające mu po twarzy.

- Ty chyba naprawdę kochałeś moją córkę? Co? - Starzec też był odrobinę wzruszony.

Wdowiec nic nie odpowiedział. Patrzył tylko w oczy teścia, pierwszy raz w życiu dostrzegając w nich życzliwość i współczucie. Choć te zawsze w nich były, tylko on ich przez te wszystkie lata nie zauważał. Przypomniał sobie znowu moment, gdy córka tego człowieka znalazła go na plaży, pierwsze chwile spędzone w jej domu i wszystkie następne, które spędzili razem. Stał w bezruchu kilka minut, próbując połączyć wspomnienia i dopiero co poznane fakty. Po chwili spuścił głowę.

- Zabiłem ją, by wrócić do świata, z którym nie mam już nic wspólnego - powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszeli.

- To była wasza wspólna decyzja. - Blondyn stanął naprzeciw niego. - Musisz teraz zdecydować czy nadal tego chcesz.

- Tak. Muszę wrócić na tamtą wyspę. Nie mogę pozwolić, by jej śmierć poszła na marne. Ona tego chciała. I ona to zaplanowała. Muszę tam popłynąć. Dla niej.

- Dobrze więc. Wróćmy na górę i omówmy wszystko dokładnie.

Propozycja blondyna została zaaprobowana przez wszystkich, co wyrazili lekkimi skinieniami głów. W milczeniu podążyli do windy, kilkuminutowa jazda też upłynęła w ciszy.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał starzec męża córki, gdy zajęli ponownie wygodne fotele.

- Tylko to, jak dostać się na moją wyspę.

- Nie o to pytam. Jakie wspomnienia chcesz zachować? - uściślił.

Młodzieniec westchnął i chwilę się zastanawiał.

- Wszystkie - odparł. - Chcę pamiętać całe swoje życie tutaj i na tamtej wyspie. Kiedy mnie... Kiedy mi to wszystko wgrasz?

- Zaczniemy jutro rano. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale minęła już pora obiadu. Zjemy kolację i położymy się. Twój mózg musi być zrelaksowany) żeby operacja się udała. Powiedz

mi tylko jeszcze, czy chcesz zachować swoje obecne ciało? Mogę przetransferować wszelkie informacje do twojego lub do tamtego mózgu - nie sprecyzował, ale wszyscy wiedzieli, o czym mówi. - To twoja decyzja.

- To mnie najmniej obchodzi. - Młody mężczyzna machnął niecierpliwie ręką. - Najważniejsze, że będę ciągle tym człowiekiem, którym jestem teraz.

- Dobrze, to ja zdecyduję - zgodził się starzec. - Po kolacji będziesz musiał iść od razu do swojej kabiny. Postaraj się zasnąć lub przynajmniej myśleć o czymś przyjemnym. Musisz być wypoczęty.

Chłopak utkwiał niewidzące spojrzenie w podłódze i zaczął się kołysać, jakby właśnie miał atak choroby sierocej. Po kilku minutach doszedł jednak do siebie i zapytał starca:

- Powiesz mi, jak to działa?

- Co jak działa? Jak się odbywa proces przenoszenia danych?

- No tak, tylko jakoś mniej naukowo. Chciałbym wiedzieć, co się będzie ze mną działo i jak to będzie wyglądać.

Starzec podrapał się po głowie, co pomagało mu zebrać myśli. Po chwili zaczął rozmowę, która przypominała pogawędkę ojca z kilkuletnim chłopcem na temat tego, dlaczego latawiec unosi się w powietrzu.

- Podczas mojej nieobecności zapewne obejrzałeś sporo filmów - zaczął. - Czy wiesz, jaka jest zasada działania... Nie, nie tak. Czy wiesz, jak te filmy są przechowywane? Gdzie one są zapisane i jak się je tam zgrywa?

- No mniej więcej. - Młody mężczyzna przypominał sobie, jak wybierał materiał i jak ten się wyświetlał. - Wszystko zapisuje się na jakichś dyskach, które można namagnetyzować a później odtworzyć, odczytując coś jakby natężenie prądu umieszczonego na tych dyskach czy coś w tym rodzaju.

- No, bardziej coś w tym rodzaju... - Starca rozbawiło rozumowanie zięcia. - Mniejsza o to. Już mówiłem, w jaki sposób zgrywa się wspomnienia na taki dysk, to sobie przypomnij. Pamiętasz, zaznaczałem, że wpieryw trzeba dokonać badań, gdyż każdy człowiek odbiera bodźce troszkę inaczej. Jeżeli szturchniesz w żebra dwie osoby, to jedna powie, że poczuła ukłucie, a druga, że niesamowity ból. Badania te trwają co najmniej miesiąc, gdyż potrzebny jest jak największy wachlarz odczuć, dostarczanych twojemu mózgowi zarówno na jawie, jak i we śnie. A jak wgrywa się wspomnienia? Podam ci środki, które spowodują, że zapadniesz w tak głęboki sen, że twój mózg nie będzie emitował fal, a przynajmniej będą one maksymalnie słabe. Musimy osiągnąć stan zbliżony do śmierci. Dzięki temu będę mógł prądem elektrycznym pobudzić te części twojego mózgu, na których pracy opierał się będzie

zabieg. Musimy oszukać mózg, by przyjął impulsy elektryczne, które my wysyłamy, jako twoje prawdziwe wspomnienia.

- Jak długo to potrwa?

- W twoim przypadku kilka godzin. Tylko dlatego, że mam już specyfikację pracy twojego mózgu zapisaną w archiwach. W przeciwnym razie zajęłoby to trzy, cztery miesiące.

- Innymi słowy, uśpiś mnie, wgrasz mi w łeb, co trzeba, i za dwa dni będę mógł popłynąć na moją wyspę?

- Tak. Za dwa dni będziesz mógł wyruszyć w drogę.

- Jak się tam dostanę? - Mężczyzna przypomniał sobie, jak starzec wyśmiał jego żeglarskie możliwości.

- Popłyniesz maleńką łodzią podwodną. Gdy się obudzisz, będziesz miał już w głowie gotowy plan, znał położenie wyspy i umiał obsługiwać łódź. Będziesz wiedział też, co robić, gdybyś się zgubił na oceanie.

- Jakie jest ryzyko, że operacja się nie powiedzie?

- Nie ma żadnego. To nie jest jakaś tam zabawka, tylko solidna naukowa aparatura. Jeśli już musisz się czegoś obawiać, to mieszkańców Wyspy, a szczególnie kasty uprzywilejowanej. Na pewno są czujni. Jednak nawet jeżeli odnajdą wejście do bunkra, to sforsowanie stalowej bramy zajmie im ponad pół roku, a dojdzie tutaj najmniej dwa, trzy lata. To twierdza nie do przebycia, nawet dla tych, którzy znają ten budynek.

- Chodzi mi o to - młody mężczyzna kręcił głową - czy coś może pójść nie tak w trakcie, na przykład nie zasnę wystarczająco głęboko. Co wtedy, zmienisz mój mózg w gąbkę?

Widać było, że wciąż żywił obawy o powodzenie całego zabiegu, choć starzec tłumaczył wszelkie detale z takim spokojem, jakby podawał przepis na sałatkę. Zięć ufał mu, teraz znacznie bardziej niż jeszcze godzinę temu, lecz nie było wciąż zaufanie stuprocentowe.

- Nie ma takiej możliwości. System był testowany kilka tysięcy razy. Nie zapominaj też o tym, że będę czuwał nad zabiegiem, i to w dwóch osobach - uśmiechnął się do blondyna. - Nie masz się czego obawiać.

Młodzieniec nie był jeszcze całkiem przekonany, ale dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć, i nie miał więcej pytań. Wstał więc, rozciągnął się, przywracając prawidłowe krążenie w zdrętwiałych członkach, i ruszył do swojej kabiny.

- Idę spać - rzucił przez ramię. - Obudź mnie, gdy będziesz gotowy.

Starzec uśmiechnął się, zadowolony z tego, że zięć, który zamykał właśnie za sobą drzwi, podjął tak szybko decyzję. Potem przeniósł wzrok na myśliwego i zaczął mu się przyglądać. Blondyn poszedł w jego ślady.

- Co cię trapi? - zapytał milczącego mężczyznę po chwili.

Myśliwy podniósł głowę i uśmiechnął się smutno.

- A więc to wszystko przez to, że ileś tam tysięcy lat temu, komuś tam zachciało się żyć wiecznie?

- Wiesz, ludzie zawsze chcieli być nieśmiertelni. Ale o co tak dokładnie ci chodzi? - ciągnął blondyn.

- Nieważne. - Myśliwy machnął ręką, dla potwierdzenia wagi tej deklaracji. Po dłuższej chwili milczenia zapytał: - Jak powstał ten świat?

- To dosyć skomplikowane. Mówiłeś, że już oglądałeś filmy na ten temat. Nic z nich nie zrozumiałeś? - Tym razem zabrał głos starzec.

- Nie chodzi mi o planetę czy kosmos. Filmy pokazały mi to dokładnie, jak i to, jak kształtowała się powierzchnia Ziemi. Ale to dotyczyło dawnych czasów. Nie znalazłem jednak filmu, który by mówił o tym, skąd wzięła się ta i sąsiednia wyspa, co się stało z poprzednią cywilizacją i jak doszło do tego wszystkiego.

- Trudno się temu dziwić, te filmy powstawały jeszcze za czasów poprzedniej cywilizacji. Nikt nie pomyślał o tym, by stworzyć system, który rejestrowałby wydarzenia w czasie rzeczywistym. Dlatego historia nagle się urywa. Kiedy zdecydowaliśmy się zamknąć bunkry i uruchomić system przetrwania i już nie dokumentowaliśmy życia na ziemi.

Myśliwy pokiwał głową ze zrozumieniem.

- To może wy mi powiecie, co się stało z kontynentami.

- Nic szczególnego, jeżeli weźmiemy pod uwagę prawa fizyki panujące we wszechświecie. Najprościej mówiąc, na Ziemi zaczęły się dziać rzeczy, których ludzkość nie mogła przetrwać. Tak przynajmniej wtedy sądziliśmy. Pacyficzny Pierścień Ognia wreszcie pokazał, na co go stać. Trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów i zalania dużych połaci lądu zaczęły wydarzać się naraz i nie było sposobu na ich powstrzymanie. Pewnie jakoś byśmy się przed tym zabezpieczyli w innych częściach globu, gdyby pewne reakcje w kosmosie nie przyspieszyły znaczniejszej katastrofy. Ogromne ilości lawy dostały się do oceanów, a to z kolei spowodowało odchylenia biegunów Ziemi, i to aż o dziesięć stopni. To oznacza, że dziesięć procent żelaza mieszczącego się w jądrze Ziemi uciekło do wyższych warstw, a reszta zmieniła swoje położenie. W konsekwencji Ziemia zaczęła krążyć wokół Słońca coraz wolniej. To tak jak z jajkiem: ugotowanym możesz zakręcić, lecz surowe nie chce się

obracać. Jakby tego było mało, zmiany w warstwach Ziemi wpłynęły także na księżyc, który oddalił się od planety. Sztuczne satelity w ogóle przestały działać, ale to już z powodu wiatru słonecznego, który był niespotykanie silny w ostatnich dwudziestu latach istnienia poprzedniej cywilizacji. Ponad dziewięćdziesiąt procent wszelkich elektrowni, urządzeń elektrycznych oraz wszelkich maszyn sterowanych komputerowo uległa przez to uszkodzeniu. A że byliśmy całkowicie zależni od prądu elektrycznego i komputerów skorelowanych z satelitami, Ziemia pogrążyła się w tak wielkim chaosie, że w ciągu dziesięciu dni od pierwszej awarii zginęło ponad trzy miliardy ludzi. Pospadały samoloty, przegrzały się pomieszczenia mieszkalne i biurowe w miejscach, gdzie normalna temperatura sięgała czterdziestu stopni, a w mroźnych rejonach wysiadło ogrzewanie. Zaczęło brakować wody, bo pompy, oczywiście elektryczne, przestały działać. To jednak nie był koniec przykrych niespodzianek. Wzmożona aktywność jądra Ziemi, trzęsienia, powódzie i uszkodzenia wszelkich urządzeń elektrycznych, w tym komputerów, przyczyniły się do poważnych awarii w elektrowniach atomowych. Z czasem woda wyflukała składy radioaktywnych i różnych innych skażonych odpadów.

Młody chłopak spał głębokim snem w swojej kabinie, czekając na spełnienie swoich marzeń, a w głównym pomieszczeniu dyskusja trwała jeszcze długo. Myśliwy zadawał wiele pytań, na które na zmianę odpowiadali starzec i blondyn.

Rozprawiali właśnie w najlepsze o niesamowitych zdolnościach umysłu ludzkiego, gdy drzwi od kabiny najmłodszego mieszkańca bunkra otworzyły się i stanął w nich gotowy na wszystko gospodarz. Przeczesał włosy oraz pokaźną już brodę palcami, ziewnął ostentacyjnie, a potem powiedział:

- Dzień dobry. Siedzieliście tu całą noc? Miałeś być wypoczęty, żeby mnie prawidłowo podłączyć do tego czegoś tam na dole - zwrócił się z wyrzutem do teścia.

Po czym podszedł do stalowej szafy i pobrał śniadanie.

- To ty miałeś wypocząć. Ja sobie poradzę, nie martw się. - Starzec uśmiechnął się dobrodusznie.

Czas jednak był najwyższy na śniadanie, rzeczywiście noc zeszła im na gadaniu. Stary kiwnął głową w stronę automatu z żywnością, patrząc jednocześnie wymownie na blondyna. Ten od razu podszedł do kanciastej puszkę i pobrał śniadanie dla wszystkich. Jedli w milczeniu, jakby zapomnieli już o neuronach, synapsach, ogromnych prędkościach przetwarzania danych i wszystkich kataklizmach, które dotknęły ziemię.

Niegdyś profesor pierwszy skończył jeść i w milczeniu czekał, aż pozostali uporają się ze swoimi porcjami. Kiedy pojemniki wszystkich były już puste, zapytał zięcia:

- Nie rozmyśliłeś się przypadkiem?

- Czekałem na to całe życie i jestem gotów - zapewnił gorąco tamten.

- Chodźmy więc. - Starzec zaprosił chłopaka gestem ręki do windy.

Myśliwy i blondyn poszli za nimi i całą czwórką zjeżdżali w dół, w milczeniu rozmyślając o tym, co za chwilę miało się zdarzyć. Jechali nieco dłużej niż poprzedniego dnia, gdyż tym razem musieli dostać się na dużo niższy poziom stalowej kuli. Z jednej windy przechodzili do kolejnej i mijali każdą z nich kilkadziesiąt pięter, aż wreszcie zatrzymali się - jak podawał ekran na drzwiach - na poziomie dwieście pięćdziesiątym.

Starzec wyszedł jako pierwszy, za nim podążył jego zięć, potem myśliwy, a orszak zamykał blondyn. Gdy znaleźli się pod wejściem z numerem dziewięć, „mistrz ceremonii” wystukał kod na panelu sterowania i otworzyły się z lekkim, wszystkim znanym już, sykiem drzwi do pomieszczenia, które przypominało wszystkie inne w bunkrze. Wzrok przybyłych spoczął na szklanej kapsule stojącej pośrodku, podobnej do tej, w której przebywało prawdziwe ciało Barbarzyńcy.

- Jesteś gotowy? - Starzec spojrzał chłopakowi prosto w oczy, szukając w nich pewności.

Widział, tak jak i pozostali, że ten trochę się denerwuje.

- Trochę dziwnie się czuję - przyznał mężczyzna szykujący się do zabiegu. - Jakbym zaraz miał umrzeć, a nie odzyskać życie.

- Jak będziesz całkiem gotowy, rozbierz się i połóż się w kapsule - poinstruował go starzec. Nie chciał go rozpraszać komentowaniem jego wątpliwości.

Barbarzyńca pogrążył się we własnych myślach, a profesor wystukał kod na małym panelu w ścianie kapsuły. Ta otworzyła się bezszelestnie, ale to nie był jedyny efekt działań starca: w tej samej chwili jedna ze ścian podzieliła się na pół i obie części rozsunęły się na boki, ukazując zebrany ogromny ilości monitorów, klawiatur, wskaźników, zegarów oraz przeszklonych szaf z różnymi ampułkami, buteleczkami i słojami.

Młody mężczyzna nie zwracał wcale na to uwagi. Już go nie obchodziły żadne techniczne szczegóły - był gotów. Gdy starzec i blondyn gmerali w szafkach i uruchamiali wielkie monitory, on rozebrał się i położył w kapsule. Musiał chwilę poczekać, nim podeszli do niego dwaj mężczyźni, a właściwie jeden, znający procedury. Blondyn trzymał w ręce zabezpieczoną strzykawkę.

- Na co ci to? - Młodzieniec na widok narzędzia, którego nie wspominał zbyt dobrze, troszeczkę się przejął.

- To środek usypiający.

- Ale dlaczego ty mi to wstrzykujesz?

- On ma młodsze i sprawniejsze dłonie - pospieszył z wyjaśnieniem starzec. - Ja, nie dosyć, że mam tylko jedną rękę, to jeszcze w dodatku się trzęsie. On to zrobi lepiej - uspokoił zięcia starzec, a kiedy widział, że mu się udało, zajął się ponownie obsługą maszyn.

- Powiedz, jak będziesz gotowy. - Blondyn czekał cierpliwie. - Nie chcę ci wbijać igły w sztywne mięśnie. Rozluźnij się...

- Dobra, już dobra. Rób ten zastrzyk. - Mężczyzna wziął głęboki wdech i zamknął oczy.

Blondyn przystąpił do działania. Powoli zdjął ochronny kaptur z igły i przyłożył ją do ręki Barbarzyńcy. Pewnym ruchem naciskał iniektor, wprowadzając płynne substancje do organizmu. Nim jeszcze skończył, leżący na srebrzystym stole „pacjent” zaczął odczuwać drętwienie nóg i rąk, a jego powieki stawały się coraz cięższe. Przez kolejnych kilka minut był jeszcze świadomy, lecz odgłosy, które dochodziły jego uszu, stawały się coraz cichsze i cichsze, a światło przedostające się przez zamknięte powieki nikło, ustępując miejsca przyjemnej pustce. Odchodził powoli w krainę całkowitej obojętności i było mu z tym dobrze.

Ostatnim, co usłyszał, było chrząknięcie myśliwego, który przyglądał się temu wszystkiemu z założonymi rękami.

Obudził się nagle i od razu syknął z bólu: ręce i nogi, którymi ruszył nieopatrznie, tak reagowały na ponowne działanie układu krążenia. Wciąż nie otwierał oczu, ale to nie chroniło go całkowicie przed światłem - drażniąca poświata nie pozwalała mu zachować jasności umysłu. Spozrzegł, że wokół panuje całkowita cisza, a przecież gdy zasypiał, towarzyszyły mu dźwięki wielu maszyn i odgłosy towarzyszy. Gdy siły zaczęły mu wracać, skupił je wszystkie na podniesieniu powiek. Udało się po dłuższej chwili i mógł wpatrywać się w biały sufit.

Biały? Zaniepokoił się.

Mięśnie odzyskiwały władzę i powracały zmysły.

A nie stalowy?

Próbował poruszyć głową, by zobaczyć coś więcej, a wraz z nią całym ciałem. Nie udało się. Spodział się, że mocno ściskają go skórzane pasy wcześniej, niż zdążyło go to zaskoczyć.

W jednej chwili ocknął się całkowicie. Zaczął szybko oddychać i kręcić głową we wszystkie strony. To, co zobaczył, wzbudziło w nim taką wściekłość, że przez kilkanaście sekund nie mógł sobie przypomnieć żadnego słowa, którym mógłby ją wyrazić.

Leżał na jakimś stole, przykrytym białym prześcieradłem. Jego ręce i nogi były białe. Nie czarne, tak jak je zapamiętał, lecz sino-różowo-białe, a w dodatku poprzecinane brązem skórzanych pasów. Pomieszczenie, w którym się znajdował, było wyłożone od podłogi aż po sufit białymi, ceramicznymi kafelkami. Wokół krzątało się mnóstwo ludzi w białych kitlach i dziwił się, że nie słyszał ich ruchów. Jedna z tych osób pochyliła się nad nim i oślepiła go małą latareczką. Gdy zaczął już dobrze widzieć, mężczyzna stojący przy jego nogach wydał mu się znajomy. Szorstka, szczupła twarz młodego człowieka przyglądała mu się błękitnymi oczami. Spojrzał w nie głęboko i już po chwili je rozpoznał. Były nieco starsze, niż je pamiętał, ale i dużo młodsze... To odkrycie pozwoliło mu niespodziewanie odzyskać głos.

- Ty skurwysynu - jęczał bardziej, niż mówił - oszukałeś mnie! Oszukałeś mnie, ty pierdolony kaleko. Gdzie jest moja łódź, gdzie moja wyspa? Oszukałeś mnie, zdrajco główniany. Ty skurwysynu...

Na tyle mógł sobie pozwolić, nim doskoczyło do niego kilku rośliwych mężczyzn w kitlach i mocnymi dłońmi ścisnęło mu usta. Przytrzymali miotającego się w panicznych konwulsjach mężczyznę, a ktoś jeszcze wbił mu w ramię igłę. Po kilkunastu sekundach znowu był w krainie, z której właśnie wrócił, lecz tym razem nie stracił już zmysłów. Miał otwarte oczy i słyszał wszystko, lecz i wszystko było mu całkowicie obojętne. Nawet ostre światło latarki.

Zaraz zresztą znikło, bo mężczyzna z latarką odwrócił się do niego tyłem i podszedł do grupki ludzi stojących kilka metrów dalej.

- Eksperyment chyba się powiódł, profesorze Dressnall? - zapytał go wysoki brunet, częstując jednocześnie papierosem.

- Wątpi pan? - W głosie zapytanego dało się słyszeć uraźoną dumę. - Przecież właśnie wykrzyczał najpiękniejszą wiązaną pochlebstw w naszym języku, a jeszcze wczoraj nie rozumiał ani słowa.

- Tak, to prawda. Nie rozumiem tylko, o czym on mówił. Kto go zdradził? Jakiej łodzi potrzebuje?

Mężczyzna nazwany profesor Dressnallem odłożył małą latarkę na stolik, zaciągnął się mocno i odparł:

- Też tego nie rozumiem. Widocznie podczas zabiegu jego mózg był jednak na tyle aktywny, by sprowokować jakieś własny sny. Może teraz pomieszały mu się z rzeczywistością?

Pozostali kiwali głową, przychyłając się do teorii profesora. Zwróciwszy oczy na leżącego na stole białego mężczyznę, nie mówili już nic więcej.

Profesor nerwowo dopalił papierosa i wrócił do swojego pacjenta. Położył mu dłoń na czole, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma gorączki, a wtedy ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Mężczyzna w kitlu uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, po czym wolnym krokiem opuścił laboratorium.